

Bliźniacy

Coulter Catherine

Książka VIII z Panna młoda



calibre 0.9.43

CATHERINE COULTER

BLIŹNIACY

ROZDZIAŁ 1

Dwór Northcliffe, sierpień rok 1830

James Sherbrooke, lord Hammersmith, starszy od swojego brata o dwadzieścia osiem minut, zastanawiał się, czy Jason pływał w Morzu Północnym u wybrzeża Stonehaven. Jego brat poruszał się w wodzie jak ryba, bez względu na to, czy owa woda była lodowata, czy ciepła jak zupa. Otrzepując się z wilgoci jak ich pies Tulip, miał w zwyczaju powtarzać:

- Ależ James, to przecież nie ma żadnego znaczenia. To jak kochać się z kobietą. Możesz to robić na kamienistej plaży, gdzie zimne fale obmywają ci stopy, albo w puchowej pościeli - rozkosz jest taka sama.

James nigdy nie kochał się na kamienistej plaży, ale podejrzewał, że jego brat bliźniak miał rację. Jason posiadał specyficzny dar rozśmieszania swoimi wypowiedziami słuchaczy, nawet jeśli się z nim zgadzali. Jason odziedziczył ten dar, jeśli można było nazwać to darem, po matce, która kiedyś, patrząc z miłością na Jamesa, powiedziała, że urodziła jeden dar od Boga, a potem nadszedł czas, aby zacisnąć zęby i urodzić drugi. Synowie, chociaż całkowicie zaskoczeni, przytaknęli, ale ojciec spojrział na nich obu z niechęcią, prychnął i powiedział:

- Raczej dar z piekła rodem.

- Moi drodzy chłopcy - rzekła matka. - Szkoda, że jesteście tacy piękni. To bardzo irytuje waszego ojca.

Wpatrywali się w nią, ale ponownie przytaknęli. James westchnął i cofnął się znad krawędzi urwiska wznoszącego się ponad doliną Poe, uroczą wstęgą falującej zieleni, nakrapianej gdzieś klonami i lipami, i podzieloną starożytnymi ogrodzeniami. Dolina Poe ze wszystkich stron chroniona była przez niewysokie wzgórza Trelów; James zawsze wierzył, że niektóre z tych podłużnych, niemal kulistych wzgórz były starożytnymi kurhanami. Razem z Jamesem wymyślali niezliczoną ilość historii o ewentualnych lokatorach tych kurhanów - Jason - zawsze lubił być wojownikiem, który nosił niedźwiedzią skórę, malował twarz na niebiesko i jadał surowe mięso. Natomiast James był szamanem, który pstryknięciem mógł ściągnąć na wojowników deszcz płomieni. James cofnął się znad krawędzi. Kiedyś spadł z urwiska, ponieważ pojedynkowali się z Jasonem na miecze, i Jason przystawił mu ostrze do gardła, a James złapał go za szyję i zaczął młócić powietrze - dramatycznie i bez stylu, jak później powiedział mu Jason. Stracił oparcie pod stopami i spadł przy akompaniamencie wrzasków brata.

- Ty cholerny baranie, ani się waż umierać! To tylko ranka na szyi! Śmiał się, nawet kiedy upadł. Boleśnie. Ale na szczęście skończyło się tylko na potłuczonych żebrach i kilku siniakach na twarzy. Ciotka Melissande, która właśnie przebywała z wizytą w Northcliffe, aż zapiszczała, dotykając dłońmi jego posiniaczonej twarzy.

- Och, mój kochany chłopcze, musisz dbać o swoją piękną i idealną twarz, a wiem, co mówię, skoro jest jak moja. A jego ojciec, hrabia, wznosząc wzrok ku niebu, powiedział:

- Jak to się mogło stać? Była to prawda. James i Jason byli lustrzanym odbiciem swojej pięknej ciotki Melissande i nie odziedziczyli rudych włosów po matce ani ciemnych oczu po ojcu. Wszystkie cechy mieli po ciotce, co każdego niezmiernie dziwiło. Z wyjątkiem wzrostu, dzięki Bogu. Obaj byli niemal wzrostu ojca, co bardzo go cieszyło. Ich matka powiedziała coś o tym, że: „Chłopiec powinien być prawie tak samo duży jak jego ojciec i prawie tak samo mądry; tego pragną wszyscy ojcowie. Matki zapewne również”. Jej synowie spojrzeli na nią i potaknęli.

Wiele lat wcześniej James słyszał plotki, że jego ojciec chciał poślubić ciotkę Melissande, i zapewne zrobiłby to, gdyby nie wuj Tony, który się pojawił i ją ukradł. James nie mógł sobie tego wyobrazić. Nie tego, że wuj Tony ją ukradł, tylko że ciotka Melissande nie wolała jego ojca. Pałeczkę przejęła jego matka, na szczęście dla Jamesa i Jasona, którzy, chociaż uważali ciotkę za bardzo interesującą, niezmiernie kochali matkę. Na szczęście odziedziczyli po Sherbrooke'ach intelekt. Ich ojciec nieraz powtarzał:

- Rozum jest ważniejszy niż wasze śliczne twarzyczki. Jeśli któryś z was kiedyś o tym zapomni, wbiję was w ziemię.

- Ale ich śliczne twarzyczki są wyjątkowo męskie - dodała pospiesznie ich matka, poklepując obu. James uśmiechał się do swoich wspomnień, gdy usłyszał krzyk. Odwrócił się i zobaczył Corrie Tybourne - Barrett, utrapienie, które towarzyszyło mu niemal od urodzenia, a które teraz pędziło konno ze wzgórza na złamanie karku i gwałtownie zatrzymało klacz Darlene niecały metr od krawędzi urwiska. I niemal pół metra od niego. James nawet nie drgnął. Spojrzał na nią z wściekłością. Ale opanował się i odezwał spokojnym głosem:

- To było głupie. Wczoraj padało i ziemia mogła się osunąć. Już nie masz dziesięciu lat, Corrie. Musisz przestać zachowywać się jak szczeniak, który ma siano zamiast mózgu. A teraz cofnij Darlene. Skoro nie martwisz się o siebie, to może pomyślisz o swojej klaczy. Corrie spojrzała na niego z góry i powiedziała:

- Podziwiam cię, że możesz mówić tak spokojnie, gdy wściekłość aż bucha ci uszami. Nie nabierzesz mnie, Jamesie Sherbrooke. - Uśmiechnęła się do niego szyderczo i skierowała klacz wprost na niego. Odsunął się, poklepał Darlene po chrapach i powiedział:

- Masz rację. Wściekłość bucha mi uszami. Pamiętasz ten dzień, kiedy chciałaś udowodnić, jaka jesteś zdolna, i dosiadłaś tego na poły dzikiego rumaka, którego kupił mój ojciec? Ten cholerny koń prawie mnie zabił, gdy usiłowałem cię uratować, co zresztą, na moje nieszczęście, mi się udało.

- Nie musiałeś mnie ratować, James. Byłam zdolna nawet jako dwunastolatka. - Pewnie całkiem świadomie oplotłaś nogami końską szyję i darłaś się wniebogłosy. Ach, to był pokaz twoich zdolności, prawda? Nie zapominaj również o tym, że powiedziałaś mojemu ojcu, chociaż wiedziałaś, że się na mnie wścieknie, iż uwiodłem w Oksfordzie żonę profesora.

- To nieprawda, James. Nie był wściekły, przynajmniej na początku. Najpierw chciał dowodu, ponieważ nie wyobrażał sobie, że mógłbyś być taki głupi.

- Nie byłem głupi, do cholery. Zajęło mi co najmniej dwa miesiące, by przekonać ojca, że to wszystko były twoje wymysły, a ty zawodziłaś, że to był tylko taki żart. Uśmiechnęła się.

- Dowiedziałam się nawet jak ma na imię żona jednego z profesorów, żeby historia była bardziej wiarygodna. Zadrżał, przypominając sobie wyraz twarzy ojca.

- Wiesz co, Corrie? Najwyższy czas, żeby ktoś nauczył cię manier. Chwycił ją bez ostrzeżenia za ramię i ściągnął z końskiego grzbietu. Usiadł na kamieniu, trzymając ją między nogami.

- To łanie od dawna ci się należy. Zanim dotarło do niej, co zamierzał zrobić, James przerzucił ją

sobie przez kolana i wymierzył jej mocnego klapsa w pupę. Sapnęła, wrzasnęła i zaczęła się szarpać, ale on był silny i zdecydowany, więc bez trudu sobie z nią poradził.

- Gdybyś miała na sobie spódnicę do jazdy konnej - klaps, klaps, klaps - nie bolałoby cię tak, bo miałabyś pod spodem tuzin halek. - Klaps, klaps, klaps. Corrie walczyła z nim, wrywając się i wrzeszcząc.

- Przestań natychmiast, James! Nie wolno ci tego robić, ty głupcze! Jestem dziewczyną i nawet nie jestem twoją siostrą.

- I dzięki Bogu. Pamiętasz, jak dodałaś mi czegoś do herbaty i przez półtora dnia miałem biegunkę?

- Nie myślałam, że to będzie tyle trwało. Przestań, James, to niestosowne!

- Och, a to dobre. Mówisz, że to niestosowne? Mam cię na karku przez całe życie. Widziałem twój kościsty zadek, gdy pływałaś w stawie Trentona. I całą resztę też.

- Miałam wtedy osiem lat!

- Teraz nie zachowujesz się, jak ktoś znacznie starszy. To, Corrie, lekcja, która od dawna ci się należała. Możesz uznać, że działałam w zastępstwie twojego wuja Simona. James przestał. Nie mógł jej ponownie uderzyć, chociaż pamiętał wszystkie okropności, które mu przez lata wyrządzała. Zaczął spychać ją ze swoich kolan, ale dostrzegł leżące na ziemi kamienie.

- Och, cholera, szczeniara - powiedział i postawił ją na ziemi. Stała, masując pośladki i wpatrując się w niego. Gdyby wzrok zabijał, już leżałby martwy u jej stóp. Wstał i pogroził jej palcem, jak to miał w zwyczaju robić jego dawny guwerner, pan Boniface.

- Nie użalaj się tak nad sobą. Zadek trochę cię piecze i to wszystko. - Na chwilę zatrzymał wzrok na swoich butach, a potem powiedział: - Ile masz lat, Corrie? Zapomniałem. Chlipnęła, otarła dłonią nos, uniosła podbródek i powiedziała:

- Osiemnaście. Potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- Nie, to niemożliwe. Tylko spójrz na siebie, wyglądasz jak młodzieniec bez zarostu, za to z pełnymi biodrami, których nie chciałby mieć żaden prawdziwy mężczyzna.

- Mam osiemnaście lat. Słyszysz, Jamesie Sherbrooke? Co jest w tym takiego nieprawdopodobnego? Chcesz jeszcze coś wiedzieć? Spojrzał na nią, powoli potrząsając głową.

- Pełne biodra mam już przynajmniej od trzech lat! I wiesz co?

- Jak mogłem zauważyć, skoro ciągle nosisz te bryczesy?

- To ważne, James. Tej jesieni mam swego rodzaju ćwiczenia. Ciotka Maybella mówi, że to się nazywa wstępny sezon. Będę nosić eleganckie suknie i jedwabne pończochy z podwiązkami, i buty na wysokich obcasach.

To znaczy, że jestem już dorosła. Upnę wysoko włosy, będę wcierać w skórę balsam i pokazywać biust.

- Potrzebne ci będą całe wiadra tego balsamu.

- Może i tak. Ale z czasem będę potrzebować go coraz mniej. I co z tego?

- Jaki biust zamierzasz pokazywać? Przez ułamek sekundy James miał wrażenie, że dziewczyna zerwie z siebie koszulę i pokaże mu piersi, ale na szczęście zdrowy rozsądek zwyciężył i powiedziała, mrużąc oczy:

- Mam biust i to całkiem ładny, ale teraz jest ukryty.

- Ukryty gdzie? Oblała się rumieńcem. James zapewne przeprosiłby, gdyby nie to, że znał ją całe jej życie - widział ją jako szczerbatą pięciolatkę, która usiłuje wgryźć się w jabłko, uspokajał ją, że

nie umrze, kiedy jako trzynastolatka dostała pierwszą miesiączkę i wielokrotnie doświadczał jej szyderstwa. Dotknęła palcem swojej klatki piersiowej.

- Są tutaj, rozplaszczone. Ale kiedy je uwolnię i okryję satyną i koronkami, niejeden mężczyzna straci głowę. Postanowił posłużyć się tak dobrze jej znanym szyderstwem.

- Możesz tylko o tym pomarzyć. Dobry Boże, wyobrażam sobie deskę z dwoma sękami.

- Deskę z sękami? To było podłe, James.

- No dobrze, masz rację, przepraszam. Powinienem powiedzieć, że nie umiem sobie wyobrazić, że twój biust nie jest płaski.

- Bo w głowie masz siano. - Wzięła się w garść, wyprostowała ramiona, wypięła do przodu pierś i powiedziała: - Ciotka Maybella zapewnia mnie, że tak właśnie będzie. Ponieważ James znał Maybellę Ambrose, lady Montague, całe swoje życie, nie uwierzył w to.

- Co naprawdę powiedziała?

- No dobrze, ciotka Maybella powiedziała coś o tym, że jeśli dobrze się mnie wyszoruje, to nie przyniosę im wstydu. O ile będę nosić się na niebiesko, tak jak ona.

- To brzmi bardziej prawdopodobnie.

- Nie rzucaj mi w twarz swoich obelg, Jamesie Sherbrooke. Znasz moją ciotkę, jest istną mistrzynią niedopowiedzeń. Naprawdę chciała powiedzieć, że mężczyźni potraciliby głowy, gdybym przejechała ulicą nago, no może tylko z pudłem na kolanach.

- Mogliby stracić głowę jedynie wtedy, gdybyś ty powoziła. To była przykra uwaga. Wymachując mu pięścią przed twarzą, wydarła się:

- Słuchaj, padalcu! Powożę równie dobrze jak ty, a może nawet lepiej. Mówiono mi to wielokrotnie - mam lepsze wyczucie. Było to tak nedorzeczne, że James tylko przewrócił oczami.

- Dobrze, wymień jedną osobę, która tak powiedziała.

- Na przykład twój ojciec.

- Niemożliwe. Mój ojciec nauczył mnie powozić. Mam takie samo wyczucie jak on, a może nawet lepsze, skoro on się starzeje. Posłała mu anielski uśmiech.

- Mnie również uczył powozić twój ojciec. I wcale nie jest stary. Jest przystojny i wspaniały - słyszałam, jak ciotka Maybella mówiła to swojej przyjaciółce, pani Hubbard. Zrobiło mu się niedobrze na te słowa. Jeśli chodzi o jej powożenie, to James pamiętał, że widział, jak siedziała dumnie na koźle obok jego ojca i chłonęła każde jego słowo. Pamiętał, że czuł wtedy ukłucie zazdrości. To było podłe, zwłaszcza że oboje rodzice Corrie zginęli podczas zamieszek po klęsce Napoleona pod Waterloo. Był to nieszczęśliwy wypadek, który wydarzył się podczas oficjalnej wizyty ojca Corrie, dyplomatycznego wysłannika Benjamin Tybourne - Barretta, wicehrabiego Plessante, do Paryża w celu przedyskutowania z Talleyrandem i Fouche powtórnej restauracji Burbonów.

Talleyrand dopilnował, żeby Corrie, wtedy niespełna trzyletnia, wróciła do Anglii, do ciotki, w towarzystwie pogrążonej w rozpaczę pokojówki matki i sześciu francuskich żołnierzy, którzy nie byli mile przyjmowani.

James ocknął się, słysząc jej słowa:

- I mój wuj dostanie szalu, usiłując zdecydować, który dżentelmen jest dla mnie odpowiedni. Sama o tym zdecyduje, a ten szczęściarz będzie silny, przystojny i bardzo bogaty, i zupełnie niepodobny do ciebie, James. - Kolejny szyderczy uśmiešek miał go wyprowadzić z równowagi. - Popatrz na swoje rzęsy, grube i długie, wyglądają jak wachlarz Hiszpanki. Do tego wywinięte na

końcach. Masz rzęsy jak dziewczyna. Miał dziesięć lat, kiedy matka podsunęła mu właściwą odpowiedź na takie zaczepki, więc teraz uśmiechnął się tylko i powiedział lekko:

- Mylisz się. Nigdy nie spotkałem dziewczyny, która miałaby rzęsy równie grube i długie jak moje. Milczała z otwartą buzią. Nie przychodziła jej do głowy żadna riposta.

Roześmiał się.

- Odczep się od mojej twarzy, dzieciaku. Ona nie ma nic wspólnego z twoim biustem. Na Boga, mężczyźni nie mówią biust.

- A jak mówią mężczyźni?

- Nie twoja sprawa. Jesteś za młoda. A poza tym jesteś damą. No może nie do końca, ale powinnaś być, skoro masz osiemnaście lat. Nie, nie mogę uwierzyć, że masz osiemnaście lat. To znaczy prawie dwadzieścia, czyli niemal tyle co ja. To niemożliwe.

- Nie dalej jak dwa tygodnie temu kupiłeś mi prezent urodzinowy. Spojrzał na nią obojętnie. Corrie uderzyła się dłonią w czoło.

- Och, już rozumiem, twoja matka przywiozła prezent i podpisała w twoim imieniu.

- Cóż, to nie tak...

- W porządku. Więc co mi kupiłeś?

- Och, Corrie, to było dawno.

- Dwa tygodnie temu, ty draniu.

- Uważaj na słowa, moja panno, albo znowu dostaniesz klapsa. Mówisz jak chłopak. Powiniennem być sprawić ci szpicrutę na urodziny, żeby jej użyć, gdy zajdzie potrzeba. Tak jak teraz. Zrobił krok w jej stronę, jednak opanował się i zatrzymał. Ku jego zaskoczeniu, to ona podeszła do niego, uśmiechnęła się szyderczo i powiedziała mu w twarz:

- Szpicrutę? Tylko spróbuj. Zabiorę ci ją, zerwę z ciebie koszulę i wychłostczę cię.

- Chciałbym to zobaczyć.

- No, może zostawiłabym na tobie koszulę. W końcu jestem dobrze wychowaną panią i nie powinnam oglądać półnagiego mężczyzny. Śmiał się tak mocno, że prawie spadł z urwiska. Jeszcze nie skończyła, a w jej głosie pobrzmiwało upokorzenie.

- Zbiłeś mnie gołą ręką. Założę się, że będę miała siniaki, ty draniu. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Jeszcze piecze cię tyłek? Zarumieniła się.

- Twoja twarz również robi się czerwona? W jej oczach pojawiły się łzy; odwróciła się i wsiadła na konia. Spojrzała na Jamesa obojętnie, szarpnęła uzdę, aż Darlene się cofnęła, i James musiał odskoczyć. Usłyszał, jak zawołała:

- Spytałem wujka, jak mężczyźni nazywają biust. Miał szczerą nadzieję, że tego nie zrobi. Wyobraził sobie, jak jej wuj Simon przewraca oczami i spada z krzesła, gubiąc okulary. Wuj Simon był w domu ze swoją kolekcją liści z każdego drzewa w Anglii, Francji, a nawet dwóch z Grecji, z czego jeden liść pochodził ze starożytnego drzewa oliwnego z okolic wyroczeni delfrjskiej. Z liśćmi, ale nie z kobietami. Wuj Simon unikał kobiet w domu. James patrzył za nią, gdy odjeżdżała, nie oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, jak zareagował na jej atak. Jej długi, gruby warkocz uderzał rytmicznie o plecy.

James otrzepał się z kurzu, a potem potrząsnął głową. Dorastał z tą smarkulą. Od dnia, w którym przybyła do Twyley Grange, domu siostry swojej matki i jej męża, nie odstępowała go na krok - nie Jasona, nigdy Jasona - tylko jego, i jakimś cudem zawsze umiała ich odróżnić. Kiedyś nawet śledziła

go, gdy poszedł wysikać się w krzaki, i aż poczerwieniał ze wstydu i wściekłości, słysząc z lewej strony głos Corrie: „O Boże, ty robisz to inaczej niż ja. A co takiego trzymasz w ręku?”

Miał piętnaście lat, został upokorzony i stojąc z wciąż rozpiętymi spodniami, krzychał na ledwie ośmioletnie dziecko: „Jesteś głupią, nic niewartą dziewczuchą!”, po czym wskoczył na konia i popędził na oślep przed siebie, niemal przyplacając to życiem, gdy wpadł na nadjeżdżający z naprzeciwka pocztylion i spadł na ziemię, tracąc przytomność. Ojciec przyjechał po niego do zajazdu, do którego James został zabrany. Mocno przytulał go do siebie, gdy doktor, nie wiedząc czemu, zaglądał mu do uszu. James przywarł do ojca i niewyraźnym głosem powiedział: „Tato, poszedłem się wysikać, ale wybrałem niewłaściwy krzak, bo była tam Corrie, która mnie podglądała i potem mówiła różne rzeczy”. Jego ojciec natychmiast odparł: „Tak to jest z małymi dziewczynkami, James, ale wyrastają z nich duże dziewczynki, a ty zapomnisz o niewłaściwym krzaku. Nie zamartwiaj się tym”. I James posłuchał ojca, pozwalając mu zaopiekować się sobą. Czuł się bezpieczny i szybko zapomniał o upokorzeniu.

Życie, pomyślał James, najwyraźniej toczyło się wtedy, gdy najmniej się nad tym zastanawiamy. Wydawało mu się, że wszystko zbyt szybko stawało się przeszłością, jak to, że Corrie skończyła osiemnaście lat - jak to się stało? Wracając do swojego rumaka, Bad Boya, zastanawiał się, czy możliwe było, że pewnego dnia spojrzy na nią i odkryje, że urosły jej piersi. Zaśmiał się i spojrzał w niebo. Zapowiada się pogodna noc, idealna, żeby położyć się na plecach i patrzeć w gwiazdy.

Jadąc do dworu Northcliffe, nie łudził się, że matka kupiła Corrie na urodziny szpicrutę.

ROZDZIAŁ 2

*Jeśli dzieje się coś nieprzyjemnego,
mężczyźni z pewnością się z tego wywiną.
(Jane Austen)*

Co jej dałaś? Mamo, proszę, powiedz, że nie podpisałaś tego moim imieniem.

- Ależ, James, Corrie nie ma pojęcia, jak się zachować, kiedy pojedzie do Londynu na wstępny sezon. Pomyślałam, że książeczka z radami jak się zachować będzie odpowiednia dla młodej pani wchodzącej do towarzystwa.

Jego matka już wiedziała o wstępnym sezonie Corrie? A on gdzie był w tym czasie? Dlaczego nikt mu nie powiedział?

- Książka o dobrym zachowaniu - odezwał się obojętnie i zjadł kawałek szynki. Przypomniawszy sobie jej szyderczy uśmiech i powiedział: - Tak, sądzę, że taka książka naprawdę jej się przyda.

- Nie, James, książka była od Jasona. Od ciebie kupiłam Corrie ilustrowany zbiór sztuk Racine'a.

- Ależ ona jest w stanie co najwyżej oglądać ilustracje, mamo. Jej francuski jest fatalny.

- Mój kiedyś też taki był. Jeśli Corrie się uprze, niebawem będzie mówić po francusku równie płynnie jak ja.

Hrabia, który z lekkim uśmiechem przysłuchiwał się rozmowie z drugiego końca stołu, prawie zakrztusił się zielonym groszkiem. Uniósł ciemną brew.

- Kiedyś, Aleksandro? A teraz mówisz płynnie? Ależ, ja...

- Wtrącasz się do rozmowy, Douglasie. Nie przerywaj sobie posiłku. James, wracając do sztuk, o ile pamiętam, to ilustracje są dosyć klasyczne, więc sądzę, że książka będzie się jej podobać, nawet jeśli nie będzie rozumiała słów. James wpatrywał się w kawałek ziemniaka na swoim widelcu. Jego matka spytała:

- James, chciałeś podarować jej coś innego?

- Szpicrutę - odparł pod nosem James, ale niewystarczająco cicho. Jego ojciec ponownie się zakrztusił, tym razem duszoną marchewką. Jego matka powiedziała:

- Ona jest już młodą damą, James, chociaż wciąż nosi te pożałowania godne spodnie i okropny stary kapelusz. Nie możesz jej traktować jak swego młodszego brata. A dlaczego sam nie kupiłeś jej szpicruty? Och, teraz sobie przypomniałam, że Corrie powiedziała, że nigdy nie używa w stosunku do koni szpicruty.

- Zapomniałem o jej urodzinach - powiedział James, modląc się, żeby ojciec nie próbował oświecić matki.

- Wiem, James. Ponieważ nie było cię tutaj, nie mogłam się z tobą skonsultować i sama musiałam zdecydować, jaki prezent kupić od ciebie.

- Mamo, nie mogłaś kupić jej czegoś do ubrania - no wiesz, może jakiś ładny kostium do konnej jazdy albo buty i podpisać je moim imieniem?

- To byłoby niestosowne, kochanie. Corrie jest już młodą damą, a ty jesteś młodym

dżentelmenem, nie spokrewnionym z nią.

- Młodzi dżentelmeni - powiedział Douglas Sherbrooke, machając do Jamesa widelcem - dają ubrania i buty do konnej jazdy wyłącznie swoim kochankom. Już chyba o tym rozmawialiśmy, James. Odezwała się Aleksandra:

- Douglas, proszę cię, James jest moim słodkim chłopcem. Chyba nie ma potrzeby, żebyś mówił mu o kochankach. Minie jeszcze wiele lat, zanim te kwestie zaczną go interesować. Jej mąż i syn spojrzeli na nią jednocześnie, a potem powoli potaknęli. James powiedział:

- Eee, tak, oczywiście, mamó. Wiele lat.

- Douglas, ja nie jestem kochanką, a kupowałeś mi ubrania i buty do jazdy konnej.

- Cóż, oczywiście, ktoś musiał cię odpowiednio ubrać.

- Tak jak ktoś musi ubrać odpowiednio Corrie - powiedział James. - Ona bardziej przypomina chłopaka niż dziewczynę. Nawet jeśli przeobrazi się w dziewczynę, nadal nie będzie miała pojęcia, co to oznacza. Nie ma żadnego doświadczenia. Nigdy nie była w Londynie. Nie sądzę, mamó, żeby książka o dobrych manierach na coś się zdała, skoro ona nie wie, jak się ubierać.

- Może mogłabym udzielić kilku rad jej ciotce Maybelli - zaoferowała się Aleksandra. - Nieraz się zastanawiałam, dlaczego Maybella nie ubiera Corrie stosownie. Ona i Simon pozwalają, żeby mała włóczyła się po okolicy odziana jak chłopak.

- Ja też się nad tym zastanawiałem - powiedział James i ugryzł kawałek chleba. - Może ona nie lubi sukien. Bóg jeden wie, jaka potrafi być uparta, więc jej wuj pewnie się poddał i pozwala jej rządzić.

- Nie - odezwał się Douglas. - Nie o to chodzi. W całej Anglii nie ma nikogo bardziej upartego od Simona Ambrose'a. Musi to być coś innego.

- Czy macie ochotę towarzyszyć mi do Eastbourne dziś po południu? Douglas, który chciał pojechać obejrzeć nowego konia do polowania na Squire Beglie's, zaczął intensywniej przeżuwać pasztecik z krewetek.

- Eee, to dla twojej matki - powiedziała Aleksandra.

- Mamó, tato, muszę iść.

- James umie być szybki, kiedy jest mu to na rękę - zauważył Douglas, podążając za synem.

Westchnął.

- Dobrze. Czego chce moja matka?

- Chce, żebym przywiozła jej przynajmniej sześć nowych wzorów tapet do sypialni.

- Sześć?

- Widzisz, ona nie ma zaufania do mojego gustu, więc chce, żebym przywiozła tyle, ile będę w stanie, żeby sama mogła wybrać.

- Niech sama jedzie.

- A zawieszysz ją?

- O której chcesz wyruszyć? Aleksandra roześmiała się, rzuciła serwetkę na stół i wstała.

- Za jakąś godzinę. - Pochyliła się, kładąc dłonie na śnieżnobiałym obrusie, i powiedziała do męża:

- Douglas, jest jeszcze coś... Zanim zdążyła powiedzieć więcej, mąż jej przerwał:

- Na Boga, Aleksandro, twoja suknia jest wycięta prawie do kolan. Piersi niemal wypadają ci z dekoltu, jak w sukni ladacznicy. Czekał - specjalnie tak się pochylasz nad stołem. - Uderzył pięścią w blat, aż podskoczyły kieliszki. - Dlaczego jeszcze się nie nauczyłem? Miałem na to kilkadziesiąt

lat.

- No nie aż tyle. I cieszę się, że doceniasz moje walory.

- Nie zawstydzisz mnie, madam. W istocie jesteś całkiem zgrabna. Jestem na twoje rozkazy, więc czego ode mnie chcesz? Obdarzyła go najśłodszym uśmiechem.

- Chciałabym porozmawiać z tobą o Białej Damie. I nie zbywaj mnie stwierdzeniami, że muszę być idiotką, skoro opowiadam o nieistniejącym duchu.

- Co tym razem zrobił ten cholerny duch? Aleksandra wyprostowała się i spojrzała przez wysokie okno na trawnik po wschodniej stronie.

- Powiedziała, że zbliżają się kłopoty. Przez chwilę powstrzymał się od sarkazmu.

- Chcesz powiedzieć, że nasz wielowiekowy duch, który nigdy nie ukazał się żadnemu mężczyźnie, ponieważ nasze umysły nie akceptują takich bzdur, przyszedł do ciebie i powiedział ci, że zbliżają się kłopoty?

- Mniej więcej.

- Nie sądziłem, że ona mówi. Wydawało mi się, że jedynie snuje się po domu i wygląda smętnie i przezroczyście.

- I ślicznie. Ona jest naprawdę niesamowita. Przecież wiesz, że tak naprawdę nie mówi, a tylko przekazuje telepatycznie swoje myśli. Nie odwiedzała mnie, od czasu gdy Ryder został napadnięty przez zbirów, których wynajął ten okropny handlarz ubraniami.

- Ale Ryderowi udało się powalić jednego z nich celnym ciosem kamieniem. Drugiego wepchnął do beczki pełnej śledzi. Nie pamiętam, co zrobił trzeciemu, pewnie dlatego, że było to mało zabawne.

- Ale mimo wszystko został ranny w tej walce, a powiedział mi o tym duch Białej Damy. Zamilkł. Aleksandra rzeczywiście wiedziała wcześniej od niego o walce jego brata. Na szczęście jego siostra, Sinjun, nie przyjechała ze Szkocji, żeby sprawdzić, co się stało. Napisała całą stertę listów, domagając się szczegółowych informacji o całym zdarzeniu. Żona Rydera, Sophie, nie napisała i nie przysłała żadnej wiadomości, ponieważ wiedziała, że duch Białej Damy powie Aleksandrze i Sinjun o wszystkim.

Duch Białej Damy. Nie, nie dopuszczał do siebie tej myśli.

- Ryder nie był ciężko ranny. Wydaje mi się, że ta twoja Biała Dama cierpi na kobiecą histerię. Facet łamie sobie paznokieć, a ona podnosi larum.

- Kobieca histeria? Złamany paznokieć? Ja nie żartuję. Martwię się. Kiedy mi przekazała, co się przydarzyło Ryderowi, zobaczyłam trzech mężczyzn napadających na niego.

Chciał jej powiedzieć, żeby nie raczyła go opowieściami, od których dostawał gęsiej skórki, ale przypomniał sobie, jak rozmyślnie epatowała go biustem, a ponieważ nie był głupi, trzymał język za zębami. Naśmiewać się z ducha mógł tylko w duchu. Chciał, żeby kontynuowała swoją taktykę. Jednak było to trudne do zniesienia. Wyglądało na to, że od czasu śmierci Białej Damy, gdzieś w drugiej połowie szesnastego wieku (wydając ostatnie tchnienie, wciąż była dziewczicą - tak przynajmniej mówiła legenda), wszystkie kobiety Sherbrooke'ów wierzyły w przepowiednie zjawy.

Douglas pohamował się od sarkastycznych uwag i powiedział:

- Nie wspominała o żadnych konkretnych kłopotach?

- Nie, i sądzę, że ona nie wie dokładnie, co nadchodzi, ale wie, że coś nadchodzi i nie będzie to dobre. - Wzięła głęboki wdech. - Wiem, że to ma coś wspólnego z tobą, Douglasie. Wyczułam to.

- Rozumiem, ale jej przekaz był tak niejasny. Wcześniej zawsze wszystko wiedziała.

- To chyba dlatego, że to już się stało albo właśnie się dzieje. - Aleksandra odetchnęła głęboko. - Ilekroć czegoś nie wie, wystarczy przeanalizować jej zachowanie. Ostrzegła mnie, ponieważ chodziło o ciebie. Martwi się, chociaż nie dała tego jasno do zrozumienia. Ale chodzi o ciebie. Nie mam co do tego wątpliwości.

- Bzdura - powiedział - kompletna bzdura - i od razu pożałował, że nie ugryzł się w język. Jego żona cofnęła się. - Dobrze, dobrze, porozmawiaj z nią jeszcze raz i spróbuj dowiedzieć się jakichś szczegółów. W międzyczasie każę osiodłać nasze konie. Moja matka chce, żebyś przywiozła jej sześć próbek tapety?

- Tak, ale może lepiej będzie, jeśli Dilfer pojedzie za nami małym powozem, bo jeśli przywiezie tylko sześć próbek, ona będzie chciała więcej. Najlepiej zabierzmy wszystko z magazynu. A teraz wybacz mi, Douglasie. Przykro mi, że zamęczałam cię histerycznymi babskimi bzdurami.

Douglas rzucił widelcem o ścianę i zaklął.

- Panie. Hollis, wieloletni służący Sherbrooke'ów, pojawił się w drzwiach pokoju śniadaniowego.

- Tak, Hollis?

- Hrabina wdowa - pańska szacowna matka, mój panie - chce pana widzieć.

- Wiem od zawsze, kim ona jest. Czulem, że będzie chciała mnie widzieć. Dobrze. Hollis uśmiechnął się i odwrócił. Douglas popatrzył za nim, wysokim, wyprostowanym mężczyzną o szerokich ramionach i białych włosach, i zauważył, że jego krok stał się nieco wolniejszy, a jedno ramię było może trochę niżej niż drugie. Ile Hollis miał lat? Przynajmniej tyle, ile portret Audley Sherbrooke, co najmniej siedemdziesiąt, a może nawet więcej. Douglas się zadumał. Większość mężczyzn w tym wieku miała trzęsące się ręce, bezzębne usta, łyse głowy i przygarbione sylwetki. Najwyższy czas, żeby Hollis przeszedł na emeryturę, osiadł w jakimś uroczym domku nad morzem, powiedzmy w Brighton albo Tunbridge Wells, i - i co? Siedział w bujanym fotelu i patrzył na wodę? Nie, Douglas nie umiał wyobrazić sobie, że Hollis, którego James i Jason w dzieciństwie uważali za Boga, mógł robić coś innego niż zarządzać dworem Northcliffe, a czynił to sprawnie, taktownie i zdecydowanie.

Jednak czas płynął nieubłaganie. Hollis był już bardzo stary i w każdej chwili mógł umrzeć. Douglas potrząsnął głową. Nie chciał nawet o tym myśleć. Zawołał go.

Dostojny starzec odwrócił się, unosząc siwą brew, zaskoczony dziwnym tonem swojego pana.

- Tak, panie?

- Eee, jak się czujesz?

- Ja, mój panie?

- Jeśli nikt się za tobą nie chowa, to tak, ty.

- Nie dolega mi nic, z czym nie poradziłaby sobie młoda, urocza żonka, mój panie.

Douglas wpatrywał się w tajemniczy uśmiezek na twarzy służącego. Zanim zdążył zapytać, co miał na myśli, Hollis odszedł.

Młoda, urocza żonka?

O ile Douglas wiedział, Hollis nigdy nie zainteresował się żadną kobietą w celach matrymonialnych, od czasu tragicznej śmierci jego ukochanej panny Plimpton w zeszłym stuleciu.

Młoda, urocza żonka?

ROZDZIAŁ 3

Zamek Kildrummy, szkocka posiadłość wielbnego Tysena Sherbrookea, barona Barthwick

Szanownemu Jasonowi Edwardowi Charlesowi Sherbrooke'owi wcale się to nie podobało. Nie chciał tego zaakceptować, ale nie był w stanie niczego zignorować.

To był sen, skutek zbyt wielu przegranych partii szachów z ciotką Mary Rosę albo zbyt częstych polowań na kuropatwy w ulewnym deszczu z wujem Tysenem i jego kuzynem Rorym. A może spowodowane to było namiarem brandy lub seksu z Elanorą Dillingham?

Nie, nawet te cudowne, upojne godziny tego nie tłumaczyły. To było prawdziwe. Wreszcie odwiedziła go Biała Dama, duch, z którego naśmiewał się jego ojciec, mówiąc: „Tak, wyobraź sobie tę białą mgiełkę snującą się po naszym domu od trzech stuleci. Nawiedza tylko kobiety, więc jesteś bezpieczny”.

Cóż, Jason był mężczyzną, a ona go nawiedziła.

Wyraźnie pamiętał, że się przebudził, gdy Elanora tuż przed świtem wstała, żeby skorzystać z toalety. Leżał, nie całkiem obudzony, gdy nagle zobaczył tę piękną kobietę z długimi włosami, ubraną w białą suknię. Stała w nogach łóżka i patrzyła na niego, i usłyszał wyraźnie, jak mówiła: „W domu nie dzieje się dobrze, Jamesie. Wracaj do domu. Wracaj do domu”.

I zobaczył twarz ojca, tak wyraźnie, jakby stał tuż obok niego.

Naga Elanora wróciła do sypialni ziewając, i zjawa bezgłośnie zniknęła.

Jason leżał na łóżku osłupiały, nie wierząc własnym oczom, ale dorastał, słysząc opowieści o Białej Damie. Dlaczego przyszła do niego? Ponieważ w domu działo się coś złego.

Wyszeptał do pustego miejsca, w którym przed chwilą się pojawiła: - Nie zdążyłem cię spytać, z kim się ożenię.

Elanora była w miłosnym nastroju; Jason był młodym, pełnym wigoru mężczyzną, ale mimo to pocałował ją tylko zdawkowo i wstał z łóżka. Elanorę spotkał zaledwie miesiąc temu, gdy pływał w Morzu Północnym - złapał go skurcz i udało mu się wydostać z wody na jej plażę. Stała tam z parasolem w dłoni, a targana wiatrem suknia oblepiała jej piękne nogi. Stał przed nią nagi, a ona syciła wzrok tym, co przyniosło jej morze, i najwyraźniej była zadowolona. Była wdową i macochą dla trzech chłopców, starszych od Jasona, którzy obsypywali swoją ukochaną macochę prezentami. Jason nawet ją lubił, ponieważ okazała się bystra i, co ważniejsze, tak samo jak on kochała konie. Zawsze opuszczał dom Elanory, uroczą georgiańską posiadłość usytuowaną nad brzegiem morza między zamkiem Kildrummy a Stonehaven, przed świtem, aby zdążyć do zamku Kildrummy na śniadanie z ciotką Mary Rosę i wujem Tysenem. Nawet jeśli się domyślili, że nie sypiał w swoim łóżku, nie dali tego po sobie poznać.

Kilka dni temu słyszał, jak kuzyn Rory mówi: „Jason chyba naprawdę bardzo lubi polować na kuropatwy. Nie tylko poluje za dnia z tobą, tato, ale także w nocy niemal do świtu”. Na szczęście nikt

nie zapytał go, czy to prawda.

Tego ranka przy śniadaniu opowiedział im o wizycie Białej Damy. Jego wielebny wuj nic nie powiedział, tylko w zamyśleniu przeżuwał grzanekę. Ciotka Mary Rosę, z burzą niesfornych rudych włosów, skrzywiła się.

- Tysenie, myślisz, że Bóg zna Białą Damę? Jej mąż nie roześmiał się. Nadal był zamyślony.

- Nigdy nie powiedziałbym tego Douglasowi czy Ryderowi, ale zawsze uważałem, że istnieje jakieś okno, które nie jest całkowicie zamknięte i czasami dusze przechodzą przez nie do naszego świata. Czy Bóg ją zna? Może jeśli kiedyś mnie odwiedzi, zapytam ją o to.

- Mnie również nigdy nie odwiedziła, a to nie w porządku. Przecież ty nie jesteś kobietą, Jasonie, a mimo to przysłała do ciebie - powiedziała Mary Rosę. - Mówiła coś?

- Że w domu nie dzieje się dobrze. Nic więcej, ale zabawne było to, że zobaczyłem wyraźnie twarz ojca. Oczywiście muszę jechać - odparł Jason. O ósmej rano był już w drodze na południe i na szczęście udało mu się wyperswadować ciotce i wujowi wspólną podróż. Cały czas myślał o tym, co złego dzieje się w domu i w jaki sposób dotyczy to jego ojca, i rozmyślał także o słowach wuja - o niecałkiem zamkniętym oknie między dwoma światami. To działało na wyobraźnię.

Życie, myślał, dźgając konia ostrogami w bok, może toczyć się spokojnie, aż nagle człowiek natyka się na zamkniętą drogę i musi udać się w innym kierunku. Zastanawiał się, czy Biała Dama odwiedziła jego matkę. Bardzo prawdopodobne. Czy odwiedziła Jamesa? Cóż, niebawem tego się dowie.

Całą drogę zamartwiał się i żałował, że nie może przejść przez okno, o którym mówił wuj. Zapewne byłoby szybciej.

Szóstego dnia przejechał na zmęczonym Dodgerze przez bramę Northcliffe w stronę stajni.

Lovejoy, szesnastoletni młodzieniec i ulubiony stajenny Dodgera, wybiegł im naprzeciw, krzycząc:

- Mój cudowny, duży chłopiec! Wreszcie wróciłeś do domu. Ach, jesteś cały brudny.

- Mówisz do mnie czy do konia, Lovejoy? - spytał Jason, uśmiechając się do stajennego.

- Dodger jest moim chłopcem, paniczku Jasonie. Pana przywita gorąco pańska matka. Dodger, wysoki na sto siedemdziesiąt centymetrów i czarny jak bezksiężycowa noc, z wyjątkiem białej strzałki na nosie, prychnął i położył łeb na ramieniu Lovejoya.

Kiedy Jason przekroczył próg dworu Northcliffe, zatrzymał się i rozejrzał. Wyglądało na to, że nikogo nie było. Gdzie Hollis? Zawsze kręcił się przy drzwiach wejściowych. Och nie, pewnie był chory albo zmarł. Jason nawet nie chciał o tym myśleć. Wiedział, że Hollis był starszy od dębu, w którym Jason wyciął swoje inicjały, ale był też częścią dworu Northcliffe, żywy i łagodzący wszelkie zatargi.

- Mój kochany chłopiec! Wróciłeś do domu! Och Boże, jaki jesteś zakurzony. Nie spodziewałam się ciebie tak prędko. Co się stało?

- Gdzie jest Hollis? Nic mu nie jest?

- Ależ nie, Jasonie - odparła jego matka. - O ile mi wiadomo, jest we wsi. Ach, tak się cieszę, że jesteś w domu. Ale co się stało? Dzięki Bogu Hollis był zdrów i cały. A Lovejoy miał rację. Matka przywitała go gorąco. Jason podszedł, uściskał ją i szepnął jej do ucha:

- Biała Dama powiedziała mi, żebym wracał do domu, bo dzieje się coś złego. I widziałem twarz ojca, więc musi chodzić o niego. Matka cofnęła się i spojrzała na niego.

- Och, Boże, dobrze, że nie tylko do mnie przysłała, ale to źle wróży. Wiesz, jaki sceptyczny jest

twój ojciec. - Poklepała się palcami po podbródku. - Zobaczymy, co twój ojciec teraz na to powie. Jego ojciec rzucił tylko:

- Jadłeś na obiad rzepeę, prawda, Jasonie? Zapewnił ojca, że nie. Wiedział, że chciał go zapytać, czy hulał, ale nie mógł tego zrobić przy matce. Mruknął i machnął lekceważąco ręką.

- Weź kąpiel. Zmyjesz z siebie kurz i może wróci ci trzeźwość umysłu. Natomiast James wysłuchał tego, co Jason miał do powiedzenia, a potem dodał:

- Naprawdę nie rozumiem tego. Powiedziała, że w domu dzieje się coś niedobrego, a potem zobaczyłeś ojca? To samo powiedziała mamie, ale mama nie widziała ojca, tylko czuła, że chodzi właśnie o niego. Musimy być czujni. A jeśli chodzi o tę Elanorę, to kupiłeś jej jakieś ubrania?

- Ubrania? - Jason uniósł ciemną brew. - Cóż, nie. Prawdę powiedziawszy, nic jej nie kupiłem.

- Hmm. Ciekawe, co ojciec by na to powiedział.

* * *

Przez dwa kolejne dni nie zdarzyło się nic groźnego.

Trzeciego dnia po południu Douglas Sherbrooke ujeżdżał swojego nowego wałacha, Henry'ego VIII, hardziej złośliwego i humorzastego niż matka Douglasa. Henry wierzgał, stawał dęba, kręcił się w kółko i Douglas dobrze się bawił, kiedy nagle rozległ się głośny wystrzał. Henry wierzgnął jak szalony, a Douglas wypadł z siodła i runął w krzaki, które na szczęście zamortyzowały upadek. Leżał bez ruchu, patrzył w niebo i zastanawiał się, czy jest cały. Ktoś postrzelił go w ramię. W zasadzie było to zaledwie draśnięcie. Naprawdę niebezpieczny był upadek. Nigdy wcześniej nie podziwiał tak bardzo krzaków.

Wstał, czując piekący ból w ramieniu, rozejrzał się wokół, czy nie było gdzieś tego, kto strzelał, a potem podszedł do Henry'ego. Koń był przestraszony i spocony. Douglas owinał ramię chustką, mając nadzieję, że Henry nie wyczuje krwi. Zaczął przemawiać do niego uspokajająco, ściągnął kurtkę i wytarł go. Nie wiedział, co na to powie Peabody, jego służący.

- Nic nam nie będzie, Henry. Nie denerwuj się, maleńki, damy sobie radę. Dostaniesz wór owsa, gdy wrócimy do domu. Co do mnie, cóż, obawiam się, że będę musiał wezwać tego okropnego doktora Milтона, bo Alex mi nie daruje. Będzie się przy mnie kręcić i rzucać spojrzenie, mówiące: „Ona przewidziała kłopoty. Chodziło o ciebie, miałam rację”.

- Pytanie, kto mnie postrzelił i dlaczego? Czy był to wypadek? Jakiś kłusownik, któremu omsknał się palec na spuście? A jeśli był to ktoś, kto mnie nienawidzi, to dlaczego strzelił tylko raz? Jeśli ktoś chciał mnie zabić, chyba źle to zaplanował, prawda, Henry? Cóż, zobaczymy, czy zostawił jakieś ślady. Wracając do dworu Northcliffe i czując ból w ramieniu, rozmyślał o Białej Damie i jej ostrzeżeniu.

Gdy tylko przekroczył próg domu, usłyszał podniesione głosy kilku kłócących się osób. Niósł w rękę kurtkę, którą wcześniej wytarł Henry'ego. Miał nadzieję, że nikt nie zauważy zakrwawionej chustki, którą przewiązał sobie ramię.

Pośrodku wielkiego holu zobaczył Corrie Tybourne - Barrett, przypominającą bardziej wiejskiego chłopaka niż młodą damę, w starych spodniach, butach i kapeluszu naciągniętym na czoło i z zakurzonym warkoczem opadającym na plecy. Pięścią groził jej pan Josiah Marker, właściciel młyna nad rzeką Alsop.

- Wpadłaś do młyna jak wichur, a twój koń rozsypał wszędzie ziarno! Wstyd, panienko! Wielki wstyd! Corrie również wrzeszczała, wymachując panu Markerowi pięścią przed nosem:

- Niech pan się nie waży mówić, że to Darlene rozsypała ziarno! Zrobił to pański syn, ten nicpoń

Willie! Uderzyłam go, kiedy próbował mnie pocałować, a teraz się mści! Darlene nie zbliżała się do pańskiego młyna! Douglas nie podniósł głosu, ponieważ nigdy nie musiał tego robić. Po prostu powiedział:

- Uciszcie się wszyscy. Dostyc tego. Wtedy zobaczył, że w holu stała Corrie, pan Marker i czwórka służących. A gdzie byli jego synowie, żona i matka? Gdzie był Hollis, który w okamgnieniu poradziłby sobie z tą sytuacją?

Natychmiast zapadła cisza, ale awantura nadal wisiała w powietrzu. Douglas odprawił służących i miał zamiar zwrócić się do pana Markera, gdy do środka wszedł James, lekko uderzając szpicrutą o udo. Gwałtownie się zatrzymał.

- Co się dzieje, ojcze? Corrie, co ty tutaj robisz? Pan Marker już chciał się odezwać, ale Douglas uniósł rękę.

- Już dosyc. James, zajmij się tym, proszę. Chyba chodzi o zemstę odrzuconego adoratora.

- Mój syn nigdy by się nie mścił - powiedział z wściekłością pan Marker. - To uroczy aniołek, panie - dodał ściszym głosem, ponieważ nikt nigdy nie krzyczał w obecności hrabiego Northcliffe. - On nawet nie lubi dziewczyn, sam mi to powiedział, więc nigdy nie próbowałby pocałować pani Corrie. A poza tym proszę na nią spojrzeć, ona nawet nie wygląda jak dziewczyna. Mój Willie w życiu nie zrobił niczego złego, chwala jego matce, że go urodziła. James wpatrywał się w zakrwawioną chustkę przewiazaną na ramieniu ojca.

Biała Dama się nie myliła. Co się stało? Potem patrzył za wchodzącym po schodach, puszczać mimo uszu paplaninę pana Markera, ale musiał zostać na dole i rozstrzygnąć ten idiotyczny spór. Nie był z tego zadowolony, ale nie miał wyboru. Odwrócił się i uśmiechnął do pana Markera.

- Chciałbym wysłuchać was oboje. Zapraszam do gabinetu.

ROZDZIAŁ 4

Kobieta pragnie tego, czego nie masz.
(O. Henry)

Wystarczyło dziesięć minut, żeby ustalić podstawowe fakty. Wreszcie James zwrócił się do pana Markera:

- Przykro mi to mówić, proszę pana, ale Willie musi przebyć długą drogę, jeśli ma zostać świętym w swoim szóstym wcieleniu.

- To niemożliwe, panie. On wszystko mi mówi i jest naprawdę miłym i uczynnym chłopcem, nawet dla tej panienki.

- Zmusza mnie pan do szczerości. Willie słynie w okolicy z tego, że całuje wszystkie dziewczyny, które nie zdążą przed nim uciec. Nie wątpię w to, że Corrie go uderzyła i że on chciał się zemścić. Proponuję, żeby odpracował straty, na które pana naraził. A teraz żegnam pana i życzę powodzenia z Williem.

- Ale mój słodki chłopiec...

- Do widzenia, panie Marker. Corrie, ty zostań.

W drzwiach, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawił się Hollis.

- Panie Marker, wydaje mi się, że ma pan ochotę na szklaneczkę piwa, zanim spotka się pan z Williamem. Nawet ludzie o nieskazitelnej moralności muszą borykać się z nieposłusznymi dziećmi. Mogę udzielić panu kilku rad, jak sobie z nim poradzić.

Pan Marker poddał się. Ruszył za Hollisem, ściskając w dłoniach swój stary kapelusz.

- Willie rzeczywiście próbował cię pocałować? Corrie wzruszyła ramionami.

- Tak, to było okropne. Szybko odwróciłam głowę i pocałował mnie w ucho. James, musiałam coś zrobić...

- Tak, wiem. Walnęłaś go.

- Prosto w nos. Potem kopnęłam go w łydkę. Czubki butów są bardzo ostre.

- Nic dziwnego, że chciał się zemścić. Dobrze, że nie kopnęłaś go w...

- W co? Chodzi ci o... - Jej wzrok padł na jego krocze. Skrzywiła się. - Dlaczego miałabym to robić?

- Nieważne. Wyglądasz jak straszidło. Jedź do domu, weź kąpiel i zmyj z siebie ten kurz. Dlaczego przyjechałaś tutaj, Corrie? Przez chwilę się wierciła, a potem wyszeptwała:

- Przyjechałam tutaj, ponieważ nie wiem, co zrobiliby wuj i ciotka, mając do czynienia z panem Markerem. Ale wiedziałam, że ty albo twój ojciec sobie poradzicie. Dziękuję, James. Nagle hrabina wdowa, duża, puszysta kobieta, która przeżyłaby ich wszystkich, weszła do gabinetu i krzyknęła:

- Jamesie!

- Tak, babciu? - Tylko tego mi brakowało, pomyślał, odwracając się do babki i mając nadzieję, że skupi na sobie całą jej uwagę. Ale oczywiście tak się nie stało. Nadal była postawną kobietą i chociaż jej siwe włosy przeredziły się, a oczy wyblakły, wciąż miała sprawny umysł i język,

niestety. Jeśli o głosie można było powiedzieć, że brzęczy, to jej brzęczał.

- Coriander Tybourne - Barrett, twoi świętej pamięci rodzice byliby zbulwersowani! Spójrz na siebie - przynosisz im wstyd. Wyglądasz jak zbir. Muszę porozmawiać z twoją ciotką i wujem, chociaż oboje są bardzo nieodpowiedzialni, żeby coś z tobą zrobili. Corrie uniosła podbródek.

- Robią.

- Co robią, panienko?

- Coś. Jadę do Londynu na wstępny sezon. Nie są nieodpowiedzialni. Oczy wdowy rozblęły wyczekująco. Dostrzegła świeżą zwierzynę i chciała wbić w nią swoje pazury. Już otworzyła usta, ale jej wnuk miał czelność się wtrącić.

- Babciu, Corrie będzie dobrze przygotowana do wyjazdu do Londynu. Moja mama dopilnuje, żeby dowiedziała się czego trzeba i miała odpowiednią garderobę. Wdowa zwróciła się do wnuka.

- Twoja matka? Ta rudowłosa dziewczyna, którą twój ojciec był zmuszony poślubić, gdy ten łotr Tony Parrish ukradł mu prawdziwą oblubienicę, Melissandę? Trudno uwierzyć, że są siostrami. Wystarczy, że spojrzysz w lustro, a zobaczysz twarz tej pięknej istoty, którą twój ojciec powinien był poślubić. Ale nie, podstępem zmuszono go, żeby został z twoją matką. Czy wolno mi spytać, młody człowieku, cóż twoja matka może wiedzieć o czymkolwiek? To twój ojciec ją ubiera, mówi jej, jak ma się zachowywać, strofuje ją, ale najwyraźniej niewystarczająco często, nie może tylko jej wyperswadować noszenia sukien z dekolcami do kolan. Ile to razy mówiłam mu...

- Madam, wystarczy! - James trząśł się z wściekłości. Nigdy w życiu nie przerwał swojej babce, ale teraz nie mógł się powstrzymać. Całkowicie zapomniał o Corrie, skupiając się na słownej potyczce ze starą jędzą. - Madam, mówisz o hrabinie Northcliffe - mojej matce. Jest najpiękniejszą kobietą, jaką znam, jest kochająca i dobra, i daje naszemu ojcu szczęście, i...

- Ha! Rzeczywiście kochająca albo może coś bardziej wyuzdanego. W tym wieku nadal zakrada się do mojego kochanego Douglasa i całuje go w ucho. To hańba. Ja nigdy nie zachowałabym się tak w stosunku do twojego dziadka...

- Jestem tego pewny, babciu. Jednak moi rodzice, pomimo swojego wieku, nadal bardzo się kochają. Nie życzę sobie, żebyś o niej źle mówiła.

- Ja też ją lubię - odezwała się Corrie. Wdowa zwróciła swoje działa w stronę dziewczyny.

- Masz czelność mi przerywać, panienko? Muszę zaakceptować taki afront ze strony wnuka, przyszłego hrabiego, ale nie z twojej strony. Boże mój, spójrz tylko na siebie - córka wicehrabiego, a... - Tylko na moment zabrakło jej słów. - Ani przez chwilę nie wierzyłam, że ten mały Willie Marker cię pocałował. To słodki chłopiec. Pewnie to ty próbowałaś pocałować jego. Tym razem spokojniej, James powiedział:

- On jest słodki dla ciebie, madam, ponieważ wie, że inaczej kazałabyś go obedrzeć ze skóry. Tak naprawdę to prostak. Prawdziwy dopust boży w tej okolicy.

- A ja prędzej pocałowałabym ropuchę niż Willie - go Markera - dodała Corrie.

- Nie wierzę w to, Jamesie. To uroczy chłopak. - Odwróciła się do Corrie. - Kiedy cię pocałował, uderzyłaś go? Widzisz, czyż to nie świadczy o tym, że jesteś niewychowana i nie masz pojęcia, jak powinnaś się zachowywać? Ty, podobno dama, uderzyłaś go? To dowodzi, że mam rację - jesteś żalosnym obszarpańcem. Zadawszy ostateczny cios, wyszła z gabinetu szeleszcząc suknią.

- Nie jestem żalosnym obszarpańcem - wyszeptła Corrie. James popatrzył za babką i potrząsnął głową. Po raz pierwszy w życiu zdobył się na odwagę, żeby jej się przeciwstawić, a ona nawet tego nie zauważyła. Czuł, że poniósł porażkę. Po krótkim zastanowieniu doszedł do wniosku, że gdyby

jego babka miała kogokolwiek przeprosić za swoje niegrzeczne zachowanie, byłby to znak, że zbliża się koniec świata. Jednak nie powinna w taki sposób napadać na jego matkę i Corrie.

- Przepraszam, Corrie, i jeśli cię to pocieszy, to moją matkę traktuje jeszcze gorzej - powiedział.

- Ale ja nie rozumiem, James. Dlaczego jest dla niej taka okropna? - Tak naprawdę miała ochotę spytać, jakim cudem ta stara jęzda jeszcze chodzi po tym świecie.

- Jest okropna dla wszystkich swoich synowych - powiedział James. - Dla swojej córki, ciotki Sinjun, również. Jest okropna dla każdej kobiety, która wchodzi do Northcliffe, z wyjątkiem mojej ciotki Melissande. Gdyby chodziło jej o pozbycie się konkurencji, to dlaczego byłaby miła dla ciotki Melissande?

- Może dlatego, że ty i Jason wyglądacie dokładnie tak samo jak ona. To bardzo dziwne, nieprawdaż? James się skrzywił.

- Tak. Naprawdę masz na imię Coriander? Spojrzała na swoje zakurzone buty.

- Tak mi powiedziano.

- To przykre.

- Owszem. Westchnął i delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie wyglądasz jak obszarpaniec. Możliwe, że wyglądała gorzej, pomyślał, ale wyglądała również na przybitą, a on znał ją od urodzenia i, zadziwiające, czuł się za nią odpowiedzialny. Nie wiedział dlaczego. Ale wtedy przypomniał sobie małą dziewczynkę, uśmiechającą się do niego szeroko i przemoczoną do suchej nitki, trzymającą w dłoniach żabę, prezent od niej dla niego.

Corrie zerknęła na niego, skubiąc swoją starą, brązową kamizelkę, zapewne własność jakiegoś stajennego.

- A jak wyglądam? James zamilkł. Wolałby pójść i zająć się rachunkami z ostatnich dziesięciu lat, wyliczyć cenę owsa, policzyć owce na wschodnim pastwisku, byle tylko nie musieć jej odpowiadać.

- Nie wiesz, co powiedzieć, prawda, James? - powiedziała powoli.

- Wyglądasz jak ty, do cholery. Wyglądasz jak Corrie, a nie jakaś przeklęta Coriander. Czy twoi rodzice nadużywali alkoholu, kiedy wybierali ci to imię?

- Spytam ciotkę Maybellę, chociaż wygląda na to, że ona i moja matka nigdy za sobą nie przepadały. Zawsze wołała na mnie Corrie. Kiedyś, gdy byłam mała, bawiłam się ze swoim psem Benjiem, który się ubłocił, uciekł mi i wpadł do biblioteki wuja. Muszę się przyznać, że wytarzał się na biurku wuja i zniszczył dwa liście, które wuj chciał zasuszyć. Wtedy właśnie wuj Simon krzyknął na mnie moim pełnym imieniem. - Zamilkła na chwilę, wyglądając przez okno na ogród. - Nie miałam pojęcia, na kogo krzyczy.

- Corrie, zapomnij o złościwościach. Porozmawiam ze swoim ojcem; tylko on może coś poradzić na podłość mojej babki. Słyszałem, jak mówił do wuja Rydera, że mój dziadek odszedł na tamten świat, byle tylko od niej uciec.

- Nieważne. W przyszłości po prostu będę jej unikać. Muszę iść. Do widzenia, James. - I wyszła do ogrodu.

Gdyby się po nim przeszła, natknęłaby się na nagie greckie posągi w erotycznych pozach. Jason i on spędzili wiele godzin wpatrując się w te postacie i chichocząc, kiedy byli młodszy, a gdy dorośli, spoglądali na nie zupełnie innymi oczami. O ile wiedział, Corrie nigdy nie była w tamtej części ogrodu. Krzyknął więc:

- Nie, Corrie! Wracaj. Chciałbym, żebyś napiła się ze mną herbaty i zjadła kawałek ciasta.

Odwróciła się. Z ociąganiem wróciła do domu.

- Jakie ciasto?

- Mam nadzieję, że cytrynowe. To moje ulubione.

Spojrzała na swoje buty, a potem uniosła głowę, ale nie popatrzyła mu w twarz, tylko przez jego lewe ramię.

- Dziękuję, ale muszę wracać do domu. Do widzenia, James. - I wybiegła na zewnątrz. Patrzył za nią, gdy biegła przez ogród. Na pewno wybierze ścieżki prowadzące poza ogród; na pewno nie odkryje posągów.

* * *

James zastał ojca samego w sypialni, gdzie opatrywał sobie ramię.

- Co się stało?

Douglas obrócił się gwałtownie, a potem odetchnął z ulgą.

- James. Myślałem, że to twoja matka. To nic takiego, jakiś kretyń postrzelił mnie w ramię i tyle. James poczuł ołowianą kulę strachu w żołądku. Przełknął ślinę, ale na niewiele to się zdało.

- Nie jest dobrze - powiedział. - Papo, nie podoba mi się to. Gdzie jest Peabody? James nie nazywał go tak od wielu lat. Douglas zawiązał kawałek płótna wokół ramienia, pomagając sobie zębami, potem odwrócił się i uśmiechnął.

- Nic mi nie jest, James. - Później, ponieważ James wyglądał na zaniepokojonego, podszedł do niego i przytulił go do siebie. - To nic takiego, zaledwie draśnięcie, którym nikt nie powinien się przejmować i dlatego twoja matka nigdy się o tym nie dowie. James czuł siłę swojego ojca i się uspokoił. Zdał sobie również sprawę, że był teraz jego wzrostu.

- Widziałeś, kto to był? Douglas chwycił Jamesa za ramiona i zrobił krok w tył.

- Wziąłem Henry'ego na przejażdżkę po wzgórzach. Rozległ się pojedynczy strzał, a Henry umie wykorzystać każdą nadarzącą się okazję i, oczywiście, zrzucił mnie z siodła. Przysięgłbym, że ten cholerny koń śmiał się ze mnie, gdy leżałem w krzakach. Później rozglądałem się uważnie, ale ten facet nie zostawił żadnych śladów. Równie dobrze mógł to być kłusownik, zwykły przypadek.

- Nie. - Spojrzał ojcu prosto w oczy. - Biała Dama miała rację. Znosi się na kłopoty. Gdzie jest Peabody?

- Natychmiast się go pozbyłem. Wysłałem go do Eastbourne po specjalny krem dla mnie. Nawet wymyśliłem nazwę - Formuła Foleya na porost włosów.

- Ale przecież masz dużo włosów.

- Nieważne. Peabody będzie zrozpaczony, gdy nie uda mu się znaleźć tego specyfiku, ale zasłużył sobie na to, bo wiecznie wtyka nos w moje sprawy. James wziął głęboki oddech.

- Pozwól mi obejrzeć ranę, ojciec. Jason również ma rację - ktoś cię ściga. Musimy coś zrobić. Ale najpierw muszę się upewnić, że rana jest niegroźna. Douglas uniósł brew, dostrzegł w oczach Jamesa niepokój i zrozumiał, że jego syn musi na własne oczy zobaczyć ranę.

- Dobrze - powiedział i pozwolił Jamesowi rozwiązać opatrunek. James uważnie obejrzał zaognioną ranę na ramieniu ojca.

- Już prawie przestała krwawić. Przemyję ją, a potem chcę, żeby obejrzał ją Hollis. Przepisze ci jakąś miksturę. I rzeczywiście Hollis zaordynował odpowiedni specyfik. Upierał się również, że sam nim wysmaruje ranę.

- Proszę podać mi czysty bandaż, paniczku James. James podał mu kawałek płótna. Ręce staruszka drżały. Czyżby ze strachu przed jego ojcem? Nie, Hollis nigdy niczego się nie bał.

- Hollis, ile masz lat?

- Paniczu James?

- Eh, jeśli mogę spytać.

- Mam tyle samo lat, co pańska szanowna babka, no może ona jest o rok starsza, ale w przypadku damy nie wypada o tym publicznie rozprawiać.

- To znaczy - powiedział Douglas ze śmiechem - że Hollis jest starszy od greckich posągów w ogrodzie.

- To prawda - odparł Hollis. - Opatrunek gotowy, jaśnie panie. Mam podać laudanum? Douglas czuł w ramieniu rwący ból, ale zignorował go. Uniósł wyniośle brew i powiedział:

- Nie, Hollis. Jesteście zadowoleni? Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Jason; pobladł i wybuchnął:

- Wiedziałem. Po prostu wiedziałem, że dzieje się coś złego. James spojrzał na krew w miednicy, przełknął ślinę i opowiedział o wszystkim bratu.

- Ojczy - odezwał się Jason, zanim zeszli na dół - mama domyśli się, że coś się stało, gdy zobaczy bandaż na twoim ramieniu.

- Nie zobaczy.

- Ale przecież śpicie razem. Od razu to zobaczy. Kiedyś słyszałem, jak powiedziała, że nigdy nie sypiasz w koszuli. - James dodał szybko: - Oczywiście nie wiedziała, że słuchaliśmy.

- Hmm - odezwał się Douglas. - Pomyślę o tym.

- My również nie śpimy w koszulach - odezwał się Jason - odkąd usłyszeliśmy, że ty nie śpisz. Ile wtedy mieliśmy lat, James, jakieś dwanaście?

- Mniej więcej. Douglas poczuł ukłucie w piersi. Spojrzał na swoich chłopców - swoich chłopców - i ból w ramieniu przestał mieć znaczenie.

Oczywiście Aleksandra szybko dowiedziała się o wszystkim. Jej pokojówka, Phyllis, powiedziała jej, co praczka - która prała zakrwawione płótna - powiedziała pani Wilbur, gospodyni Sherbrooke'ów, która lojalnie opowiedziała o tym Hollisowi, a ten nakazał jej trzymać język za zębami, ale pani Wilbur oczywiście nie posłuchała i w ten sposób dotarło to do uszu Phyllis przy filiżance herbaty w pokoju pani Wilbur.

- Zakrwawiony bandaż? - powiedziała Aleksandra, obracając się na krześle, żeby spojrzeć na Phyllis, która miała ciemnozielone oczy i uroczy, wiecznie zakatarzony nosek, przez co w rękę zawsze miała chustkę.

- Tak, proszę pani, zakrwawiony bandaż. Z komnaty jaśnie pana. Aleksandra wypadła ze swojego pokoju i popędziła do komnaty męża, żeby obejrzeć go całego, łącznie z uzębieniem. Przekląć go. Niestety nie było go tam.

I wiedziała, że gdy przed nim stanie, potraktuje ją z wyższością, nazwie głuptasem i powie, że to wszystko bajki wymyślone przez głupią praczkę.

Chociaż była piąta po południu, Aleksandra pobiegła na dół do pokoju kredensowego, uroczonego, przestronnego pomieszczenia z podłogą z czarno - - białych marmurowych kafli. Niestety, Hollis nie był sam. A mówiąc precyzyjnie, znajdował się w objęciach kobiety. Kobiety, której nigdy wcześniej nie widziała. Aleksandra przez chwilę wpatrywała się, potem krok po kroku wycofała się i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Hollis obejmujący i całujący obcą kobietę? Wyglądało na to, że nagle wszystko zaczęło wymykać się spod kontroli. Zapomniała, że chciała zdobyć dowody, żeby mąż nie mógł jej wyśmiać i wpadła

do gabinetu, w którym jej mąż rozmawiał z bliźniakami. Zobaczyła ich w nowym świetle. Bliźniacy byli w to zamieszani, cokolwiek to było. Ta trójka, wiedziała to, prowadziła potajemną rozmowę, z której ona była wykluczona. Miała ochotę wszystkich ich wystrzelać. Zamiast tego powiedziała:

- Hollis całuje obcą kobietę w pokoju kredensowym.

ROZDZIAŁ 5

*Jeśli nie masz problemów, oznacza to,
że jesteś martwy.
(Zelda Werner)*

Douglas i bliźniacy natychmiast zamilkli. Douglas powiedział:

- Eee, Alex, kochanie, powiedziałaś, że Hollis całuje obcą kobietę? W pokoju kredensowym?

- Tak, Douglas, i ona jest dużo młodsza od Hollisa. Sądzę, że ma nie więcej niż sześćdziesiąt lat.

- Hollis pozwala sobie na poufałość z młodszą kobietą - odezwał się Jason, odchylił do tyłu głowę i roześmiał się, a potem zamilkł. - Mój Boże, ojczy, a jeśli to jakaś awanturka, która poluje na jego pieniądze? Wiem, że jest dobrze sytuowany. Powiedział mi, że od wielu lat inwestujesz jego pieniądze i teraz jest prawie tak bogaty jak ty.

- Dopilnuję, żeby Hollis nie wpadł w sidła pazernej staruszki - powiedział Douglas.

- Jesteś pewna, że naprawdę się całowali, mamó? - spytał James.

- Obejmowali się namiętnie, tulili i całowali - odparła Aleksandra. - Przyznam, że oczy wyszły mi z orbit, gdy to zobaczyłam. - Zbliżyła się do męża i szepnęła: - Najwyraźniej obojgu sprawiało to wielką przyjemność.

- Należy mieć nadzieję, że to jest ta młoda kobieta, którą Hollis zamierza poślubić - odparł Douglas. Jego żona i synowie wpatrywali się w niego.

- Wiesz coś na ten temat, Douglasie?

- Kilka dni temu mówił coś o małżeństwie - coś o tym, że młoda żona sprawiłaby, że poczułby się lepiej.

- Ale... Douglas uciszył ją unosząc dłoń.

- Zobaczymy. W końcu to nie nasza sprawa.

- Mówimy o Hollisie, ojczy. Jest tutaj dłużej od ciebie - powiedział James.

- To, że jest stary, nie oznacza, że jest martwy - odparł Douglas. - Mężczyzna nie przestaje być mężczyzną, dopóki nie znajdzie się dwa metry pod ziemią. Postaraj się o tym nie zapomnieć. Aleksandra westchnęła.

- No dobrze, wystarczy tych emocji. Teraz, Douglasie, powiesz mi, co ci się stało, i to w najdrobniejszych szczegółach. Łącznie z tym, skąd wziął się zakrwawiony bandaż w miednicy w twojej sypialni, i nie uda ci się mnie zbyć opowieścią o skaleczeniu.

- Mówiłem ci, że mama się dowie - odezwał się Jason.

- Mama dowiedziała się nawet o tym, że całowałem Melissę Hamilton za stajnią, gdy miałem trzynaście lat - powiedział James. Spojrzał w zamyśleniu na matkę. - Nadal nie wiem, jak się o tym dowiedziałaś.

Aleksandra spojrzała na niego.

- Mam szpiegów, którzy winni mi są lojalność. Lepiej o tym nie zapominaj. To, że jesteś już mężczyzną, nie oznacza, że zwolniłam swoich szpiegów.

- Z pewnością są wystarczająco dorośli - powiedział Jason i uśmiechnął się uroczo.

- Douglas, mów, tylko na temat.

- Dobrze, skoro zamierzasz robić z tego wielkie halo. Aleksandra uśmiechnęła się do niego.

- Czy to przypadkiem nie oklaski Białej Damy, które teraz słyszę?

Posiadłość Twyley,

dom lorda i lady Montague

oraz Corrie Tybourne - Barrett

- Mój Boże, czy to ty, Douglasio? - Simon Ambrose, lord Montague, zerwał się na równe nogi, zamrugał, nasuwając na nos okulary, i niemal potknął się o gazetę, która spadła ze stołu na podłogę. Wyprostował się i poprawił kamizelkę.

- Tak, Simonie, i przyjechałem bez zaproszenia. Mam nadzieję, że pozwolisz mi wejść.

Simon Ambrose roześmiał się.

- Zawsze jesteś mile widziany, nawet w mojej sypialni. - Simon zmarszczył brwi. - Oczywiście, nie byłbyś równie mile widziany, gdybyś chciał zakraść się do sypialni Maybelli, ale to mało prawdopodobna sytuacja, prawda?

- Równie prawdopodobna, jak to, że ty zakradłbyś się do sypialni Aleksandry, Simonie.

- A, to pomysł wart zastanowienia.

- Nie zastanawiaj się nad tym zanadto. Lord Montague roześmiał się i wskazał Douglasowi krzesło.

- Bardzo miło cię widzieć. Maybello, przyjechał lord Northcliffe. Maybello? Nie ma cię tutaj?

Dziwne, nie widziałem jej, a czułem jej obecność. - Simon westchnął, ale zaraz się rozpromienił. - Z pewnością Corrie jest w pobliżu. Umie świetnie zabawiać gości pod nieobecność ciotki. A może nie. - Odchylił się do tyłu i wrzasnął: - Buxted!

- Tak, panie - odezwał się Buxted, pojawiając się u boku lorda Montague. Simon podskoczył, strącił sobie okulary, zachwiał się i uderzył o mały stolik.

Buxted chwycił go za ramię i pociągnął tak energicznie, że mężczyźni niemal zderzyli się nosami. Gdy Simon wreszcie odzyskał równowagę, Buxted podał mu okulary i poprawił stolik. Potem zaczął otrzepywać swojego pana, mówiąc:

- Och, panie, głupiec ze mnie, że wystraszyłem pana jak dzierlatkę, która zadarła spódnicę, żeby przejść przez strumień.

- No tak, już dobrze. Co by się stało, gdybyś przestraszył dzierlatkę z uniesioną spódnicą, Buxted?

- To myśl, która powinna pozostać wyłącznie w mojej fantazji, panie. Proszę sobie nie zaprzętać głowy. Długie, białe nogi, to wszystko, co przychodzi mi na myśl. Douglas przypomniał sobie, co Hollis powiedział kiedyś o Buxtedzie: „Jest trochę niezgrabny, panie, rozkojarzony, ale też całkiem zabawny facet. On i lord Montague świetnie do siebie pasują”.

Douglas uśmiechnął się, widząc, jak Buxted nadal otrzepuje Simona, chociaż ten usiłował go od siebie odepchnąć.

- Buxted - powiedział Simon, klaszcząc w dłonie - potrzebna mi lady Maybella. Jeśli nie będziesz mógł jej znaleźć, zawołaj Corrie. Może pomaga w kuchni, ta dziewczyna uwielbia piec tarte jagodową, a przynajmniej tak było, gdy miała dwanaście lat. Douglas, wejdź, proszę, i siadaj.

- Nie wiem, gdzie są wszyscy, panie, nikt mi nic nie mówi - odezwał się Buxted. - Ach, lordzie Northcliffe, proszę usiąść. Już zabieram z krzesła drogocenne gazety jego wysokości. Proszę, zostały tylko trzy, ale dzięki nim krzesło wygląda interesująco, nieprawdaż? - Buxted kręcił się, dopóki Douglas nie usiadł na trzech gazetach. Wtedy wyszedł z pokoju, a jego łysa głowa połyskiwała od potu. Douglas uśmiechnął się do gospodarza. Lubił Simona Ambrose'a. Na szczęście Simon był na tyle bogaty, żeby uchodzić za ekscentryka, a nie wariata. Obecnie był równie ekscentryczny, jak dwadzieścia lat temu, gdy, po śmierci ojca, jako wicehrabia Montague, pojechał do Londynu, poznał i poślubił Maybellę Connaught, a następnie przywiózł ją do posiadłości Twyley, uroczego domu w stylu georgiańskim, zbudowanego na fundamentach spichlerza nieistniejącego od dawna klasztoru St. Lucien.

Douglas wiedział, że kobiety podziwiałały Simona, dopóki nie poznały go lepiej i nie zrozumiały, że za przystojną twarzą o słodkim wyrazie krył się umysł, który zazwyczaj błędził gdzie indziej. Jednak gdy od czasu do czasu Simonowi udawało się skoncentrować, Douglas wiedział, że jest inteligentny. Zważywszy na rozkojarzenie Simona, zastanawiał się czasami, jak wyglądała ich noc poślubna, ale najwyraźniej coś się wydarzyło, skoro Maybella urodziła troje dzieci, które, niestety, zmarły wkrótce po porodzie. Simon miał równie szurniętego młodszego brata, Borty'ego, obsesyjnie przywiązanego do kolekcji żołądki, nie liści, jak Simon.

Simon odezwał się, poprawiwszy okulary:

- Douglasie, czy naprawdę nie zapomniałem o tym, że masz przyjechać?

- Nie, Simonie, to niezapowiedziana wizyta. Przyjechałem ja, ponieważ obawiałem się, że przyjedzie moja żona.

- To żaden problem. Lubię Aleksandrę. Douglas pochylił się, krzyżując dłonie między kolanami.

- Chodzi o Corrie, która tak samo jak moja żona nie ma zielonego pojęcia jak się ubrać. Kiedy żona powiedziała mi, że porozmawia z Maybellą i doradzi Corrie, wiedziałem, że muszę przyjechać i sam się tym zająć, żeby uniknąć katastrofy. Jeśli mógłbyś zawołać Corrie, to wyjaśniłbym jej, jak powinna się ubierać. No wiesz, kolory, kroje sukien i tak dalej. Z pewnością chciałbyś, żeby pokazała się w Londynie z jak najlepszej strony.

- Ależ oczywiście - odparł Simon i zamrugał gwałtownie. - Zawsze mi się wydawało, że Corrie, podobnie jak jej ciotka, ubiera się całkiem ładnie, gdy nie nosi tych swoich bryczesów. Czy to nie dziwne, że wszystkie jej suknie są jasnoniebieskie, tak samo jak suknie Maybelli? A jej buty - zawsze są wypolerowane, a przynajmniej takie były, gdy ostatni raz zwróciłem na nie uwagę. Ale może to było dawno. Nieczęsto zwracam uwagę na stopy.

- To zrozumiałe. Zgadzam się z tobą. Jej spodnie są bez wątpienia w doskonałym stylu. Chodzi jednak o to, Simonie, że Londyn to całkowicie odmienne miejsce. Młode damy nie noszą tam wysokich butów ani gustownych bryczesów. Chyba pamiętasz? Simon odchylił się do tyłu, zamknął oczy i westchnął ciężko.

- Tak, Douglasie, pamiętam aż za dobrze. Zaledwie dziesięć lat temu Maybellą zaciągnęła mnie do Londynu, żeby obejrzeć wznoszenie się balonu, jak mnie zapewniała. Byłem wzruszony, że chciała zrobić mi przyjemność, ponieważ bardzo pragnąłem to zobaczyć, Douglasie, i rzeczywiście był to wspaniały widok, ale obawiam się, że dałem się oszukać. Dopiero po sześciu tygodniach mogłem wrócić do domu. W tym czasie jeszcze tylko raz miałem okazję oglądać wznoszenie się balonu. Chcesz powiedzieć, że znowu muszę tam jechać?

- Tak, musisz. Ale obawiam się, że tym razem nie zobaczysz balonu. Pogoda jesienią jest trudna

do przewidzenia, a wiesz, że balony wymagają czystego nieba i niewielkiego wiatru.

- Dlaczego więc muszę jechać do Londynu, skoro pogoda jest niesprzyjająca?

- Ponieważ Corrie ma osiemnaście lat, jest młodą damą, a młode damy muszą zostać wprowadzone do towarzystwa. Muszą uczęszczać na bale, być widywane i podziwiane, i muszą nauczyć się tańczyć. James mi powiedział, że debiut Corrie odbędzie się w czasie wstępnego sezonu, Simonie; to będzie taki sezon próbny, żeby mogła nauczyć się odpowiednio zachowywać. Obawiam się, Simonie, że będziesz musiał ponownie pojechać do Londynu na wiosnę, kiedy Corrie zostanie już oficjalnie wprowadzona do towarzystwa. Simon jęknął, ale zaraz się ożywił.

- Może Corrie wcale nie chce jechać do Londynu i zostać wprowadzona do towarzystwa.

- Niestety, musi, żeby znaleźć męża. W czasie sezonu w Londynie jest wielu młodych dżentelmenów. Tylko wtedy dziewczęta mają stosowny wybór. Będziemy z Aleksandrą w Londynie jesienią. Możemy ci pomóc. A teraz, gdybyś mógł posłać po Corrie, to udzieliłbym jej kilku rad na temat jej stroju. A James zaoferował, że nauczy ją tańczyć walca. Buxted chrząknął, stając w drzwiach.

- Proszę o wybaczenie, wielmożnych panów. Wyrwałem kucharzowi sprzed nosa kilka kawałków smacznego chleba cytrynowego. Lady Maybellą bardzo go lubi. Zostało sześć kromek. Było siedem, ale muszę się przyznać, że skubnąłem jeden kawałek, żeby sprawdzić, czy jest świeży.

- Świetnie, Buxted - powiedział Simon i łokciem zepchnął ze stołu stertę czasopism naukowych. - Zjadłeś tylko jeden kawałek, co, Buxted?

- Tylko jeden, panie. Nie odrywając wzroku od talerza, który trzymał Buxted, Simon powiedział:

- Znalazłeś Corrie?

- Tak, panie. Na środku korytarza na górze. Szarpała swoje bryczesy, z których wyrosła w ciągu ostatnich kilku miesięcy. - Buxted zaczął się kręcić, spojrzał przez lewe ramię swojego pana, ale zaraz wziął się w garść. - Uprzedziłem ją, że odwiedził nas bardzo czcigodny gość. Dałem jej również w delikatny sposób do zrozumienia, że być może powinna zmienić pończochy. Zapiszczała i pobięła do swojego pokoju. Podejrzewam, że moje słowa mogą zaowocować błękitną suknią, taką jak suknia jaśnie pani.

- Bardzo dobrze się spisałeś, Buxted - powiedział Douglas. Buxted wyprostował się i uśmiechnął promiennie do hrabiego.

- Jeśli o to chodzi, to nikt nie chciałby narazić się na niechęć hrabiego, panie.

- Oczywiście - odparł Douglas. - Opowiem Hollisowi, jaki jesteś szczerwany, Buxted.

- Naprawdę, jaśnie panie? Och, byłoby wspaniale, gdyby Hollis dowiedział się, że udało mi się zrobić coś pożytecznego. Ale może lepiej niech pan nie mówi. Pożyjemy, zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Chleb cytrynowy, Buxted. Teraz. Buxted z nabożeństwem postawił talerz na stole przed Simonem, po raz ostatni rzucił tęskne spojrzenie na umiejętnie ułożone kromki, westchnął, otarł chusteczką pot z łysiny i wyszedł. Jak tylko Buxted zniknął, Simon chwycił kromkę.

- Myślałem, że już nigdy nie wyjdzie. Musimy się pospieszyć i zjeść chleb, zanim przyjdzie Maybella. Nic nie mów, Douglasie, po prostu jedz, bo gdy pojawi się Maybella, to dorwie się do pozostałych kromek. Ma niesamowity węch. Douglas uśmiechnął się, wziął kawałek pieczywa i je ugryzł. Uświadomił sobie, że nie był to zwyczajny chleb cytrynowy, to był chleb cytrynowy prosto z królestwa niebieskiego. Właśnie sięgał po drugą kromkę, kiedy jego ręka uderzyła w rękę Simona.

- Jest z tym pewien problem, Douglasie - powiedział Simon i delikatnie wyciągnął kromkę spod dłoni Douglasa. Douglas chwycił kolejną, spałaszował ją i uniósł pytająco brew. Simon westchnął tak ciężko, że niemal się zakrztusił.

- Pieniądze.

- Pieniądze? Corrie chyba posiada znaczny posag? Simon wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozpłakać. Och, Boże, pomyślał Douglas, o co chodzi? Nie ma posagu? Nie, to z pewnością nie może być prawda.

- To byłoby okropne. Ale nie, Douglasie, chodzi o coś znacznie gorszego. Ona jest dziedziczką fortuny. Douglas z trudem powstrzymał się od wybuchu śmiechu.

- To chyba nie jest takie straszne.

- Wiesz, co się stanie, kiedy się rozniesie, że jest majątna? Będą na nią polować, jak na zwierzynę łowną.

- Nie nazwałbym tego w ten sposób, Simonie, ale rozumiem, że stanie się celem dla każdego łowcy posagów w Londynie.

- Nawet jeśli jakiś dżentelmen nie będzie na tyle sprytny, żeby się koło niej zakręcić, to jego rodzice będą knuć, żeby zaciągnąć ją do ołtarza. Nie wspominając o znacznie starszych dżentelmenach, którzy będą chcieli położyć łapę na jej pieniądzach. Wiesz, o jakich typach mówię - kobieciarze, rozpustnicy, hazardziści, którzy zabronią jej nosić bryczesy i będą robić jej dzieci, aż skończy trzydzieści lat, o ile wcześniej nie umrze przy porodzie. Nie chcę, żeby tak się stało, Douglasie.

- Czy ona rzeczywiście jest dziedziczką, czy też posiada jakieś pięć tysięcy funtów?

- Mogłaby zgubić pięć tysięcy funtów i nawet by tego nie zauważyła.

- Rozumiem. Zastanowię się nad tym. Może uda się nam zachować to w tajemnicy.

- Ha! Gdy chodzi o pieniądze, nie uda się długo utrzymać sekretu. Douglas się skrzywił.

- Cóż, udało się do teraz, ale masz rację, Simonie. Kiedy znajdzie się w Londynie i będzie wiadomo, że szuka męża, nic nie pomoże, nawet gdybyśmy zakopali jej pieniądze w ogrodzie.

Od drzwi dobiegł melodyjny, niski głos:

- Dzień dobry, panie. A więc to ty jesteś tą dostojną osobistością.

ROZDZIAŁ 6

Nie ma czegoś takiego, jak za dużo obycia.
(S. J. Perelman)

Douglas szybko wstał.

- Maybello. Ślicznie dziś wyglądasz.

Wyglądała jak zawsze, w jednej ze swoich błękitnych sukienek, skrywających ją od stóp do głów. Skinęła głową i ruszyła w stronę talerza z chlebem cynamonowym. Talerz był pusty.

Z wyraźnym ociąganiem, a może nawet z cichym jęknięciem, Simon wyciągnął przed siebie rękę. Na jego dłoni leżały dwie kromki. Wzięła obie, bez słowa, usiadła na niewielkiej kanapie naprzeciw Douglasa i uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Corrie zaraz zejdzie - powiedziała i zabrała się za jedzenie, a obaj mężczyźni przyglądali się jej uważnie. - Chyba szukała pończoch.

- Właśnie mówiłem Simonowi, Maybello, że jesienią będziesz musiała zabrać Corrie do Londynu.

- Nie informowałam go jeszcze o tym, Douglasie, ponieważ znalazłby sposób, aby się z tego wykręcić - odparła rzeczowo.

- Pogoda jesienią jest zmienna, Maybello. Może Corrie mogłaby zostać wprowadzona do towarzystwa, kiedy pogoda będzie lepsza, na przykład w lecie, za jakieś dwa albo trzy lata - powiedział Simon.

- Właśnie sobie przypomniałem, że drugi tydzień października jest zawsze ciepły, Simonie, i w czasie tego tygodnia będziemy mogli zobaczyć wszystkie loty balonem. Może będzie ich nawet kilkanaście. Zaufaj mi. Buxted stanął w drzwiach i znowu chrząknął.

- Panienska Corrie tu jest, panie, i nie ma na sobie bryczesów. Nie dopytywałem się o jej pończochy, ponieważ mogłaby poczuć się urażona taką dociekliwością. Ponieważ Maybella miała pełne usta, więc tylko skinęła głową. Corrie weszła do salonu, ubrana w bardzo starą muślinową suknię w takim samym bladoniebieskim kolorze, jak suknia jej ciotki. Suknia wyglądałaby lepiej, gdyby miała więcej halek, mniej falban i odsłaniała chociaż kawałeczek szyi. Na szczęście Corrie była wysoka, wyprostowana i miała talię, która zadowoliłaby nawet matkę Douglasa. Chociaż z drugiej strony, pewnie by nie zadowolila.

- Dzień dobry, panie - powiedziała Corrie i dygnęła przed Douglasem.

- To ja ją nauczyłam, jak się kłaniać - odezwała się Maybella, uśmiechając się promiennie do Corrie i przeżuwając chleb. - Czyż ten odcień niebieskiego nie wygląda na niej wyjątkowo uroczo?

- Zawsze wygląda uroczo na tobie, kochanie - powiedział Simon, zerkając na ostatni kawałek cynamonowego wypieku w prawej dłoni Maybelli.

- Dzień dobry, Corrie. To był piękny ukłon. Jesteś wysoka i bardzo dobrze. Nie, wyprostuj ramiona. O właśnie. Nigdy się nie garb. Dżentelmeni nie gustują w drobnych dziewczęta, chyba że sami są niewysocy. Nie chcesz przyciągać do siebie niskich mężczyzn, bo będziesz musiała się

garbić. Hmm, tak, masz ładne ramiona. - Douglas wstał i obszedł ją dookoła. Włosy miała zaplecione w gruby, opadający na plecy warkocz. - Sądzę, że przy twoim wzroście będziesz wyglądać doskonale w każdej sukni, którą dla ciebie uszyje madame Jourdan.

- Nie rozumiem, dlaczego mnie pan tak ogląda.

- Douglas doradzi ci, jak się ubierać w czasie twojego pobytu w Londynie, Corrie. Najwyraźniej zna się na tym lepiej od swojej żony. Znany jest z dobrego gustu. Posłuchamy go - odezwał się Simon.

- Bładoniebieski to taki uroczy kolor, nie uważasz, Douglasie? Zawsze powtarzam, że panienska potrzebuje sukni w tym kolorze.

- Będzie miała jedną suknię w bładoniebieskim, Maybello, nie więcej. Twoja karnacja różni się od karnacji Corrie. Musisz mi zaufać w tej kwestii. Maybella ugryzła kawałek chleba cynamonowego i powiedziała:

- Może masz rację. Corrie nigdy nie była tak promienna jak ja.

- Rzeczywiście - odezwał się jej mąż i poprawił okulary na nosie. Maybella skończyła drugą kromkę i chrząknęła.

- Douglasie, dlaczego Jason czai się na podjeździe za drzewem cytrynowym? A może to James? Nigdy nie wiadomo, który jest który, bo są do siebie podobni jak dwie krople wody. Corrie natychmiast obróciła się i podskoczyła do okna.

- To James, ciociu Maybello. Nic tam nie robi.

- Dlaczego jest na zewnątrz, Douglasie? Douglas rzucił Simonowi udęczone spojrzenie i powiedział:

- Jakiś idiota postrzelił mnie wczoraj w ramię i moi synowie uznali, że muszą mnie przez cały czas pilnować.

- Tacy kochani chłopcy - powiedziała Maybella. - Sądzę, że Corrie zrobiłaby to samo dla swojego wujka Simona, gdyby postrzelił go jakiś idiota. Zaproś go do środka, Douglasie. Nie ma już chleba. Ale nasz kucharz chowa jedzenie na wypadek trzęsienia ziemi albo powodzi, więc Buxted na pewno znajdzie coś dla Jamesa.

- Zauważyłam, że młodzi mężczyźni z przyjemnością zjedzą wszystko, co im się poda - powiedziała Corrie. Podeszła do okna i postukała w szybę. Kiedy James spojrział w jej stronę, machnięciem ręki zaprosiła go do środka. Uniósł brew i pokiwał głową. Chwilę później kłaniał się lordowi i lady Montague.

- A więc chronisz swojego ojca - powiedziała Maybella, uśmiechając się i kiwając do młodego Adonisa, który przed nią stał, ogorzały, ze śnieżnobiałym uśmiechem, w rozpiętej pod szyją batystowej koszuli. - To urocze. Twój ojciec wygląda dziś wyjątkowo dobrze, nie uważasz, Jamesie? James, który znał lorda i lady Montague niemal całe swoje życie, przytaknął i się uśmiechnął. Jego uśmiech szybko zniknął, gdy dostrzegł w oczach lady Montague nadmierny podziw. Może i ojciec wyglądał dobrze, ale dla niego wyglądał jak jego ojciec - arystokrata, wysoki i szczupły, z czarnymi włosami przyprószonymi siwizną.

- Daj mu coś do jedzenia, Buxted - powiedziała Corrie. James odwrócił się, zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i spytał:

- Gdzie jest Corrie? Przysiągłbym, że słyszałem jej głos, ale widzę tylko smarkulę w przykusej sukience, której kolor nadaje jej cerze ziemisty odcień.

- Przyglądałam się dzisiaj swoim rzęsom, James, i są całkiem długie. Może nawet dłuższe od

twoich. Douglas chrząknął.

- Siadaj, James. Właśnie miałem powiedzieć Corrie, że nauczysz ją tańczyć walca. Lord Montague skupił całą uwagę na swojej siostrzenicy i odezwał się poważnym tonem:

- Wiesz, że James, lord Hammersmith, to miody człowiek o wielu talentach, Corrie. Był doskonałym studentem na Oksfordzie i szybko stał się ekspertem w dziedzinie ciał niebieskich i ich ruchu. Zna wszystkie trzy prawa Keplera, a trzecie mówi, że - cóż, zapomniałem - ale faktem jest, że Galileusz zaobserwował, iż powierzchnia Księżyca nie jest gładka i wypolerowana, jak twierdził Arystoteles.

- Musiał mieć bardzo dobry wzrok - odezwała się lady Maybella.

- Nie, moja droga - powiedział Simon. - Galileusz używał teleskopu, wynalezioneego w tamtym czasie przez holenderskich szlifierzy szkła. Który to był rok, mój chłopcze? James już miał powiedzieć, że nie wie, ale spojrzał na Corrie i zobaczył na jej twarzy złośliwy uśmiezek.

- Było to na początku siedemnastego wieku - odparł.

- Udało ci się zgadnąć - odezwała się Corrie. - Nie sądzę, żebyś wiedział cokolwiek na temat holenderskich szlifierzy szkła, Jamesie. Uważam, że wymyśliłeś to, żeby zrobić na nas wrażenie swoją inteligencją.

- James nie musi nic wiedzieć na temat gwiazd i teleskopów, Corrie. Wystarczy, że będzie stał w miarę spokojnie i pozwoli wszystkim na siebie patrzeć. Uśmiezek Corrie stał się jeszcze bardziej złośliwy. Prawdę powiedziawszy dobrze wiedziała, że James od dziecka wpatrywał się w niebo, zgłębiał Budowę teleskopu, a potem zbudował własny teleskop, ale nie mogła przegapić żadnej okazji, żeby mu dopiec.

Douglas czuł, że James ma ochotę natychmiast wyjść, ale nie zdążył, ponieważ Simon powiedział:

- A więc widzisz, że James nie jest nazbyt urodziwy, Corrie. Nikt, kto rozumie trzecie prawo Keplera, chociaż ja go nie pamiętam, nie może być nazbyt urodziwy. James ma szczękę swojego ojca, a to najbardziej uparta szczeka w Anglii. I jeszcze ta dziurka w brodzie również jest po ojcu. To prawda, pomyślał z zadowoleniem Douglas. Nie cała twarz jego syna przypominała twarz Melissande.

Simon pochylił się, żeby podnieść czasopismo z kupki leżącej na ziemi obok jego krzesła i przekartkował artykuł zatytułowany „Ciemność w czasie zaćmienia Słońca”.

- Corrie - odezwał się Douglas, wstając, ponieważ ucieczka stawała się nieuchronną koniecznością - doskonale wiem, w jakich fasonach i kolorach będziesz dobrze wyglądać. Córka pani Ann Plack, panna Jane Plack, z Rye, jest doskonałą szwaczką. Uszyje ci kilka sukien. Potem, kiedy już znajdziesz się w Londynie, zabiorę cię do madame Jourdan.

- Pokojówka Corrie jest dobrą szwaczką, Douglasie - powiedziała Maybella. - Uszyła suknię, którą mam na sobie, i tę, którą ma na sobie Corrie. Z pewnością...

- Moja droga, zjadłaś ostatnie dwa kawałki chleba cynamonowego. A teraz chcesz oddać dobrą tkaninę w ręce pokojówki Corrie. Corrie powinna być stosownie ubrana. Gdzie mogę kupić materiał, Douglasie?

- Nie martw się, Simonie. Poproszę pannę Plack, żeby do was przyjechała z materiałem i różnymi wzorami. Zgadzasz się, Corrie? Bardzo chciała go zapytać, jak mężczyźni inaczej nazywają biust.

- Bardzo dziękuję, panie.

- Dobrze - odezwał się Douglas. - Wiedziałem, że nie jesteś głupia.

- Ciemna jak tabaka w rogu - powiedział James - ale nie głupia. Corrie już otworzyła usta, żeby mu nawymyślać, ale Douglas odezwał się pierwszy.

- James, jesteś gotowy do powrotu?

- Przygotuję nasze konie. Gdy James pożegnał się z gospodarzami i rzucił Corrie spojrzenie, którym obdarzał mopsa swojej babki, wyszedł na zewnątrz, obchodząc dookoła drzewa, zaglądając za krzaki, a nawet do beczki na deszczówkę.

- Martwi się - powiedział Douglas. Podszedł do Corrie, ujął dłonią jej podbródek i przez chwilę przyglądał się jej twarzy. Powoli pokiwał głową. - Może być. - Uśmiechnął się do niej pogodnie.

ROZDZIAŁ 7

*Dobrze, gdy małżeństwo zaczyna się od drobnej niechęci.
(Richard Barnsley Sheridan)*

Wdowa hrabina Northcliffe powiedziała:

- Corrie to odmieniec, obdartus, hańba dla jej rodziców. Hollis, gdzie jest moja porcja śliwek?

- Zauważyłem, jaśnie panie, że nawet normandzkie dzwony, które biją tak pięknie w New Romney, czasami muszą być wypolerowane na zewnątrz.

- Corrie Tybourne - Barrett nie jest starym dzwonem, Hollis, ale dzwonem nowym, tylko mocno zaśniedziałym. To niedopuszczalne. Nie pozwolę, żeby cokolwiek zaśniedziałego przebywało w moim domu. Co z tobą, Hollis? Nie zwracasz uwagi na to, co ważne, czyli moją porcję śliwek.

Hollis tylko się uśmiechnął i poszedł do kredensu po śliwki. Nucił coś pod nosem, gdy nalewał Douglasowi herbatę do filiżanki.

- Przynajmniej będziesz ją ubierał, Douglasie, więc to z pewnością pomoże.

- Z pewnością - odparł Douglas. - Kto wie, co odkryjemy pod tymi idiotycznymi kostiumami, które ona nosi.

Machając kawałkiem grzanki, wdowa powiedziała:

- Często myślałam o Maybelli i Simonie. Dlaczego pozwalają tej dziewczynie włóczyć się po okolicy w bryczesach?

Douglas uświadomił sobie, że zna odpowiedź na to pytanie, ale tylko potrząsnął głową. Ich taktyka sprawdzała się - żaden młody łowca fortun nie spojrzy w jej stronę - ale za jaką cenę dla młodej damy, która nigdy nie była dziewczyną?

Douglas odczekał, aż jego matka skupi się całkowicie na swoich śliwkach, a potem powiedział cicho:

- Hollis, kiedy poznamy ten wzór cnót, z którym się całowałeś i z którym widziała cię Aleksandra?

- Ach, wydawało mi się, że zauważyłem jakiś ruch i wyczułem zapach perfum.

- Tak, to była jaśnie pani, gdy próbowała ustalić, co mi się przydarzyło. Tyją na chwilę powstrzymałeś.

- Niebawem przedstawię panu Annabellę, jaśnie panie.

- Annabellę? Hollis przytaknął i przysunął swojemu panu dzbanek z mlekiem.

- Annabellę Trelawny, jaśnie panie. Bardzo porządna młoda dama, o ogromnej życzliwości i dobrym smaku.

- Może zaprosisz ją dziś po południu? Moja matka chyba wybiera się z wizytą do jakichś swoich kumoszek.

- To zbyt wcześnie, jaśnie panie. Annabellę jeszcze nie zgodziła się zostać moją żoną. Może sobie pan to wyobrazić? Co więcej, obawiam się, że będę musiał posunąć się do uwiedzenia, żeby osiągnąć cel. Lewy policzek Douglasa drgnął nieznacznie.

- Do uwiedzenia, Hollis?

- Tak, jaśnie panie. Zdaję sobie sprawę, że to poważny krok, ale chyba będę zmuszony go podjąć.

- Życzę ci powodzenia.

- Dziękuję, jaśnie panie.

- Nigdy nie byłeś żonaty, Hollis. Mój ojciec mówił mi kiedyś, że byłeś ofiarą tragicznej miłości.

Miał rację, czy tylko nie doceniałeś dotychczas płci pięknej?

Hollis zobaczył, że hrabina wdowa nadal pochłonięta jest swoimi śliwkami, ale mimo to przysunął się do Douglasa bliżej.

- Byłem ofiarą nieszczęśliwej miłości, jaśnie panie, i był to trudny okres. Nazywała się panna Drucilla Plimpton i wielbiłem ziemię, po której stąpała. To nieprawdopodobny zbieg okoliczności - Annabelle знаła moją drogą pannę Plimpton. Ach, to było tak dawno temu. Ach, jaśnie panie, zawsze doceniałem płęć piękną. Ale po stracie mojej panny Plimpton zacząłem uważać małżeństwo bardziej za jarzmo niż przyjemność.

- Nic dziwnego. W końcu mieszkałeś tutaj.

- Otóż to, jaśnie panie. Jednak uważam, że bycie usidlonym przez Annabelle może się okazać bardzo zabawne. Annabelle pamięta tyle opowieści o pannie Plimpton, chociaż była od niej młodsza. Sądzę, że Drucilla była dla niej miła, nauczyła ją szycia i dobrych manier. Oczywiście Annabelle mnie również dobrze pamięta, a zwłaszcza moją burzę włosów.

- Nadal masz ich sporo. Jesteś pewien, że to nie moja matka powstrzymywała cię od ożenku, Hollis?

- Oczywiście, jaśnie panie. - Hollis rzucił szybkie spojrzenie na wdowę, pochylił się i dodał: - Chociaż idea jarzma - cóż, nieważne. Robbie poinformował mnie, że panicz Jason czeka na pana w stajni.

- Dobrze, do cholery. Przynajmniej James jest w gabinecie z Danversem.

- Biedny młodzieniec. Danvers tak go zamęczy, że panicz będzie miał pustkę w głowie. Douglas wziął łyk herbaty. Gdyby Hollis wiedział. James był nie tylko zafascynowany ciałami niebieskimi i prawami Keplera, ale także wszystkim, co dotyczyło funkcjonowania posiadłości i to od najwcześniejszych lat, zanim jeszcze zrozumiał, że pewnego dnia to on będzie odpowiedzialny za Northcliffe. Nie, to raczej James zamęczy Danversa na śmierć, a nie odwrotnie.

Kiedy Douglas podniósł się, rzucił serwetkę na talerz i ruszył w stronę drzwi, usłyszał głos matki:

- Potrzebuję więcej próbek tapet, Douglasie. Aleksandra nie jest w stanie dokonać wyboru, który mógłby zadowolić kogoś z tak nadzwyczajnym wyczuciem smaku jak moje.

- Zajmę się tym, mamó - powiedział Douglas, zastanawiając się, czy zostały jeszcze jakieś próbki w magazynach w Eastbourne. Cóż, może uda się znaleźć jakieś próbki w New Romney, ale wątpił. Zastał Jasona na padoku, gdzie Henry VIII świetnie się bawił, próbując zabić Bad Boya, konia Jamesa. Lovejoy stawał na głowie, żeby chronić swojego ulubieńca, ale Henry nic sobie z tego nie robił. Douglas podszedł do ogrodzenia i zagwizdał. Henry jeszcze przez chwilę łypał na Bad Boya, po czym obrócił się i podbiegł truchtem do swojego pana, wysoko unosząc łeb i wymachując ogonem. Położył Douglasowi łeb na ramieniu, a ten poklepał go po czarnej szyi. Douglas wyciągnął rękę. Weir, chłopak stajenny, położył mu na dłoni dwie marchewki i cofnął się, ponieważ nie był głupi.

- Już dobrze, moja bestio - powiedział Douglas i z uśmiechem obserwował, jak Henry pochłania

warzywa.

- Osiodłam go, Weir - odezwał się. Dwie minuty później wyruszyli z Jasonem w drogę do Branderleigh Farm, żeby obejrzeć nowe konie do polowania, które właśnie przywieziono z Hiszpanii. Douglas zdawał sobie sprawę, że Jason stara się mieć oczy dookoła głowy i rozgląda się za potencjalnym zabójcą.

Trzymając się jak najbliżej ojca, żeby zapewnić mu jak najlepszą ochronę, Jason powiedział:

- Mama twierdzi, że Biała Dama cię nawiedziła, gdy mamę porwał ten fanatyczny rojalista Georges Cadoudal. Powiedziała, że nie podobało ci się to, ale gdyby cię przycisnąć, to przyznałbyś się, ponieważ nigdy nie oszukujesz, a przynajmniej nieczęsto, a w każdym razie nie ją. Douglas przewrócił oczami. Jason westchnął.

- Naprawdę ją widziałeś, tato? Co powiedziała?

Douglas obrócił się w siodle, żeby spojrzeć na swojego chłopca - wysokiego, wyprostowanego, świetnego jeźdźca, dorosłego mężczyznę. Na szczęście bliźniakom nie poprzewracało się w głowach z powodu ich nieprzeciętnej urody. Kiedy minęły te wszystkie lata?

- Zapomnij o tym nedorzecznym przywidzeniu, Jasonie. Cokolwiek wydarzyło się w odległej przeszłości, tam pozostanie. Należy o tym zapomnieć. Rozumiesz?

- Nie, ojcze. Nie mogę zapomnieć, ale umiem rozpoznać granitową ścianę, gdy ją zobaczę. Chyba pójdę później popływać.

- Poodmrażasz sobie wszystkie członki. Jason uśmiechnął się łobuzersko.

- Ta wizja napawa mnie lękiem.

- I powinna. Zapomnij o tym cholernym duchu.

- Tak, ojcze. - Ale Douglas oczywiście wiedział, że syn nie zapomni.

Nie mógł za diabła stwierdzić, czy pierwszy strzał był celowy, czy nie. Tylko dlatego, że ta przeklęta zjawa to przepowiedziała - cóż, właśnie dlatego miał ochotę o tym zapomnieć. Jednak, cholera, nie był głupi.

* * *

Późnym popołudniem, trzy dni później do dworu Northcliffe przybył posłaniec z wiadomością dla Douglasa od lorda Avery'ego, ministra wojny.

Następnego ranka hrabia wyjechał do Londynu, sam, chociaż z tego powodu żona przestała się do niego odzywać. Podejrzewał jednak, że synowie pojedą za nim.

* * *

Do dnia świętego Michała pozostało trzy tygodnie, rozmyślał Douglas, wprowadzając Gartha do stajni przy Putnam Square, a on będzie wtedy o rok starszy, i czyż nie było to zadziwiające? George IV zmarł w czerwcu, co utorowało jego bratu, księciu Clarence, drogę do tronu jako Williamowi IV. William był dobrodusznym człowiekiem, ale, prawdę powiedziawszy, nie był na tyle bystry, aby służyć radą lub mądrą radę przyjąć. Miał więcej zapału niż rozsądku, jego nierozwaga graniczyła z szaleństwem, co jakiś dowcipniś skomentował: „To dobry władca, ale trochę stuknięty”. Okaże się, co z tego wyniknie, zwłaszcza że księżę Wellington był u władzy i obrażał na równi torysów i wigów.

To był wyjątkowy rok, pomyślał Douglas, wchodząc do miejskiego domu Sherbrooke'ów. Wszędzie rewolucja - we Francji, Polsce, Belgii, Niemczech, Włoszech, ale na szczęście nie tutaj w

domu, chociaż bez wątpienia bywało ciężko, czasami nawet bardzo ciężko. Po podpisaniu Aktu Emancypacji dla Katolików ksiązę przeciwstawił się wszelkim reformom. Jego niekonsekwencja nie mieściła się Douglasowi w głowie, ale ponieważ winny był Wellingtonowi lojalność, musiał popierać go w Izbie Lordów, chociaż nienawidził polityki i przysięgłby na wszystko, że większość torysów i wigów to żądni władzy nadęci kłamcy. Przypominał sobie, że jego ojciec również tak uważał. Douglas uśmiechnął się na to wspomnienie. Będzie musiał spytać Jamesa i Jasona o ich opinię.

Wieczorem poszedł do swojego klubu, pogadał ze starymi przyjaciółmi, uzmysłowił sobie, że w rządzie było więcej rozbieżności niż przypuszczał, wygrał sto funtów w wista i zasnął z uczuciem miłego ciepła w żołądku, po kieliszku francuskiej brandy, która, mógłby przysiąc, nielegalna i przemycana do Anglii pod osłoną nocy smakowała znacznie lepiej.

Był zaskoczony, kiedy następnego ranka wszedł do przestronnego, bogato zdobionego gabinetu lorda Avery'ego w ministerstwie wojny i zastał tam Arthura Wellesleya, księcia Wellington, który stał przy jednym z wysokich okien i wpatrywał się w odległy Westminster, wyłaniający się z porannej mgły. Wyglądał na wykończonego, ale gdy spostrzegł Douglasa, jego oczy rozbłysły i się uśmiechnął.

- Northcliffe - powiedział. Podszedł, żeby uścisnąć Douglasowi dłoń. - Dobrze wyglądasz.

- Pan również. Miło pana widzieć, wasza wysokość. Nie powiem nic o torysach i wigach, bo może któryś chowa się w szafie i zaraz wyskoczy, żeby powalić nas obu. Gratuluję panu Aktu Emancypacji dla Katolików. Może pan na mnie liczyć w Izbie Lordów, chociaż, jeśli mam być szczerzy, niedobrze mi się robi, kiedy słucham, jak te szczury bredzą o wszystkim i o niczym. Ksiązę się uśmiechnął.

- Często myślałem tak samo. Jestem żołnierzem, Northcliffe, i teraz powierzono mi całkowicie inne zadanie. Żałuję, że nie mogę utrzyć nosa opozycji. Douglas się roześmiał.

- Ale uznałem, że co będzie, to będzie - powiedział, bardziej rozgoryczony niż wściekły. - To jeden z tych nowomodnych pociągów. Nie można go powstrzymać. Co więcej, straciłem nad nim kontrolę. - Kiedy Douglas chciał go o to spytać, ten zbył go machnięciem ręki i powiedział: - Wystarczy. Chcę z tobą porozmawiać, ponieważ lord Avery ponoć wie z wiarygodnego źródła, że grozi ci niebezpieczeństwo. Dobrze służyysz swojemu krajowi, Northcliffe. Chciałem ci to powiedzieć oraz poinformować cię o zagrożeniu. Cóż, ten piekielny duch miał rację. Kula nie pochodziła z broni kłusownika.

Spędził z księciem godzinę.

Gdy Douglas wrócił do miejskiego domu Sherbrooke'ów dwie godziny później, zastał w holu żonę i dwóch synów w otoczeniu liczne go bagażu, który wskazywał na dłuższy pobyt. Cała trójka patrzyła na niego z góry, na wypadek gdyby chciał zaprotestować.

ROZDZIAŁ 8

*Anglicy nigdy nie uderzają w twarz.
Po prostu nie zapraszają na kolację.
(Margaret Halsey)*

Douglas nie zaprotestował. Westchnął tylko i powiedział:

- Spotkałem się z Wellingtonem w ministerstwie. Rzeczywiście coś mi grozi. W ułamku sekundy Aleksandra znalazła się w jego ramionach.

- Wiedziała, po prostu wiedziała - wyszeptała. - Co ci grozi? Kto za tym stoi?

Douglas pocałował ją w czubek nosa, przytulając mocno. Bliźniacy byli w gotowości i uśmiechnął się na ten widok.

- Nie rozumiem, od dawna nie zlecano ci żadnych misji - odezwał się James. Douglas przytaknął.

- Sądzę, że chodzi o zemstę, a zemstą można delectować się latami, zanim się dokona. Wystarczy już, Aleksandro, zawołaj Willicombe'a, żeby przygotował nam coś do jedzenia i picia. Chodźcie, opowiem wam o wszystkim. Och, jesteś, Willicombe. Zajmij się, proszę, bagażem i...

- Tak, panie. Zechce pan udać się do salonu, a ja wszystkim się zajmę. Willicombe, pięćdziesięciolatek, który mógłby być synem Hollisa, najbardziej na świecie pragnął być taki jak Hollis. Chciał tak jak on mówić, umieć znaleźć odpowiednie słowo w każdej sytuacji, chciał, żeby służba domowa uważała go za Boga. Chciał tego wszystkiego, ale jednocześnie chciał wszystko to robić szybciej i lepiej niż Hollis. Może Willicombe będzie szybszy, skoro Hollis był już stary. Douglas zastanawiał się, co zrobiłby Willicombe i jaki miałby wyraz twarzy, gdyby mu powiedział, że Hollis jest zakochany, a nawet planuje uwiedzenie obiektu swoich uczuć. Czy spróbowałby wtedy uwieść jedną z pokojówek? A może panią Bootie, gospodynię, która miała nad górną wargą większy zarost niż Douglas przed porannym goleniem?

Nikt nie usiadł wygodnie w fotelu, nikt się nie odprężył. W pokoju czuło się napięcie. Douglas spojrzął na swoją rodzinę i powiedział:

- Lord Avery otrzymał list od informatora z Paryża, że ktoś chce wymierzyć mi sprawiedliwość. Informator uważa, że ma to coś wspólnego z Georgesem Cadoudalem. Aleksandra potrząsała głową.

- Nie, to chyba niemożliwe, prawda? Rozstaliście się z Georgesem w zgodzie. Na Boga, Douglas, to było wieki temu, zanim urodzili się bliźniacy.

- Tak, wiem.

- Kim jest ten Cadoudal, ojczy? Douglas spojrzął na Jamesa, który stał oparty o kominek, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach) dokładnie tak samo jak Douglas, i odparł:

- Georges Cadoudal był szaleńcem i geniuszem. Nasz rząd zapłacił mu olbrzymie pieniądze za zabicie Napoleona. Zabił wielu Francuzów, ale nie cesarza. Słyszałem, że zmarł jakiś czas temu. Willicombe wszedł i wniósł piękną georgiańską tacę z zastawą do herbaty.

Douglas milczał, aż wreszcie, gdy zobaczył, że Willicombe nie może już znaleźć powodu, żeby zostać w pokoju i dowiedzieć się więcej niż wiedział Hollis, uniósł brew.

Ale Willicombe nie ruszył się, nie mógł się ruszyć. Stało się coś złego, wiedział tylko tyle. Rodzina miała kłopoty. Był im potrzebny. Nadszedł czas, żeby udowodnić swoją przydatność. Mężnie spróbował wykrztusić z siebie coś mądrego. Chrząknął.

- Tak, Willicombe? - spytała Aleksandra.

Widział, że ze zdenerwowania była biała jak koronka przy dekolcie jej sukni. Wyprostował się i ściągnął łopatkę.

- Jestem do pańskich usług, panie. Jestem zaradny. Szybko się uczę. Umiem rozpoznać wroga z odległości. Jestem człowiekiem czynu, kiedy tylko nadarza się po temu okazja. Jestem wzorem dyskrecji. Można wyrwać mi paznokcie, a nie pisnę nawet słówka. James spojrzał na Willicombe'a z wielkim szacunkiem. W końcu, kiedy James się urodził, to Willicombe był służącym, który bawił się z nim w ogrodzie za domem, rzucając mu czerwoną piłkę, o ile James dobrze pamiętał.

- Ani słówka, Willicombe?

- Tak jest, panie. Może pan ufać, że zabiorę do grobu każdy sekret, który zechce mi pan powierzyć.

- Dziękuję ci, Willicombe. Wygląda na to, że ktoś, kto chce się zemścić, planuje skrócić moje życie, czego bardzo bym nie chciał - powiedział Douglas. Willicombe stanął na palcach.

- Każę służącym pełnić wartę, panie. Ja stanę pierwszy, od dwudziestej do północy każdej nocy, do czasu aż wróg zostanie pokonany. Przysięgam, że nikt nie wejdzie do tego domu.

- Ilu jest służących, Willicombe? - spytał James.

- Teraz jest trzech, paniczu Jamesie. Wszystko im wytłumaczę. Proszę się o nic nie martwić, panie.

- Dziękuję, Willicombe - odezwał się Douglas. - Jestem pewien, że Hollis byłby pod wrażeniem twojej zaradności.

- Robert, drugi służący, jaśnie panie, pochodzi z obskurnej okolicy niedaleko doków. Nadal zna kilku tamtejszych łotrzyków. Poproszę go, żeby trochę powęszył i spróbował czegoś się dowiedzieć.

- Świetny pomysł, Willicombe - powiedziała Aleksandra i uśmiechnęła się do niego szeroko.

Obserwowali Willicombe'a, gdy wychodził z pokoju, wyższy, wyprostowany, jak człowiek czynu. Jason wstał.

- Czy Georges Cadoudal miał rodzinę? Dzieci?

- O ile wiem, to ożenił się z kobietą o imieniu Janinę. Nie wiem, czy miał dzieci.

- Musimy się dowiedzieć. Teraz idę do swojego klubu. Spróbuję się zorientować, czy ktoś coś słyszał - odezwał się Jason. Wstał i poprawił kamizelkę.

- Ojczy, obaj mamy przyjaciół, którzy pomogą. Uważam, że nie powinniśmy trzymać tego w tajemnicy. Powinniśmy ogłosić całemu światu, że ktoś - jakiś Francuz - chce cię zabić. Wszyscy się przyłączą. Wszyscy będą mieć oczy i uszy otwarte. Podzielimy się z Jasonem klubami. Znajdziemy tego człowieka, ojczy, i zniszczymy go. Douglas i Aleksandra patrzyli, jak ich synowie wychodzą z salonu.

Aleksandra, wtulając się w ramię męża, cicho szepnęła:

- To już nie są chłopcy, Douglasie.

- Tak, masz rację. Gdzie podziały się te wszystkie lata, Alex?

- Nie wiem, chcę tylko, żeby tych lat było jeszcze dużo więcej. Nasi synowie chcą cię chronić, tak jak ty zawsze chciałaś chronić ich.

- Nadal chcę. - Na chwilę przytulił ją do siebie, wtulając twarz w jej włosy. - Obawiam się, że

są zbyt odważni. Aleksandra uniosła głowę i Douglas zobaczył, że się uśmiechała.

- Ja również mam wielu przyjaciół. Panie słyszą różne rzeczy. Musimy się dowiedzieć, czy Georges miał jakieś dzieci.

- Alex, masz się w to nie mieszać!

- Nie bądź tępakiem, mój panie. Jestem twoją żoną, więc dlatego zostałam w to bardziej zamieszana niż ktokolwiek inny, może z wyjątkiem twojej upartej osoby. Tak, zacznę od lady Avery. Ciekawe, czyjej małżonek cokolwiek jej mówi.

Twarz Douglasa poczerwieniała.

- Alex, zabraniam. Uśmiechnęła się do niego uroczo i powiedziała:

- Masz ochotę na filiżankę herbaty, mój panie? Warknął i wziął filiżankę.

- Nie będziesz ryzykować, madam, rozumiemy się?

- Ależ oczywiście, Douglasie. Doskonale się rozumiemy. Jakiś czas później, idąc z żoną do głównych schodów, Douglas powiedział:

- Ach, do diabła, zupełnie zapomniałem o Corrie.

- Nic nie szkodzi, Douglasie. Ja nie zapomniałam. Wybrałam dla niej kilka uroczych wzorów, trochę ślicznego białego muślinu i bladoniebieskiej satyny. Douglas wiedział, że nic dobrego z tego nie będzie. Chrząknął.

- Czy panna Plack uszyła już suknie?

- Nie, nie było na to czasu, ale Maybella zapewniła mnie, że wszystko będzie dobrze. Powiedziała mi, że pokojówka Corrie może je uszyć w krytym powozie. Prawdę mówiąc, spodziewam się ich w Londynie jeszcze dzisiaj - chociaż Simon narzekał, że zaraził się dżumą - i Corrie będzie mieć na sobie jedną ze swoich nowych sukienek. Douglas z trudem pohamował chęć złapania się za głowę.

- Miejski dom Simona jest na Great Little Street, prawda? Aleksandra przytaknęła. Rozmyślała nie o Corrie, lecz o Georgesie Cadoudalu.

- Minęło tyle czasu, od kiedy Georges mnie porwał i wywiózł do Francji. Wtedy chodziło o odegranie się na tobie, Douglasie. Ale teraz jest inaczej. Ktoś się ukrywa, skrada, próbuje cię skrycie zabić. Douglas chrząknął.

- Ciekawe, czy Georges ożenił się z Janiną, tą skończoną latawicą, która cię zdradziła.

- Dowiemy się tego.

- Czy to możliwe, że mówił o tobie z taką nienawiścią, że jego ewentualne dzieci teraz chcą go pomścić? To bez sensu, skoro między wami nie było już nienawiści. Ty i Georges rozstaliście się w zgodzie, tak jak powiedziałeś chłopcom, a poza tym byłam tam i widziałam na własne oczy. Sądzisz, że to możliwe, żeby Georges ciągle żył?

- Dowiem się prawdy. Zgadzam się z tobą. Zważywszy na to, co się wtedy wydarzyło, mnie również wydaje się bez sensu, żeby Georges miał z tym coś wspólnego. Zatrzymała się w pół kroku na środku ogromnego korytarza i chwyciła go za ramię.

- Byłeś z misją we Francji przed Waterloo. Pamiętam to, ponieważ starałeś się to przede mną zataić.

- To nie była bardzo niebezpieczna misja, chodziło tylko o wywiezienie jednego z naszych wysoko postawionych szpiegów.

- Tyle mi powiedziałaś. Ale czy Georges był w to zamieszany?

- Nie spotkałem go. Może trzymał się w pobliżu. Nie powiedział nic więcej. Nie miał zamiaru

mówić jej wszystkiego o tamtej misji, ponieważ nie miała ona nic wspólnego z tą sprawą.

- Wyrzuć to z siebie teraz, Douglassie, albo zrobię coś, co ci się nie spodoba. Zawahał się, więc dodała:

- Nauczyłam się nawet francuskiego, żeby pomóc ci chronić. Wprawdzie na niewiele się to zdało.

- Informator powiedział coś o tym, że zemsta na mnie będzie słodka. Aleksandra zadrżała.

- Wiedziałam. Tego właśnie się spodziewałam. Udało mu się odwrócić jej uwagę, ale nie na długo. Przypomni sobie, że nie powiedział jej o misji do Francji przed Waterloo, i co się wtedy stało. Cóż, nie miało to znaczenia. Przecież przeżył.

* * *

James szedł na Great Little Street, żeby zobaczyć, na prośbę ojca, jak źle wyglądała Corrie w uszytej przez pokojówkę sukni, której wzór i materiał wybrała, niestety, jego matka. Dotarł do numeru 27 i zastukał w drzwi kołatką z brązu w kształcie lwiego łba. Lokaj o czerwonej twarzy spojrzał tylko na niego i szybko się cofnął.

- Proszę się pospieszyć, panie, zanim będzie za późno! Nie wiem, co robić. James wbiegł po schodach, ominął wymachującego rękami lokaja i wpadł przez szerokie, podwójne drzwi do salonu Ambrose'ów. Zatrzymał się gwałtownie w drzwiach, przerażony widokiem stojącej pośrodku pokoju Corrie w najbrzydszej sukni, jaką kiedykolwiek widział. Suknia była w bladoniebieskim kolorze, obszyta koronkami niemal po same uszy, z rzędami falban przyszytymi na spódnicy i rękawami w rozmiarze dział armatnich. Jediną rzeczą, która wyglądała dobrze, była bardzo wąska talia dziewczyny - chyba miała na sobie żelazny gorset, bo wyglądała, jakby za chwilę zamierzała zemdleć. Płakała.

James zamknął lokajowi drzwi przed nosem. W ułamku sekundy znalazł się u jej boku, chwytając za dłoń wystającą z olbrzymiego rękawa.

- Corrie, o co, do diabła, chodzi?

Otarła wierzchem dłoni oczy i spojrzała na niego żałośnie. Po jej policzku spłynęła kolejna łza i skapnęła z podbródka.

- Corrie, na Boga, co się stało?

Wzięła głęboki wdech, skupiła wzrok na jego twarzy i uśmiechnęła się szyderczo.

- Nic, głuptasie. Potrzęsnał ją.

- Co się dzieje, do cholery? Lokaj był naprawdę przestraszony.

- Dobrze, już dobrze, przestań mną potrząsać. Jeśli chcesz znać prawdę, to ćwiczę.

Opuścił ręce.

- Co ćwiczysz?

- Nie dasz za wygraną i chcesz się wszystkiego dowiedzieć, co? No dobrze. Ciotka Maybella powiedziała, że muszę umieć odrzucać oświadczenia tabunów dżentelmenów, którzy niebawem zaczną mi się oświadczać z każdej strony. Powiedziała, że jeśli pomyślę o czymś smutnym, to zacznę płakać. Powiedziała, że panowie zawsze są poruszeni widokiem płaczących dam. Uwierzą, że z wielkim żalem odrzucam ich oświadczenia. I co, jesteś zadowolony? Wpatrywał się w nią osłupiały. Łzy z pewnością poruszyły jego i lokaja.

- Nikt ci się nie oświadczy, jeśli będziesz nosić takie suknie. Jej łzy natychmiast wyschły. Usta miała mocno zaciśnięte.

- Ciotka Maybella powiedziała, że jest bardzo ładna. Twoja mama wybrała wzór i materiał, a

moja pokojówka uszyła suknię.

- W takim razie musisz wiedzieć, że jest paskudna. Stała tam, usiłując zapiąć olbrzymie rękawy, ale były usztywnione i nawet nie drgnęły. James miał ochotę się roześmiać, ale nie był głupcem.

- Posłuchaj, Corrie, mój ojciec zabierze cię jutro do madam Jourdan. Ona się tobą zajmie.

- Naprawdę wyglądam tak źle? Czasami prawda bywa najlepsza. Jednak z drugiej strony, czasami prawda może niepotrzebnie ranić.

- Nie. Ale posłuchaj. Londyn to całkowicie inne miejsce. Spójrz na mnie. Nie mam na sobie bryczesów ani rozpiętej pod szyją koszuli. Nie tutaj.

- Bardziej mi się podobasz w bryczesach i rozpiętej koszuli.

- Cóż, nie zobaczysz mnie w takim stroju w Londynie. Moja mama chce, żebym zabrał cię do nas z wizytą. Może masz coś innego, co mogłabyś włożyć?

ROZDZIAŁ 9

*Mężczyźni i kobiety. Kobiety i mężczyźni.
To się nigdy nie uda.
(Erica Jong)*

Jestem klejnotem z Arabii... jestem klejnotem z Arabii... To była jej litania, którą powtarzała, odkąd wsiadła do powozu z ciotką Maybella, żeby pojechać na bal Ranleaghów, dwie ulice dalej na Putnam Square, chociaż nie bardzo wiedziała, co to był ten klejnot z Arabii. Uważała, że głupotą jest branie powozu, dopóki nie zrobiła kilku kroków po schodach w swoich ślicznych pantofelkach z białej satyny na wysokim obcasie.

Być może wyglądała dobrze, ale gdyby Willie Marker ponownie chciał ją pocałować, nie mogłaby pobiec za nim i zdzielić go w głowę. Nie, potknęłaby się o własną nogę albo zemdląca, ponieważ z trudem mogła oddychać.

Z drugiej strony, mogłaby go kopnąć zabójczym obcasem.

Z trzeciej strony, Willie Marker był idiotą i nie musiała przejmować się nim tutaj w Londynie.

Nie, jej jedynym zmartwieniem było złapanie męża, a jeśli oznaczało to, że musi cierpieć, żeby pięknie wyglądać, to jej ciotka gotowa była wyciągnąć nawet średniowieczną maszynę tortur. Maybella, która wyglądała na bardzo zadowoloną, poklepała ją po dłoni i powiedziała, że los kobiety nie jest łatwy. I cóż można było na to odpowiedzieć?

Komu w ogóle był potrzebny mąż? Wolałaby raczej trzymać białego pudła na kolanach, jadąc powozem przez Bond Street, i uśmiechać się wdzięcznie do mdlejących na jej widok dżentelmenów.

Widziała damę, która odchyliła głowę i roześmiała się z czegoś, co powiedział jakiś mężczyzna. Cóż takiego mógł powiedzieć mężczyzna, żeby tak rozbawić kobietę?

Corrie rozglądała się po sali balowej Ranleaghów, stojąc obok wesołych, pięknych ludzi, którym najwyraźniej nie przeszkadzał panujący tego wieczoru upał. Tańczyli walca, śmiali się, flirtowali i pili szampana, podczas gdy ona stała jak wryta w jednym miejscu, tak przerażona, że czuła, iż za moment dostanie wysypki. Była wciśnięta pomiędzy matkę Jamesa i ciotkę Maybellę, które bawiły się wybornie, rozmawiając z innymi damami, przechodzącymi obok w uroczych pantofelkach na wysokich, czasami nawet pięciocentymetrowych, obcasach. I ci wszyscy dżentelmeni, którzy szeptali nieprzyzwoite rzeczy do ucha lady Aleksandry. Usłyszała chichot ciotki Maybelli. Wyglądało na to, że jej ciotka i lady Aleksandra wcale się tym nie przejmowały, a nawet rozkwitały, jakby takie zachowanie było całkowicie naturalne, i najwyraźniej było. Jeśli jest mądra, to powinna obserwować, słuchać i naśladować.

Była przekonana, że została przedstawiona wszystkim damom, które nie tańczyły, i wymieniła wyuczone grzecznościowe formułki tyle razy, że doszła do perfekcji i słyszała, jak jedna z pań pochwaliła jej maniery do matki Jamesa. Ćwiczyła uprzejmości przed lustrem, dopóki nie osiągnęła perfekcji. Uśmiechnęła się, skinęła głową i wygłosiła stosowną formułkę, starając się brzmieć jak najbardziej naturalnie, co nie było łatwe, jeśli powtarza się to samo zdanie kilkanaście razy z rzędu.

Po czterdziestu pięciu minutach, gdy zdążyła zatańczyć z sześcioma młodymi dżentelmenami, nie mogła uwierzyć, że była takim bojącym dudkiem. Był tylko jeden Willie Marker, ale przynajmniej ładnie ubrany. Jej ciotka mogła mówić tylko o znalezieniu jej odpowiedniego męża, takiego, który nie zajmowałby się rzeczami innymi niż żona, a ponieważ nigdy nie było wiadomo, co kryło się za przystojnymi ramionami, Corrie musiała być bardzo czujna. Ponieważ Corrie nie wiedziała, o jakie inne rzeczy mogło chodzić, była podejrzliwa wobec każdego mężczyzny, który zaprosił ją do tańca, dopóki nie pojawił się Jonathan Vallante, mający lekko wylupiate oczy, co ją rozbawiło. Rozglądając się po sali balowej, doszła do wniosku, że było to jak wielki wiejski festyn, z tą różnicą, że bez kieszonkowców i nikt nie musiał przeliczać swoich pieniędzy. Dostrzegła mężczyznę z dwoma złotymi zębami. Była kobieta z trzema podbródkami, w ślicznym brylantowym naszyjniku, który wyglądał, jakby za chwilę miał ją udusić. Corrie uświadomiła sobie, że gdyby pozbawić tych pięknych ludzi całej biżuterii i rozluźnić gorsety, niczym by się nie różnili od jej sąsiadów.

Nie tańczyła od siedmiu minut i miała ochotę zatańczyć. Odkryła, że to uwielbia, więc gdzie byli ci wszyscy młodzi dżentelmeni? Zastukała obcasem pantofelka. Była niespokojna. Udało się jej zauroczyć tylko sześciu z nich. Z pewnością było ich więcej niż marna szóstka. Chciała, żeby tłoczyła się przed nią długa kolejka.

Nadstawiała uszu. Księżna barnandzka mówiła do matki Jamesa:

- Do sali balowej właśnie wchodzi bliźniacy. Ach, cóż to za wspaniali i uroczy chłopcy, Aleksandro. Świetnie się spisałaś. Musisz być szczęśliwa, widząc, jak wszystkie panienki i ich mamy nie odstępują ich na krok i spijają każde słowo z ich ust. Widziałam nawet, jak pewna młoda dama osunęła się przed Jamesem. Miałam nadzieję, że on pozwoli jej upaść, ale nie, James jest dżentelmenem i złapał ją, zanim uderzyła łokciem o podłogę. Mam oczywiście ten sam problem z moim drogim Devlinem, bo to wyjątkowy młody człowiek. Skoro odziedziczył tytuł księżęcy - nie tylko hrabiowski - to oczywiste, że wszystkie najlepsze rodziny chcą wydać za niego swoje córki. A jak się miewa twoja siostra, Melissande? Wszyscy emocjonują się tym, że bliźniacy są tak bardzo do niej podobni. Powiedz, co myśli o tym lord Northcliffe? Aleksandra uśmiechnęła się tylko i przechyliła głowę.

- Cóż, sądzę, że myśli przede wszystkim o mnie, potem o chłopcach, no i może o posiadłości.

Księżna sapnęła poirytowana, ale gdyby drażyła temat, zrobiłaby z siebie idiotkę. Niezła robota, pomyślała Corrie. Czy ta dziwna kobieta skończyła już swój monolog? Nie, nie skończyła.

- Jak w ogóle udaje ci się ich odróżnić? Daję słowo, są podobni jak dwie krople wody.

- Uwierz mi, Lorelei, jeśli się urodzi bliźniaki, bez trudu można je odróżnić.

- Och, spójrz, trzy panienki już koło nich szczebiocą. Mój Boże, wydaje mi się, że jakaś dziewczyna próbuje podać Jasonowi liścik. Biedni chłopcy! Popatrz tam - widzę sznur białych sukien ciągnących w ich stronę. Gdzie oni byli? Corrie wyciągała szyję, ale nawet na swoich pięciocentymetrowych obcasach, i pomimo wysokiego wzrostu nie była w stanie ich zobaczyć. Czyżby już tańczyli? Czyżby James już tańczył? Księżna chrząknęła.

- Mój syn z przyjemnością zatańczy z uroczą siostrzenicą Maybelli. Skoro Maybella plotkuje z sir Arthurem, Aleksandro, ciebie o to spytam, jako przyjaciółkę rodziny.

- Och? Gdzie jest Devlin?

- Tam, przy wielkim wazonie z kwiatami, przez który wszyscy kichają. Zastanawiam się, dlaczego Clorinda musi zapylać swoją salę balową. Devlin? Syn księcia? Czegóż syn księcia mógłby od niej chcieć? Była nic nieznaczącą dziewczyną z Twyley Grange.

Księżna energicznie kiwnęła na młodego mężczyznę, który uśmiechnął się i potaknął ruchem głowy, po czym niespiesznie ruszył w ich stronę, zatrzymując się na pogawędkę z każdą napotkaną osobą. Minie godzina, zanim tu dotrze, pomyślała Corrie. Jak bardzo młodzieniec chciał zatańczyć z damą, jeśli szedł bez pośpiechu?

Nazywał się Devlin Archibald Monroe, hrabia Convers, spadkobierca księcia barnandzkiego, i Corrie uznała, że był całkiem przystojny. Niewiele starszy od Jamesa, wysoki, miał czarne oczy, a jego twarz miała blady odcień, jak u wampira, którego Corrie widziała w jednej z ksiązek wuja. Miał niski głos, który przyprawiał ją o gęsią skórę.

Uśmiechając się, nie odsłaniał kłów, i było to pocieszające. Powiedziała swoją wyuczoną kwestię, a on sprawiał wrażenie rozbawionego, a kiedy zaprosił ją do walca, delikatnie położyła mu dłoń na przedramieniu i pozwoliła poprowadzić się na parkiet. Chwilę później Aleksandra usłyszała ukochany głos i odwróciła się z uśmiechem.

- Mamo, wyglądasz dziś uroczo. Widzę, że ojciec zostawił cię samą.

- James, kochanie. Ojciec uciekł ode mnie po jednym tańcu, żeby spotkać się ze swoimi koleżkami w bibliotece. Już po dziesiątej. Nareszcie się pojawiłeś. Gdzie się podziewaliście z Jasonem? James przysunął się bliżej.

- Jason i ja chcieliśmy spotkać się z kilkoma ludźmi w dokach. Nie, mam, nie musisz się martwić, nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo. Poza tym Jase i ja jesteśmy teraz bardzo ostrożni, więc nie martw się albo już nigdy nie powiem ci, co robimy. To był poważny argument, ale trudno było zapomnieć o matczynej trosce i przestrojach. Dotknęła jego policzka.

- Nie będę się was czepiać. Dowiedzieliście się czegoś?

- Tak i nie. Jeden z mężczyzn przyjechał z Paryża. Słyszał pogłoski, że jakiś angielski szlachcic ma dostać to, na co zasłużył, tylko tyle. Może to ten sam człowiek, który poinformował o tym ministerstwo wojny. Spytałem, czy słyszał o jakichś dzieciach, ale nic nie wiedział. Podał nam nazwisko kapitana łodzi rybackiej, który przy pływa w tym tygodniu.

- Czy będzie wiedział coś więcej?

- Nie wiem, ale nie zaszkodzi spróbować. Ach, gdzie jest Corrie?

- Tańczy z Devlinem Monroem, tam, na drugim końcu sali. James potrząsnął głową.

- Nie widzę jej. Widzę Devlina, ale nie ma z nim Corrie.

Ach, Jamesie, przywitaj się z lady Montague i sir Arthurem Cochranem - poprosiła Aleksandra.

James przywitał się z ciotką Corrie, która jak zwykle miała na sobie suknię w bladoniebieskim kolorze. Przywitał się też z sir Arthurem Cochranem, z szacunkiem, który automatycznie okazywał przyjacielowi ojca. Uważał jednak, że sir Arthur powinien częściej się kąpać i kłaść mniej pomady na przerzedzonych włosach.

Odezwał się do Maybelli:

Usiłuję znaleźć Corrie na parkiecie, madam.

Może uda ci się znaleźć Devlina. Jest taki blady i ma takie urocze ciemne rzęsy. O, taniec się skończył. Już idą.

Widzę, ale nie poznaję - James niemal zaniemówił.

ROZDZIAŁ 10

Miłość to powszechna migrena.
(Robert Graves)

James patrzył, potrząsał głową.

Nie, to nie mogła być Corrie Tybourne - Barrett. Nie to stworzenie o włosach koloru jesiennych liści, upiętych wysoko, z kosmykami opadającymi przy uroczych, małych uszkach ozdobionych brylantowymi kolczykami. No dobrze, może była to Corrie - ale - utkwiał wzrok w jej biuście - tak, miała biust. Jak udało się jej ukrywać przed światem tę niesamowitą istotę? Przypomniał sobie jej bryczesy, stary kapelusz i wzdrygnął się. Spojrzał na jej piersi i ponownie się wzdrygnął.

Śmiała się z czegoś, co powiedział Devlin. Wyglądała świeżo i niewinnie, ślicznotka nieznająca podłości, i wiedział, że powinien ostrzec ją przed tym człowiekiem.

- Witaj, Jamesie.

- Witaj, Corrie. Devlinie, czy kupiłeś gniadego wałacha Mountjoja?

- Tak, kupiłem.

- Gniadego wałacha? - spytała. - Do polowania? Przytaknął.

- Tak, wspaniały dodatek do mojej stadniny. Lubi uganiać się za lisami w nocy, czy to nie urocze?

- Chyba tak - powiedziała Corrie. - Ale stawiałabym raczej na lisa. Devlin roześmiał się. James zrobił krok naprzód, atakując intruza agresywnym tonem.

- Nie wiem, czy Corrie ci wspomniała, że znam ją od dzieciństwa. Chyba można powiedzieć, że znam ją lepiej niż planety. A planety znam naprawdę dobrze. Oczywiście zawsze się nią opiekuję.

- Ale może czasami chciałyby ze mną zapolować?

- Nie, ma kurzą ślepotę - odparł James i spod przymrużonych powiek spojrzął na bladą twarz Devlina. Potem uśmiechnął się i podał Corrie ramię. - Mogę cię prosić do tańca, Corrie? Corrie zignorowała go, uśmiechając się promiennie do Devlina Monroe.

- Dziękuję, panie, za ten uroczy taniec.

- Czy mogę liczyć na kolejnego walca później? - spytał, zerkając na Jamesa.

- Och, tak - odparła. - Z przyjemnością. Mężczyzna uklonił się i zniknął w tłumie.

- O co chodzi, Jamesie? Byłeś niegrzeczny dla Devlina. A on tylko ze mną tańczył i mnie zabawiał. Nie odezwał się ani słowem, tylko patrzył przed siebie, miała więc doskonałą okazję, aby popatrzeć na niego. Jeśli ona wyglądała dobrze, to James wyglądał świetnie. Odnosiło się wrażenie, że jego twarz wyrzeźbił artysta. W świetle świec jego oczy nabrały koloru fioletowego.

- Masz przekrzywiony fular - odezwała się, kładąc mu rękę na ramieniu i ruszając na parkiet, zerkając na stado panien zmierzających w ich stronę. O Boże, czy ją zdepczą, a jego od niej odciągną? Zatrzymały się, gdy James poprowadził ją na środek parkietu i rzekł:

- Poprosiłbym cię, żebyś go wyprostowała, ale wątpię, czy potrafisz. Miała ochotę warknąć na niego, pocałować go, może nawet rzucić na ziemię i ugryźć w ucho, ale zamiast tego zaczęła szarpać fular w jedną i drugą stronę, aż wreszcie był tak samo prosty jak wtedy, nim go dotknęła. Przez cały

czas James uśmiechał się tajemniczo.

- Twoja suknia jest śliczna. Domyślam się, że to mój ojciec wybrał materiał i krój?

- Och tak - odparła, nie spuszczać oczu z przekłętego fularu.

- I pewnie stwierdził, że suknia ma za bardzo wycięty dekolt?

- Cóż, trochę zgrzytał zębami i rzeczywiście zauważył, że suknia ma taki dekolt, że niemal widać mi kolana. Zaczął ją podciągać, jak ma w zwyczaju robić z sukniami twojej mamy, ale szybko przestał, kiedy madame Jourdan zwróciła mu uwagę, że nie jest moim ojcem, więc jego dziwne pomysły z zakrywaniem dekoltu były bez sensu. Niedopowiedzenie. James mógł wyobrazić sobie ryk ojca. Opuściła ręce, po czym delikatnie przesunęła dłońią po jego ramionach.

- Piękny materiał, James. Niemal tak piękny jak mój.

- Och nie, na pewno nie. Czy mój fular jest już w porządku?

- Oczywiście.

- Zakładam, że nauczyłaś się również tańczyć walca?

- Cóż, ciebie nie było w pobliżu, żeby mi pomóc.

- Nie. Musiałem przyjechać do Londynu. Musiałem coś załatwić.

- Na przykład co?

- Nie twoja sprawa. - Objął ją ramieniem, dotykając pleców, i niemal zgubiła pantofle.

- Skup się, Corrie. - Rozległa się muzyka i zaczęli tańczyć.

- Ach, znasz kroki, to dobrze. - I zakręcił nią, aż prawie zakrztusiła się własnym językiem z podniecenia i przyjemności.

- Och, jak cudownie! - Uśmiechała się i śmiała w głos, a on wirował z nią po całym parkiecie, aż jej biała spódnica owinęła się wokół jego nóg. Gdy wreszcie zwolnił, nie mogła złapać tchu.

- James - gdybyś nie mógł robić niczego użytecznego w swoim życiu, to pamiętaj, że świetnie tańczysz walca. Uśmiechnął się do niej, nie spuszczać oczu z jej błyszczącej twarzy, z której już dawno opadł cały puder. Twarzy, którą, jak sobie właśnie uzmysłowił, znał równie dobrze jak własną. Jednak tych piersi nie znał wcale. Gruby warkocz wyglądał, jakby za chwilę miał się rozsypać. Bez zastanowienia powiedział:

- Idź powoli. - I obiema rękoma zręcznie upiął jej włosy. A potem wpiął jedną z sześciu białych różyczek.

- Już, teraz jest dobrze. Dziwnie na niego patrzyła.

- Skąd wiesz, jak upiąć kobiecie włosy?

- Nie jestem głupkiem - powiedział tylko.

- Cóż, ja również nie jestem głupia, ale nie umiałabym tego zrobić tak dobrze jak ty.

- Na Boga, Corrie, trochę ćwiczyłem.

- Na kim? Ja nigdy cię nie prosiłam, żebyś zaplótł mi włosy ani o nic podobnego. James głęboko westchnął. To było coś, czego jeszcze nie doświadczył w dorosłym życiu. Oto dziewczyna, którą znał od zawsze, a jednak teraz już młoda dama; z pewnością powinien traktować ją inaczej.

- Nie, ty zawsze chowałaś warkocz pod kapeluszem albo pozwalałaś, by opadał ci luźno na plecy. Cóż miałbym z nim robić?

- Mogę spytać, na kim ćwiczyłeś?

- Wprawdzie to nie twoja sprawa, ale znam kilka kobiet i wszystkie czasami potrzebują, by upiąć im włosy. Zmarszczyła brwi, nadal nie rozumiejąc. Wpatrując się w jej biust, powiedział, prawie gryząc się w język:

- Widzę, że się rozwinęłaś.

- Mówiłam ci, że mam piersi.

- Cóż, tak, możliwe. Chyba.

- Co to znaczy „chyba”? Moje piersi są całkiem ładne, tak powiedziała madame Jourdan, kiedy twój ojciec zabrał mnie do jej sklepu. James nie wiedział, co na to powiedzieć, więc przyspieszył i zaczął z nią wirować po obrzeżach parkietu, śmiejąc się i sapiąc jednocześnie, gdy inne pary usuwały im się z drogi.

Wtedy muzyka ucichła.

Spojrzał na swoją partnerkę i zobaczył, że uśmiech zamienił się w przygnębienie. Wyglądała, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem.

- Co się stało? Głośno przełknęła ślinę.

- To było wspaniałe. Chciałabym to powtórzyć. Od razu.

- Dobrze - odparł i pomyślał, że dwa tańce z rzędu nie powinny wzbudzić niczyich podejrzeń, skoro, na Boga, byli prawie jak rodzina. Zauważył cztery młode damy zmierzające w ich stronę, i szybko ujął Corrie za ramię i poprowadził ją do par, które nadal były na parkiecie.

- Daję słowo, że na tej sali wszystkie suknie są albo białe, jak moja, albo niebieskie, albo fioletowe.

- Liliowe, nie fioletowe. Liliowy jest znacznie jaśniejszy.

- Ach, a co powiesz o fiołkowym? - Czyżby usłyszał w jej głosie kpinę?

- Cóż, uważam, że fiołkowy to najpiękniejszy kolor na świecie. Corrie przełknęła ślinę, przyjmując cios, i powiedziała:

- Niebieska suknia ciotki Maybelli bardzo dobrze tutaj pasuje.

- Niezupełnie, ale może być. - Przyjrzał się jej, pragnąc dotknąć opuszkami jej piersi, spojrzał na jej białe ramiona i powiedział: - Cóż, czy były potrzebne wiadra balsamu?

- Co? To oszczerstwo. No dobrze, tak, przynajmniej półtora wiadra kremu. Wuj Simon najpierw na to narzekał, ponieważ powiedział, że pachnę jak lawendowy kompost, ale ciotka Maybella powiedziała, że to konieczne, ponieważ inaczej nigdy nie uda mi się wydostać ze skorupy i wpaść do małżeńskiego koszyka.

- Bo żaden mężczyzna nie chce łuszczącej się żony?

- Muszę ci powiedzieć, James, że jestem tutaj już pięć dni i nie spotkałam jeszcze mężczyzny, o którym pomyślałabym, że mógłby zainteresować się moimi łuskami. Zaśmiał się.

- A ilu spotkałaś?

- Cóż, dziś wieczorem tańczyłam przynajmniej z sześcioma. Dobrze, licząc lorda Devlina, jest ich dokładnie siedmiu. Oczywiście, muszę do tej listy doliczyć również ciebie. Ośmiu dżentelmenów. To całkiem przyjemna liczba, prawda? Chyba nie uznałbyś mnie za porażkę, co?

- Eee, wszyscy byli dla ciebie mili?

- Och, tak. Przećwiczyłam odpowiedzi na wszelkie możliwe pytania. Spontaniczne odpowiedzi. I wiesz co, James?

- Co?

- Wykorzystali niemal wszystkie pytania. - Na chwilę zmarszczyła brwi. - Ulubionym pytaniem było chyba to o pogodę.

- Cóż, to chyba normalne. Jest ładnie i ciepło, więc można to skomentować. Zerknęła przez jego lewe ramię.

- O co chodzi? Co jeszcze robili, poza pytaniem cię o opinię na temat pogody?

- Cóż, nie wszyscy, ale odkąd odkryłam dekolt i podkreśliłam talię... - uniosła się na palcach i wyszeptała mu do ucha - ...oni się gapią.

- I to cię dziwi? Chciałbym wiedzieć, dlaczego jakakolwiek kobieta miałaby się temu dziwić.

- Przyznaję, że początkowo mnie dziwiło. A potem uświadomiłam sobie, że ich spojrzenia sprawiają mi przyjemność. Pomyślałam, że skoro interesują się częściami mojego ciała, to najwyraźniej nie wyglądam, jak wiejska gęś. Ale wiesz, James, nie sądziłam, że dla mężczyzn te części kobiecego ciała są takie fascynujące. Gdybyś tylko wiedziała, pomyślał. Ponownie rozległa się muzyka i James powiedział:

- Jesteś gotowa pogalopować? Uśmieła się do łez. W tym czasie, obok parkietu Thomas Crowley, młodszy syn sir Edmunda Crowleya, jeden z przyjaciół Wellingtona, powiedział do Jasona:

- Kim jest ta śliczna dziewczyna, z którą tańczy James?

- Wiesz co - odparł Jason powoli - sam się zastanawiam. Może to ktoś z jego tajemniczej przeszłości.

- James nie ma tajemniczej przeszłości - rzekł Tom. - My również nie. Jason szturchnął go w ramię.

- Pomyślałem, że najwyższy czas nad tym popracować. Ponieważ Jason opowiedział mu o tym, że ktoś czyha na życie ich ojca, Tom zauważył:

- Ty już zacząłeś. Na Boga, kto to jest? Dobry Boże, cóż za piękność. Jason odwrócił się w stronę, którą wskazywał Tom. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który sprawiał, że kobiety w wieku od dziesięciu do osiemdziesięciu lat natychmiast się ożywiały, gdy tylko pojawiał się w ich pobliżu.

Jason odezwał się od niechcienia:

- Wiesz co, Tom? Może chwilowo nie potrzebuję więcej tajemniczości.

Thomas zauważył, że Jason przygląda się ciemnowłosej dziewczynie, która zerkała na niego zza wachlarza, i ruszył prosto w jej kierunku, nie zwracając uwagi na młode i już nie takie młode damy, które próbowały znaleźć się na jego drodze. Nie staranował żadnej z nich, ale niewiele brakowało.

Tom potrząsnął głową i podszedł do grupki, w której brylowała jego matka. Spróbował przemknąć się za palmą, kiedy zdał sobie sprawę, że prowadziła ożywioną konwersację z trzema wdowami, które miały niezamężne córki. - Tom! Podejdź tutaj, mój chłopcze.

Wpadł jak śliwka w kompot. Zaczerpnął powietrza i poszedł na spotkanie swego przeznaczenia.

ROZDZIAŁ 11

Jason Sherbrooke uśmiechnął się od ucha do ucha. Przestał na chwilę martwić się o ojca. Ta dziewczyna wyglądała uroczo, a jemu nie podobała się tak żadna kobieta, od czasu gdy miał piętnaście lat i został uwiedziony przez Be O'Rourke, błyskotliwą młodą wdowę z St. Ives, która przyjechała z wizytą do New Romney i której podobał się jego uśmiech i jego urocze, ruchliwe ręce, jak mu powiedziała, pieszcząc jego ucho.

Ta dziewczyna miała czarne oczy, które błyszcząły inteligencją i humorem. W tym momencie machnęła wachlarzem i te piękne oczy zniknęły. Zobaczył błyszczące czarne włosy ściągnięte z białego czoła. Przysięgłby, że mogła być córką Bei. Ale Bea nie miała żadnych córek, tylko dwóch synów, którzy byli w marynarce królewskiej, jak mu powiedziała, gdy się ostatni raz widzieli na początku sierpnia.

Rozejrzał się wokół, szukając matki dziewczyny albo przyzwoitki, i spojrział w kościstą twarz lady Arbuckle, znanej z braku poczucia humoru i uciążliwej pobożności. Czyżby to cudowne, młode stworzenie z błyskiem w oku było spokrewnione z lady Arbuckle? Nie, to niemożliwe. Ale lady Arbuckle wyglądała jak smok pilnujący skarbu.

- Lady Arbuckle - odezwał się, przywołując cały swój urok, którego nauczył się przez lata od wuja Rydera. „Obserwujcie swojego wuja” powtarzał im ojciec. „Jest w stanie usunąć brodawkę z podbródka damy. Jeśli nie możecie użyć siły, żeby dostać to, co chcecie, wykorzystajcie urok osobisty.

- Mój Boże, czy to ty, James?

- Nie, ja jestem Jason, madam.

- Ach, jak bardzo jesteście do siebie podobni. Jak się mają twoi rodzice?

- Dziękuję, dobrze, madam. - Jason uśmiechnął się do dziewczyny, która wpatrywała się w swoje stopy, obute w bladoliliowe pantofelki. - A lord Arbuckle? Dama się usztywniła.

- Na tyle dobrze, na ile to możliwe. Nie miało to dla Jasona większego sensu, ale przytaknął uprzejmie, zanim powiedział:

- Mogę zostać przedstawiony pani uroczej towarzysze, madam? Lady Arbuckle zawahała się tylko na ułamek sekundy, ale Jasona to zastanowiło. Czyżby się niepokoiła, że był nieodpowiednim mężczyzną?

- To moja siostrzenica, Judith McCrae, przyjechała ze mną do Londynu, aby zostać wprowadzoną do towarzystwa. Judith, to Jason Sherbrooke, drugi syn lorda Northcliffe'a. Jason był całkowicie przygotowany, że rozczaruje się, gdy dziewczyna otworzy swe urocze usteczka; był przygotowany, że usłyszy i zobaczy głupotę lub umizgi; był przygotowany, że zapragnie znaleźć się jak najdalej od niej. Ale nie był przygotowany na falę pożądania, która go ogarnęła, gdy panienska uśmiechnęła się do niego, a dołeczek w jej lewym policzku uwydatnił się.

- Mój ojciec pochodził z Irlandii - odezwała się, podając mu rękę. Długie smukłe palce, jedwabista skóra. Delikatnie ucałował przegub jej dłoni.

- Mój ojciec jest Anglikiem - odparł Jason i poczuł się idiotycznie. Nigdy wcześniej nie czuł się idiotycznie przy żadnej dziewczynie, ale teraz miał wrażenie, że w jego głowie nie było nic, poza kolejnymi falami pożądania. - Moja matka również jest Angielką.

- Moja matka pochodziła z Kornwalii, z Penzance. Ona i ciocia Arbuckle były kuzynkami drugiego stopnia. Nazywa mnie swoją siostrzenicą, ponieważ pokochała mnie, gdy tylko się urodziłam. Teraz jest moją jedyną żyjącą krewną. Pozwala mi uczestniczyć w sezonie towarzyskim. Czy to nie miło z jej strony? Jason przypomniał sobie, że posiadłość lorda i lady Arbuckle znajdowała się niedaleko St. Ives, na północnym wybrzeżu Kornwalii.

- Och tak, miło i stosownie. Mieszka pani w Kornwalii?

- Czasami. Mój ojciec pochodził z Waterford. Tam dorastałam. Był zachwycony jej melodyjnym głosem, miękkimi samogłoskami przy sztywnej angielskiej intonacji. Nigdy nie sądził, że angielski może brzmieć tak cudownie.

- Mogę prosić panią do tańca, panno McCrae? Judith spojrzała na lady Arbuckle, która mocno zacisnęła usta z dezaprobatą.

Nie można było nazwać go hulaką. Ale nie był pierwszym synem, dziedzicem. Pewnie zastanawiała się, jaki miał dochód. Dlaczego miałoby ją to interesować? Chodziło mu jedynie o taniec, nic więcej.

- Niebawem ją odprowadzę, madam. A może miałyby pani ochotę porozmawiać z moją matką? Aby upewnić się, że nie jestem niebezpieczny i nie posiadam żadnych groźnych przyzwyczajzeń.

Lady Arbuckle przez dobre trzydzieści sekund przyglądała się palmom, zanim niechętnie skinęła głową.

- Dobrze, możesz zatańczyć z Judith. Raz. Była niewysoka, ledwie sięgała mu do ramienia.

- Jest pani podobna do matki? - spytał, gdy objął ją ramieniem i zaczęli tańczyć walca.

- Ach, mam podobną karnację. Mam jej oczy i włosy, i jestem niska, tak jak ona, ale piegi mam po swoim drogim ojcu. Nie widział żadnych piegów, ach zaraz, dostrzegł cieniutką linię na grzbiecie nosa.

- Pani matka musiała być piękną kobietą.

- Tak, była, ale ja nie mogę się z nią równać, tak przynajmniej mówi mi ciocia Arbuckle. Prawdę powiedziawszy, to nie bardzo pamiętam mamę, bo byłam bardzo mała, kiedy zmarła. Jason obrócił ją w tańcu, czując, że była wyśmienitą tancerką, pełną wdzięku, i - och do diabła, ogarniało go coraz większe pożądanie, więc zaczął szybciej tańczyć. I omal nie wpadł na brata i jego partnerkę, która wyglądała dziwnie znajomo.

Judith straciła równowagę, gdy Jason gwałtownie uskoczył w bok, więc po prostu uniósł ją do góry. Jednak kiedy poczuł ją w swoich ramionach, wcale nie miał ochoty jej puszczać. Chciał przycisnąć ją mocno do siebie, wyobrażając sobie, że jest naga.

Wydała okrzyk zdumienia, łapiąc go za ramię dla zachowania równowagi.

- Mój Boże, ten mężczyzna wygląda tak samo jak pan!

- To mój brat. James, lordzie Hammersmith, to jest panna Judith McCrae z Kornwalii i Irlandii. - Jason spojrzał wymownie na młodą damę, która stała obok Jamesa spocona, dysząc ciężko i uśmiechając się. Wyglądała znajomo, a te jej zielone oczy...

- Jason, nie poznajesz mnie? Ty gamoniu, to ja, Corrie.

Po raz pierwszy odkąd zobaczył Judith, Jason zapomniał o pożądaniu i wpatrywał się w dziewczynę, która naprzykrzała się jego bratu od wczesnego dzieciństwa.

- Corrie? Przytaknęła, uśmiechając się.

- Wystroiłam się, odsłoniłam dekolt i schowałam stary kapelusz do szafy.

- Walniesz mnie, jeśli ci powiem, że całkiem dobrze wyglądasz jako młoda dama?

- Och nie. Chcę, żebyś mnie podziwiał. Chcę, żeby wszyscy dżentelmeni w tym pokoju mnie podziwiali, żeby padli do mych stóp jak martwe psy, oczywiście w przenośni. James nie chce paść, a tym bardziej być martwym psem, ale się staram.

- Jak powiedziała, wyładniała, gdy się wystroiła i odsłoniła dekolt - powiedział James. - A jeśli chodzi o zachwyty, to doświadcza ich w nadmiarze. - Ponieważ James miał nienaganne maniery, więc czym prędzej zwrócił się do Judith. - Panno McCrae, jest pani po raz pierwszy w Londynie? Judith przyglądała się bliźniakom.

- Chociaż ciotka Arbuckle wspominała, że jesteście bliźniakami, nie wiedziałam, że jesteście identyczni - odezwała się Judith.

- Prawdę powiedziawszy - odparł Jason - nie jesteśmy całkiem tacy sami. James jest miłośnikiem planet i gwiazd, natomiast ja jestem przyziemną istotą.

- Jason pływa jak ryba i jeździ konno lepiej niż James, chociaż James nigdy by się do tego nie przyznał, i nagninnie wygrywa z Jamesem w biegach - powiedziała Corrie.

- Ja również pływam - odezwała się Judith. - W morzu w lecie, kiedy nie ma obawy, że się zamarznie na kość. Jason miał ochotę spytać ją, co miała na sobie, gdy pływała. Młoda dama z pewnością nie mogła pływać nago.

Judith spojrzała na Jamesa swoimi ciemnymi oczami.

- Gwiazdami, panie?

- O tak, w pogodną noc można je obserwować, leżąc na plecach na wzgórzu - powiedziała Corrie. Jason się uśmiechnął.

- On nawet zna wszystkie prawa Keplera.

- Bliźniacy - powiedziała Judith, patrząc to na jednego, to na drugiego. - Jakie to dla was wygodne. Często zamieniacie się miejscami?

- Nie, od czasów dzieciństwa - odparł Jason. A w zasadzie od czasu, gdy James chciał mu udowodnić, że Ann Redfern pragnęła jego, a nie Jasona, więc zamienili się miejscami i w ten sposób James znalazł się w stodole z nagą dziewczyną, podczas gdy Jason czekał za drzwiami. Jednak do dziś nie udało im się rozstrzygnąć, którego z nich Ann wołała, ponieważ ona nie była w stanie ich odróżnić.

- Gdybym miała siostrę bliźniaczkę, ćwiczyłabym, aż udałoby mi się oszukać mamę. Jason się roześmiał.

- Przykro mi, panno McCrae, bez względu na to, jak bardzo by pani próbowała, nie udałoby się pani oszukać naszej matki.

- Albo babki, która z racji wieku nie powinna już mieć tak dobrego wzroku, a jednak ma. Judith ponownie na nich spojrzała.

- Wyzwanie - powiedziała. - Zawsze lubiłam wyzwania. - Zwróciła się do Corrie. - A pani ma siostrę bliźniaczkę?

- Och nie - odparła Corrie, wpatrując się w przepiękną dziewczynę o porcelanowej cerze i czarnych błyszczących oczach, i zastanawiając się, czy potrzebowała tyle zabiegów co Corrie, żeby ładnie wyglądać. Miała bardzo ładne, bujne piersi i pewnie wcale nie musiała pomagać sobie gorsetem. - Jestem tylko ja.

- Dzięki Bogu - odezwał się James. - Dwie takie jak ty doprowadziłyby mnie do szaleństwa.

- James, zobaczymy się w domu - powiedział Jason, uśmiechnął się do Corrie, jakby nie bardzo ją kojarzył, i oddalił się ze swoją partnerką tanecznym krokiem. James stał i patrzył na brata przez chwilę, zanim powiedział:

- Walc dobiega końca. Nie, Corrie, nie ma mowy o trzecim tańcu. Mogłoby to zaszkodzić twojej reputacji.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie czytałaś książki o dobrych manierach, którą moja mama, eee, Jason dał ci na urodziny?

- Podobała mi się tak samo, jak sztuki Racine'a. No wiesz, James, prezent urodzinowy, który dostałam od ciebie, z tymi ślicznymi ilustracjami. Mogłam sobie na nie popatrzeć, kiedy już rozboleła mnie głowa od tych wszystkich mądrych francuskich słówek.

- Oczywiście, pamiętam. Zostały wybrane specjalnie dla ciebie. A teraz posłuchaj mnie, smarkulo. Nie powinnaś tańczyć więcej niż dwa tańce z jednym dżentelmenem, bo to tak, jakbyś była z nim niemal zaręczona.

- Ale to nie były dwa tańce, a przynajmniej nie dwa pełne. Jason przerwał nam w końcówce ostatniego. Możemy zatańczyć początek następnego tańca? James potrząsnął głową.

- Ale dlaczego? To niemądre. Tańczysz najlepiej ze wszystkich dżentelmenów, z którymi tańczyłam dziś wieczorem. Może nawet lepiej niż Devlin. Mogłabym przetańczyć z tobą cały wieczór.

- To miłe, ale niemożliwe, chociaż znam cię całe życie i jesteś dla mnie jak siostra. Zrobiło jej się przykro i westchnęła. Znowu zaczęła poprawiać mu fular.

- Trudno więc. Skoro nie mogę zatańczyć z tobą, będę tańczyć z Devlinem. Ciekawe, gdzie on jest. - Rozejrzała się po sali. - Wuj Simon bardzo by chciał, żebym już znalazła męża. Biedak za żadne skarby nie chce wracać do Londynu na wiosnę, na kolejną prezentację w towarzystwie. Mówi, że można to załatwić w miesiąc.

- Posłuchaj, Corrie, to raczej niemożliwe, więc nie obwiniaj się, jeśli za miesiąc nie staniesz na ślubnym kobiercu u boku jakiegoś biedaka. Możliwe, że w tym czasie dostaniesz propozycję małżeństwa. Wyglądasz ładnie, więc na pewno znajdzie się jakiś młody kawaler, który z przyjemnością wpadnie w twoje sidła.

- To ciekawa wizja. James, co ci przychodzi do głowy, kiedy myślisz o klejnocie z Arabii?

- O klejnocie z Arabii? Co to, u licha, jest klejnot z Arabii?

- Myślę, że to wspaniały diament, którego wszyscy od wieków pragną.

- A co on ma wspólnego z tobą?

- Cóż, może zupełnie nic, skoro ty nie widzisz oczywistego podobieństwa.

- Posłuchaj mnie, Corrie. Nie tańcz z Devlinem Monroe. Szczerze ci radzę, żebyś go unikała.

- Wygląda jak wampir, dopóki się nie uśmiechnie. Wtedy jest nawet całkiem przystojny.

- Wampir? Devlin? Och, chodzi ci o to, że jest taki bladej. - James zamyślił się i potarł dłonią podbródek. - Tak, znany jest ze swojej bladej cery. Wampir? Jeśli się nad tym zastanowić, to możliwe, ja nigdy nie widziałem go za dnia.

- Naprawdę? O mój Boże, James, może... och, ty padalcu, kpisz sobie ze mnie.

- Oczywiście, że kpię, Corrie. Ale Devlin - i teraz słuchaj mnie uważnie - podobno zamieszany jest w różne sprawy.

- W jakie sprawy?

- Nie musisz tego wiedzieć. Słuchaj mnie, a nic ci się nie stanie.

- Mam cię słuchać? Ciebie? - Nie mogąc się powstrzymać, odrzuciła głowę i roześmiała się, a wiele kobiecych głów odwróciło się, żeby sprawdzić, kto się śmieje - o ile już nie patrzyły w ich stronę, oczywiście z powodu Jamesa.

- Mogę powiedzieć, że prawie cię wychowałem. Tak, masz mnie słuchać. Jestem starszy, bardziej doświadczony, a co najważniejsze, jestem mężczyzną i dlatego wiele wiem o innych mężczyznach i ich niegodziwości - cóż, nieważne. Po prostu unikaj Devlina Monroe.

- Jakiej niegodziwości? Chcesz powiedzieć, że Devlin Monroe jest niegodziwy? Czy nie potrzeba wielu lat i doświadczeń, żeby człowiek stał się naprawdę niegodziwy? Devlin jest młody. Jak to możliwe, że jest niegodziwy? James miał ochotę objąć palcami tę śliczną szyję, której nigdy wcześniej nie widział, i ścisnąć ją.

- Nie powiedziałem, że jest niegodziwy. Podobają mu się różne rzeczy.

- Cóż, mnie również. Czy właśnie tym owocuje doświadczenie, James? Niegodziwością?

- Nie, nie bądź niemądra. Zapomnij o Devlinie. Widzę, że Kellard Reems rozmawia z twoją ciotką Maybellą. Jest całkiem zwyczajny. Zatańcz z nim. Gdyby gapił się pożądliwie na twoje piersi - dekolt - powiedz mi, a powybijam mu zęby.

- Mężczyźni mówią piersi? - szepnęła, niemal się krztusząc.

- Zapomnij o tym. Ale nie miała takiego zamiaru. Corrie patrzyła teraz na siebie zupełnie innym wzrokiem.

- Cóż, to bardzo jednoznaczne słowo.

- To prawda. Mężczyźni są bardziej jednoznaczni i prostolinijni niż kobiety, które muszą wszystko ubrać w cudaczne słowa, takie jak „dekolt”.

- Piersi - powtórzyła powoli, rozkoszując się tym zakazanym słowem, na co James chwycił ją za ramię i potrząsnął, aby zmasać z jej twarzy ten zamyślony wyraz. - Posłuchaj mnie, Corrie, nie powinnaś mówić tego słowa, zwłaszcza przy mężczyznach. Rozumiesz? Mężczyźni mogliby - cóż, odnieść mylne wrażenie co do twojej cnoty i liczyć na twoją przychylność w pewnych kwestiach. To jest dekolt, Corrie. I tyle. Obiecujesz?

- Ach, jest Devlin - wampir. Spójrz na jego ujmujący uśmiech. Białe zęby w białej twarzy i te jego czarne oczy - takie same jak oczy Judith McCrae, nie uważasz?

- Nie, nie uważam.

- Tak, ciemne i błyszczące i... chyba go zapytam, co robi o północy, i zaproponuję mu swoją szyję. Przypomniawszy sobie, jak niedawno trzymał dłoń na jej pośladku. Poczul w tej dłoni napięcie i laskotanie.

Zostawiła go, bez słowa podziękowania za cenną radę. Odeszła, wachlując się, ponieważ skakał z nią po całym parkiecie, a jej się to niezmiernie podobało. Całe szczęście nie uraczyła go jedną ze swoich złości, za które miał ochotę ją sprać.

James stał ze zmarszczonymi brwiami, dopóki nie poczul na rękawie czyjejś ręki. Gdy się obrócił, zobaczył pannę Milner, trzepoczącą do niego rzesami. Westchnął, ale dyskretnie, ponieważ był dżentelmenem, obrócił się i przywołał uśmiech na twarz.

W tym czasie Jason tańczył z panną Judith McCrae, prowadząc ją w stronę szklanych drzwi balkonowych, i wyobrażał ją sobie nagą. Śmiała się do niego. Co takiego zabawnego powiedział? Nie mógł sobie przypomnieć.

Zwolnił, ponieważ walc dobiegał końca.

- Jak długo zostanie pani w Londynie?
- Ciotka Arbuckle chce wrócić do Kornwalii do świąt Bożego Narodzenia.
- Ma pani braci? Siostry? Zrobiła przerwę, a potem odpowiedziała z uśmiechem:
- Mam kuzyna. Posiada stadninę, która nazywa się Coombes, niedaleko Waterford.
- Czy ten kuzyn jest od pani starszy, panno McCrae?
- Och tak, znacznie starszy. Walc się skończył. James uśmiechnął się do tej pięknej młodej dziewczyny.

Miał ochotę zabrać ją na spacer po ogrodzie Ranleaghów, ale nie było mu to dane. Podał jej ramię i odprowadził ją do ciotki.

- Pani - powiedział i uklonił się lekko. - Mam nadzieję, że lord Arbuckle wkrótce wydobrzeje.
- To miłe, panie Sherbrooke - powiedziała lady Arbuckle, a Judith upuściła wachlarz.
- Ojejku, jestem taka niezdarna. Nie, nie, panie Sherbrooke, podniosę go - ale oczywiście pochylił się i podał go jej z uśmiechem. - Nie jest złamany. Miło mi było, panno McCrae, lady Arbuckle. - Uklonił się ponownie i odszedł. Dostrzegł zmierzającego do drzwi Toma, który nie rozglądał się na boki. Wyglądał, jak pies myśliwski, który właśnie zwęszył jelenia. Chodziło o paszteciki z homara. Tom był w stanie wyczuć paszteciki z homara z dziesięciu metrów. Jason dołączył do niego, a kiedy Tom pochłonął co najmniej sześć i wychylił dwa kieliszki zdradzieckiego ponczu z szampana, wyszli z balu i poszli do White'a, a Jason po drodze wymijał grupki młodych i już nie takich młodych dam, które wchodziły mu w drogę. Dostrzegł spojrzenie brata i skinął głową. To skinienie oznaczało, że mają jeszcze coś do zrobienia, ale nie w tej chwili.

James zwrócił się do pięknej panny Lorimer, zapewne ozdoby tego sezonu towarzyskiego, która świetnie tańczyła walca, nucąc przy tym. James był zauroczony.

- Kiedy James po jakimś czasie rozejrzał się po sali, ujrzał Corrie tańczącą z Devlinem Monroe.
- Co się stało, panie?
- Co? Nic, zupełnie nic, panno Lorimer, obserwuję tylko moją przyjaciółkę z dzieciństwa, która nie chce mnie słuchać.

- Hmm... - powiedziała panna Lorimer. - Wygląda to bardziej, jakby był pan jej ojcem, panie.
- Boże broń - odparł James, kiedy walc się skończył. Obserwował, jak Corrie bierze Devlina pod ramię i podchodzą do olbrzymiego stołu bankietowego, prosto do prawie pustej misy z ponczem, mocnym na tyle, że po jednym kieliszku dziewczyna pozbyłaby się wszelkich skrupułów. Zaklął pod nosem. Kiedy odprowadził Juliette Lorimer do jej mamy i pożegnał się z ciepłym uśmiechem, Juliette powiedziała:

- Chyba go zdobędę, mamó. Nawet gdyby był nudny albo rozpustny - chociaż nie wygląda na takiego - to miło na niego popatrzeć, nie uważasz? Lady Lorimer spojrzała na to cudowne stworzenie, które urodziła, i odezwała się rzeczowym tonem:

- Zważywszy na to, że jesteś najpiękniejszą panną na tej sali, a James Sherbrooke najprzystojniejszym mężczyzną, sądzę, że dzieci z waszego małżeństwa byłyby niewyobrażalnie piękne. Panna Lorimer roześmiała się uroczo.

- Ja jestem jedna, ale lord Hammersmith ma brata bliźniaka, który jest równie przystojny. Widziałam, jak tańczył z ciemnowłosą dziewczyną, która nie zrobiła na mnie większego wrażenia.

- Również ją widziałam. Bardzo przeciętna. Ale to nie ma znaczenia. Musisz pamiętać, że jego brat nie dziedziczy tytułu hrabiego Northcliffe. Panna Lorimer znowu roześmiała się uroczo i przyglądała się Jamesowi, który przedzierał się przez tłum gości, z których większość, a zwłaszcza

panie, chciała z nim zamienić słowo. Na szczęście to ona była najpiękniejszą dziewczyną na tym balu. Inaczej czułaby się trochę zaniepokojona.

ROZDZIAŁ 12

Małżeństwo jest niebezpieczną chorobą;

lepiej się napić.

(Madame de Sevigne)

Aleksandra Sherbrooke krzyczała na swojego męża, nawet gdy już wszedł do domu:

- Czasami sama mam ochotę cię zastrzelić, Douglasie! Czyś ty oszalał? Widziałam przez okno, jak przechadzasz się po ulicy, wymachując laską i pewnie jeszcze pogwizdując, a nie było z tobą żadnego przyjaciela. Sama bym cię zastrzeliła!

Przebiegła przez hol i rzuciła mu się w ramiona, które przed nią na czas rozpostarł. Przytulił ją do siebie, pocałował w czubek głowy i powiedział bardzo cicho:

- To chyba nie było zbyt rozsądne z mojej strony, najdroższa, ale mam już dosyć cieni i gróźb, i zamartwiania się, że ktoś może na mnie napaść. Spojrzała na niego, jeszcze mocniej do niego przywierając.

- Chciałeś, żeby zabójca cię dopadł?

- Tak, chyba tak. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął małego srebrnego derringera. - Ma dwa strzały. W lasce mam ukrytą szpadę. Byłem przygotowany, Alex. - Przytulił ją, a potem odsunął od siebie. Delikatnie przesunął palcem po jej brwiach. Zamknęła oczy. To był ich długoletni rytuał. - Cholera, chcę, żeby to się skończyło.

- Chcę, żeby stale był przy tobie któryś z twoich przyjaciół, słyszysz mnie, Douglasie?

- Co? Wszyscy już jesteśmy nieźle zramolali, a ty nadal chcesz, żeby oni się przy mnie kręcili?

- Nie obchodzi mnie, czy się ślinią ze starości, jeśli ich obecność może cię uratować. Weszli do biblioteki i Douglas cicho zamknął drzwi.

- Obawiam się, że za chwilę wpadnie tu Willicombe, a ja potrzebuję trochę spokoju.

- Bardziej obchodzi go twoje bezpieczeństwo niż ciebie, Douglasie. Wiesz, że zapytał mnie, czy mógłby zatrudnić swojego siostrzeńca, powiedział, że umie pięścią wbić gwóźdź. Oczywiście się zgodziłam. Mamy teraz kolejnego służącego i ochroniarza. Ten Remie pełni wartę między północą a trzecią rano, później do szóstej rano na warcie jest Robert. Douglas wziął butelkę brandy i nalał żonie i sobie po kieliszku.

- Dużo o tym rozmyślałem. Daję ci słowo, Alex, że nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby nienawidzić mnie tak mocno, by zadać sobie tyle trudu; cały ten plan zemsty jest taki dramatyczny, o ile rzeczywiście chodzi o zemstę. Georges Cadoudala z pewnością widziałem jeszcze kilkakrotnie po tym, jak zostawiliśmy go w Etaples w 1803. Ponieważ nie mógł zabić Napoleona, zasadził się na kilku jego najwyższych rangą generałów i funkcjonariuszy. Zabił przynajmniej sześciu z nich w ciągu tych kilku lat przed Waterloo. Ale to było ponad piętnaście lat temu, Alex. Piętnaście lat. Zmarł zaraz po Waterloo, jakoś na początku 1816.

- Kiedy się dowiemy, czy miał jakieś dzieci?

- Niebawem, mam nadzieję.

- Tak sobie myślałam, Douglasie. Pamiętasz tę specjalną misję, na którą wyruszyłeś na początku 1814? Powiedziałeś mi tylko, że nie groziło ci niebezpieczeństwo, że musiałeś sprowadzić kogoś bezpiecznie do Anglii. Nagle wydał się znacznie młodszy i bardzo z siebie zadowolony.

- Tak, udało mi się zachować to przed tobą w tajemnicy, nieprawdaż?

- Kto to był, Douglasie?

- To był dżentelmen, który miał wystarczająco dużo pieniędzy i posiadał na tyle cenne dla ministerstwa wojny informacje, aby kupić sobie schronienie w Anglii. Przysięgłem nigdy nie zdradzić jego tożsamości.

- Więc on nie miałby powodów, aby cię nienawidzić. Ocaliłeś go.

- Otóż to.

- Czy Georges miał coś wspólnego z tym mężczyzną, którego wywiozłeś z Francji?

- Panie, wartę objął Remie. Douglas niemal upuścił kieliszek z brandy. Obrócił się gwałtownie, z ręką w kieszeni marynarki, już gotowy wyciągnąć derringera, ale zobaczył stojącego w drzwiach Willicombe'a.

- Jak, do licha, udało ci się tak niepostrzeżenie wejść, Willicombe? Dobry Boże, człowieku, mogłem cię zastrzelić.

- Musiałby pan najpierw mnie usłyszeć, a to, ośmielę się powiedzieć, jest prawie niemożliwe, ponieważ jestem prawie jak cień, tak samo jak Hollis. Sądzę, że gdyby wyczuł pan moją obecność, poczułby pan ciepło i życzliwość. Nigdy by pan do mnie nie strzelił, panie. Aleksandra uśmiechnęła się.

- Masz rację, Willicombe. Hollis nie byłby w stanie przemieszczać się ciszej. Gdzie Remie będzie pełnił wartę w nocy?

- Kręci się między strychem, piwnicą i stajnią. Przyczai się także w parku i na podjeździe. On wszystko widzi i słyszy. Jest wart pieniędzy, które pan mu płaci, jaśnie panie.

- Cóż, to dodaje otuchy. Idź spać, Willicombe.

- Tak, jaśnie panie. Dowiedział się pan czegoś na temat tego łotra, który dybie na pańskie życie?

- Nie, jeszcze nie. Idź spać, Willicombe. Kiedy Willicombe bezgłośnie wyszedł z biblioteki, zamykając za sobą drzwi, Douglas odwrócił się do żony.

- Mówiłem ci, że wyglądasz dziś zachwycająco, chociaż wystawiłaś połowę swoich piersi na widok pożądlivych spojrzeń londyńskich rozpustników? Aleksandra spojrzała na niego zza rzes.

- To niesamowite, że mam męża, który nadal tak żywo reaguje na niektóre części mojego ciała.

- To nie jest śmieszne, Aleksandro. Musiałem pójść do pokoju karcianego, bo inaczej musiałbym powystrzelać tych rozpustników. Uśmiechnęła się, przytuliła do niego, uniosła się na palcach i powiedziała:

- Zauważyłaś, jak ślicznie wyglądała dziś wieczorem Corrie? Ta suknia, którą dla niej wybrałaś, była bardzo twarzowa.

- Czy to nie jest niesamowite? Sądziłem, że nie ma biustu. Obawiam się jednak, że za bardzo odsłoniła dekolt. - Douglas zacisnął wargi. - Mówiłem jej i madame Jourdan - przestań się ze mnie śmiać, Alex, bo pożałujesz.

- Nie wiedziałam, że jest taka ładna, Douglasie. Jej uśmiech jest zaraźliwy.

- Tak, tak, kogo to obchodzi? Chodź już. Jestem starym człowiekiem, a jest już po północy.

Zostało mi już niewiele cudów.

- Oj, kilka ci zostało - odezwała się jego żona, idąc obok niego po schodach.

* * *

Jesteś głupi, Jamesie Sherbrooke'u. Odejdź, zanim zdzieję cię pogrzebaczem po łbie.

- Nie odejdę. - Chwycił ją za ramię, zanim sięgnęła po pogrzebacz. - Odpowiesz mi teraz szczerze, madam. Chcę wiedzieć dokładnie co zaszło wczoraj między tobą a Devlinem Monroe. Przynęła się do niego, odchyliła głowę, i z właściwym sobie szyderstwem w głosie powiedziała:

- Nie zaszło nic, czego bym nie chciała.

- Wypiłaś za dużo ponczu, prawda? Jak tylko go spróbowałem, od razu wiedziałem, że kilka dziewcząt straci swoją cnotę tego wieczoru.

- Bzdura, James. Większość z nich ma mocniejszą głowę, niż ci się wydaje. Tak, wypiałam dwa kieliszki tego pysznego ponczu, ale Devlin zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Słyszysz? Prawdziwy dżentelmen. Czy wampir może być dżentelmenem? Nieważne. A w ogóle, to dziś po południu, dokładnie o piątej, jestem z nim umówiona na przejażdżkę po parku, o ile nie będzie padać, chociaż na to się zanosi. Zrobił krok w tył, żeby nie rzucić jej na ziemię i nie sprać na kwaśne jabłko, chociaż wątpił, że coś by poczuła.

- Ile masz na sobie halek? - Co?

- Ile masz halek pod tą suknią? Umysł mężczyzny, pomyślała, jest niezbadany.

- Cóż, niech się zastanowię. - Poklepała się palcami po podbródku. - Mam reformy, halkę z cienkiego, białego muślinu - sięga mi prawie do kolan i ma śliczną koronkę przy szyi - o co chodzi? Przewracasz oczami? Zapytałeś...

- Powiedz mi tylko o halkach, a nie o całej reszcie. Na Boga, Corrie, nie mówi się o swoich reformach, ani o białej muślinowej halce, zwłaszcza mężczyźnie.

- Dobrze, ja również nie chcę wiedzieć, co masz pod bryczesami. O czym to ja mówiłam? Mam jeszcze flanelową halkę, tylko jedną, żeby było mi ciepło, nawet jeśli na dworze jest gorąco. Są jeszcze cztery bawełniane, a na wierzchu mam śliczną halkę z białej koronki, żeby nawet najbardziej wymagające damy wiedziały, gdyby wiatr podniósł mi spódnicę, że jestem dobrze ubrana także pod suknią. Natomiast co pomyślą o tym panowie, to chyba ty powinieneś mi na to odpowiedzieć, prawda? No, zadowolony? Po co, u licha, chcesz wiedzieć o moich halkach?

- Woląłem, kiedy nosiłaś bryczesy. Widziałem dokładnie, co się z tobą dzieje.

- Co to znaczy?

- Widziałem twoje siedzenie. No, może niezupełnie; te cholerne bryczesy były dosyć luźne. Znajdowali się w salonie jej ciotki. Wuj Simon siedział w swoim gabinecie nie więcej niż sześć metrów stąd. Jej ciotka Maybella mogła, dobry Boże, słuchać tuż za drzwiami.

- Chyba nie mówisz o mojej pupie, James. Z pewnością nie to masz na myśli.

- Oczywiście. Przepraszam.

- Cóż, zapomnij również o moich bryczesach. I tak zawsze się z nich naśmiewałeś. Nie podoba ci się moja suknia? Wybrał ją twój ojciec. Jest bardzo biała, taka niewinna, nie uważasz?

- Za długo przebywałaś z Devlinem Monroem, żeby mieć jakiegokolwiek niewinne myśli. Nie wspomnę o całej reszcie.

- Czyżbyś oskarżał mnie, że rozebrałam się przy mężczyźnie, którego ledwie znam? Że ściągnęłam wszystkie te nieszczęsne halki?

- Widziałem, jak zeszłej nocy piłaś poncz z szampana. Był bardzo mocny, zupełnie

nieodpowiedni dla młodej damy. Dwa razy tańczyłaś z nim walca, Corrie. Twoja ciotka nie powinna była na to pozwolić.

- Flirtowała z sir Arthurem. Widziałam, że świetnie się bawiłeś z tą panną Lorimer, która, jak mówi moja ciotka, jest obecnie uważana za najlepszą partię w Londynie. Szkoda, że musiała się pojawić, kiedy ja przyjechałam. Dobrze się z nią bawiłeś, James? Dobrze?

- Juliette...

- Ma na imię Juliette? Jak nieszczęsna narzeczona Romea? Mam ochotę... Nie pluj, przynajmniej nie w salonie swojej ciotki. Oczy mu błyszczały. Nie wiedziała, czy ucisk w dołku spowodowany był kolorem jego oczu, ale z pewnością dostrzegła w nich błysk.

- Ach, rzeczywiście jest śliczna, prawda? Ale wiesz, James, podobno ona lubi różne rzeczy, tak samo jak Devlin Monroe, i chyba nie powinieneś spędzać z nią zbyt wiele czasu. Może się okazać, że nie masz spodni, a to byłoby szokujące.

James tylko wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

- Jakie różne rzeczy? Czy twierdzisz, że panna Lorimer źle się prowadzi?

- Pytasz, czy uważam, że jest zła? Jak Devlin Monroe?

- Nigdy nie mówiłem, że jest zły, do cholery.

- Cóż, ja również nie twierdzę, że panna Lorimer jest zła, James. Powiedziałam, że lubi różne rzeczy i...

- Jakie rzeczy? - Te idiotyczne słowa wymknęły mu się, zanim zdążył sobie wytłumaczyć, że wodziła go za nos. Był głupcem. Przejmij lejce, przejmij lejce. - Nie, nieważne, bądź cicho.

- Ale ciekawi cię to, prawda, James? Chcesz wiedzieć, co lubią robić młode damy, które mają skłonność do rozpusty. Przyznaj to. Był głupcem, którego owinęła sobie wokół palca bez żadnego problemu.

- Dobrze, mów. Podeszła bliżej, co było ryzykowne, zważywszy na to, że miał ochotę skrócić jej kark, i szepnęła:

- Podobno Juliette lubi odgrywać lubieżne sceny w sztukach. Jak w Lizystracie Arystofanesa, no wiesz, tej greckiej sztuce, w której kobiety mówią mężczyznom, że nie... Patrzył na twarz, którą znał tak dobrze, że poznałby ją, nawet gdyby zamknął oczy i dotykał jej tylko palcami. Odezwała się ta część jego osobowości, która pozwoliła wodzić się za nos:

- Skąd o tym wiesz? Nachyliła się do niego.

- Słyszałam, jak zeszłej nocy mówiły o tym dziewczęta w pokoju dla pań. A ponieważ ja jestem zainteresowana Devlinem Monroem i różnymi rzeczami, rozmawiałam z panną Lorimer i powiedziałam jej, że również mogłabym grać, zwłaszcza postaci o wątpliwej moralności. Powiedziała, że ona także lubiła grać takie postaci. Powiedziała, że dobrzy ludzie są nudni, że zbaczanie z drogi cnoty jest ekscytujące. Co by się stało, gdyby zeszła z tej drogi? - Corrie przybliżyła się. Czuł na policzku jej oddech. - Pomyślałam, że mogłabym poplamić rąbek sukni, a później może zgubiłabym spinki z włosów. Jak myślisz, James? Tego już było za wiele. James chwycił ją za ramiona i potrząsnął. Miał ochotę ją sprać, ale nie mógł tego zrobić, przynajmniej nie w salonie jej wuja.

Może następnym razem zabierze ją na tamtą skałę, ściągnie jej spodnie i...

- Posłuchaj, Corrie. Mam już tego dosyć. Możesz zapomnieć o Arystofanesie i o tym, co robiły kobiety w jego sztuce, czego oczywiście nie jesteś w stanie zrozumieć, pomimo całej tej gadki o wątpliwej moralności. Możesz również zapomnieć o Juliette Lorimer i jej sztukach. Nie chciałybyś

występować w takich sztukach. Nie chciałybyś zboczyć z cnotliwej drogi i splamić rąbek sukni.

- Dlaczego nie?

- Nie zrobisz tego i koniec dyskusji. A teraz stanowczo nalegam, żebyś zapomniała o Devlinie Monroe. Napiszesz do niego liścik, w którym wyjaśnisz, że więcej z nim się nie zobaczysz. Rozumiesz?

- Krzyczysz, James. Lubię Devlina; jest dziedzicem książęcego tytułu. Na Boga, już jest hrabią.

- Dosyć!

- Ty jesteś tylko dziedzicem hrabiowskiego tytułu. - Znowu się zbliżyła. - Czy to możliwe, że Juliette chce twoich pieniędzy? Tego było już za wiele. Wreszcie odzyskał panowanie nad sytuacją.

- Spuszczę ci lanie, jeśli zobaczę cię z Devlinem - ryknął. Uśmiechnęła się szyderczo. Żeby rozłłościć go jeszcze bardziej, skrzyżowała ramiona na piersiach i zaczęła gwizdać.

Wziął się w garść. Nie powiedział nic więcej. Odwrócił się na pięcie i niemal wpadł na ciotkę Maybellę, wchodzącą do salonu.

- James? Jason?

- Jestem Jason, madam, i przepraszam, ale muszę iść.

- Cóż, ja... do widzenia, drogi chłopcze.

Ciotka Maybella weszła do salonu, zobaczyła swoją siostrzenicę stojącą przy oknie, z czołem opartym o szybę.

- Co tutaj robił Jason?

ROZDZIAŁ 13

*Powinno się wybaczyć swoim wrogom,
ale nie zanim zostaną powieszani.
(Heinrich Heine)*

Było wcześnie rano, dochodziła siódma. Douglas i James jechali w ciszy do Hyde Parku, pogrążeni we własnych myślach.

Poranek był pochmurny, mgła jeszcze nie całkiem opadła.

Skreśli w Rotten Row i od razu pospieszyli Bad Boya i Gartha do galopu. Wiatr smagał ich po twarzy, aż zaczęły im łzawić oczy.

- Podobałoby się to Henry'emu VIII - krzyknął Douglas.

- Tak, podobałoby mu się, dopóki nie zobaczyłby kogoś jadącego naprzeciw niego, wtedy ruszyłby do ataku.

Kiedy Douglas zatrzymał Gartha, śmiał się podekscytowany; gotów był posłać do diabła wszystkie zmartwienia związane z zabójcami. James przystanął koło niego, poklepując Bad Boya po szyi i zapewniając go, że był wspaniałym i szybkim rumakiem. Bad Boy trącił Gartha łbem. Garth usiłował ugryźć Bad Boya w szyję. Przez kilka minut ojciec i syn rozdzielali konie.

James śmiał się, ale nagle śmiech uwiązał mu w gardle. Dostrzegł błysk w promieniach przebijającego się przez chmury słońca. Rzucił się na ojca, upadając razem z nim na ziemię, w chwili gdy rozległ się rozdzierający ciszę poranka strzał.

James przygniótł Douglasa do ziemi, próbując jednocześnie wyciągnąć pistolet z kieszeni marynarki. Kolejny strzał - ziemia rozbryznęła się niecałe piętnaście centymetrów od głowy starszego mężczyzny.

- Cholera, James, złaż ze mnie! - Douglasowi udało się obrócić o sto osiemdziesiąt stopni i chwycić syna w pasie. Uniósł go do góry, przekreślił na plecy i zakrył własnym ciałem. Kolejny strzał i jeszcze jeden, i Douglas osłonił głowę syna ramieniem. Ale te nie trafiały już tak blisko, pewnie dlatego, że Bad Boy i Garth stając dęba i rżąc, zasłaniały zabójcy linię strzału.

- Tato, puść mnie. Douglas stęknął i wstał; podał Jamesowi rękę. Nagle rozjuszony Garth rzucił się do biegu. Douglas przywołał go spokojnym gwizdnięciem, ale Bad Boya już nie było. Koń ojca stanął nieopodal z opuszczonym łbem, dysząc ciężko.

- James, już w porządku. James powoli odwrócił się do ojca.

- Musisz mnie nauczyć, jak przywoływać Bad Boya.

- Nauczę cię - powiedział.

- Tato, chodziło im o ciebie, nie o mnie. Chciałeś mnie chronić.

- Oczywiście, że chcę cię chronić. Jesteś moim synem.

- A ty moim ojcem, do cholery. Chyba sprawdzę te krzaki, w których widziałem błysk.

- Tego drania już dawno nie ma - powiedział Douglas otrzepując się. Bolało go ramię tam, w miejscu gdzie przygniótł je James. Trzymał w dłoni swojego derringera i poszedł z synem, który

również miał pistolet, duży i brzydki, do pojedynków, wzięty z biblioteki Douglasa.

- Nic - powiedział James i zaklął. - Cholera, drań uciekł. Widać, gdzie się zaczął - krzaki są w tym miejscu połamane. To nie jest...

Nagle Douglas podniósł derringera i wystrzelił. Usłyszeli krzyk, a potem zapadła cisza. Douglas ruszył przed siebie, a James podążył za nim. Wybiegli z niewielkiego zagajnika, w chwili gdy mężczyzna z krwawiącym ramieniem wyjeżdżał z parku przez południową bramę.

- Szkoda - zawołał Douglas. - Miałem nadzieję, że trafię go w głowę.

- Za mały cel - odparł James, który odetchnął z ulgą, a jednocześnie był tak zaskoczony, że miał wrażenie, iż serce wyskoczy mu z piersi. Jego ojciec delikatnie pocierał kciukiem swojego srebrnego derringera. - Prawdę mówiąc, dziwię się, że w ogóle go trafiłem. Z derringera można trafić z dwóch metrów, a tutaj było co najmniej piętnaście.

- O Boże, to i tak za blisko, zdecydowanie za blisko. Tato, dajesz słowo, że nic ci nie jest?

- Nic - odparł Douglas w zamyśleniu, patrząc za mężczyzną, który usiłował go zabić. Odwrócił się do syna, stuknął go w ramię. - Dziękuję za ocalenie mi życia. James przełknął ślinę i za chwilę znowu ją przełknął. Jego serce wreszcie zaczęło się uspokajać. Teraz jednak ręce trzęsły mu się ze strachu. O mały włos, zaledwie o mały włos.

- Gdybym nie dostrzegł błysku srebra. - Ponownie przełknął ślinę. - To ty ocaliłeś mi życie i... Douglas dostrzegł strach w oczach syna, objął go więc ramieniem i przytulił.

- Poradzimy sobie z tym, James. Zobaczysz.

- Mam tego dość, naprawdę dość.

- Masz rację. To zaczyna być uciążliwe, James. Chyba nadszedł czas, żebym coś z tym zrobił. Nie mam żadnych informacji o śmierci Cadoudala ani o jego dzieciach. Rano wyruszam do Francji.

- Ale właśnie tam...

- Nie, wróg jest tutaj, James, nie we Francji. Mam tam przyjaciół. Czas, żebym spotkał się z nimi i dowiedział się czegoś o tym szalonym spisku.

- Pojadę z tobą.

- Nie, ty i Jason będziecie moimi uszami i oczami w Anglii.

- Mama nie będzie zadowolona.

- Zamierzam zabrać ją ze sobą - powiedział Douglas. - We Francji jest zdecydowanie bezpieczniej. Kiedy sobie pomyślę, że chciała dziś rano jechać z nami, to robi mi się słabo. Wyjedziemy niepostrzeżenie jutro przed świtem. Nie chcę, żeby nasz wróg wiedział, że nie ma nas w Anglii. Niech ten gnojek dalej knuje. - Uśmiechnął się, patrząc na południową bramę. - Drań będzie musiał wykurować ramię. To powinno powstrzymać go na kilka dni. Potem pomyśli, że tak mnie wystraszył, iż ukrywam się w domu. - Douglas podszedł do Gartha, skubiącego trawę przy ścieżce, i powiedział przez ramię: - Chodź, James. Mamy dużo roboty. Niestety minęło sporo czasu, zanim dotarli do domu, ponieważ Bad Boy uciekł z parku do stajni.

Dwie godziny później Aleksandra wpatrywała się w swojego męża, całkowicie zapomniawszy o filiżance z herbatą. Chrząknęła, ułożyła sobie wszystko w głowie, odstawiła ostrożnie filiżankę na spodeczek i powiedziała:

- Uważam, że to doskonały plan, Douglasie. Wyjedziemy bardzo wcześnie, wymkniemy się tylnym wejściem. James załatwi dorożkę, która będzie czekała na nas na Willowby Street. Stamtąd pojedziemy do doków, gdzie spotkamy się z kapitanem Finchem. Z porannym odpływem wyruszymy do Francji. Już załatwiłeś statek?

- Oczywiście. Jeden kufer, Alex. Weź tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Wstała i strzepnęła spódnice. Podeszła do męża, czując przemożną chęć przytulenia go i chronienia, ale wiedziała, że to niemożliwe. Uśmiechnęła się do niego. Siedział z wyciągniętymi, skrzyżowanymi nogami, z uśmiechem na twarzy.

- Bawi cię to - powiedziała powoli. - Ty nicponiu. Bawi cię to.

- Minęło już tak wiele czasu, ale nie, nie powiedziałbym, że mnie to bawi. Chociaż muszę przyznać, że niebezpieczeństwo sprawia, iż krew zaczyna żywiej krążyć. Będziemy go mieli pod dostatkiem we Francji, ale tam przynajmniej nie będę musiał się tak bardzo niepokoić o ciebie, jak tutaj. Niech ten łotr szuka, kombinuje, i niech nawet wierzy, że się przed nim ukrywam. Wszystko będzie dobrze.

- Tak - odparła i usiadła mu na kolanach. Wtuliła mu twarz w szyję. - Tak, wszystko będzie dobrze.

- Remie nadal będzie krążył po okolicy. Poza tym uruchomiłem kilkunastu przyjaciół, żeby byli czujni i uważali na Jamesa i Jasona. Chcę, żeby chłopcy byli bezpieczni.

- Tak - powiedziała, lecz była tak przerażona, że miała ochotę się rozplakać. - Ale wiesz, że to oni będą stać na czele poszukiwań.

- Nie dostaną nożem pod żebra, Alex. Są mądrzy, szybcy i silni. Ryder i ja nauczyliśmy ich, jak walczyć nieczysto. Nie martw się. Spojrzała na niego, jakby postradał zmysły.

* * *

Trzy godziny po tym, jak ich rodzice wypłynęli do Calais, James i Jason pili herbatę w pokoju śniadaniowym.

- Jakby nigdy nic będziemy zajmować się swoimi sprawami, a jeśli ktoś zapyta, powiemy, że matka i ojciec są w domu i odpoczywają - powiedział James. Jason odezwał się zbulwersowany:

- Ojciec nigdy nie przyznałby, że potrzebny mu odpoczynek. Możesz to sobie wyobrazić?

- Nie, masz rację. - James zmarszczył brwi. - Właściwie powiedziała to matka.

- Jego przyjaciele również w to nie uwierzą. Nie powiedział mi, czy wtajemniczył kogoś z nich, ale znając naszego ojca, pewnie chciał, żebyśmy mieli ochronę, więc założę się, że tak.

- A może powiemy, że rodzice pojechali do Cotswolds z wizytą do wuja Rydera i ciotki Sophie?

- To mogłoby narazić wujostwo na niebezpieczeństwo, dopóki drań nie zorientowałby się, że został wyprowadzony w pole i nie wrócił do Londynu.

- Dobrze. Możemy powiedzieć, że pojechali do Szkocji, do ciotki Sinjun i wuja Co lina. Bliźniacy nadal się nad tym głowili, gdy do pokoju wśliznął się bezszelestnie Willicombe. Miał napiętą twarz, a w jego głosie pobrzmiwała dezaprobata.

- Panie, przyszła do pana pewna młoda dama. Nic nie mówiła, że chce widzieć się z panem, paniczu Jasonie. Jest sama. Czy mam ją odprawić?

- Nie, nie, Willicombe, wprowadź ją. Jason, co powiemy?

- Powiedzmy, że matka nie czuje się najlepiej, więc ojciec zabrał ją nad morze, żeby wypoczęła. Do Brighton. Temu draniowi zajmie sporo czasu, żeby ich tam wysledzić. A teraz idę zobaczyć się z panną Judith McCrae. Jego brat spojrzał na niego w zamyśleniu, a potem powiedział:

- Dziś wieczorem mamy spotkać się z naszymi przyjaciółmi. Zapędzimy tych leniwych łotrów do pracy, żeby zajęli się czymś bardziej pożytecznym niż włóczenie się po burdelach.

- Sądziłem, że dziś wieczorem masz spotkanie w Królewskim Towarzystwie Astronomicznym?

- Gwiazdy mogą poczekać - odparł James, potem uderzył się dłonią w czoło. - O cholera, mam

tam wygłosić referat.

- O zjawisku srebrnej kaskady, które zaobserwowałeś, gdy zajmowałeś się jednym z pierścieni Saturna? James przytaknął i zaczął chodzić po pokoju.

- Huygens mylił się, twierdząc, że pierścienie są lite, Jasonie. Nie są, dlatego właśnie widziałem srebrną kaskadę płynącą przez...

- James, masz zamiar trzymać mnie w holu cały poranek? Martwisz się Saturnem? Obaj mężczyźni odwrócili się i zobaczyli stojącą w drzwiach Corrie, za którą stał Willicombe, machając rękami, gotowy w każdej chwili wezwać Remiego. Nie był w stanie jej powstrzymać. James mógł mu powiedzieć, że Hollis nie kazałby Corrie czekać, nie odważyłby się na to żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach.

- Wszystko w porządku, Willicombe. To panna Corrie Tybourne - Barrett. Jest przyjaciółką. James zrobił krok w jej stronę, wyciągając rękę.

- Corrie, wszystko w porządku? Gdzie twoja pokojówka? Chyba nie przyszłaś tu sama, co? Tak się nie robi, nie powinnaś...

- Muszę z tobą porozmawiać. - Spojrzała wymownie na Jasona, który przyglądał się jej zdeprymowany.

- Niezwykle ładna z ciebie kobieta. - Jason błysnął białymi zębami, co działało na każdą wrażliwą niewiastę w wieku od dziesięciu do osiemdziesięciu. - Wychodzę, James. Zobaczymy się wieczorem. - Przechodząc obok Corrie, Jason musnął palcem jej podbródek. - Uważaj, maleńka, starszy brat jest trochę podenerwowany. Stali, przysłuchując się pogwizdywaniu Jasona i jego krokom na włoskim marmurze w holu.

- O co chodzi, Corrie? Och, usiądź, proszę. Napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję za herbatę. Doszły mnie bardzo dziwne pogłoski, James. James natychmiast zeszywniał. Cholera, słyszała o zamachach na życie jego ojca.

- Jakie pogłoski? - spytał ostrożnie.

- O Juliette Lorimer.

- O Juliette Lorimer? Kto... o tak, to ta dziewczyna, która całkiem dobrze tańczy i... Co o niej słyszałaś?

- Co to znaczy, że całkiem dobrze tańczy? Czy to znaczy, że jest taka wyjątkowa? Czyja nie tańczy dobrze?

- Jeszcze nie, ale będziesz. Jakie pogłoski słyszałaś o panie Lorimer?

- Słyszałam, że zagięła na ciebie parol, James. Zamierza się za ciebie wydać. Możliwe, że woli Jasona, ale to musisz być ty, ponieważ ty jesteś dziedzicem.

- A gdzie to słyszałaś? Corrie podeszła bliżej, wspięła się na palce i wyszeptwała:

- Daisy Winbourne powiedziała mi, że rozmawiało o tym ze dwadzieścia matek i ich córek w pokoju dla dam. Brat Daisy wspomniał nawet, że niedługo będzie obstawiony zakład u White'a. Zbladł. Potrząsnął głową, nie spuszczać z niej wzroku.

- W Księdze Zakładów White'a?

- Najwyraźniej. Niebawem. Wszyscy chcą jeszcze raz widzieć was razem, zanim zostanie ustalona wysokość zakładu. No wiesz, żeby zobaczyć, czy wyglądasz na zakochanego. Zamierzasz się z nią ożenić, James?

- Cholera, oczywiście że nie. Ja nawet nie znam tej przeklętej dziewczyny. Corrie uśmiechnęła się szeroko.

- O co chodzi? Nie lubisz jej?

- Oczywiście że nie - odparła Corrie i naciągnęła rękawiczki. - Dlaczego miałabym ją lubić? -

Pogwizdując, odwróciła się i wyszła z pokoju. Diabeł go podkusił, żeby za nią zawołać:

- Ale zamierzam zatańczyć z nią jutro na balu Lanscombe'ów. Wtedy zobaczymy, prawda?

Nie pozwoliła, żeby dostrzegł, jak uśmiech znika z jej twarzy. Tego wieczoru James odczytał referat na temat fenomenu srebrnych kaskad na Tytanie, głównym pierścieniu Saturna na comiesięcznym spotkaniu Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego. Obecnych było trzydziestu panów, miłośników gwiazd, z których kilku święcie wierzyło, iż Ziemia znajduje się w centrum wszechświata, a ten heretyk Galileusz to oszust. Znajdowały się tam również dwie panie, żony prelegentów, które wpatrywały się w Jamesa tak intensywnie, że marzył tylko o tym, by skończyć referat i wyjść. Odczyt został dobrze przyjęty, głównie dlatego, że był zwięzły, chociaż większość członków uważała, iż był za miodny, aby zrozumieć to, co zaobserwował. Otrzymał od obu pań zaproszenia na obiad, rzekomo z ich mężami.

Wrócił do domu o dziesiątej wieczorem i zastał w bibliotece ojca dużą grupę przyjaciół, trzeźwych jak niemowlaki, klnących na czym świat stoi z oburzenia, i gotowych zabić drania w imieniu hrabiego.

- Najpierw musimy dowiedzieć się, kto to jest - powiedział Jason. - Jak już mówiłem, mamy tylko nazwisko Georges Cadoudala, ale on najwyraźniej nie był wrogiem mojego ojca, kiedy umierał jakiś czas temu. Ojciec jest we Francji i próbuje się dowiedzieć, czy Cadoudal miał dzieci. Może chodzić o zemstę, ale skoro ojciec i Cadoudal nie byli wrogami, nie ma to sensu.

- Dzieciom, zwłaszcza synom, mogą przyjść do głowy różne pomysły, Jasonie. Jeśli ojciec nie żyje, to na pewno są to jego dzieci.

- Zobaczymy. Na razie nie mamy innych tropów. W każdym razie bądźcie czujni, jeśli usłyszycie to nazwisko albo jeśli pojawi się jakieś inne. James uśmiechnął się, widząc, jak brat zapisuje coś w małym zeszyciku; z pewnością były to zadania, które właśnie rozdzielił. Jason - logiczny i bystry. James wiedział, że każdemu przypisał odpowiednią rolę.

Do północy młodzieńcy w tym pokoju zyskali poczucie misji. Mieli ocalić lorda Northcliffe'a, zostać bohaterami i zasłużyć sobie na dożgonną wdzięczność.

Gdy bracia szli na górę, żeby udać się na spoczynek, James spytał:

- Jak udało ci się wymyślić tyle różnych zadań?

- Nie tak znowu dużo, skoro połączyłem ich w pary. Johnny Blair, na przykład, zna prawie wszystkich Francuzów w Londynie, ponieważ jest zaręczony z córką zaboja. Johnny umie dochować tajemnicy, pod warunkiem że nie pije, a Horace Mickelby dopilnuje, by był trzeźwy i czujny. Reddy Montblanc, który jest niemal ślepy na jedno oko, to jeden z najlepszych tropicieli w Anglii. On i Charles Cranmer sprawdzą okolicę, w której zabójca usiłował zastrzelić ojca. I tak dalej. Co do nas, to pojutrze w nocy powinien być tutaj ten francuski kapitan. Spotkamy się z nim osobiście. Jak ci poszły rozmowy w towarzystwie?

- Krótkie i rzeczowe, i zauważyłem, że cała starszyzna miała ochotę poklepać mnie po głowie. Ciekawe, czy rodzice są już w Paryżu.

- Powinni być tam niebawem, o ile już nie dotarli. Jak powiedział ojciec, ma tam wielu przyjaciół. Ktoś musi coś wiedzieć albo musiał coś słyszeć. O Cadoudalu i jego rodzinie. Mam nadzieję, że mama nie mówi po francusku.

- Naprawdę się stara - powiedział James i się zaśmiał.

- Ma szczęście, że nie żyjemy w poprzednim stuleciu, w czasach królów hanowerskich. Wyobrażasz sobie, jak próbowałaby nauczyć się niemieckiego?

ROZDZIAŁ 14

Kogut może piąć, ale to kura znosi jajka.

(Margaret Thatcher)

Noc była ciepła, jak na pierwszy października, ale ponieważ matka Remiego Willicombe'a powiedziała mu, że będzie padać przed północą, James włożył cieplejszy płaszcz.

Nie miał specjalnej ochoty iść na bal Lanscombe'ów przy Putnam Square, ale obiecał panie Lorimer, że wpadnie, choć nie miał zamiaru tam zabawić. Nie miał również zamiaru znaleźć się w Księżce Zakładów White'a. Jeden taniec z panną Lorimer, to wszystko.

Jason oznajmił, że wybiera się z przyjaciółmi do jednego z klubów, na co James szturchnął brata i spytał go, dlaczego panna McCrae nie prosiła, by był obecny na balu. Jason spojrział na niego, marszcząc brwi, i powiedział, że z tego, co zrozumiał, lady Arbuckle zaniemogła i Judith została w domu, żeby się nią opiekować.

Bliźniacy mieli spotkać się o północy u White'a, skąd mieli udać się do doków, do tawerny „Crooked Cat”, gdzie podobno częstym gościem był pewien francuski kapitan.

Kiedy James ujrzał pannę Lorimer, musiał przyznać, że wyglądała niezwykle uroczo, w fioletowej sukni z ogromnymi rękawami, sprytnie usztywnionymi drewnianymi prętami, jak poinformowała go jej matka. Spódnica falowała, uniesiona na co najmniej sześciu halkach. Włosy miała upięte z tyłu głowy w kok, a na czoło i uszy opadały jej drobne loczki.

Potem dostrzegł Corrie, która stała z ciotką na drugim końcu sali balowej, w śnieżnobiałej sukni, której każda fałda i draperia zdradzała gust jego ojca. Uznał, że wygląda uroczo, dopóki nie spojrział na jej dekolt, a wtedy zmarszczył brwi. Za bardzo wydekoltowana, pomyślał, ciotka Maybella powinna zwrócić jej na to uwagę. W przypadku osiemnastoletniej młodej damy było to niestosowne.

Może pomoże jej podszlifować kroki taneczne, kiedy już zatańczy z panną Lorimer. To z pewnością uciszy plotki, chyba że wszyscy wiedzą, iż Corrie jest dla niego jak siostra, a wtedy nikt nie zwróci uwagi na to, co robią.

A więc panna Lorimer postanowiła wydać się za niego. Pewnie był to raczej wybór jej matki, pomyślał cynicznie James, powoli zmierzając w jej stronę. Szybko się zorientował, że wszyscy słyszeli o zamachach na jego ojca.

Przyjaciele ojca zatrzymywali go, wypytywali i ze zdziwieniem unosili brwi, kiedy każdemu z nich powtarzał, że rodzice wyjechali do Brighton, ponieważ matka nie czuła się najlepiej - co z każdą chwilą stawało się coraz bardziej idiotycznym tłumaczeniem.

- Aleksandra nigdy w życiu nie była chora - powiedział lord Ponsonby - poza jedynym razem, kiedy położyła się, żeby urodzić ciebie i twojego brata, no ale to trudno uznać za chorobę, nieprawdaż? Przytaknął, że rzeczywiście nie była to choroba, i miał ochotę uciec.

- Hm - odezwał się lord Ponsonby. - Powiedziałaś do Brighton, James? Coś tu śmierdzi, chłopcze, i to tak bardzo, że zorientowałem się, jaki z ciebie kiepski kłamca. Twój ojciec -

doskonały kłamca - patrzyłby mi prosto w oczy. James zaklął pod nosem. Po powrocie do domu miał zamiar zrzucić swojego brata z balkonu.

Wreszcie dostrzegł pannę Lorimer. Patrzyła na niego zza ramienia swojej matki, a jej oczy błyszczały. Nie, pomyślał, to coś więcej. Oceniały.

Kiedy się do niej zbliżył, usłyszał:

- Miło pana widzieć, sir. Czy pan to James?

- Tak, jestem James - odparł. - Mogę prosić panią do tańca, panno Lorimer? - i spojrzał na jej matkę, która delikatnie skinęła głową.

- Tak, jeśli będzie pan do mnie mówił Juliette.

- Dobrze, Juliette. - Ujął jej białą dłoń, położył na swoim ramieniu i poprowadził ją na parkiet. Musiał przyznać, że tańczyła lekko i z wdziękiem. Ale nie była w stanie odróżnić go od jego brata. To zabolalo. Gdy tylko walc się skończył, odprowadził ją do matki. Ukłonił się i odszedł. Powietrze w sali balowej było ciężkie, a zapach damskich perfum drażnił nozdrza. Dostrzegł machającą do niego Corrie. Miał ochotę wyjść, zważywszy na to, że lord Ponsonby zapewne opowiedział już wszystkim swoim kumplom, że James był żalonym kłamcą i że powinni laniem zmusić go do powiedzenia prawdy, ale Corrie wyglądała tak apetycznie... Poza tym dekoltem, na którego widok wszyscy mężczyźni będą się ślinić i nieprzyzwoicie fantazjować.

Podszedł do niej, pogładził palcem jej policzek i powiedział:

- Ten krem działał cuda. To się nazywa gładka skóra. Uśmiechnął się i zwrócił do lady Maybelli w sukni z błękitnego jedwabiu, która, zdaniem Jamesa, miała co najmniej o trzy falbany za dużo.

- Przyszedłeś zatańczyć z Corrie? Masz szczęście. Ja nie bardzo mogę cieszyć się jej towarzystwem dziś wieczór, bo tylu młodych dżentelmenów chce z nią tańczyć.

- Proszę, nie przesadzaj, ciociu Maybello. Nie było ich więcej niż dwunastu - powiedziała Corrie, co wywołało uśmiech na twarzy Jamesa. Maybella, poklepując go wachlarzem po ramieniu, rzuciła:

- Nie więcej niż dwa tańce, Jamesie. Nie chcemy, żeby ludzie coś sobie pomyśleli. Poza tym popatrz na te tabuny kawalerów, którzy zmierzają w tę stronę. James nie widział żadnych tabunów, a jedynie dwóch mężczyzn, z których jeden mógłby być ojcem Corrie.

James obdarzył Maybellę czarującym uśmiechem i poprowadził Corrie na parkiet, czując, jak poklepuje go palcami po ramieniu.

- Zrobisz mi dziurę w rękawie. Co się z tobą dzieje?

- Chcę ci pomóc - odparła. Uniósł brew.

- Chodzi o twojego ojca. Nie mogę znieść myśli, że ktoś mógłby go skrzywdzić. Jakbym sobie poradziła, gdyby zabrakło tego, kto mi mówi, w co mam się ubrać? Chodź, nie bądź taki sztywny. Znam twojego ojca całe swoje życie. Chcę pomóc znaleźć drania, który próbuje go zabić. Jestem bystra. Pozwól mi pomóc. James westchnął. Nawet nie próbował się domyślić, skąd się dowiedziała.

Przy takiej gromadzie rozpytujących wokoło ludzi było oczywiste, że wszystko w mig się wyda. Prawdę mówiąc, gotów był się założyć, że mówili o tym na tej sali wszyscy. A może to i lepiej. Chciał jej oznajmić, że za żadne skarby nie narazi jej na niebezpieczeństwo.

- Zawsze umiałaś odróżnić Jasona i mnie - powiedział. To zbiło ją z tropu, i dobrze. Przybrała ironiczny ton.

- Zawsze ci powtarzam, że ty to ty, całkowicie różny od swojego brata - Najwyraźniej panna Lorimer nie jest w stanie tego dostrzec.

- Widzisz, nie możesz się z nią ożenić, James. Ona nawet nie wie, kim jesteś. Było w tym sporo racji. A potem diabeł go podkusił, żeby znów się odezwać.

- Jeśli mówimy o aniele, to nie uważasz, że panna Lorimer wygląda dziś cudownie? Ma na sobie liliową suknię, nie purpurową.

- O aniele? James przytaknął.

- To imię wybrane dla niej.

- Przez kogo? Wzruszył ramionami.

- Chyba przez panów.

- Może sama wymyśliła sobie takie imię.

- A nawet jeśli, to co? Nie uważasz, że do niej pasuje?

- Jeśli podoba ci się doskonałość, to tak, chyba pasuje. Ciekawe, jakie imię powinnam wybrać dla siebie. Wiem, może panna Krem? Odchylił do tyłu głowę i roześmiał się.

- Panna Krem? To dobre, Corrie.

- To był kiepski kalambur.

- A może Diablica.

- Nie jestem wystarczająco zła, przynajmniej na razie.

- Nigdy nie będziesz zła - powiedział, patrząc z góry na jej piersi. - A przynajmniej nie będziesz, jeśli trochę przykryjesz swój dekolt.

- Taka jest moda, James. Jeśli ja mogę przyzwyczaić się do głębokiego dekoltu, to ty również możesz. Przestań się nad tym rozwodzić. A skoro nie mogę być zła, to możesz mnie nazywać Lodową Księżniczką. Słyszałam, że tak nazywano jakąś pannę Franks kilka sezonów temu. Wyszła za męża za hrabiego, który miał osiemdziesiąt lat i był jedną nogą w grobie. Czy to nie ciekawe?

- Słodki Jezu - powiedział James, i obrócił ją dookoła, aż się roześmiała i znowu straciła wątek.

- Coraz lepiej ci idzie. Zapomnij o Lodowej Księżniczce. Takie przezwisko sprawi, że panowie będą chcieli nauczyć cię różnych rzeczy, których jeszcze przez bardzo długi czas nie będziesz się musiała uczyć. Czy byłaś posłuszna?

- Posłuszna? W jakiej kwestii?

- Nie tańczyłaś z Devlinem Monroem? Nie nadstawiłaś mu szyi? Roześmiała się tak serdecznie, że sam się uśmiechnął.

- Pozwoliłam tylko lekko się ugryźć, nic poza tym. - Odwróciła głowę. - Widzisz ślad? Tuż pod lewym uchem? Miał ochotę sam dać sobie kopniaka za to, że spojrzał.

- Przypomnij mi, że mam spuścić ci lanie.

- Ha. Tamtym razem udało ci się mnie zaskoczyć. Uniósł brew.

- Tak sądzisz? Nie przypominam sobie, żebym wcześniej słyszał kogoś, kto by tak zawodził. Zanim zdążyła odpowiedzieć, zaczął tańczyć coraz szybciej, aż w końcu dyszała zmęczona i rozbawiona, z trudem łapiąc oddech i przeklinając swój gorset. Kiedy zwolnił, wysapała:

- Och James, to cudowne. Ilekroć będę chciała zdiełać cię po głowie, wystarczy, że ze mną zatańczysz, a od razu wszystko ci wybaczę.

- Coraz lepiej ci idzie. Trzymaj się z daleka od Devlina Monroe'a. Mówię poważnie, Corrie.

- Wczoraj zabrał mnie do Pantheon Bazar. Chciał mi kupić śliczną wstążkę do włosów - on uważa, że mam piękne włosy - ale jestem porządną panią i nie pozwoliłam mu na to. Wydawało mi się to wyjątkowo intymne, zwłaszcza że sam chciał mi ją wpleść. Wiesz, że stanął tak blisko z tą wstążką, że czułam jego oddech na nosie? - Zadrżała lekko, a on już gotowy był zabić.

Dostrzegł błysk w jej oku i opanował się.

- Twoja ciotka nie powinna pozwolić ci z nim wychodzić. Będę musiał z nią o tym porozmawiać. On nie jest materiałem na męża, Corrie.

- Materiałem na męża? Chcesz znać prawdę, James? Rozmyślałam o tym i naprawdę nie umiem sobie wyobrazić, że zwiążuję się z mężczyzną i zmieniam nazwisko. Boże, nazywałabym się Corrie Tybourne - Barrett Monroe. A mąż rozkazywałby mi i wymagał, żebym robiła wszystko co mi każe. - Przez chwilę stała zamyślona z przymrużonymi oczami. - Z drugiej strony muszę się do czegoś przyznać. Przechodziłam kiedyś koło sypialni ciotki Maybelli i wuja Simona, i wiesz co? James był pewien, że za chwilę oczy uciekną mu w tył głowy. Nie chciał tego słyszeć. Wolałby pojechać do Chin.

- Co? Zbliżyła się.

- Słyszałam ich śmiech. Tak, śmiech, a potem wuj Simon powiedział całkiem wyraźnie: „Pobawię się tobą przez chwilę, Bella”. Co ty na to, James? No cóż, przecież sam spytał. Ciekawe, czy ciotka Maybella nosiła błękitną koszulę nocną? Nie, musiał przestać o tym myśleć.

- Trzymaj się z daleka od Devlina Monroe - powiedział.

- Zobaczymy, prawda? - Uśmiechnęła się do niego promiennie, ale zaraz zrobiła płaczliwą minę. - A niech to, walc się kończy. Był za krótki. Ktoś go za wcześnie skończył. Założę się, że to Juliette Lorimer przekupiła orkiestrę, żeby wcześniej skończyli. Chyba ktoś powinien z nimi porozmawiać. Może... - Spojrzała na niego z nadzieją, ale potrząsnął głową.

- Nie, muszę już iść, Corrie. Lubię, kiedy masz prostą fryzurę, upiętą na czubku głowy. Nie wyglądałabyś dobrze w burzy loczków. Albo we wstążkach. Zapomnij o wstążkach, zwłaszcza tych, kupionych przez mężczyzn.

Corrie podejrzewała, że był to komplement. Chciała jeszcze raz zatańczyć, więc powiedziała:

- Devlin chyba stoi za tą grubą damą, rozmawia z jakimś młodym człowiekiem, który również wygląda na łotrzyka. Hm. Może uda mi się zwrócić na siebie jego uwagę. - Uniosła się na palcach i wyszeptowała mu do ucha: - Chyba powiem mu, żeby nazywał mnie Lodową Księżniczką. Ciekawe, co on na to? Ale jej przedstawienie było daremne, ponieważ James jej nie słuchał.

Odwrócił się, bo ktoś pociągnął go za rękaw. Był to jeden z kelnerów wynajętych na ten wieczór, który wcisnął Jamesowi do ręki liścik.

- Jakiś dżentelmen powiedział, żebym to panu dostarczył, sir. Niezwłocznie - powiedział. Serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Odszedł bez słowa, nie patrząc na młode damy, które zerkwały na niego z ciekawością. Wyszedł na taras. Na drugim jego końcu dostrzegł obściskującą się parę, i miał ochotę powiedzieć temu staremu lubieżnikowi, Basilowi Harmsowi, że niewystarczająco się skrył. Ciekawe, czyją żonę uwodził.

Cicho przemknął po schodach do ogrodu i ruszył do tylnej furtki. Nie miał przy sobie broni, psiakrew, i pewnie nie działał zbyt rozsądnie, ale może dowie się czegoś o człowieku, który usiłuje zabić jego ojca. Nie miał wyboru. Poza tym, kto chciałby go skrzywdzić? Nie, chodziło im o jego ojca. Światła sali balowej stawały się coraz bledsze, aż w końcu znalazł się w całkowitej ciemności i widział jedynie zarys wąskiej furtki kilkanaście metrów przed sobą. Nie był głupi. Rozejrzał się dookoła, czy nic mu nie grozi, nasłuchiwał, ale wokoło panowała cisza. Mężczyzna, z którym miał się spotkać, czekał na niego przy tylnej furtce.

Jakie miał informacje? James miał nadzieję, że wystarczy mu pieniędzy, żeby zapłacić temu mężczyźnie.

Usłyszał szelest liści z prawej strony. Obrócił się szybko, ale niczego nie dostrzegł, żadnego ruchu, światła, nic. Z pewnością nie mogli to być jacyś zbłąkani kochankowie. Czekał, nasłuchując. Był czujny; był gotowy.

Miał jeszcze jakieś pół metra do porośniętej bluszczem furtki. Kamienny mur, otaczający ogród, również porastał bluszcz.

Zwolnił. Wyczuwał niebezpieczeństwo; wręcz czuł jego zapach.

Nagle z cienia wyszedł mężczyzna i stanął na końcu ścieżki, tuż przed furką. Niskim, dudniącym głosem powiedział:

- Lord Hammersmith?

- Tak, to ja.

- Mam informacje na sprzedaż na temat pańskiego ojca.

- Jakie informacje? Mężczyzna wyciągnął plik kartek ze starej czarnej kurtki.

- Chcę pięć funtów za wszystko. Na szczęście miał przy sobie pięć funtów.

- Zanim ci zapłacę, powiedz mi, co masz.

- Nazwiska, panie, nazwiska i adresy, które pański ojciec, jak powiedział ten dżentelmen, który dał mi te papiery, chciałby poznać. Także jakieś listy. Pięć funtów. Nawet jeśli było to bezwartościowe, to z pewnością można było za to zapłacić pięć funtów. James sięgał do kieszeni, gdy wtem mężczyzna rzucił papiery, wyciągnął pistolet i powiedział:

- Nie ruszaj się, panie. Stój i nawet nie drgnij.

ROZDZIAŁ 15

Życie to szereg nieszczęśliwych przypadków (przypisywane Elbertowi Hubbardowi)

James już był w akcji. Nogą wytrącił mężczyźnie z ręki pistolet, który poleciał w bluszcz. Mężczyzna krzyknął, chwycił się za rękę. James już prawie go dopadł, gdy zarzucono mu na głowę gruby koc i usłyszał dwa głosy, z których jeden wyszeptał:

- Nie wrzeszcz, głupcze. Zawiniemy go, żeby nie mógł kopać i połamać nam karków.

- Chcę mu skopać tyłek, Augie, bo ten drań prawie złamał Billy'emu rękę. James szarpał się z kocem, usiłując znaleźć róg, ale został uderzony pistoletem w ramię, a potem jeszcze mocniej w głowę. Gdy silny ból zwałił go na kolana, jego głośne przekleństwa powinny zaalarmować straż. Kolejne uderzenie w głowę. Upadł i stracił przytomność.

Z gardła Corrie nie wydobył się krzyk. Mogłaby rzucić się na napastników, którzy z pewnościądzieliliby ją pistoletem w głowę, ale jak by to pomogło Jamesowi? Patrzyła, przerażona i wściekła, wcisnąwszy pięść do ust.

Widziała, jak go podnoszą, a potem jeden z mężczyzn, zdecydowanie większy od pozostałych, zarzucił sobie owiniętego w koc Jamesa na ramię.

- Nie jest lekki. Zabierajmy go stąd, szybko.

Serce waliło jej jak oszalałe, ale cichutko pobiegła za nimi do tylnej furtki. W alei dostrzegła powóz zaprzęgnięty w dwa gniadosze. Jeden z mężczyzn wdrapał się na kozioł i chwycił lejce. To był Billy. Odchylił się.

- Ruszajmy, Ben, dobrze zwiąż naszego paniczyk. Jest piekielnie silny, a jak mnie kopnął w nadgarstek, to aż poczułem mrowienie w palcach. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś się tak ruszał. Lepiej nie spuszczać go z oka. Widziała, jak rzucają Jamesa na podłogę powozu, a potem sami wsiadają do środka. Mężczyzna wychylił się przez okno i syknął:

- Ruszaj, Billy! Mamy kawał drogi przed sobą.

Corrie obserwowała, jak Billy cmoknął na konie i machnął lejcami. Powóz powoli potoczył się aleją prowadzącą do Clappert Street.

Nie zastanawiała się, nie liczyła z konsekwencjami. Po prostu pobiegła za powozem i lekko wskoczyła na tył, chwyciła za skórzane pasy i przywarła do tylnej ściany. Jako dziecko lubiła tak jeździć za Jamesem lub Jasonem, śpiewając na całe gardło i czując we włosach podmuchy wiatru. Jedyne różnica była taka, że teraz miała na sobie śliczną suknię balową, a na stopach urocze białe pantofelki.

Jednak to było bez znaczenia.

Musiała być cicho, nie spaść i nie dać się zauważyć tamtym mężczyznom. Cóż, z pewnością wielokrotnie udawało się jej ukryć przed Jamesem i Jasonem, kiedy podglądała ich bójki, rzucanie nożem do celu, zawody w przeklinaniu. Ale teraz było inaczej, musiała to przyznać. Co robi, kiedy się zatrzymają. Cóż, coś wymyśli. Będzie musiała.

Dlaczego porwali Jamesa? Żeby dotrzeć do jego ojca, oczywiście. Liścik, który kelner wcisnął Jamesowi do ręki, to był podstęp. James nie powinien był sam iść do ogrodu Lanscombe'ów. Idiota. Na szczęście wszystko widziała.

Konie zaczęły biec klusem. Ulice były prawie puste. Dzięki Bogu na niebie świecił półksiężyc. Coś wymyśli. Musi uratować Jamesa. I tyle. Nie miała pojęcia, dokąd jadą, ponieważ nie widziała Tamizy. Nagle zauważyła drogowskaz do Chelmsford. Ach, więc kierowali się na wschód. Czy przypadkiem do Cambridge nie jechało się w tym samym kierunku? Nie wiedziała, ile czasu minęło. Bolały ją ramiona, a palce drętwiały. Narzekanie nie miało sensu, jeśli w pobliżu nie było kogoś, kto by tego wysłuchał, więc Corrie dała sobie spokój i zaczęła nucić pod nosem. Trzymała się pasów, i tylko tyle mogła zrobić.

Przypomniała sobie, jak James podniósł ją i wrzucił do stawu na tyłach posiadłości jej wuja. Na nieszczęście jej bryczesy, skradzione z ubrań dla biednych w parafii, zaplątały się w trzciny i omal nie utonęła. Aż zachichotała, na wspomnienie, jak bardzo był blady, kiedy uświadomił sobie, co się stało i ją wyciągnął. Niemal połamał jej żebra, usiłując wypompować wodę z jej płuc. A potem trzymał na kolanach ośmioletnią Corrie, kołysząc ją w tył i w przód i błagając, żeby mu wybaczyła, aż w końcu zwymiotowała na niego wodę ze stawu.

Corrie nie pamiętała, czy mu wybaczyła, czy nie. W następnym tygodniu przywiązał ją do drzewa, kiedy chciał zabrać Melissę Banbridge na spacer po lesie i zauważył, że ich śledziła. Udało jej się rozwiązać sznur, ale nie znalazła ich. Wrzuciła mu kilka żab do butów, które zostawił do wyczyszczenia. Niestety, słyszała, jak jeden ze służących zastanawiał się, jakim cudem żaby zaległy się w garderobie.

Wytrzymaj, wytrzymaj, nie myśl o niczym, tylko o tym, żeby wytrzymać. Robiło się coraz chłodniej. Która mogła być godzina? Nie miała pojęcia.

Ominęli Chelmsford. Zauważyła drogowskaz do Clacton - on - Sea, i powóz ostro skręcił w prawo. Jechali w kierunku kanału La Manche.

Czasami słyszała głosy dobiegające z powozu, ale nie była w stanie rozróżnić słów. A jeśli te ciosy w głowę go zabiły? Nie, to były głupie myśli. Czy był przytomny? Czy jeden z głosów, które słyszała, należał do niego? Nic mu nie będzie. Na pewno. Rozboli go głowa, ale poza tym nic mu nie będzie. Nie wiedziała, co zrobi, jeśli jemu coś się stanie. Zaopiekuje się nim, właśnie to robi, a potem sama go zabije za to, że był na tyle głupi, żeby samemu pójść do ogrodu.

Nagle powóz zjechał z wybrukowanej drogi na jeszcze węższą, tak wąską, że w pewnym momencie Corrie dostała gałęzią w ramię i omal nie spadła na ziemię.

Mocniej przywarła do powozu i zaczęła się modlić. Usłyszała jakiś hałas i omal nie wyzionęła ducha ze strachu. A to dzwoniły jej własne zęby. Dobry Boże, czy miała zamarznąć na śmierć, zanim ten cholerny powóz dotrze tam, dokąd zmierzał?

Wreszcie zwolnił. Na końcu drogi dostrzegła małą podniszczoną chatę. Konie szły wolno, aż w końcu Billy je zatrzymał i krzyknął do tych w powozie:

- To chyba tutaj. Całkiem niezłe, miło, przyjemnie i na uboczu. Przygotujcie rannego paniczyka, nie chcę, żeby sprawiał jakieś kłopoty. A, i miejcie baczenie na jego piekielne nogi! Augie wystawił głowę przez okno.

- Dobrze go związaliśmy, chłoptaś się nie ruszy, Billy.

- Dobrze. Jeśli stracimy naszego gościa, nie dostaniemy kasy. Porwali Jamesa, żeby zmusić jego ojca do wymiany. Augie i Ben rozmawiali, narzekali, a ona uświadomiła sobie, że zobaczą ją,

ponieważ jej suknia była śnieżnobiała. Na szczęście Billy poszedł na przód powozu. Kiedy otworzył drzwi, przesunęła się w bok i schowała za tylnym kołem. Zdrętwiały jej nogi i musiała złapać się koła, żeby zachować równowagę. Była obolała, zmarznięta, przerażona bardziej niż kiedykolwiek w życiu, i zamierzała ocalić Jamesa.

- Chłopak waży tyle, co moja matka, ale ona nie była taka wysoka.

- Zamknij się, Billy. Dobra, zanieś go do chaty. Śmieszne, że tak szybko stracił przytomność. Miej go na oku, ten chłopak jest cwany. Sam chciałbym mieć kiedyś takiego syna.

- Twój ptaszek musiałby się podnieść - odezwał się Augie. - Kiedy ostatni raz to się stało?

- Kiedy jego gospodyni sprąła go kapciem, aż się rozochocił - powiedział Billy. Mężczyźni zarechotali i stękając wnieśli, najwyraźniej nadal nieprzytomnego, Jamesa do chaty. Corrie wciąż trzymała się koła i obserwowała. Będą musieli coś zrobić z końmi. Czekala, aż wszyscy wejdą do środka, potem z trudem poruszając zdrętwiałymi nogami, pokuśtykała między drzewami do bocznej ściany chaty. Ruch sprawił, że wróciło jej uczucie w nogach.

Przykucnęła pod brudnym oknem i spojrzała do środka. Była tam jedna izba z wąskim łóżkiem. Znajdował się tam również zniszczony stół i cztery krzesła oraz obskurna część, która najwyraźniej służyła za kuchnię. Kominek był po prawej stronie. Widziała, jak rzucili Jamesa na wąskie łóżko i ściągnęli z niego koc. Była tak wściekła, że omal się nie przewróciła. Na jego policzku dostrzegła strużkę krwi.

Billy uderzył go kilkakrotnie w twarz, potem wyprostował się i zaczął mu się przyglądać.

- Ciągłe nieprzytomny. Augie, mówiłeś, że ocknął się w powozie?

- Tak - odparł Augie. - Kiedy klepnałem go parę razy, żeby doszedł do siebie, znowu odpłynął.

Niedługo się ocknie. Mógłbym zjeść konia z kopytami, Ben. Przygotuj nam coś. Rozgaszczają się, pomyślała. Na jak długo? Bliskość morza sprawiała, że było jeszcze chłodniej, ale przynajmniej tu nie wiało. Nagle zrobiło się ciemno. Podniosła głowę i zobaczyła, że czarne chmury zakryły księżyc.

Augie po chwili wyszedł na zewnątrz i zaprowadził konie do małej szopy po drugiej stronie chaty. Obserwowała Jamesa, potem obserwowała, jak Billy zanoszą polana do kominka.

Co robić?

Zauważyła, że James poruszył ręką. Poczula taką ulgę, że niemal krzyknęła. Wydawało się jej, że obserwował mężczyznę spod ledwie otwartych powiek. Usiłował coś wymyślić.

Zrobiło się tak zimno, że gotowa była oderwać kawałek sukni i wejść do chaty, wymachując nią jak białą flagą. Zaciśnęła jednak zęby i czekała. Trzej mężczyźni rozmawiali cicho o niczym. Widziała, jak Augie wstał i podszedł sprawdzić, jak się ma James.

- Nadal nieprzytomny. Nie podoba mi się to. Mamy dostarczyć go żywego facetowi, który nam płaci.

- Myślisz, że ten facet poderżnie mu gardło, czy weźmie za niego okup?

Augie wzruszył ramionami.

- Nie wiem. To nie nasza sprawa. Ale to wielce przystojny kawaler i szkoda go, bez względu na to, co się z nim stanie. Augie sprawdził sznurek, którym były związane ręce i nogi Jamesa.

Przynajmniej ręce zwiążali mu z przodu. Augie wrócił do kominka, gdzie pozostali dwaj mężczyźni wyciągnęli się na ziemi.

- Dobra, ja pierwszy obejmę wartę. Billy, obudzę cię za dwie godziny. Augie usiadł na krześle i zapatrzył się w ogień. Najwyraźniej temu draniowi było ciepło i wygodnie.

Nadszedł czas. Musiała coś zrobić. Gdy okrążyła chatę, zorientowała się, że znajdowała się

zaledwie trzydzieści metrów od urwiska, pod którym była wąska ciemna plaża. Corrie pobiegła do szopy i wśliznęła się do środka. Szopa była mała i rozpadała się. Ale zgromadzono w niej, rzucone na kupę, stare koce, jakieś rolnicze narzędzia i zgniłe siano. Jeden z koni uniósł łeb, ale na szczęście tylko prychnął. Poklepała go.

- Pomożesz mi, mój piękny, a twój brat pomoże Jamesowi - powiedziała. Zauważyła, że Augie dał każdemu koniowi worek z owsem i wodę. Dobrze.

Teraz musiała tylko wyciągnąć Jamesa z tej okropnej chaty. Przejrzała zardzewiałe narzędzia, zatrzymała się, a potem uśmiechnęła.

James obserwował, jak Augie wraca na krzesło. Niebawem Billy i Ben zasną. Ale jak pozbyć się Augiego i nie obudzić dwóch pozostałych? Czy da radę wszystkim trzem? Nie był tego pewny. Bolała go głowa, ale poza tym nic mu nie było. Wiedział, że musi uwolnić nogi z więzów, wtedy będzie miał jakąś szansę. Ale Augie zauważy, jeśli usiądzie i zacznie rozwiązywać sznur na kostkach. Postanowił poluzować więzy w nadgarstkach. Dzięki Bogu uwierzyli, że nadal był nieprzytomny, bo inaczej związałyby mu ręce z tyłu i pewnie przywiązałyby go jeszcze do łóżka.

Wtem zauważył jakiś ruch. Spojrzał na brudne okno za plecami Augiego. Zobaczył coś białego, co wyglądało jak flaga. Zamrugał i skupił się. Tak, to wciąż tam było. Głowa Augiego powoli opadała na piersi.

James dostrzegł twarz.

Corrie.

Patrzył na nią, powoli unosząc rękę, żeby zrozumiała, że był przytomny. Poruszył palcami.

Spostrzegł ten jej uśmiezek, biel jej zębów kontrastowała z brudną szybą.

A potem zniknęła. Zamierzała coś zrobić, a on musiał być gotowy na to, co zaplanowała.

ROZDZIAŁ 16

*Jedna mądra głowa jest lepsza
od setki silnych rąk.
(Thomas Fuller)*

Nastawił uszu. Usłyszał jakiś hałas na dachu, jakby cichy odgłos kroków, a może to była tylko gałąź.

Nie, to nie była gałąź ani zwierzę. To musiała być Corrie, ale co ona tam robiła? Zaczął się zastanawiać, jak zamierzała dostać się do środka.

Po chwili już znał odpowiedź na to pytanie, gdy z kominka zaczął się wydobywać dym. Tym samym Corrie dała Jamesowi czas na rozwiązanie nóg. Natychmiast usiadł i rozsypał więzy na kostkach. Minęło kilka chwil, zanim Augie, Bill i Ben zaczęli kasłać, ale wtedy pomieszczenie wypełnione było już dymem po brzegi.

Augie zerwał się z krzesła, wrzeszcząc: - Chłopaki, pali się! Cholera jasna, to nie w porządku! Szybko, szybko, musimy go zabrać i wynosić się z tej piekielnej dziury.

W tej sekundzie drzwi do chaty otworzyły się na oścież i do izby wpadł oszalały koń, stając dęba i parskając. Na jego grzbiecie siedziała Corrie, trzymając w rękach widły, wymierzone prosto w Bena, który stał najbliżej niej, zszokowany i przerażony. Potem trzej mężczyźni zaczęli wrzeszczeć, usiłując wydostać się na zewnątrz, nie dać się stratować i nie nadziać się na widły. Ben nie był wystarczająco szybki. Dźgnęła go w ramię. Krzyknął i wyciągnął pistolet, ale James rzucił się na niego, wykopując mu broń z ręki. Potem przetoczył się, chcąc złapać pistolet, ale Augie strzelił. Corrie zawróciła konia, który powalił kopytami Augiego na ziemię, a jego pistolet przeleciał w stronę drzwi. Czołgając się przy samej ścianie w kierunku drzwi, Augie w ostatniej chwili złapał pistolet i wetknął go za pasek od spodni. Koń był rozjuszony dymem.

- James, rzuć mi broń! Wyciągnął Billy'emu pistolet z ręki i rzucił go Corrie, która wbiła widły w ścianę i wyjechała z chaty. James musiał już tylko uporać się z Billym, a to nie było trudne pomimo dławiącego dymu. Przeskoczył przez Billy'ego, uderzając go jednocześnie pięścią w szczękę.

Corrie siedziała na nieosiódlanym koniu, a drugi czekał na niego tuż obok. Dziewczyna cała była w sadzy i uśmiechała się głupkowato.

- Pospiesz się, James. - Gdy to mówiła, Augie wystrzelił, a kula przeleciała koło końskiego ucha. Koń stanął dęba, zrzucając Corrie na ziemię. Oba wierzchowce cofnęły się, zaczęły wierzgać i pognały na oślep przed siebie. James zaklął i podbiegł do Corrie. Niezdarnie podnosiła się na kolana.

- Musimy się pospieszyć, Corrie. Niestety, nie mamy koni. Możesz iść? Jesteś ranna?

- Ojej, tam jest Ben, i trzyma się za ramię. Ugodziłam go widłami. Ruszajmy, James. Nic mi nie jest. Każde z nich trzymało w dłoni pistolet, a James niemal ciągnął Corrie za sobą. Pobiegli do lasu. Rozległ się kolejny strzał, a potem usłyszeli wrzaski - tym razem Bena - o ile James się nie mylił, bo wrzeszczał, że ta suka ugodziła go cholernymi widłami.

Ale trzech łotrów miało tylko jeden pistolet i żadnego konia. On i Corrie byli w lepszej sytuacji. Miał ochotę wrócić i dać im nauczkę.

Biegli przez las, potykając się o korzenie, aż wreszcie nie słyszeli już za sobą krzyków mężczyzn.

- Zatrzymaj się, Corrie. Poczekajmy chwilę. Oddychała ciężko. James stał i patrzył na nią. Jej kiedyś biała suknia teraz była poszarpana i czarna od sadzy i dymu. Włosy miała potargane. Jednak nadal uśmiechała się do niego, a białe zęby kontrastowały z umorusaną twarzą. James roześmiał się, nie mogąc się pohamować.

- Dobra robota - powiedział i chwycił ją za rękę. - Będą nas ścigać, chociaż nie wiem, jak to zrobią. Ben jest ranny w ramię i nie zda im się na wiele. Cholera, szkoda, że nie wiem, ile mają pistoletów.

- Jeśli uda im się złapać konie, to znowu będziemy w opałach, James. Widziałam, że jeden z koni pognął w stronę urwiska, na otwartą przestrzeń, ale my nie możemy tam iść. James zamyślony zapatrzył się na swoje buty.

- Jeśli je złapią, wrócą do chaty i wezmą powóz. To nie byłoby dobre. Oczy jej zaświeciły.

- Zajmijmy się więc tym powozem, James. James rozważał ryzyko.

- Chodzi o to, ile im zapłacono za porwanie mnie. Jeśli dużo, to zrobią wszystko, żeby mnie znowu pojmać.

- Mam nadzieję, że mieli obiecaną skrzynię pieniędzy - powiedziała Corrie. - Porażka naprawdę boli, jeśli straci się dużo. Nie ryzykujmy. Zajmijmy się powozem. Augie i jego banda zdjęli pled z komina. James szybko się zorientował, że w chacie nikogo nie było. Ani Billy'ego, ani Bena, ani Augiego.

Kiedy znaleźli się w szopie, James chwycił starą, zardzewiałą siekierę, uśmiechnął się diabolicznie, i rozwalił jedno koło, podczas gdy Corrie widziała to samo z drugim. Kiedy skończyli, James rzucił siekierę na ziemię, zatarł ręce i powiedział:

- To im utrudni pogoń. Chodźmy. W chwilę po tym, jak schowali się w lesie, usłyszeli krzyk Augiego:

- Jasna cholera, niech go diabli porwą! Ten drań rozwalił powóz. Stłukę go na kwaśne jabłko, gdy go dopadniemy.

- Zupełnie zapomniał o mnie - powiedziała Corrie.

- Jeśli nas złapią, możesz go zastrzelić.

- Tak, tak, to chyba dobry pomysł. Trzej mężczyźni klęli, na czym świat stoi, a James i Corrie przysłuchiwali się temu z uśmiechem.

- Wiesz, gdzie jesteśmy - szepnęła jej do ucha James.

- Wiem, że jechaliśmy drogą do Clacton - on - Sea.

- To daleko na wschód - powiedział. Spojrzał na nią, dostrzegł, że drży z zimna, i szybko zdjął płaszcz. Corrie westchnęła i otuliła się nim. Był ciepły jak grzanka wyjęta prosto z piekarnika.

- Och, jak miło, James. Wiesz, uciekając, a potem rozwalając to koło znowu się rozgrzałam. Podejrzewam, że drzę z podniecenia.

- Z podniecenia? - Prawdę powiedziawszy, on również czuł się podobnie, krew szybko krążyła w jego żyłach i miał w sobie tyle energii, że mógłby przepłynąć wpław do Calais. Ale ta energia szybko by się wyczerpała. A Corrie? Ona wisiała z tyłu powozu przez dobre trzy godziny, zanim się zatrzymali. Musiała być wycieńczona. Miał tylko nadzieję, że się nie rozchoruje.

- No, może nie jestem tak podekscytowana, jak minutę temu - odpada. - Czy to nie jest

niesamowite, jak bardzo człowiek czuje się silny?

- To prawda, ale tej energii nie wystarczy na długo, Corrie. Nie chcę, żebyś się rozchorowała. Otul się płaszczem. Teraz musimy już tylko iść. Wetknął oba pistolety za pasek, wziął ją za rękę i ruszyli w drogę. Szli między drzewami, które rosły wzdłuż drogi.

- Będą nas szukać, a to oznacza, że musimy trzymać się z dala od głównej drogi, gdy do niej dotrzemy. Musimy tylko znaleźć jakieś miasto.

- Oczekują, że będziemy wracać do Londynu - powiedziała i zmarszczyła brwi. - Porwali cię, ponieważ chcieli wymienić cię na twojego ojca, James.

- Tak, chyba tak. Niestety, nigdy nie wymówili nazwiska człowieka, który ich wynajął. Przepraszam, że nie opowiedziałem ci o zamachach na życie mojego ojca. Powinienem był to zrobić, zanim usłyszałaś o tym od innych.

- Tak, powinieneś był mi powiedzieć. Przecież nie jestem obca, James. Wszyscy o tym mówili. Zatrzymał się, odwrócił do niej i ujął jej brudną twarz w swoje brudne dłonie.

- Dziękuję za ocalenie mi tyłka. Skąd wiedziałas?

- Widziałam, jak kelner podał ci karteczkę. Dobrze cię znam, James. Od razu zauważyłam, że się zmartwiłeś, więc poszłam za tobą. Nie mogłam ci pomóc, gdy zarzucili ci na głowę koc, więc czekałam, aż powóz ruszy, i wtedy wskoczyłam na tył.

- Zawsze byłaś tygrysią.

- Tak. Patrzył, jak bawiła się swoimi włosami. Zdziwiła go jej odwaga. Ale ona nie postrzegала tego w ten sposób. Ona powiedziała, że była to jedyna rzecz, jaką mogła zrobić, i zapewne on zrobiłby dla niej to samo. Nie, on rzuciłby im się natychmiast do gardeł. I może dałby się zabić. Uściskał jej brudną dłoń.

- Masz głowę nie od parady. Uśmiechnęła się promiennie.

- Prawdę powiedziawszy, to prawie złamałam nogę, wdrapując się na ten dach. A niektóre deski były całkiem przegniłe. Przez moment bałam się, że spadnę prosto na kolana Augiemu. Roześmiał się, ale szybko spoważniał.

- Mam trochę pieniędzy, więc nie jesteśmy nędzarzami. Chociaż oboje wyglądamy, jakbyśmy stoczyli walkę. Spróbuj wymyślić jakąś historyjkę, która tłumaczyłaby nasz wygląd. Potrząsnęła głową, mówiąc całkiem poważnie:

- Nie, gdy dotrzemy do jakiegoś gospodarstwa, wystarczy, że żona popatrzy na ciebie. Pomimo sady na twojej twarzy będzie wzdychać i omdlewać, a potem odda ci jedzenie i łóżko swojego męża. Gdy spojrzysz niżej, zobaczy twój strój wieczorowy. A to już z pewnością ją udobrucha.

- Kiepski żart, Corrie.

- To nie był żart, James. Ty po prostu nie zdajesz sobie sprawy, że... Cóż, nieważne. Musimy znaleźć jakąś farmę. Nie byłoby dobrze, gdybyśmy musieli iść przez wieś. Poszli dalej. Dokładnie dwadzieścia minut później usłyszeli tętent końskich kopyt. James pociągnął ją głębiej w las. Patrzyli na jadącego na oklep Augiego, który ciągnął za sobą drugiego konia, na którym siedzieli Billy i Ben. Billy miał ramię przewiązane brudnym bandażem.

- Mają tylko jedną uzdę - szepnął James. - To wygląda całkiem zabawnie. Nie trzymają się zbyt pewnie na koniu. Założę się, że nasze łotry pochodzą z Londynu, i lepiej czują się zaczajeni w tylnej alejce, niż na koniu na otwartej przestrzeni. Gdyby był sam, spróbowałby zabrać im jednego konia, ale nie narazi Corrie na niebezpieczeństwo, bo już wystarczająco się dla niego narażała. Co by się stało, gdyby dach się zapadł? Albo gdyby koń nie posłuchał i nie wszedł do chaty? A gdyby... - Sam

doprowadzał się do szaleństwa. Nic się jej nie stało i jemu również.

- Sądzę, że moglibyśmy dać im radę, James - szepnęła. - Ty zajmiesz się Augiem, który wydaje się najsilniejszy, a ja ściągnę na dół Bena i Billy'ego. Popatrz tylko, ledwie się utrzymują na końskim grzbiecie. Wystarczy ich tylko nastraszyć. Patrzył tylko na nią. Miała rację.

- Nie, to zbyt niebezpieczne.

- Wdrapanie się na ten przeklęty dach było bardziej niebezpieczne, nie wspominając o wparowaniu do chaty. Daj spokój, James. Bądź rozsądny. I to mówiła dziewczyna, która miała na sobie suknię balową w środku nocy, znajdowała się na poboczu jakiejś wiejskiej drogi, a trzech łotrów z przyjemnością poderżnęłoby jej gardło.

Los zdecydował za nich. W tym momencie rozległ się potężny grzmot. Błyskawica kilkakrotnie przecięła niebo. Przestraszone konie stanęły dęba, zrzucając trzech mężczyzn na ziemię. Kolejny grzmot, kolejna błyskawica, i konie popędziły drogą na oślep.

Ben jęczał, trzymając się za stopę i kołysząc się w tył i w przód.

- Do diabła z tobą, cholerny gnojku!

- Mój przeklęty koń też mnie zrzucił - powiedział Augie, podchodząc ostrożnie do Bena i Billy'ego.

- Nie mówię o koniu - wrzasnął Ben. - Billy jest tym cholernym gnojkiem, który upadł na moją stopę! Poderżnę ci gardło, Billy!

- Nie dasz rady mnie złapać przez dobry miesiąc, więc zamknij jadaczkę. Poza tym już zostałem ranny przez tę smarkulę, która nie wiadomo skąd się tam znalazła. Może to jakiś duch, który nas nawiedza.

- Chyba brakuje ci piątej klepki - powiedział z odrazą Augie. - Prawda jest taka, że ta dziewczuszka nas pokonała. To nie był żaden duch, chociaż miała na sobie tę białą suknię.

- Nie wie, jak powinna się ubierać? Żeby śledzić nas w takim stroju, z gołymi ramionami, jak tyłek Bena, gdy idzie w krzaki. To się po prostu nie mieści w głowie - odezwał się Billy.

- To jest myśl - szepnęła Corrie.

James z trudem powstrzymywał śmiech. Patrzyli, jak trzech mężczyzn kłóci się pośrodku wąskiej drogi. Patrzyli, dopóki niebo nie otworzyło się i nie spadł rzęsisty deszcz.

Tylko tego im było trzeba.

- Matka Willicombe'a trochę się spóźniła ze swoimi przewidywaniami. Według niej miało padać koło północy.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że Willicombe ma matkę - powiedziała Corrie, a potem skrzywiła się, gdy Ben przeklął deszcz i swoją fioletową stopę. Billy przyłączył się, przeklinając Corrie za ugodzenie go widłami. Augie stał i obserwował swoich towarzyszy z rękoma na biodrach i wyraźną odrazą malującą się na jego twarzy.

Ponieważ listowie chroniło ich trochę przed deszczem, obojgu nawet nie śniło się wychodzić na otwartą przestrzeń. Stali jeszcze pięć minut, dopóki trzej mężczyźni nie pokuśtykali drogą.

- Idziemy w tę samą stronę - powiedziała Corrie. - A niech to.

- To mamy jasność - odezwał się James. - My wrócimy łukiem na wybrzeże. Na pewno gdzieś niedaleko znajdziemy rybacką wioskę.

- Dobrze. Przynajmniej nie będziemy musieli się martwić, że ci komedianci nas zaskoczą. Wiesz, James, moglibyśmy im teraz dać radę. Co ty na to? Potrząsnął głową.

- Za duże ryzyko. - Potem zatrzymał się gwałtownie. - Gdyby udało się nam złapać Augiego, może

zmusilibyśmy go, żeby powiedział, kto im zapłacił za porwanie mnie.

Chociaż nieustannie mrugała, żeby nie oślepiła jej deszcz, to i tak w jej oczach widać było błysk podniecenia.

- Z pewnością nie spodziewają się nas teraz, prawda? Niebo przecięła kolejna błyskawica i usłyszeli krzyk mężczyzny.

- Chodźmy, Corrie. Już chyba nie możemy bardziej zmoknąć. Wypadli spomiędzy drzew i pobiegli drogą za trzema opryszkami. W strugach deszczu ledwie widzieli, co mają przed sobą. Szybko dogonili trójkę mężczyzn, ponieważ Billy najwyraźniej był ranny w stopę, a Augie i Ben pomagali mu iść, przy czym Ben miał tylko jedno zdrowe ramię, na którym Billy mógł się oprzeć.

James i Corrie zwolnili, przysłuchując się ich przekleństwom.

- Nigdy nie słyszałam takiego słowa, James. Co...

- Bądź cicho. Nigdy nie powtarzaj tego słowa, rozumiesz?

Corrie przetarła dłonią oczy i zgarnęła włosy z twarzy.

- Ale to brzmiało jak cy...

- Bądź cicho. Oto, co zrobimy. Trzy minuty później James podszedł po cichu do trzech mężczyzn, uniósł pistolet i wystrzelił prosto w ramię Augiego. Wystrzał, wrzask, i więcej przekleństw.

Jak przewidział James, Ben upuścił Billy'ego na ziemię, a Augie nie wiedział, czy chwycić się za ramię, czy wyciągnąć pistolet, więc zrobił obie te rzeczy naraz. Kolejny wystrzał zwałił na ziemię gałąź. Kulejący Billy i ranny w ramię Ben padli na ziemię. Wszyscy trzej byli uwięzieni.

- Rzuć broń, Augie - zawołał James - albo następna kulka trafi cię w głowę. Mam dwa pistolety, więc lepiej mi uwierz.

- To naprawdę ty? - Augie osłaniał ręką oczy, próbując zobaczyć Jamesa w ulewnym deszczu. - Dlaczego miałbyś teraz zastrzelić starego Augiego? Przecież nie zrobiłem ci nic złego - nawet nie to, za co mi zapłacono. Trochę się zdenerwowałaś i jesteś lekko poturbowany.

- Rzuć broń, Augie, mówię to po raz ostatni.

Augie rzucił pistolet, chociaż istniało prawdopodobieństwo, że miał tylko jedną kulę. Jednak lepiej było nie ryzykować.

- Dobrze. A teraz, Augie, nie wpakuję ci kulki w łeb, jeśli powiesz mi, kto was wynajął, żeby mnie porwać. Augie, pomimo deszczu, zaczął ciągnąć się za ucho, zaklął, a potem westchnął.

- Człowiek musi dbać o swoją reputację, chłopcze. Jeśli zdradzę ci jego nazwisko, zszargam swoją reputację.

- Ale przynajmniej będziesz żywy. James wycelował pistolet w głowę Augiego.

- Nie, nie możesz tego zrobić, prawda? Tak po prostu strzelić mi w łeb, jakbym był jakimś oprychem - cóż, nieważne. Nie strzelaj. A, do diabła. No dobrze, facet, który nam to zlecił, powiedział, że nazywa się Douglas Sherbrooke. Nigdy wcześniej nie słyszałem tego nazwiska, więc nie mogę ci powiedzieć, kim on jest. Chyba teraz mnie nie zastrzelisz, prawda? Corrie i James wpatrywali się w niego, skamieniali.

- Ale to nie ma sensu - odezwała się Corrie.

- Ależ ma.

- Ile lat miał ten mężczyzna, Augie?

- Był miody, jak ty, panie. Hej, słyszę głos tej smarkuli. Chętnie spralbym jej tyłek. Wszystko nam zepsuła. Prawie spaliła tę uroczą chatkę i ugodziła Bena widłami w ramię. Dama tak się nie zachowuje, przynosi hańbę swoim rodzicom, wałęsając się bez przyzwoitki, w białej sukni jak jakiś

duch. A to, co zrobiła z końmi...

- Przestań jęczeć, Augie. Potraktowała was tak, jak na to zasługiwaliście. Jeśli nie uważasz jej za damę, to możesz nazywać ją moim białym rycerzem - powiedział James.

- To wstyd, że tak potraktowała trzech dorosłych mężczyzn. Może gdyby była moim dzieckiem, mógłbym ją nauczyć szacunku dla starszych. Odważna jesteś, dziewczyno, niezbyt mądra, skoro wjechałaś na koniu prosto do chaty, ale bardzo odważna.

- Dobra, Augie, prawda jest taka, że z Corrie byłby kiepski kieszonkowiec. Chodzi o jej twarz. Od razu wiadomo, o czym myśli. Szybko trafiłaby do więzienia. Teraz możesz zawołać Bena i Billy'ego, żeby wyszli z ukrycia, a potem możecie się zabierać.

- Dobry z ciebie chłopak, to właśnie powiedziałem moim chłopcom.

- Nie wiem, co im powiedziałaś, Augie, ponieważ jeden z nich zdzielił mnie w głowę.

- No cóż, przykre rzeczy się zdarzają.

- Odejdź, Augie. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

- Ile ci zapłacił ten Douglas Sherbrooke, Augie? - zawołała Corrie.

- Smarkule nie powinny interesować się męskimi sprawami, ale dał nam dziesięć funtów zaliczki, a kolejne trzydzieści mieliśmy dostać, gdybyśmy dostarczyli cię temu Sherbrooke'owi.

- Mam nadzieję, że nie wydałeś tych dziesięciu funtów - odezwała się Corrie. - Ciekawe, co z wami robi ten gość, kiedy dowie się, że nie wykonaliście zadania? Augie mruknął coś pod nosem, a potem gwizdnął na Bena i Billy'ego.

Corrie, z kpiącym uśmiechem na twarzy, i James, z trudem powstrzymujący się od śmiechu, wrócili do lasu i przyglądali się, jak trzech mężczyzn wloką się drogą z powrotem.

- Co teraz? - spytała Corrie. Piorun uderzył w gałąź. Spadła kilka metrów przed nimi.

- O Boże, myślisz, że to jakiś zły znak?

- Myślę, że najlepiej będzie wracać do Londynu. Augie i jego banda nie są całkiem pokonani, i mogą stracić trzydzieści funtów i swoją reputację, jeśli mnie nie dostarczą. Lepiej nie ryzykujmy. Staraj się, żeby było ci ciepło, Corrie. Nie chcę, żebyś się rozchorowała.

- Ta noc jest okropna - odezwała się Corrie i przytuliła się do Jamesa, gdy ruszyli drogą w przeciwnym kierunku niż trzech bandytów. Zaczęła gwizdać przyśpiewkę, której nauczyła się od jednego z chłopców stajennych Sherbrooke'ów. James roześmiał się, nie mogąc się pohamować. Miał nadzieję, że nie znała słów. Dziwne, ale nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz śmiał się tak często, jak w tę noc, która jeszcze niedawno, był o tym głęboko przekonany, miała być ostatnią nocą w jego życiu.

Szli wzdłuż urwiska, wiatr wył coraz głośniejsze, niosąc ze sobą deszcz i morską bryzę. Słyszeli szum uderzających o skały fal.

James nagle dostrzegł błysk latarni, a potem następny. Na szczęście deszcz trochę się uspokoił i przez chmury przebijał się nieśmiało księżyc. James zobaczył dwie łodzie wyciągnięte na brzeg, a przy nich przynajmniej sześciu mężczyzn.

Zaklął.

W ciemności rozległ się niski głos:

- A cóż my tu mamy?

ROZDZIAŁ 17

James chwycił Corrie za rękę i mocno ją ścisnął, jednocześnie przyciągając dziewczynę do siebie.

- Jesteśmy tu przypadkiem - odpowiedział James. - Chcemy znaleźć farmę albo wioskę rybacką, żeby przeczekać noc.

- Niewiele już jej zostało.

- Nie mam zegarka. Nie wiem. - Jamesowi została już tylko jedna kula. Deszcz przestał padać i księżyc wychylił się zza chmur.

Z ciemności wyłonił się mężczyzna, z pistoletem w dłoni i czarną maską na twarzy. Owinięty był w sznyel. Nie wyglądało to dobrze. Zmierzył ich wzrokiem, a Corrie oczyma wyobraźni widziała, jak pod maską unosi brew.

- Co ci się, u licha, stało, kochanieńka? Czy ten przystojniaczek obiecał ci małżeństwo, a później cię posiadł?

- Och, nie - odparła Corrie. - On nigdy by tego nie zrobił. Nie przyszłoby mu to do głowy. A poza tym dlaczego miałby to robić? Znam go niemal całe swoje życie. Uratowałam go od trzech łotrów, którzy go porwali. Staramy się wrócić do domu. Nie chcemy nikomu zrobić krzywdy. Jeśli przemycacie diamenty dla nowego króla, to może moglibyśmy wam pomóc. Naprawdę nic nas to nie obchodzi.

- Uratowałaś go? - Mężczyzna zaśmiał się, co znaczyło, że nie zamierza ich natychmiast zastrzelić, chyba? Corrie energicznie pokiwała głową.

- Tak, sir. Wskoczyłam na tył powozu, a potem wspięłam się na dach chaty, zakryłam komin kocem i wjechałam na koniu do środka, uzbrojona w widły. Mężczyzna przyglądał się jej, a James wiedział, że na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Mężczyzna powiedział powoli:

- Zmyślasz. Już mnie to nie bawi. Żadna dama nie zrobiłaby czegoś podobnego. Dlaczego znaleźliście się właśnie w tym miejscu? W środku nocy? Wyglądając, jak po walce w błocie?

- Powiedziała ci prawdę. Próbuje wrócić do Londynu - odezwał się James. - Tylko tyle. Ale masz rację, ona nie jest damą - to moja siostra.

- Twoja siostra? A to dopiero łgarstwo. Skoro to jest bezczelne łgarstwo, to reszta z pewnością też. Idziemy. Muszę postanowić, co z wami zrobić.

- Warto było spróbować - szepnęła do niego, gdy szli przed mężczyzną. Ścieżka była niebezpieczna, stroma i kręta. Sześciu mężczyzn nosiło skrzynie z jaskini do dwóch dużych łodzi na brzegu.

- Siadajcie - powiedział mężczyzna.

Usiedli. Mężczyzna gwizdnął i podbiegł do nich młody chłopak.

- Miej ich na oku, Alf, zwłaszcza dziewczynę. - Zaśmiał się. - Nie uwierzyłbyś, jaka jest niebezpieczna. Odszedł.

- Jestem niebezpieczna.

- Nie przestrasz Alfa - odezwał się James.

- No dobrze. Przynajmniej możemy przez chwilę odpocząć. - Oparła się o niego i, ku zaskoczeniu Jamesa, zasnęła.

- Psiakrew - powiedział chłopak. - Dziewczyna po prostu odpadła.

- Miała ciężką noc - odparł James, objął ją ramieniem i przytulił. On nie zasnął. Nie wiedział, że nadal istniał przemyt do Anglii. Po co, na Boga? Przypomniawszy sobie, jak ojciec mówił, że francuska brandy smakuje lepiej, kiedy pochodzi z przemytu. Chyba chodziło o niebezpieczeństwo i ryzyko z tym związane, chociaż wcale nie takie znowu wielkie, które dodawało brandy smaczku.

Jednego był pewien: te dranie nie zamierzały zabić jego ojca.

Mężczyzna o bardzo łagodnym, zdradzającym wykształcenie głosie nagle stanął za nimi. James uzmysłowił sobie, że chyba jednak musiał przysnąć.

- Zmęczony, co?

- Drzemka dobrze mi zrobiła - powiedział cicho, żeby nie obudzić Corrie. Mężczyzna, nadal zamaskowany, ukucnął obok Jamesa.

- Ta dziewczyna... ma na sobie suknię balową, a ty jesteś ubrany w strój wieczorowy. Wyglądasz na dżentelmena, a ona na damę. Wygląda również na to, że nie spędziliście całej nocy na tańcach, sądząc po tym, gdzie się teraz znajdujecie i jak wyglądacie. Skłonny jestem uwierzyć, że zostałeś porwany, i że ona być może w jakiś sposób pomogła ci się uwolnić. Ale jest pewien problem. Jeśli was tu zostawię, doniesiecie na nas, a tego bym nie chciał.

- Nie rozumiem, po co zajmujecie się przemytem - powiedział James. - Wojna z Francją skończyła się dawno temu. Nawet nie wiedziałem, że przemyt nadal istnieje. Mężczyzna wyglądał na rozbawionego. Wstał szybko.

- Zamierzam zabrać was ze sobą, nie ma innego wyjścia, więc nie chcę, żebyście się ze mną spierali. Wysadzę was na brzeg w okolicach Plymouth. Chcesz, żebym zgadywał, jak się nazywacie, czy powiesz mi, kim, u licha, jesteście?

- Domyślam się, że już wiesz, kim jesteśmy, prawda? Nie ma potrzeby zabierać nas do Plymouth. Gdybym miał na was donieść, to co miałbym powiedzieć? Nawet nie wiem, gdzie się znajdujemy. Nie wiem, ile czasu zajmie nam powrót do Londynu. Nie mam pojęcia, kim jesteś ani co przemycasz. Mężczyzna zaklął. Postukał obutą nogą o piaszczystą ziemię. Spojrzał na mężczyzn, którzy już prawie skończyli przenosić skrzynie z jaskini na łódzie.

- Nie, nie ma wyboru. Nie mogę... James kopnął mężczyznę mocno w brzuch, aż ten się przewrócił. James znalazł się na nim w ułamku sekundy i zdzielił go pięścią w szczękę, pozbawiając przytomności. Chwycił swój pistolet, cofnął się dwa kroki i podał rękę Corrie, której nagle gwałtownie zaschło w ustach. Usłyszeli krzyki, zobaczyli biegnących w ich stronę mężczyzn z pistoletami w dłoni. James wrzasnął:

- Zatrzymajcie się natychmiast albo zastrzelę waszego dowódcę! Mężczyźni zatrzymali się w miejscu i zaczęli rozprawiać między sobą.

Mężczyzna poruszył się, chcąc chwycić Jamesa za rękę, ale Corrie była szybsza. Kopnęła go w ramię, a potem rzuciła się na niego, przygniatając mu krtań kolanem. Wpatrywał się w nią bez słowa, ponieważ nie mógł oddychać i ponieważ nie wiedział, co powiedzieć. Nieznacznie cofnęła kolano.

- Teraz wiesz, jaka jestem niebezpieczna - powiedziała, pochylając się nad nim. - Kiepski z ciebie oprych, sir. Pokonaliśmy cię z Jamesem bez większego wysiłku.

- Rzućcie wszyscy broń do łodzi! Nie chcę was zostawiać bezbronnymi, ale nie chcę również,

żebyście do nas strzelali - zawołał James. James spojrział na Corrie, której kolano nadal przyciskało szyję mężczyzny leżącego grzecznie bez ruchu, i powiedział:

- Dobra robota, Corrie, a teraz go puść. Wystarczy. Gdy Corrie go puściła, James odezwał się do niego:

- Nie zamierzam ściągać ci maski, co znaczy, że jeślibym postanowił na was donieść, nie byłbym w stanie podać twojego rysopisu. Prawda jest taka, że nie chcę wiedzieć, kim jesteś ani co przemycasz. Teraz wstań i idź do swoich ludzi. Gdy już do nich dołączysz, każ im wsiąść do łodzi. Idź albo cię zastrzelę i już o nic nie będziesz musiał się martwić.

- Nie doceniłem waszej dwójki - powiedział mężczyzna, wstając powoli i ostrożnie dotykając szyi, na której jeszcze przed chwilą spoczywało kolano Corrie. - Szkoda... cóż, nieważne. - Odwrócił się i pobiegł plażą w stronę łodzi, do swoich ludzi. Stojąc na dziobie, mężczyzna przyłożył dłonie do ust i zawołał:

- Proszę tylko, żebyście trzymali się z dala od jaskini! W ciągu kilku chwil mężczyźni zepchnęli łodzie do wody i wskoczyli do środka.

- Tam jest statek, James, teraz go widzę - odezwała się Corrie.

- Tak - odparł. - Ciekawe, co przemycali.

- Może zostawili coś w jaskini. Chodźmy sprawdzić. James rozważał to, obserwując odpływające łodzie. Morze było wzburzone, a wiatr coraz silniejszy.

- Wiesz co? Nic mnie nie obchodzi, co jest w jaskini. Lepiej się stąd zabierajmy.

Wyglądała na rozczarowaną, ale pokiwała głową, wzięła go za rękę i oboje ruszyli ścieżką wiodącą na urwisko.

Gdy stali już na szczycie, patrząc na ledwie widoczne łodzie, niebo zaczęło się rozjaśniać.

- Już prawie świta - powiedziała Corrie ze zdumieniem w głosie. - A wydaje się, jakby upłynęły co najmniej trzy tygodnie.

- To prawda - odparł James. - Przysięgłbym, że skądś znam tego człowieka.

- Chyba masz rację. Możliwe, że go znamy albo przynajmniej wiemy, kim jest.

- Dżentelmen przemytnik.

- Dobrze się poruszał. Oczywiście, nie był na tyle dobry, żeby pokonać nas oboje. James uśmiechnął się, potrząsając głową.

- W tej chwili wszystko mi jedno, kim on jest. Widziałem, że drżałaś. Nie rób tego więcej. Chyba nie chcesz się rozchorować? Powtarzaj sobie, jak świetnie się czujesz, jak ci jest ciepło w moim płaszczu. Chodźmy, Corrie. - Przeciągnęła się, a potem znowu zadrżała. - Prawdę powiedziawszy, czuję się świetnie po tej krótkiej drzemce. Muszę również powiedzieć, że gdy przycisnęłam mu gardło kolanem, przypomniałam sobie, że to samo zrobiłam z Williem Markerem, i to jeszcze bardziej poprawiło mi nastrój.

- Biedny Willie, a chciał tylko cię pocałować. Wzruszyła ramionami.

- Chcę, żebyś dobrze się otuliła płaszczem. Powtarzaj sobie, jak dobrze się czujesz. Żadnej choroby, Corrie. Na to nie możemy sobie pozwolić. Płaszcz był mokry, ale otuliła się nim mocniej. Było to lepsze niż nic.

Spojrziała na Jamesa, którego biała koszula była wilgotna i wyдутa od wiatru.

Znowu zaczęło padać.

Do wschodu słońca nie widzieli żadnej żywej istoty. W końcu usłyszeli muczenie krów.

- Chwała Bogu, nie mogę w to uwierzyć - krzyknęła Corrie. - Gdzie są krowy, tam muszą być

ludzie, którzy je doją. Ręka w rękę pobiegli w stronę, z której dobiegało muczenie. Znajdował się tam wiejski dom, którego tył wychodził na morze, front graniczył z wąską drogą, z boku rozpościerało się pastwisko, a za nim rosły wiązy i klony. Dom, zbudowany z szarego kamienia, był ciężki i brzydki; przylegała do niego stodoła. W tym momencie była to jednak najpiękniejsza budowla, jaką oboje kiedykolwiek widzieli.

- Och, z komina wydobywa się dym. To znaczy, że w środku jest ciepło. Pobiegli na front domu, dysząc, a James zawołał:

- Jest tu kto? Potrzebujemy pomocy! Zza zamkniętych drzwi rozległ się starczy głos:

- Nie pomagam nikomu. Odejdźcie.

- Proszę - powiedziała Corrie - nie mamy złych zamiarów. Szliśmy przez całą noc, jesteśmy przemoczeni i zziębnięci. Proszę nam pomóc.

- Mówicie jak bogacze. - Drzwi uchyliły się nieznacznie i w szparze ukazała się bardzo stara twarz o niebieskich, bystrych oczach.

- Co to? O rany, wyglądacie jak siedem nieszczęść. Wchodźcie do środka. Drzwi otworzyły się szerzej, i James i Corrie weszli do środka. James pochylił się, żeby nie uderzyć głową w nadproże. W środku pachniało wanilią.

- Och, cudownie - odezwała się Corrie, wdychając ten wspaniały zapach, zwracając się do pomarszczonej, starej kobiety, odzianej w wielki fartuch, który niemal całą ją zakrywał. - Ma pani cudowny dom, madam. Dziękuję, że zechciała nas pani przyjąć. I tak tu ciepło.

- Proszę, madam - powiedział James. - Całą noc spędziliśmy w deszczu i bardzo martwię się o Corrie.

- Tak, widzę - odparła staruszka. - Nazywam się pani Osbourne, mój mąż wypasa krowy. Nasze mleko jest najlepsze w okolicy. Dam ci kubek mleka i od razu poczujesz się lepiej. Oboje jesteście przemoknięci, więc poszukam wam czegoś do przebrania.

Pani Osbourne zniknęła za drzwiami drugiego pokoju, a James uświadomił sobie, że z kuchnią rzeczywiście sąsiadowała stodoła.

- Corrie, powieś mój płaszcz na tym krześle i zbliż się do kominka. Już prawie jesteśmy w domu. Kiedy pani Osbourne wróciła po chwili, niosąc wiadro mleka, powiedziała do Corrie:

- Tak, kochanieńka, już ci nalewam świeżego mleka, a potem dam ci suche ubranie. Corrie z wdzięcznością wypila część mleka, a potem podała kubek Jamesowi, który dopił mleko do końca. Poszła za panią Osbourne do staromodnej sypialni z uroczym, wielkim łóżem i potężną skrzynią, ustawioną w jego nogach. Pani Osbourne zostawiła Corrie, żeby się przebrała w długą, bezkształtną suknię w szarym kolorze, bez żadnych ozdób i falbanek, zapinaną po samą szyję. Corrie uznała, że sukienka była ładna. Nuciała pod nosem, ściągając z siebie mokre ubranie i rozkładając je na podłodze, uważając, by nie położyć niczego na niebieskim zniszczonym dywanie pani Osbourne. Słyszała, że pani Osbourne rozmawia z Jamesem, ale nie rozróżniała słów. Wytarła ręcznikiem włosy i przeczesła je palcami. Było jej ciepło, napełniła brzuch pożywnym mlekiem, i gotowa była zmierzyć się z kolejnymi porywaczami. Albo przemytnikami. Cóż za niesamowita noc. No i Jamesowi nic się nie stało. Zadbala o to. Wróciła do saloniku.

- Twoja kolej, James. Kiedy James zgarnął męskie ubrania do sypialni, Corrie powiedziała:

- Dziękuję, madam. Lord Hammersmith został porwany. Oboje uciekliśmy i szliśmy w deszczu prawie całą noc.

- To jego lordowska mość? Cóż, chyba powinien przyczepić sobie tytuł do tej ślicznej

twarzyczki. Ubrania pana Osbourne'a będą na niego za małe, ale przynajmniej są suche. Chciałabyś kupić trochę mleka? Zanim Corrie zdążyła odpowiedzieć albo się roześmiać, James wyszedł z sypialni w ubraniach pana Osbourne'a. Corrie wiedziała, że teraz musiałyby się znaleźć prawdziwa amatorka, żeby skusić się na wdzięki Jamesa. Spodnie, zniszczone i workowate, sięgały mu ledwie do kostek. Ciemnobrązowa bawełniana koszula nie zakrywała całej klatki piersiowej, ukazując jego zarośniętą pierś. Nie przypominała sobie, żeby widziała klatkę piersiową Jamesa, od czasu gdy była szesnastoletnim podlotkiem. Czy powinna mu powiedzieć, że wyglądałby wspaniale, gdyby zdjął te idiotyczne ubrania?

Prawdopodobnie rozsądnie było tego nie mówić. Nie chciała sprawić przykrości pani Osbourne.

- Wyglądasz bardzo szykownie, James.

- Jest mi ciepło i sucho, i tak samo tobie, Corrie. Dziękujemy, pani Osbourne, a także panu Osbourne. Gdy dotrzemy z Corrie do domu, odeślę państwu ubrania.

- Ta młoda dama twierdzi, że jest pan lordem Hammersmith. Śliczny z pana chłopak. Pan Osbourne chyba też tak wyglądał, zanim czas odcisnął na nim swoje piętno, powykrzywiał mu kolana, i zanim zaliczył kilka krowich kopniaków w głowę. - I pani Osbourne dygnęła przed nim. - Nakarmię was. Pan Osbourne może dziś sprzedać całe mleko. Dobry Boże, już słyszę jakiś powóz na drodze. Po owsiance, jajkach i toście, które smakowały im jak nigdy dotąd, Corrie i James poczuli się zbyt zmęczeni, żeby robić cokolwiek innego niż siedzieć przy stole, usiłując utrzymać się w pionie.

- Zmęczeni? To nie problem. Może utniecie sobie krótką drzemkę, zanim pan Osbourne zawiezie was przynajmniej do Malthorpe, naszej wioski pięć mil stąd.

James był tak wdzięczny, że niemal potknął się o własne nogi, wstając z krzesła. Podeszedł do pani Osbourne i ucałował jej pomarszczoną dłoń.

- Jesteśmy wdzięczni za pani dobroć, madam. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, to dobrze by było, żeby Corrie trochę odpoczęła. Miała tyle wrażeń.

- Ułożę ją w swojej sypialni, panie. Będzie jej tam wygodnie.

- Dziękuję, madam. Jeśli mógłbym pomóc panu Osbourne'owi przy krowach. - Ledwie wypowiedział te słowa z uśmiechem, oczy uciekły mu w głąb czaszki i upadł, uderzając głową o krawędź stołu.

ROZDZIAŁ 18

Corrie jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała. Jazda z tyłu powozu przez trzy godziny, gdy wiatr rozwiewał jej szerokie rękawy, była niczym; wdrapanie się z kocem na chybotliwy, rozwalający się dach. Cóż, mogłaby tak wymieniać bez końca. Ale teraz chodziło o Jamesa. A on był chory.

Pan Osbourne porzucił dojenie, żeby rozebrać Jamesa ze swoich ubrań i położyć go do łóżka. James nadal był nieprzytomny, miał ciężki oddech i był bardzo blady. Corrie nie mogła tego znieść. Zabrała mu płaszcz, zostawiając go w samej koszuli.

- Czy mieszka tu w pobliżu jakiś lekarz? - spytała pani Osbourne. - Muszę sprowadzić do niego lekarza. Proszę, pani Osbourne, nie mogę pozwolić, żeby Jamesowi coś się stało. Proszę.

- Cóż - powiedziała pani Osbourne, kładąc pomarszczoną dłoń na czole Jamesa - jest stary doktor Flimmy, w Braxton. Nie wiem, czy nadal żyje, ale był przy porodzie moich trzech chłopców i wszyscy trzej przeżyli, i ja również. Elden! - Pan Osbourne wsadził głowę do sypialni. - Poślij małego Freddiego do Braxton po doktora Flimmy'ego. Nasz śliczny chłopiec jest blady jak trup. - Dostrzegła, że Corrie pobladła. - Przepraszam.

- Gorączka - odezwała się pani Osbourne, potrząsając głową. - Znam się na tym. Mały Cytrynka, tak go nazywałam, kiedy był mały, bo jego skóra miała taki bladożółty odcień, ciągle miał gorączkę.

- Czy nie mówiła pani, że mały Cytrynka żyje, pani Osbourne?

- Ależ tak, nazywa się Benjie i ma już troje własnych dzieci.

- Więc proszę mi powiedzieć, co mam robić.

- To zabawne, ale na gorączkę zawsze używałam cytryny. To taki żart. Mały Cytrynka i cytryna na gorączkę. Corrie z trudem przełknęła ślinę.

- Przygotuje mu pani napój, madam? Z cytryn?

- Oczywiście. A ty w tym czasie nie spuszczaaj go z oka. Kiedy zauważysz, że jest rozpalony, wytrzyj go mokrą myjką.

- Tak, tak, zrobię to. Pani Osbourne stała przez chwilę, przyglądając się nieruchomej twarzy Jamesa.

- Nigdy nie widziałam piękniejszej buźki. Taka buzia nie powinna jeszcze iść do Boga.

Corrie mogła jedynie przytaknąć. Niepostrzeżenie mijały godziny. James nadal żył, ale był rozpalony, więc Corrie i pani Osbourne wycierały go myjkami zamoczonymi w lodowatej wodzie. Corrie czuła ból w dłoni, ale nie przestała nawet na chwilę. Spostrzegła, że pani Osbourne zwolniła, ale nie dziwiła się jej.

- Będę to robić, madam. Musi pani odpocząć. Ale staruszka przecierała klatkę piersiową Jamesa, a później, kiedy obróciły go na brzuch, przecierała jego plecy.

Leżał nieruchomo, tak całkowicie nieruchomo, że Corrie nie mogła tego znieść.

Wreszcie, kiedy znowu znalazł się na plecach, otworzył oczy i spojrzał jej prosto w twarz.

- Corrie? Co się stało? Chyba nie jesteś chora?

- Nie - odparła - ja nie, ale ty tak.

- Nie, to niemożliwe - szepnęła. I stracił przytomność. Świat Corrie zawalił się. Przytuliła twarz do jego twarzy.

- James, wróć do mnie, proszę, wróć. Nie zniosę tego. Zaczął się szamotać i zrzucać z siebie prześcieradła, a potem nagle zaczął się trząść, szczękając zębami. Okryły go kocami, ale to nie wystarczyło. Zanieśli go we trójkę do salonu i położyli przy kominku. Bardzo szybko w pomieszczeniu zrobiło się gorąco i na czole Jamesa pojawiły się krople potu. Czas płynął. James uspokoił się. Gorączka spadła.

Wczesnym popołudniem Freddie przywiózł doktora Flimmy'ego. Staruszka, ale jeśli nadal miał sprawny umysł, musiał wiedzieć, jak uratować życie młodemu mężczyźnie, który spędził całą noc maszerując w deszczu.

Corrie przyglądała się, jak doktor podniósł mu powieki, zajrzał w uszy, odsunął koce i osłuchał mu klatkę piersiową. Przyłożył ucho do gardła. Odkrył go całego, nieświadomy, że Corrie, która nigdy w życiu nie widziała nagiego mężczyzny, stała obok i gapiała się. Doktor nucił coś pod nosem, oglądając każdy kawałek ciała Jamesa.

- Do diaska - odezwała się pani Osbourne, mrugając i patrząc na Jamesa. - Pan Osbourne nigdy tak nie wyglądał, kiedy był młody. Może lepiej będzie, jeśli nie będziesz mu się przyglądać, panienko Corrie. Chyba że byłabyś jego siostrą, a nie jesteś. I nie jesteś również jego żoną, bo miałabyś na palcu wielkie świecidełko, zakładając, że jest lordem. Nie powiedziałaś mi, kim jesteś i dlaczego jesteście razem. Nie, nie chcę wiedzieć. Odwróć się i pozwól, żeby doktor Flimmy dokładnie go zbadał.

Corrie nie miała ochoty się odwracać. Chciała stać i patrzeć na Jamesa, aż zrobi się ciemno. Pani Osbourne spojrzała na nią surowo, opierając ręce na biodrach. Corrie odwróciła się z westchnieniem.

- Czy nic mu nie będzie, doktorze Flimmy? - Kiedy staruszek nie odpowiedział, odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. Klęczał przy Jamesie, unosząc jego ramię i macając jego pachę. Potem pochylił się nad klatką piersiową Jamesa i uniósł jego drugie ramię, i znowu obmacał pachę. Niestety podciągnął koce do pasa Jamesa. Wreszcie doktor Flimmy skończył i zawołał:

- Pani Osbourne, proszę przygotować swoją lemoniadę. Niech będzie dobra i gorąca, i proszę dodać trochę wody jęczmiennej. To jest mu teraz potrzebne. Doktor Flimmy z trudem wstał, machnięciem ręki zbywając Corrie, gdy ta chciała mu pomóc. Gdy już stał, oddychając z trudem, powiedział do niej, chociaż patrzył na Jamesa:

- Jego lordowska mość jest bardzo chory. Na szczęście jest młody i silny. Pilnujcie z panią Osbourne, żeby było mu ciepło, a gdy znowu będzie miał gorączkę, obmywajcie go lodowatą wodą. Daj mu lemoniady, bo inaczej uwiędnie i umrze. Nie chcę, żeby chłopak umarł, naprawdę nie chcę.

- Ja również - powiedziała Corrie, przełykając z trudem. - Muszę go zabrać do Londynu. Pojawiły się pewne problemy i musi być w domu. Doktor Flimmy zaczął pocierać swój kark.

- Mało prawdopodobne, że przeżyłby tę podróż. Musi tu zostać, i powinien mieć spokój i ciepło. Corrie nie była w stanie przyjąć tego do wiadomości.

- Ale pani Osbourne...

- Tak, Corrie, będziemy go doglądać. A teraz napijemy go moją lemoniadą. Ku zaskoczeniu Corrie James zaczął pić, kiedy przystawiono mu kubek do ust. Zajęło to trochę czasu, ale wypił prawie wszystko.

Spał bez ruchu do wieczora. Corrie czytała przy świeczce rozprawę o hodowli zwierząt. Państwo

Osbourne już dawno się położyli, ale nie Corrie. Nie w głowie jej było spanie. Co chwilę spoglądała na Jamesa. Nakarmili go rosółem. W kominku palił się ogień. James był otulony czterema kocami.

Nagle poruszył się i otworzył oczy. Spojrzał na nią.

- Sikalem, a ty patrzyłaś. Nigdy nie byłem tak zawstydzony. W jej głowie pojawiło się wspomnienie i uśmiechnęła się.

- Miałam tylko osiem lat, James, i nie bardzo wiedziałam, co widzę. Śmiertelnie mnie wystraszyłeś, kiedy uciekłeś i spadłeś. Myślałam, że to moja wina. Przez całe lata czułam się winna.

- Skąd wiedziałaś o moim wypadku?

- Twój ojciec mi powiedział. Powiedział, że nie bardzo wie, jak to się stało, więc wszystko mu opowiedziałam. James jęknął.

- I co powiedział?

- Milczał przez chwilę, potem poklepał mnie po głowie, mówiąc, że powiedział ci to, co trzeba. I że cię to uspokoiło.

- Czy jestem jedynym mężczyzną, którego widziałaś sikającego?

- Tak. Wybacz mi James, ale byłam taka młoda i wielbiłam cię jak idiotka. Uważałam, że twój sposób był niesamowity i o wiele łatwiejszy niż mój. Roześmiał się. Ochryple i nisko, a potem zamknął oczy i głowa opadła mu na bok.

- James! Rzuciła się do niego na kolanach, kładąc mu rękę na czole. Dzięki Bogu nie miał gorączki. Usiadła na piętach i wpatrywała się w niego. Nagle zaczął mamrotać.

Jego mamrotanie nie miało większego sensu, ale wiedziała, że coś go trapi. Mamrotał o swoim ojcu i człowieku, który nazwał siebie Douglas Sherbrooke. Potem mówił o konstelacji Andromedy na północy, o wypadku Jasona, gdy ten miał dziesięć lat i spadł ze stogu siana. I o niej, jak nie chce zostawić go w spokoju, jak zawsze płacze się pod nogami, co było prawdą, i że była słodka jak pączek, jak mówił jego ojciec. Raz tylko wspomniał, że chętnie wysłałby ją na inną planetę, gdy miał dwanaście lat i chciał całować się z dziewczętami. Corrie przypomniała sobie, że w tamtym czasie udawało mu się przed nią uciekać.

Corrie usiadła obok niego i przytuliła się do jego boku. Gładziła go po piersi, szyi, twarzy.

- James, już dobrze. Jestem tutaj. Nie opuszczę cię. Wszystko będzie dobrze, przyrzekam.

Przestał majaczyć. Uznała, że zasnął. Przeliczyła pieniądze Jamesa. Było ich dość. Porozmawiała z panią Osbourne, potem podekscytowanemu Freddiemu dała pieniądze i wskazówki, jak dotrzeć do londyńskiego domu Sherbrooke'ów. Hrabia i hrabina byli w Paryżu, ale pozostał Jason.

Mogła jedynie czekać.

Kolejne dni wlokły się niemiłosiernie. James majaczył, potem zapadał w otępienie, leżąc całkowicie bez ruchu; kilkakrotnie myślała, że umarł. Modliła się żarliwie, przysięgając Bogu, że stanie się ideałem, jeśli tylko On ocali Jamesa.

Freddie nie dawał znaku życia.

Obie z panią Osbourne obmywały Jamesa lodowatą wodą, aż ich ręce stały się sine i pomarszczone. Doktor Flimmy przyjechał jeszcze raz, tym razem dłużej badał pachy Jamesa, i oznajmił, że jego lordowska mość ma się lepiej.

Corrie nic z tego nie rozumiała, ale chwyciła się wszystkiego, co dawało iskierkę nadziei.

- Będzie żył, sir?

- Jego stan się poprawił, panienko, ale czy będzie żył? Nie odpowiedział. Przyjął od Corrie

banknot jednofuntowy, który ta wyjęła z kieszeni Jamesa, wypił kubek ciepłego mleka i pozwolił, aby pan Osbourne odwiózł go do domu, skoro nie było Freddiego. Corrie wiedziała, że coś musiało mu się przytrafić. Pani Osbourne chodziła w kółko z zaciśniętymi ustami, potrząsając głową. Ciekawe jednak, że uśmiechała się, ilekroć spojrzała na Jamesa.

Następnego popołudnia Corrie zasnęła z głową na ramieniu Jamesa, gdy nagle obudziło ją głośne muczenie. Zerwała się na równe nogi, tak zmęczona, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że w otwartych drzwiach stała krowa. Zza drzwi Corrie słyszała męskie głosy.

Czyżby to był doktor Flimmy? Nie, pewnie sąsiedzi, którzy przyszli kupić mleko. Położyła dłoń na czole Jamesa. Było zimne. Niemal zapłakała z ulgi. Krowa znowu zaczęła muczeć. Upadła na kolana, gdy w drzwiach pojawił się Douglas Sherbrooke.

Nawet gdyby w tych drzwiach pojawił się sam Bóg, Corrie nie byłaby bardziej szczęśliwa.

- Sir! - Rzuciła się na niego, wpadając w jego objęcia. - Przyjechał pan! Myślałam, że jest pan w Paryżu. Och, dzięki Bogu, dzięki Bogu. Myślałam, że Freddie się zgubił. Myślałam, że może ktoś go zabił. Douglas przytulił ją do siebie i poklepał po plecach.

- Już dobrze, Corrie. Jak się czuje James? Usłyszała w jego głosie strach, odchyliła się i uśmiechnęła.

- Gorączka spadła. Wyzdrowieje. Cofnęła się i wróciła do Jamesa, który leżał przed kominkiem. Douglas ukląkł przy synu. Przyglądał się jego zarostowi, odcieniowi skóry, zapadniętym policzkom. Położył mu dłoń na czole. Było chłodne. Usiadł na piętach.

- Dzięki Bogu.

- James! Jason wpadł do środka, uderzając głową o nadproże i niemal padając na ziemię.

- Cholera, Jason, nie chcę zamartwiać się o was obu. Jason pocierał głowę, klnąc i zataczając się nieznacznie, podszedł do brata.

- Gorąco tu.

- Tak - przyznała Corrie. - Tak musi być. Miał gorączkę, był taki przeziębiony. - Przełknęła ślinę, spojrzała na Douglasa, na Jasona, a potem się rozplakała. To Jason przytulił ją do siebie, pogładził po plecach.

- Ta suknia jest w opłakanym stanie, Corrie - powiedział. Pociągnęła nosem, przełknęła ślinę, a potem spojrzała na niego i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Minęło tyle czasu, a ja myślałam, że on umrze i nie wiedziałam, co mam zrobić. I wysłałam Freddiego do waszego londyńskiego domu, ale on nie wrócił. Pociągnęła nosem, potem uśmiechnęła się do Jasona. - Będzie żył. Gorączka spadła.

- Tak, na szczęście, a ty wspaniale się nim opiekowałaś - wtrącił się Douglas. - Freddie przyjechał dziś rano, niecałe dwanaście godzin po naszym powrocie z Alex. Zgubił się i został obrabowany. Kiedy pojawił się w drzwiach, Willicombe omal nie padł na jego widok. Jedyne, co Freddie zdążył powiedzieć, zanim zemdlał, było „James”.

- Czy z Freddieм wszystko w porządku? Jason przytaknął. Spojrzał na brata, podskoczył jak oparzony, kiedy pani Osbourne wrzasnęła:

- Najświętsza Panienko! Jest was dwóch. Panie Osbourne, chodź tutaj i zobacz. Jest dwóch ślicznych chłopaczków, a nie jeden. - Po czym otworzyła drzwi kuchenne, prowadzące do stodoły i zniknęła za nimi.

- Pani Osbourne bardzo lubiła opiekować się Jamesem. Zachwyca ją nie tylko jego twarz. - Potem zachichotała. Zerknęła na Jasona. Uśmiechał się.

- Jestem pewien, że James z radością sprawił pani Osbourne przyjemność. James jęknął i otworzył oczy. Zobaczył nad sobą twarz ojca.

- Witaj, ojcze. Dlaczego nie jesteś w Paryżu?

ROZDZIAŁ 19

Douglas Sherbrooke czuł taką ulgę, był tak wdzięczny, że mógł jedynie wpatrywać się w syna, głaskać go po zarośniętej twarzy, aż wreszcie dotarło do niego, że James wyzdrowieje. Martwił się wprawdzie, że nadal miał szklane oczy i mętny wzrok, ale wiedział, że to minie, kiedy James dojdzie do siebie. Pochylił się i powiedział:

- Matka kazała cię uściskać. Prawie musiałem ją przywiązać, żeby zatrzymać ją w domu, ale wiedziałem, i ona również, że nie chciałbyś, abyśmy oboje nad tobą wisieli.

- Prawda jest taka, że nie dotarliśmy do Paryża. Twoja matka twierdzi, że Biała Dama pojawiła się w naszej sypialni w Rouen, mówiąc, że grozi nam niebezpieczeństwo. Zeszłej nocy wróciliśmy do Londynu.

- Porwali mnie, żeby dotrzeć do ciebie.

- Tak, to chyba prawda, ale czuję, że to jest bardziej skomplikowane, niż się nam wydaje. Porwało cię trzech mężczyzn?

- Tak. Ich przywódcą jest Augie, pozostali dwaj to Ben i Billy, ale nie są zbyt bystrzy. Pochodzą z Londynu, co oznacza, że muszą być znani. Może Remie dowie się czegoś o nich. Willicombe może wysłać go na przeszpiegi do doków, żeby czegoś się dowiedział.

- Zajmę się tym, kiedy wrócimy. Zresztą teraz pewnie cały Londyn szuka ciebie i Corrie. Ach, James, poznaję to spojrzenie - jesteś głodny, prawda? James zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Tak, mógłbym zjeść jedną z tych krów. Muczą przez cały czas. Przysięgłbym, że w środku nocy słyszałem ich głosy. - Dostrzegł Jasona obejmującego Corrie. - Jase, cieszę się, że przyjechałeś. Ale nie bardzo rozumiem, skąd...

- Opowiemy ci wszystko, kiedy się posilisz. Gdzie jest pani Osbourne? Ku zaskoczeniu Corrie pani Osbourne stała w drzwiach do salonu, zwijając w dłoniach swój fartuch - cóż, sprawiając wrażenie całkowicie onieśmiałej. Corrie nie dziwiła się jej. Douglas Sherbrooke stojący w jej małym salonie był tak samo nierealny, jak kardynał stojący w wiejskim kościółku. Douglas wstał i uśmiechnął się do pani Osbourne. Podszedł do niej, ujął delikatnie jej dłoń i podniósł ją do ust, tak samo jak zrobił to James.

- Pani Osbourne, moja żona i ja jesteśmy bardzo wdzięczni za pani dobroć.

- Och, sir. Och, Boże, Boże, wasza lordowska mość, to nic wielkiego. Niech pan tylko na mnie spojrzy, stoję w starym fartuchu, pod spodem mam jeszcze starszą suknię, ale nie mogłam zabrać Corrie swojej lepszej sukni, bo jej suknia balowa była strasznie zniszczona i brudna. Ale...

- Wygląda pani czarująco, pani Osbourne. Dziękuję pani za opiekę nad moim synem i jego przyjaciółką. Przyjaciółką? James, który właśnie wziął głęboki oddech, zakrztusił się. Cóż, chyba Corrie rzeczywiście była przyjaciółką, ale dziwnie było to usłyszeć. Zakaszła. Corrie natychmiast podbiegła do niego, uklękła, uniosła mu głowę i podała do wypicia lemoniadę.

Jason spojrzał na tę dwójkę. Było oczywiste, że robiła to wielokrotnie podczas choroby, więc wyglądało to całkiem naturalnie. Natomiast Douglas zeszywniał. Potem, bardzo powoli, pokiwał

głową.

- Och, moja mała Corrie, jest taka słodka. Dziś rano Elden pokazywał jej, jak wydoić starą Janie, która daje najśłodsze mleko w okolicy. James przełknął lemoniadę, zamknął na chwilę oczy i powiedział:

- Naprawdę doiłaś starą Janie?

- Próbowałam. Jeszcze nie nabrałam wprawy.

- Czy wasza lordowska mość napije się herbaty? A pański syn? - Stałą, przenosząc wzrok z Jasona na Jamesa i potrząsając głową. - Dwóch takich pięknych młodzieńców w moim salonie. Nikt mi nie uwierzy. A teraz jeszcze jego lordowska mość; nie żeby panu coś brakowało, panie, ale przy tych dwóch dżentelmenach nawet anioły płaczą.

- Proszę mi wierzyć, pani Osbourne, ja również nieraz przez nich płakałem.

- Corrie jest córką wicehrabiego - odezwał się głośno James.

- Och, więc kim jesteś, Corrie? Corrie przewróciła oczami.

- Jestem dziewczyną, która usiłowała wydoić starą Janie, nikim więcej, pani Osbourne. Pani Osbourne zaśmiała się, opanowała się i wydusiła z siebie:

- Mam naprawdę dobrą herbatę, panie. A James wypija dwa kubły lemoniady, które Corrie w niego wlewa.

- Chętnie napiję się herbaty, dziękuję, pani Osbourne. - Douglas odwrócił się do syna, wziął go za rękę, żeby poczuć wibrujące w nim życie. - Jesteśmy powozem. Do Londynu są dwie godziny drogi. Myślisz, że dasz radę, James?

- Ta podłoga jest strasznie twarda. Kiedy narzekałem, Corrie próbowała mnie podnieść, żeby położyć pode mnie więcej koców. Kiedy nie dała rady, próbowała unieść mój zadek, żeby wsunąć koce, ale przysięgam, że nie byłem w stanie ruszyć ani ręką, ani nogą. Uśmiechając się do niego, Corrie powiedziała:

- Więc przekręciłam go na bok, położyłam złożony koc, potem obróciłam go na drugi bok. Poduszki w pańskim powozie są miękkie jak łóżko, sir. James będzie miał wrażenie, że płynie na obłoku. Hrabia spojrział na Corrie, która wyglądała całkiem ładnie z wyszorowaną twarzą i czystymi, lśniącymi włosami. Nie zeszpeciła jej nawet, wisząca jak worek, suknia pani Osbourne. Poznał po jej twarzy, że tak samo jak James, straciła na wadze.

Dwie godziny później powóz Sherbrooke'ów wyjechał z farmy Osbourne'ów, której właściciele byli o pięćdziesiąt funtów bogatsi, ale jednocześnie ubożsi o jednego pracownika, znajdę, którego przygarnęli pięć lat wcześniej. Tak, Freddie był dobrym chłopakiem, spał w stodole Osbourne'ów, wykonywał sumiennie swoje obowiązki. Ale to już przeszłość. Teraz Freddie jechał wyprostowany z tyłu powozu, odziany w liberię Sherbrooke'ów z zasobów Willicombe'a. Uniform wisiał na dwunastoletnim Freddie'cie beładnie, ale chłopak był tak bardzo z siebie dumny, że Willicombe nie miał sumienia kazać mu przebrać się w stare ubranie. Douglas nakazał Willicombe'owi, żeby przygotował dla chłopca sześć uniformów.

Na dachu powozu przywiązano beczułkę z mlekiem starej dobrej Janie, jako podarek od pani Osbourne.

James przespał większą część podróży, siedząc między ojcem i Corrie, a Jason siedział naprzeciwko, gotowy w każdej chwili chwycić Jamesa, gdyby ten poleciał do przodu.

Douglas chciał, żeby Corrie opowiedziała im dokładnie, co się stało, ale ledwie zdążył ją uspokoić, że poinformował jej wujostwo, iż jest bezpieczna, ona uśmiechnęła się do niego sennie i

głowa opadła jej na ramię Jamesa.

Douglas zastanawiał się, czy James ma świadomość, jakie konsekwencje pociągnie za sobą ta szalona eskapada.

* * *

Ciotka Maybella i wuj Simon siedzieli w salonie z mamą bliźniaków, pijąc herbatę i zamartwiając się bez końca, dopóki Douglas i Jason nie wprowadzili do salonu Jamesa.

Przez dłuższą chwilę panował chaos, dopóki James, którego ojciec i brat położyli na sofie i który został opatulony w dwa koce, nie odezwał się do Maybelli i Simona:

- Pilnowałem, żeby Corrie była ciepło ubrana, ponieważ bałem się, że się zaziębi - zobaczcie, co się stało. To ja zachorowałem. Jakby powiedział Augie - do jasnej cholery. A Corrie, klęcząc przy kanapie, odezwała się bez zastanowienia:

- Wolałabym, żebym to ja zachorowała, James. Nigdy nie bałam się bardziej niż drugiej nocy. Był rozpalony, rzucił się po łóżku. Potem przewrócił się na plecy i leżał tak nieruchomo, że byłam pewna, iż nie żyje.

- Złego diabli nie biorą - powiedział James.

- To prawda, i cieszę się z tego, chociaż ja raczej powiedziałabym, że jesteś uparty. - Uniosła wzrok i dodała: - Ale wypijał wszystką wodę i lemoniadę, którą go poiłam. I całe wiadra herbaty. James położył głowę na poduszkę, którą podłożyła mu matka, i powiedział:

- Powinniście zobaczyć, jak Corrie wjechała na koniu przez drzwi chaty, trzymając w ręku widły jak lancę. Miała na sobie białą suknię balową. - Zaczął się śmiać. - Dobry Boże, Corrie, nie zapomnę tego widoku do końca życia.

- O czym ty mówisz? - Aleksandra nie mogła się powstrzymać, żeby nie skakać wokół Jamesa, bo odczuwała tak wielką ulgę.

- Corrie paradowała z lancą? - odezwał się wuj Simon, zwracając się do siostrzenicy. - Ojej, pamiętam, że jako mała dziewczynka byłaś zafascynowana średniowiecznymi rycerzami. James nauczył cię, jak trzymać długi drąg i nie zrobić sobie krzywdy. Pamiętam, jak się śmiał, gdy biegłaś z tą bronią na kurczaka. Ale tym razem jechałaś na koniu?

- Całkiem o tym zapomniałem - powiedział James. - Wtedy nie udało ci się trafić kurczaka, Corrie.

- Był szybki - odparła Corrie - naprawdę szybki, a potem schował się między drzewami.

- A ty walnęłaś drągiem w drzewo tak mocno, że wylądowałaś na tył... cóż, usiadłaś z impetem na ziemi.

- James stara się uważać na swoje słownictwo. Wie, że jego matka to pochwała.

- Ha - odparł Jason na uwagę swej mamy.

- Cóż, Corrie tym razem nie biegła z drągiem, jechała na oklep, trzymając pod pachą widły, i miała na sobie suknię wieczorową - powiedział James.

- Wjechała na drzewo? - spytała ciotka Maybella. Minęła jeszcze dobra godzina, zanim wszyscy przetrawili całą opowieść.

Douglas zauważył, że syn jest zmęczony.

- Człowiek, który opłacił trzech łotrów, powiedział, że nazywa się Douglas Sherbrooke. To mi daje do myślenia. Ten Augie chyba nie użył mojego imienia, żeby z ciebie zakpić, James? James

potrzęsnał głową, niemal zasypiając.

- Nigdy o tobie nie słyszał, sir. Nie kłamał.

- Za chwilę spadniesz z kanapy, James - powiedziała Aleksandra, delikatnie gładząc go palcami po twarzy. - Ach, ale włosy masz czyste i błyszczące.

- Corrie umyła mnie całego dziś rano.

- Och - odezwała się ciotka Maybella i zerknęła na wuja Simona, lecz ten nie słuchał. Przyglądał się dębom, których listowie zaczynało już nabierać jesiennych barw. Usłyszała, jak powiedział pod nosem:

- Ten odcień złotego jest bardzo ładny. Mam brązowe i pszenne, ale nie w takim odcieniu. Muszę dołączyć go do swojej kolekcji. Wyszedł z salonu, zanim Corrie zdążyła mrugnąć powieką. Uśmiechnęła się.

Zobaczyła w parku kilka guwernantek ze swoimi podopiecznymi, i wiedziała, że zapewne będą podziwiać jej wuja, nie mając pojęcia, że on zupełnie nie jest nimi zainteresowany, a jedynie liśćmi dębu.

Maybella stuknęła stopą, wpatrując się w śliczne ozdoby na suficie.

- Ech, zawołam Petriego, który zapewne czeka w holu z Willicombem i resztą służby, gotowi pobić się o to, kto ma cię zanieść do sypialni.

Ale to Douglas i Jason zanieśli Jamesa do sypialni, a Petrie i Willicombe kroczyli za nimi, gotowi pomóc w razie potrzeby. Trzy kroki za nimi szedł Freddie z rozpostartymi ramionami, również gotowy. James uśmiechnął się do ojca i brata.

- Dziękuję, że po mnie przyjechaliście.

Zasypiając, słyszał, jak Petrie przechwalał się, że jest w stanie ogolić jego lordowską mość, nie budząc go.

ROZDZIAŁ 20

James obudził się tuż przed północą, w jego pokoju panował mrok, węgle dopalały się w kominku, a on czuł się jak ciepły pudding świeżo wyciągnięty z piekarnika. Zdał sobie sprawę, że musi się wysikać, więc zszedł z łóżka i znalazł nocnik. Był strasznie słaby i doprowadzało go to do wściekłości. Jak tylko znalazł się z powrotem w łóżku, poczuł, że jest głodny. Już miał pociągnąć za sznur dzwonka, ale cofnął rękę. Było bardzo późno. Położył się, wsłuchując się w burczenie w brzuchu. Zastanawiał się, czy będzie w stanie dojść do kuchni. Lepiej zapomnieć o jedzeniu. Najważniejsze, że był w domu, we własnym łóżku. Nie będzie głodował. No i żył.

Niecałe trzy minuty później drzwi do jego sypialni otworzyły się cicho. Do pokoju weszła jego matka, ubrana w śliczny ciemnozielony szlafrok, niosąc małą tacę. James nie mógł w to uwierzyć.

- Czy umarłem i poszedłem do nieba? Skąd... Aleksandra położyła tacę na stoliku nocnym i powiedziała, pomagając mu usiąść:

- Petrie spał w garderobie przy otwartych drzwiach. Powiedziałam mu, że ma mnie obudzić, gdy tylko usłyszy, że się obudziłeś. I tak zrobił. Przyniosłam ci rosół z kurczaka, ciepły chleb z masłem i miodem. Co ty na to?

- Ożeniłbym się z tobą, gdybyś nie była moją matką. Aleksandra roześmiała się i zapaliła świecę. James przyglądał się matce.

- Pamiętam, że ilekroć chorowałem w dzieciństwie, zawsze przy mnie byłaś. Budziłem się w środku nocy, a ty stałaś obok mnie, trzymając świecę, a twoje włosy wyglądały w jej świetle jak płomień. Myślałem, że jesteś aniołem.

- Jestem - powiedziała Aleksandra, zaśmiała się i pocałowała go. Przez chwilę przyglądała mu się uważnie. - Lepiej wyglądasz, a twoje oczy są bardziej przytomne. Zamierzam cię nakarmić. Przysunęła sobie krzesło i usiadła, patrząc, jak James pochłania wszystko, co mu podawała. Kiedy skończył, westchnął i oparł głowę na poduszkach.

- Kiedy się obudziłem, pierwsze, co pomyślałem, to gdzie jest Corrie? - powiedział. Aleksandra zamruczała pod nosem.

- Ocaliła mi życie, mamó. Nie sądzę, żeby samemu udało mi się uciec tym trzem mężczyznom.

- Ona zawsze była zaradną dziewczyną - odparła Aleksandra. - I zawsze całkowicie lojalna wobec ciebie.

- Tak naprawdę do tej pory nigdy tego nie doceniałem. Możesz uwierzyć, że widziała, jak zostałem pojmany, i bez wahania wskoczyła na tył powozu? Mając na sobie suknię balową.

- Cóż, jeśli mam być szczerą, to mogę w to uwierzyć. Uśmiechnął się.

- Ach, ty i ojciec, zawsze sobie oddani. Tak, ty również wskoczyłabyś na tył powozu, prawda?

- Może wyciągnęłabym derringera, którego mam pod suknią, i zastrzeliła tych łotrów. Staralabym się ocalić swoją suknię.

- Chcesz mnie rozbawić? Ja mogę sobie wyobrazić, że to robisz, mamó. - James westchnął i ponownie zamknął oczy. - Mam także przed oczyma obraz trzyletniej Corrie. Wtedy pierwszy raz ją

zobaczyłem. Trzymałaś ją za rękę, przedstawiając ją nam. Nigdy nie zapomnę, jak patrzyła to na mnie, to na Jasona, a potem powiedziała do mnie: „James”.

- Pamiętam. Puściła moją dłoń i nie oglądając się, podeszła do ciebie, zadzierając głowę, żeby zobaczyć twoją twarz, i wzięła cię za rękę. Miałaś wtedy chyba dziesięć lat.

- Nie chciała mnie puścić. Pamiętam, jaki byłem zawstydzony.

- Pamiętasz, jak Jason chciał ją oszukać, że jest tobą?

- Kopnęła go w łydkę. Zaczął ją gonić, tak dla zabawy, wtedy zobaczyła mnie i usiłowała wdrapać mi się na kolana. Alex zaśmiała się.

- Jason był pewien, że zachowuje się tak jak ty, ale ona nie dała się oszukać.

- Panna Juliette Lorimer nie jest w stanie nas odróżnić.

- Ach, tak, Juliette - odezwała się Aleksandra, przyglądając się swoim podniszczonym zielonym pantoflom. - Urocza dziewczyna, prawda? James przytaknął.

- Jest dobrą tancerką, i rzeczywiście jest piękna. Chodzi jednak o to, że mógłbym być Jasonem, a ona nie byłaby w stanie nas odróżnić.

- Przyszły tu z matką trzykrotnie podczas twojej nieobecności. Nas nie było, ale był Jason. Mówił, że Juliette była zrozpaczona, kiedy zdała sobie sprawę, że on to nie ty. James przez chwilę zastanawiał się nad tym. Dopadło go zmęczenie. Posłał matce krzywy uśmiech.

- Dziękuję, że uratowałaś mnie przed śmiercią głodową. Zamknął oczy. Aleksandra pochyliła się i pocałowała syna. Dziękowała Bogu i Corrie Tybourne - Barrett za ocalenie mu życia.

* * *

- Kim jesteś?

- Jestem Freddie, nowy służący Sherbrooke'ów - powiedział chłopiec, wypinając pierś, co było dość zabawne, bo nie bardzo miał co wypinać. - Nic dziwnego, że mnie pan nie pamięta, bo był pan nieprzytomny.

James uśmiechnął się do chłopca, ubranego w liberię Sherbrooke'ów.

- Teraz sobie ciebie przypominam, Freddie. Dlaczego tu jesteś?

- Niepokoiłem się, panie. Chciałem tylko się upewnić, że pan żyje. Wszyscy bardzo się cieszymy, że nic panu nie jest. Najlepsze, co w życiu zrobiłem, to przyjazd do Londynu, żeby powiedzieć pana rodzicom, gdzie pan jest, chociaż o mało nie zostałem posiekany na kawałki. I niech pan zobaczy, co z tego wyszło. Niech pan popatrzy na mnie, panie. Jest na czym oko zawiesić, prawda? Chce pan dotknąć tej wełny? Mięciutka jak owieczka.

- Tak, wygląda na miękka, a ty wyglądasz wspaniale, Freddie. Przepraszam, że cię nie pamiętałem, ale wiem, co zrobiłeś dla mnie i Corrie. Dziękuję.

- Nie ma za co, panie, był pan tak chory, że obawiałem się, że przywiozę pana rodziców na pogrzeb, ale nie, wyrwał się pan śmierci. To panna Corrie pana uratowała. Jest twarda i ani na chwilę pana nie opuszczała.

- Podobno omal nie zginąłeś, usiłując dotrzeć do Londynu?

- Zostałem napadnięty przez gang rzezimieszków, którzy chcieli mnie pobić dla zabawy. Ja się nie ubawiłem. Zabrali pieniądze, które dała mi panienska Corrie, chociaż schowałem je w bucie; ale je znaleźli. Ale im uciekłem i dotarłem tutaj w bardzo złym stanie, ale Willicombe domyślił się, że mam coś ważnego do przekazania jego lordowskiej mości, więc mnie wpuścił. Ale...

- Doceniam twoją odwagę, Freddie, i twoją nieustępliwość Freddie pokiwał głową, rozmyślając o pięciu funtach, które miał w kieszeni, a nie w bucie, otrzymane od samego hrabiego. Freddie

przesunął dłońmi po spodniach.

- Pański ojciec powiedział mi, że Willicombe zamówił dla mnie sześć liberii. Sześć! Może sobie pan to wyobrazić?

- Nie - odparł powoli James - nie mogę. Pomyślał o swoim wuju Ryderze, który przygarniał bite i niechciane dzieci, wychowywał je, kształcił, a co najważniejsze, kochał. Jak Freddie czułby się u wuja Rydera?

Kiedy do jego sypialni przyszedł Jason, niedługo po wyjściu Freddiego, James powiedział:

- Może wyślemy Freddiego do wuja Rydera?

- Naszego zadowolonego z siebie nowego służącego z jego sześcioma nowymi liberiami? Nie sądzę, żeby chciał jechać, James. Jest taki podekscytowany tym, że mieszka w wielkim mieście. Nie może przestać mówić o zwiedzaniu wieży Lunnon, gdzie wieszano ludzi. Nie rozumiesz? Teraz jest coś wart. Czuje się ważny. Nie potrzebuje wuja Rydera.

- Musimy mu przynajmniej zapewnić wykształcenie.

- Pewnie będzie się buntował, ale dopilnuję, żeby Willicombe sprowadził nauczyciela i żeby nasz chłopak spędzał w ławce szkolnej przynajmniej dwie godziny dziennie. Ale przyszedłem ci powiedzieć, że panna Juliette Lorimer i jej matka przyszły cię odwiedzić. James potrząsnął głową, zanim Jason skończył mówić.

- Jeszcze nawet nie zdążyłem się ogolić.

- Przynajmniej lady Juliette będzie w stanie nas odróżnić.

- To prawda. Nie, powiedz, że jutro po południu będę w stanie je przyjąć. Jason odwrócił się, żeby wyjść, kiedy James zawołał:

- Gdzie jest Corrie? Wiesz, kiedy się przebudziłem, to prawie wołałem jej imię, ale nie czułem jej zapachu - to taki delikatny zapach, jakby jaśminu. Czuję się dziwnie, nie mając jej przy sobie.

- Nic dziwnego. Wyszła zaraz po tym, jak wynieśliśmy cię z ojcem z salonu. Nie pamiętasz, że się z nią żegnałeś? James potrząsnął głową.

- Jase, mógłbyś ją odwiedzić i sprawdzić, jak się czuje? Och, a co z panną Judith McCrae? Widziałeś się z nią? Jason rzucił mu dziwnie poważne spojrzenie, przez co wyglądał jak grecki posąg.

- Prawdę mówiąc, nie miałem na to czasu. Poinformowałem ją tylko, że już jesteś w domu. Sądzę, że jeszcze ją zobaczę.

ROZDZIAŁ 21

James siedział w łóżku, wykąpany i ogolony przez Petriego, który kręcił się wokół niego tak długo, że James miał ochotę rzucić w niego książką. W pewnej chwili Willicombe, promieniejąc z dumy, że może towarzyszyć bohaterce chwili, wprowadził do pokoju Corrie. James, przyglądając się jej, odezwał się sztywno:

- Nie powinnaś odwiedzać mnie sama, Corrie. Jesteś młodą damą; są pewne zasady. Przekrzywiła głowę.

- Czyż to nie jest idiotyczne? Bywam w twoim domu od dziecka. A teraz powinnam mieć przyzwoitkę, kiedy cię odwiedzam? Żebyś nie zrobił czegoś niestosownego, jak uwiedzenie mnie w domu twoich rodziców?

- Chodzi bardziej o zasadę, a nie o to, co może się zdarzyć.

- Patrząc teraz na ciebie, mogę założyć się o każde pieniądze, że nie byłbyś w stanie zrobić żadnej nieprzyzwoitej rzeczy. Pewnie mogłabym pokonać cię na rękę, James, i po chwili już byś jęczał.

- To prawda - powiedział, uśmiechając się. Wszyscy byli dla niego tacy mili, troskliwi i pełni szacunku, że miał ochotę krzyknąć. A teraz wreszcie przyszła Corrie, i już po chwili przystawiła mu pięść do twarzy. Czuł się z tym dobrze. Od razu się ożywił. - Założę się, że nawet Freddie poradziłby sobie ze mną. Corrie uśmiechnęła się, ale milczała. Stała w nogach łóżka i tylko patrzyła.

- Podobają mi się twoje baczki - odezwała się wreszcie. - Przydają twojej twarzy głębszego wyrazu. Uniósł brew.

- Samo piękno może być nudne, nie sądzisz, James? No wiesz, po prostu siedzi takie doskonałe, a po chwili każdy ma ochotę ziewnąć.

- A mnie brakuje twojej białej sukni balowej, brudnej i poszarganej. Tobie również dodawała głębi. A teraz - masz na sobie uroczą, czystą zieloną sukienkę, nic dodać, nic ująć. Zupełnie nieciekawa. - Ziewnął, zakrył dłonią usta i ziewnął ponownie. Przybrała pozę, która miała go wkurzyć, ale która przestała na niego działać, odkąd zobaczył, jak ćwiczyła ją przed lustrem. Na szczęście nie zauważyła go wtedy. Czekał z uśmiechem, zastanawiając się, co powie.

- Wiesz, jak się tak nad tym zastanawiam, to muszę się przyznać, że kiedy leżałeś nagi w chorobie, bezbronny - no wiesz, rozplaszczony na plecach - nie przypominam sobie, żebym była znudzona patrzeniem na ciebie. Nie, nie ziewnęłam ani razu.

James zaczerwienił się. Uśmiechała się do niego, wiedząc, że go pokonała. Z trudem odzyskał panowanie nad sobą.

- Corrie, może pomożesz mi się napić?

- Żebyś wylał mi wodę na głowę? Nie, dziękuję, James. Widzę, że możesz jedynie ignorować moje obelgi, co jest raczej żalonym wybiegiem, nie uważasz? Może i chętnie byś mnie obrzucił jakimś wyzwiskiem, ale to wymagałoby od ciebie trochę pomyślunku, a to niełatwe, skoro twój umysł kiepsko pracuje. Więc przyznaj, że tym razem cię powaliłam na ziemię. Hmm, powaliłam. Cóż

za urocze słowo. - Po czym naląła mu szklanę wody, usiadła obok niego na łóżku, automatycznie wsunęła mu rękę pod szyję, i uniosła jego głowę. Twarzą prawie dotykał jej biustu. Wziął głęboki wdech.

- Ach, wystarczy. Dziękuję, Corrie. Odstawiła szklanę i uniosła brew.

- O co chodzi? Ciągłe jesteś zbyt słaby, żeby samemu zaspokoić pragnienie?

- Nie, lubię, kiedy ty to robisz. Lubię wąchać twój zapach, gdy jesteś blisko. Odruchowo pogładziła go po twarzy, na chwilę ujmując w dłoń jego podbródek.

- Czy mój zapach był na tyle interesujący? Wystarczająco wyrafinowany?

- Tak. Parsknęła, a on powiedział:

- Wiesz, to parskanie, chociaż tak charakterystyczne dla ciebie, nie pasuje do twojej sukni, w której masz talię jak osa. Natomiast masz za duży dekolt. Powinnaś być skromną, młodą damą, która rozpoczyna swój pierwszy sezon towarzyski, a nie zblazowaną damulką, która musi się bezczelnie reklamować, żeby przyciągnąć mężczyzn. Ach, chyba za chwilę rzucisz we mnie karafką z wodą. Źle odbierasz moje życzliwe słowa, Corrie. Robię tylko małą uwagę, że nie powinnaś pokazywać światu tak jawnie swoich walorów, przynajmniej jeszcze nie teraz. To było całkiem błyskotliwe, i oboje to wiedzieli. James czekał, czując, że jego umysł pracuje na pełnych obrotach. Zapatrzyła się w dal, mówiąc:

- Pamiętam, że prawie odmroziłam sobie ręce, obmywając cię zimną wodą, żeby zbić gorączkę. Za każdym razem moje ręce schodziły coraz niżej i niżej. - Patrzyła wprost na niego i uśmiechała się jak jędra. - Ach, Jamesie, muszę przyznać, że twoje walory nie wymagają reklamowania. Ale spójrz na mnie, jestem tylko przeciętną pawicą i muszę się reklamować w każdy możliwy sposób.

Poczerwieniał. Cholera, znowu poczerwieniał, a ona to widziała.

- Na Boga, Corrie, zakryj chociaż trochę dekolt. Uśmiechnęła się do niego.

- Dobrze. Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

- Zamknij buzię, James, bo wyglądasz jak Willie Marker, kiedy mu oznajmiłam, że żadna dziewczyna nie będzie chciała wyjść za niego za męża, ponieważ jest zbirzem o ptasim mózdzku.

- Wątpię, aby Willie Marker kiedykolwiek myślał o małżeństwie.

- Dlatego zaczął się na mnie wydierać - odparła i ciężko westchnęła. - A potem znowu próbował mnie pocałować. Czy to nie dziwne? Po tym, jak go tak obraziłam?

- Pewnie niektórzy mężczyźni lubią, kiedy kobieta wali ich po głowie, oczywiście w przenośni. Spojrzała na niego, czując nieodpartą chęć, by znowu go dotknąć, ale oczywiście tego nie zrobiła. Już nie był bezradny. Więc powiedziała:

- Dostyc już o mojej sukni. Powiedz mi, jak się czujesz w ten piękny poranek?

- Poduszki się zsunęły. Możesz je poprawić. Boli mnie głowa. Podniosła się, żeby się nad nim pochylić i poprawić poduszki. Wyprostowała się i spojrzała na niego z góry.

- Czy mam również wetrzeć ci trochę wody różanej między brwi?

- Tak, proszę. Zaczęła nucić jedną z jego ulubionych przyśpiewek, mocząc chusteczkę w karafce i pochylając się, żeby przetrzeć mu czoło. Już nie uśmiechała się szelmowsko, lecz była całkowicie skupiona.

- Przykro mi, że nie mam wody różanej, James. Sądzisz, że ta z karafki ci pomaga?

- Nie przestawaj, ach, tak, jak miło. Masowała delikatnie jego czoło ruchem, który jego ciało natychmiast rozpoznało.

- Dziś rano zdarzyło się coś bardzo dziwnego, James. Szłam z pokojówką w odwiedzinach do

ciebie, kiedy spotkałam panią Cutter i lady Brisbett. W zeszłym tygodniu spotkałam je na jakichś tańcach i były dla mnie bardzo miłe. Teraz obie mnie zignorowały, spojrzały na mnie, jakbym była powietrzem, i przeszły obok z wysoko zadartymi nosami. Czy to nie dziwne? - Zamilkła na chwilę. - A może obie są krótkowidzami? Ale ja się uśmiechnęłam i odezwałam się do nich. To było bardzo dziwne, nie uważasz? Nie tak dziwne, jak to, że chłopak chce pocałować dziewczynę, która go spoliczkowała, ale dziwne. W drzwiach rozległo się sapnięcie. Nie był to Petrie, ani jego matka z jedzeniem. Była to panna Juliette Lorimer z matką.

Juliette wyprostowała się, prezentując swoje walory jeszcze bardziej niż Corrie i, co musiał przyznać, z lepszym efektem, i odezwała się lodowatym tonem:

- Mogę spytać, co się tu dzieje? James odparł od niechcienia:

- Witaj, Juliette. Corrie była tak miła i zgodziła się przetrzeć mi czoło wodą z karafki, ponieważ nie mamy wody różanej. Boli mnie głowa.

- Powinny zająć się panem bardziej delikatne dłonie - odezwała się pani Lorimer. - Juliette, weź moją chusteczkę. Przetrzyj czoło jego lordowskiej mości. Panny Tybourne - Barrett nawet nie powinno tu być. Jest sama, w przeciwieństwie do ciebie, bo ty jesteś ze mną. To bardzo niestosowne. Chyba powinnam o tym porozmawiać z Maybellą.

- A dlaczegoż nie, madam? Przez całe życie byłam jak członek rodziny - odparła Corrie, unosząc brew.

- To nie ma żadnego znaczenia, panienko, i powinnaś o tym wiedzieć. Musisz już iść do domu. Właśnie tak, czas, żebyś poszła do domu.

- Ale Jamesa boli głowa.

- Nie odzywaj się, Corrie - powiedział i zamknął oczy, żeby nie widzieć rozgrywającej się w jego sypialni wojny.

- James - odezwała się Juliette słodkim i dźwięcznym głosem - wyglądasz wspaniale. Daję słowo, wyglądasz, jakbyś zaraz miał ruszyć w tan. Tak się cieszę. Bardzo się martwiłam, kiedy zaginałeś. Nikt nie wiedział, co się z tobą dzieje. Potem ktoś zauważył, że panna Tybourne - Barrett również zaginęła. Oczywiście jej zaginięcie nie było tak szeroko komentowane jak twoje, ale potem, o dziwo, wróciliście do Londynu razem. Rozległo się chrząknięcie. Głos zabrał hrabia Northcliffe:

- Panie, przyszedłem zaprosić was do salonu na herbatę i wspaniale ciasto cytrynowe. Corrie, przyłączysz się do nas, kiedy skończysz obmywać czoło Jamesa? Uratowany. Nie było wyboru. Juliette spojrzała tęsknie na Jamesa, który w tej chwili miał zamknięte oczy, rzuciła Corrie wrogie spojrzenie, a potem odwróciła się i poszła za hrabią.

- Ona ma rację, Corrie - powiedział z zamkniętymi oczami James.

- Że twoje zaginięcie było szerzej komentowane niż moje? Cóż, to z pewnością prawda. Kogo mogę obchodzić, poza ciotką Maybella i wujem Simonem? Bardzo możliwe, że wuj Simon nawet by tego nie zauważył, chyba że chciałby, abym przytrzymała mu liść. Była to prawda, i James poczuł ogarniający go gniew, ale nie chciał dowieść z jakiego powodu.

- Dziś rano powiedział mi, że znalazł nieznaną liść na ścieżce w Hyde Parku. Był bardzo podekscytowany tym faktem, chciał za wszelką cenę zidentyfikować drzewo, z którego spadł, i mógł cieszyć się bezkarnie swoim odkryciem, nie narażając się na przygany ze strony ciotki Maybelli, bo wróciłam już cała i zdrowa do domu.

- Oczywiście Jason za mną tęsknił. I może Willicombe. Szkoda, że nie ma tu Buxteda. Pamiętasz Buxteda, naszego lokaja w Twyley Grange, prawda, James?

- Oczywiście. Znam go od urodzenia.

- Buxted zawsze pomagał mi wymknąć się z domu i nigdy nie dawał mi bury. Ostrzegał mnie przed podróżą do Londynu, chociaż, o ile mi wiadomo, nigdy tu nie był.

- Co ci powiedział?

- Powiedział, że wszędzie można spotkać zło i podłość, ale nigdzie nie ma tego tak wiele, jak w Londynie. Buxted miał rację, prawda?

- Tak.

- Och, jesteś zdenerwowany. Nie ruszaj się, James, odpręż się i zamknij oczy. Czy ból trochę zelżał? Westchnął ciężko.

- Czy twoja ciotka i wuj rozmawiali z tobą wczoraj albo dziś rano?

- Oczywiście. Ciotka Maybella chciała znać wszystkie szczegóły, a wuj Simon sprawiał wrażenie, że słucha, przynajmniej przez większość czasu. Roztrząsali to ciągle dziś rano, aż miałam ochotę krzyknąć. Powiedziałam, że muszę cię odwiedzić. - Zamilkła na chwilę, krzywiąc się.

- O co chodzi?

- Cóż, wuj Simon potrząsał nade mną głową - ale nie odezwał się słowem, dopóki nie byłam gotowa do wyjścia. Wtedy spojrzał na mnie, ponownie potrząsał głową i powiedział: „Ścigana jak szczur. Ha!”. I roześmiał się, rozbawiony. Zawsze wtedy wygląda tak atrakcyjnie, że nawet ciotka Maybella nie umie się na niego o nic gniewać. Czy to nie dziwne? Chcesz jeszcze wody? Herbaty? Może nocnik?

- Corrie. Zamilkła, spojrzała mu w oczy.

- Tak?

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem odezwał się niskim głosem:

- Ojciec powiedział mi, że jesteś dziedziczką.

- Dziedziczką? Co to znaczy, James? Och, rozumiem. Rodzice zostawili mi trochę pieniędzy, żebym mogła wyjść odpowiednio za mąż. Jestem im za to wdzięczna.

- Więcej niż trochę. Jesteś dziedziczką, Corrie, i być może jedną z bogatszych pańienek w Anglii. Twój ojciec najwyraźniej miał talent do robienia interesów, a ty byłaś jego jedynym dzieckiem. Wuj Simon dobrze strzeże twojej fortuny.

- Pewnie dlatego, że o niej zapomniał - odparła, nie bardzo go słuchając, zapatrzona w śliczny turecki dywan leżący na podłodze przy łóżku. James zauważył, że dotarło do niej, zobaczył, jak zwęziły jej się oczy, zacisnęła usta, a potem wybuchnęła. Zerwała się z łóżka, opierając dłonie na biodrach. Głos miała spokojny, ale w środku płonęła z wściekłości.

- Chciałabym wiedzieć, Jamesie Sherbrooke, skąd twój ojciec wie o tej mojej fortunie, skoro ja, osoba, do której ta fortuna podobno należy, nie miałam o niej zielonego pojęcia? I dlaczego właśnie tobie o tym powiedział? Nie masz z tym nic wspólnego! To nedorzecznosc, James, co bardzo mnie złości. Jeśli jestem przekłętą dziedziczką, to dlaczego wuj Simon nie poinformował mnie o tym? - Tupnęła nogą. Nigdy wcześniej nie widział, żeby tak robiła. Teraz nadeszła jego kolei, żeby ją rozzłościć.

- Spójrz tylko na siebie, tupiesz nóżką jak dziecko, które nie dostało zabawki. Dorośnij, Corrie. Młode damy nie muszą znać się na finansach. To jest dziedzina, której nie są w stanie pojąć. Znowu tupnęła nogą.

- To nedorzecznosc i dobrze o tym wiesz, Jamesie Sherbrooke'u! Ja nie jestem w stanie pojąć finansów? Przez prawie cztery lata pracowałam z człowiekiem, który zajmuje się finansami wuja

Simona! Wiem wszystko o jego przeklętych finansach! Dlaczego nikt nie zadał sobie trudu, żeby poinformować mnie o moich?

James zdał sobie sprawę, że dolewając oliwy do ognia, nie osiągnie tego, co chciał, czyli jej zgody. Nie miało znaczenia, że tego nie chciał, musiał ją uzyskać, bezwzględnie. Odrobina spolegliwości, pomyślał.

- Cóż, może. Może masz rację, ale to nie ma znaczenia. Ojciec powiedział mi o tym, ponieważ chciał, żebym uważał w Londynie na łowców posagów, którzy mogliby się koło ciebie kręcić. Ojciec powiedział, że gdy chodzi o pieniądze, nie ma tajemnic. I ma rację. Potrzeba było niewiele czasu, żeby rozeszły się pogłoski o twoim bogactwie, i uwierz mi, Corrie, zostałabyś osaczona. Corrie, rzadko popadająca we wściekłość, teraz pohamowała się trochę.

- Cóż, te pogłoski chyba jeszcze się nie rozeszły, skoro ja o tym nie wiedziałam.

- I może teraz już się nie rozejdą. James westchnął, spojrzął na swoje dłonie, skrzyżowane na pościeli.

Odezwał się, nie podnosząc wzroku:

- W Londynie jest wielu pazernych mężczyzn, nigdy o tym nie zapominaj, Corrie. Corrie rzuciła mu swoją chusteczkę na twarz i zaczęła krążyć po pokoju.

- Chociaż nie krzyczę, to nadal jestem wściekła, Jamesie.

- Rozumiem, ale musisz przyznać, że powody, dla których ojciec powiedział mi o tym, są rozsądne. Opowiedział mi również, śmiejąc się do rozpuku, co stwierdził wuj Simon, zanim poruszył kwestię twojego spadku.

- I cóż takiego powiedział?

- Słyszałaś to już dziś rano. „Będzie ścigana jak szczur”. Jego słowa sprawiły, że się zatrzymała.

- Wuj Simon tak powiedział?

- Tak. Martwił się, że... eee... nie masz doświadczenia w intrygach londyńskiej socjety. Oczywiście nie martwił się tym zbyt długo, bo właśnie otrzymał nowy numer magazynu naukowego.

- Ścigana jak szczur. Jakie skojarzenia to nasuwa. - Zaczęła się śmiać. - Ścigana jak szczur - sapnęła i chwyciła się za brzuch, nie mogąc zapanować nad śmiechem.

- Mój ojciec też pękał ze śmiechu Ciągle się śmiejąc, podeszła do drzwi. Rzuciła przez ramię:

- Powiedz mi, James, skoro finanse przekraczają moje możliwości pojmowania, to co nie przekracza?

- Byłabyś idealnym średniowiecznym rycerzem. Zamurowało ją. Jej twarz zalała się uroczym rumieńcem. Otworzyła usta, potem zamknęła. Prawie podbiegła do drzwi, uśmiechnęła się do niego szeroko i machnęła ręką.

- Powinieneś teraz odpocząć, James. Zobaczymy się jutro, jeśli nie masz nic przeciwko, że nie przyjdę w towarzystwie dwudziestu umięśnionych młodzieńców, którzy chroniliby mnie przed tobą i plotkami - zaśmiała się i już jej nie było. Słyszał jej pogwizdywanie. Wyszła, zanim zdążył jej powiedzieć to, co miał do powiedzenia.

Zaklął w pustym pokoju. Pustym nie na długo, bo wyjście Corrie oznaczało przyjscie Juliette. Jego ojciec spojrzął na niego wymownie, i pozostawił go na pastwę losu, co oznaczało również matkę Juliette.

ROZDZIAŁ 22

Następnego ranka Corrie przyjechała do miejskiego domu Sherbrooke'ów i dowiedziała się od Willicombe'a, że młody lord jest w gabinecie i pracuje, żeby rozruszać umysł.

- Nie potrzebuje do tego dokumentów, tylko porządnej kłótni - powiedziała Corrie i odprawiła Willicombe'a machnięciem ręki, gdy chciał ją zaanonsować.

Cicho otworzyła drzwi i zobaczył Jamesa siedzącego za biurkiem ojca, z kartką papieru w prawej ręce, piórem w lewej i głową opartą o biurko. Był pogrążony w głębokim śnie.

Zaczęła się wycofywać, kiedy podskoczył, spojrzał na nią i powiedział:

- Rychło w czas.

- Dlaczego nie jesteś w łóżku?

Przeciągnął się, wstał i ponownie przeciągnął, potem ziewnął.

- Schudłeś, James. Porozmawiam o tym z twoją matką. Opuścił ramię.

- Nie martw się. Moja matka wpycha we mnie jedzenie co godzinę. Ty również schudłaś. Gdzie byłaś?

- Przypadkiem spotkałam Judith McCrae, wiesz, tę dziewczynę, która, jak mi się zdaje, interesuje się Jasonem. Oczywiście każda dziewczyna w Londynie interesuje się tobą lub Jasonem, ale ona wydaje się inna, bardziej dla niego odpowiednia, chyba.

Cokolwiek to miało oznaczać.

- To siostrzenica lady Arbuckle. Jak ją spotkałaś? - spytał.

- Wychodziła od modystki z lady Arbuckle. Dyskutowały z ożywieniem, ale kiedy Judith mnie zobaczyła, cała się rozpromieniła. Wątpię, żeby lady Arbuckle ucieszyła się na mój widok. Sądzę, że Judith wie, iż jestem przyjaciółką z dzieciństwa, więc kimś, z kim warto się zaprzyjaźnić.

- Jason ostatnio nie wspominał o niej zbyt często.

- Nic dziwnego, skoro jego brat zaginął i równie dobrze mógł zostać zabity.

- Sądzę, że on też ją lubi. Teraz, kiedy już upewnił się, że ze mną wszystko w porządku, znowu może o niej myśleć.

- Ciekawe, co będzie myślał. Czy Juliette koczowała w salonie, kiedy obudziłeś się dziś rano?

- Cóż, odwiedziły mnie z matką tuż po śniadaniu. Jeszcze byłem w łóżku. - Nie przyjął zbyt ostentacyjnej pozy, bo był jeszcze za słaby, aby prowokować ją jak to miał w zwyczaju. - Wiesz, wydaje mi się, że dobrze się bawiła w moim towarzystwie, podczas gdy jej matka siedziała wygodnie w kącie, spokojnie oglądając obrazek.

- A ty, jak sądzę, niechętnie znosiłeś tę przesadną atencję? To gruchanie? Czy gładziła cię po biednym czole?

- Nie przypominam sobie żadnego gruchania, może poza gruchaniem jej matki.

- Cóż, tak, to zrozumiałe. W końcu jesteś dziedzicem. Wiesz, James, nie mogę wyobrazić sobie, że ona chciałaby wyjść za ciebie za męża.

- A dlaczegoż to?

- Juliette doskonale zdaje sobie sprawę ze swojej urody. Problem polega na tym, że ty jesteś od niej piękniejszy. Wyobraź sobie, że oboje spoglądacie w lustro, a ona wypadłaby przy tobie blado. Nie wyobrażam sobie, żeby mogła to znieść. James przeciągnął palcami po włosach.

- Cholera, już mnie rozproszyłaś. Otwierasz usta, a ja zapominam, do czego zmierzam. Bądź cicho i usiądź, Corrie. Muszę ci coś powiedzieć. - Ruszył w jej stronę, żeby przytłoczyć ją swoim wzrostem i trochę onieśmielić, ale zakręciło mu się w głowie i szybko się znalazł w fotelu ojca. Odchrząknął. - Jason powiedział mi, że widział cię w parku na przejażdżce konnej z Devlinem Monroem.

Także usiadła, rozpościerając uroczą zieloną suknię na leżącą obok poduszkę. Założyła nogę na nogę i zaczęła kołysać stopą. Przyjrzała się swoim ślicznym pantofelkom. Czowała się w nich drobna; a na dodatek nie miały obcasów. Mogła w nich biegać i skakać. Obejrzała paznokcie kciuków, zagwizdała, czekając, aż on wybuchnie. Znała symptomy, odkąd skończył piętnaście lat. Teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, uświadomiła sobie, że od bardzo dawna nie widziała, żeby stracił nad sobą panowanie. Teraz był bardziej rozsądny.

- Corrie, czy mogłabyś mnie posłuchać? Uniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Podziwiałam swoje pantofelki. Mogłabym w nich pogonić Augiego i jego bandę. Czyż nie są śliczne? Rzeczywiście były.

- Skup się. Dlaczego, do licha, byłaś z Devlinem Monroem? Mówiłem ci, żebyś trzymała się od niego z daleka.

- O tym właśnie chciałeś ze mną porozmawiać? Co jest nie tak z Devlinem? Z pewnością nie jest jednym z tych łowców posagów, którzy będą mnie ścigać jak szczura. Przecież dziedziczy tytuł książęcy.

- Cóż, to prawda, ale to sam Devlin stanowi problem. Nie jest typem człowieka, którego chciałabyś mieć blisko siebie, Corrie.

- Jeszcze nie zbliżył się do mnie tak bardzo.

- Bardzo dobrze. Zmuszasz mnie do bycia szczerym. On ma kochanki - nie jedną, tylko kilka, i lubi je porównywać, a wyniki ogłasza w swoim klubie, który jest także moim klubem.

- Dobry Boże. - Pochyliła się, z oczami pałającymi ciekawością. - To najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. Co to znaczy, że je porównuje? Że jedna dziewczyna ma niebieskie oczy, a druga brązowe?

- Nieważne.

- A może, że jedna ma za głęboki dekolt, a druga...

- Bądź cicho.

- Znasz jakieś kobiety, które mają kilku kochanków?

Zazgrzytał zębami, aż zaboląły go szczęki.

- Do diabła, kobiety mogą mieć kochanków, i tak, domyślam się, że niektóre damy miewają kilku kochanków. Ale kochankowie to co innego niż kochanki. Devlin miewał co najmniej trzy kochanki naraz. Trzy! Corrie wstała, wyciągnęła różę z wazonu, powąchała ją i powiedziała:

- Wydaje mi się, że mu zazdrościsz.

- Nie, oburza mnie to. Uniosła brew.

- Cóż, może trochę zazdroścę, ale nie o to chodzi. Trzy kochanki to przesada, Corrie, to rozrzutność. I byłoby to niemoralne, gdyby się ożenił.

- Myślisz, że po ślubie nadal miałby kochanki?

- Nie wiem. To nie ma znaczenia.

- Cóż, skoro mu to odpowiada. Im więcej kochanek, tym lepiej. Następnym razem, kiedy go zobaczę, zapytam go o to. Muszą być jakieś zasady i...

- Znowu mnie rozproszyłaś. Do diabła, zapomnij o tych cholernych kochankach. Dlaczego mnie nie posłuchałaś i spotkałaś się z nim? Jej kolejny promienny uśmiech i wzruszenie ramionami, i miał ochotę dobrze nią potrząsnąć, ale marzył o tym, żeby zasnąć.

Delikatnie wsuwając rózę do wazonu, powiedziała:

- Cóż, zaprosił mnie na przejażdżkę konną po parku. Nikt inny mnie nie zaprosił, a ja miałam ochotę na trochę ruchu. Wzniósł oczy ku niebu, ale natychmiast sprowadziła go na ziemię, mówiąc:

- Teraz mogę przysiąc, że Devlin nie jest wampirem. Słońce jasno świeciło, a on nie spłonął. Sądzę, że zamiast mnie uwodzić, woli raczej, żebym go rozśmieszała. Bardzo rozbawiła go moja opowieść. Powiedział, że również chciałby, żebym się nim opiekowała, gdyby zaśląbł, chociaż musiałabym za to zapłacić. Nie powiedział mi, co ma na myśli. Ach, James, zastanawiałam się, jakby to było, gdybym opiekowała się Devlinem i jedna myśl nie dawała mi spokoju - sądzisz, że Devlin jest taki blady tylko na twarzy, czy też na całym ciele?

- Na całym ciele. Powiedziawszy to, James skrzyżował ręce na piersiach i zamknął oczy. Było to wspaniałe uczucie, ale wiedział, że nie może jeszcze zasnąć. Miał za wiele do zrobienia.

- Chyba mogę wyobrazić sobie Devlina, jak leży nagi na plecach, jak ty. Jest taki blady, że gdyby położyć go na śnieżnobiałym prześcieradle, to by zniknął. Bardziej podoba mi się ciemna karnacja, taka jak twoja.

- Jason i ja mamy śniadą cerę po ojcu - odparł, zastanawiając się, jak to się stało, że jego usta odłączyły się od jego umysłu.

- Tak, jesteś śniady, ale to słowo nie oddaje złocistego odcienia twojej karnacji. Brzmi, jakbyś był spieczonym słońcem piratem. Jeśli mam być szczerą, James, to uważam, że nie ma piękniejszego mężczyzny od ciebie. Z drugiej strony, jesteś jedynym mężczyzną, jakiego widziałam nago. Jak ją to podnieciło? Prawie jęknął, uświadamiając sobie, że jego członek był twardy, jak noga od biurka. Musiał odzyskać panowanie nad sytuacją. Otworzył usta, ale była szybsza.

- Oczywiście - odezwała się Corrie - nie powiedziałam mu, że jestem dziedziczką.

- Nie, powiedziałaś mu całą resztę. - Walną pięścią w biurko, aż podskoczył kałamarz. Jego następne słowa były niezaplanowane i nierozsądne.

- Czy jesteś skończoną idiotką, Corrie? Masz pojęcie, co narobiłaś?

- Oczywiście. Przemyślałam to i doszłam do wniosku, że jeśli wszyscy w Londynie będą wiedzieć, co ci się przydarzyło, wszyscy będą uważać nie tylko na twojego ojca, ale także na ciebie i Jasona. Wiesz, Devlin nie zdejmuje kapelusza, żeby osłaniać twarz przed słońcem. Dzisiaj także nie zdejmował. Och, przyznałam się. Jest tak uroczo blady. Przynajmniej na twarzy.

Nie miał już siły. Odezwał się beznamiętnym tonem:

- Podejrzewam, że Devlin nie powiedział ci, iż twoja przygoda ze mną była powodem pewnej, eee, konsternacji?

- Konsternacji? Prawdę mówiąc, kiedy powiedziałam, że pani Cutter i lady Brisbett mnie zignorowały, zaczął się śmiać, poklepał mnie po dłoni i radził, żebym się tym nie przejmowała, bo to nic nie znaczy. Powiedział, że jeśli nie mam nic przeciwko temu, to chciałby odwiedzić wuja Simona. Nie, pomyślał James, Devlin nie zamierza się o nią starać, jego rodzice wyrzekliby się go, gdyby zaczął starać się o dziewczynę, której reputacja została zszargana. Poza tym dopiero ją poznał.

I nie wiedział, że jest dziedziczką. Była tylko dziewczyną, która go bawiła. Co zamierzał? Dlaczego powiedział jej, że musiałyby płacić?

Lepiej od razu wszystko wyjaśnić.

- Przeżyliśmy przygodę, Corrie, prawda?

- To byłaby wspaniała przygoda, gdybyś się nie rozchorował i nie wystraszył mnie na śmierć.

- Tak, cały Londyn - wszyscy, Corrie - wie o naszej przygodzie. A jeśli znaleźli się jacyś nieliczni, którzy nie wiedzieli, z pewnością już wiedzą od Devlina. - Przyglądał się swoim paznokciom. Gdy ponownie na nią spojrział, uśmiechnął się. - Wygląda na to, że nie będę musiał ścigać cię jak szczura.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Drzwi do gabinetu otworzyły się gwałtownie i wszedł hrabia.

- Zastanawiam się, kim może być ten przemytnik, który przez chwilę więził ciebie i Corrie, czy przypadkiem nie grywałem z nim w karty. Chętnie wybrałbym się do tej jaskini i sprawdził, czy nie ma tam jakichś wskazówek, które powiedziałyby, co przemycał. Wydał ci się znajomy? - Tak jakby.

- Cokolwiek jest na rze... - Douglas obrócił się powoli i zobaczył Corrie siedzącą na uroczej, brokatowej kanapie.

- Corrie - powiedział. - Ładnie wyglądasz, moja droga.

- Dziękuję, sir. James opowiedział mi, jak wuj Simon wymamrotał, że będę ścigana jak szczur.

- Najlepiej, jeśli o tym zapomnisz, Corrie. Muszę się czymś zająć. Wybaczcie mi. - Obrócił się w drzwiach. - James, jeszcze dziesięć minut, a potem masz wrócić do łóżka. Gdy Douglas wszedł, cicho zamykając za sobą drzwi, Corrie wstała i wygładziła suknię.

- Cóż, James, ja także myślałam o naszym przemytniku. Zgadzam się z twoim ojcem - kiedy to wszystko się skończy, pojedźmy do tej jaskini. Teraz powinieneś wypocząć. Wyglądasz trochę blado. Nie tak blado jak Devlin, ale jak na twoją śniadą cerę, to zbyt blado. Wstał powoli, opierając dłonie na biurku.

- Jeśli spróbujesz wyjść, przełożę cię przez kolano i porządnie spiorę. Uniosła podbródek.

- Nie sądzę, żebyś miał tyle - siły, żeby mnie przytrzymać, a tym bardziej uderzyć. Mam wrażenie, że jeśli zrobisz chociaż krok w moją stronę, to upadniesz na twarz.

- Mógłbym cię sprać nawet przez sen.

- Masz wypieki, James. Nie podoba mi się to. Proszę, usiądź i spróbuj się uspokoić. Przewrócił oczami z bezsilności. Naprawdę nie mógł spuścić jej lania, nie w gabinecie swojego ojca.

Dotarło do niego, że takie zachowanie nie przyniosłoby mu tego, co musiał mieć, nie żeby chciał mieć to, co mieć musiał.

- Siadaj, do cholery. Usiadła, skrzyżowała dłonie na kolanach i spojrzała na niego jak uważna uczennica. Zaczął mówić powoli, z trudem.

- Ta nasza przygoda z pewnością stanie się bohaterską legendą, kiedy opowiemy ją naszym dzieciom i wnukom.

Już, powiedział to, a jego słowa miały sens, brzmiały szczerze i niewymuszenie, były zgrabne i przywodziły na myśl kuszące obrazy. Ale tymi eleganckimi słowami James wyznaczył sobie los, który, co zrozumiał, gdy tylko odzyskał trzeźwość umysłu, musiał stać się jego udziałem.

ROZDZIAŁ 23

Czekał. Czuł się dziwnie wyobcowany, jakby jego umysł siedział na półce po drugiej stronie pokoju i obserwował całą sytuację. W gabinecie zapanowała grobowa cisza.

Corrie uniosła brew.

- Słucham? Znowu majaczysz, James? Mam sprowadzić twojego ojca? Lekarza? Najwyraźniej nie czujesz się dobrze i niepokoi mnie to.

- Corrie, nie bądź głupia.

- Będę głupia, jeśli przyjdzie mi na to ochota. - Przez chwilę bawiła się rękawiczkami, w tym samym zielonym kolorze co suknia i pantofelki. Jej następne słowa prawie wyprowadziły go z równowagi. - Sądysz, że Devlin zamierza mi się oświadczyć?

- Dobrze, bądź sobie głupia, ale ja nie mogę sobie na to pozwolić. Stawiam czoło sytuacji. Oboje nie mamy wyboru, Corrie, żadnego.

Corrie zerwała się, cofnęła trzy kroki za kanapę i przystanąła.

- Teraz mnie posłuchaj, Jamesie Sherbrooke'u. Nie ma żadnej sytuacji, której trzeba by stawić czoło. Wiesz, na czym polega twój problem? Za dużo myślisz, wszystko roztrząsas, i dopiero podejmujesz decyzję. Często słuszną, ale czasami - jak teraz - dochodzisz do wniosków, które są dla mnie nie do przyjęcia, więc przestań. Zapomnij o tym. Słyszysz? Zapomnij o tym!

- Dwie damy już cię zignorowały. Nie zdajesz sobie sprawy, co to oznacza?

- Devlin powiedział, żebym się tym nie martwiła. I tak zamierzam zrobić.

- Nie możesz wyjść za mąż za Devlina Monroe'a, chyba że, oczywiście, wolisz być księżną niż tylko hrabiną.

- To idiotyczne, co mówisz. Wychodzę, James.

- Dokąd idziesz?

- Po brandy z biblioteki twojego ojca.

- Nie pamiętasz, co się stało, gdy ostatnim razem piłaś brandy? Ty i Natty Pole ukradłyście butelkę najlepszej brandy twojemu wujowi Simonowi, a potem o mało nie wyplułaś wnętrzności za domem.

- Miałam wtedy dwanaście lat, James. - Ale to ją powstrzymało.

- Pamiętam, że byłaś tak chora, że leżałaś na ziemi, dysząc, i żalonym głosem powiedziałaś mi: „Nie mam nic w środku, James, zwymiotowałam nawet serce. Teraz umrę. Przepraszam, proszę, wuja Simona za to, że ukradłam jego brandy”. A potem zapadłaś w odrętwienie. Żadnej brandy, Corrie. Nie czuję się na tyle dobrze, żeby tym razem odgarniać ci włosy z twarzy. Zatrzymała się z ręką na klamce. Spojrzała na niego z wyraźną niechęcią.

- Czasami masz rację, przyznaję. Dobrze, wezmę sobie szklankę wody - i wybiegła z pokoju. Siedział i dumał. Na Boga, nie chciał się żenić. Nie tylko z Corrie - na samą myśl dostawał gęsiej skórki. Z nikim. Jego ojciec ożenił się dopiero, gdy skończył dwadzieścia osiem lat, dojrzały wiek, jak powiedziałby jego ojciec, kiedy mężczyzna wreszcie rozumie, że jednak coś jest w spaniu każdej

nocy z tą samą kobietą.

Ale on miał dopiero dwadzieścia pięć lat. Trzy lata wolności właśnie mu umknęły, a wszystko dlatego, że Corrie postanowiła podążyć za nim, żeby go ratować.

Zaklął. Od drzwi odezwał się Petrie:

- Panie, jest pan rozpalony. Panienska Corrie nie powinna się z panem sprzeczać i podnosić panu ciśnienia, to może ponownie wywołać gorączkę.

Chciałem jej powiedzieć, żeby sobie poszła, ale sama to zrobiła. Mam dla pana wyciąg z jęczmienia, który zostawiła dla pana pańska matka.

- Petrie, są rzeczy, które dżentelmen musi zrobić, chociaż mogłoby to przyprawić go o gorączkę. Daj mi to ohydztwo i zostaw mnie. Przrzekam, że to wypiję, zanim pójdę na górę i położę się do łóżka.

- Jej wysokość powiedziała, że dodała różne rzeczy do wyciągu i że będzie panu smakował. James wziął łyk płynu, gotowy zaraz go wypluć, ale ku swemu zaskoczeniu nie był wcale taki zły. Wychylił całą szklankę, westchnął i powlókł się po schodach na górę, a potem długim korytarzem do swojej sypialni. Gdy położył głowę na poduszce, zauważył, że Petrie szedł za nim, zapewne obawiając się, iż James może się przewrócić. Leżał, żałując, że nie ma innego sposobu. Usłyszał, jak Petrie chrząknął.

- Udławisz się, jeśli się nie odezwiesz, Petrie, więc mów.

- Z doświadczenia wiem, panie, że nie należy naciskać na młode damy, gdy chodzi o podjęcie ważnych decyzji. Trzeba je traktować delikatnie, bez...

- Petrie, szkoda, że nie widziałeś, jak Corrie wjechała na koniu do tej chaty, z widłami pod pachą. Ugodziła jednego z mężczyzn w ramię. Wcale nie jest krucha i słaba.

- Może był pan wtedy nieprzytomny, panie, i tylko wyobrażał sobie, że to zrobiła. Może, i wielu z nas uważa, iż tak właśnie było, i pan sam uwolnił się z rąk trzech oprychów. Znalazł pan skuloną i zapłakaną panienską Corrie w szopie, i niósł ją na rękach prawie dwadzieścia kilometrów, oddając jej swoje ubranie. Z pewnością tak właśnie było, skoro ta wersja wydaje się bardziej wiarygodna. James nie mógł oderwać od niego oczu.

- Chcesz mi powiedzieć, że Willicombe też tak uważa?

- Jeśli chodzi o przekonania pana Willicombe'a, to nie mogę się wypowiadać.

- A dlaczegoż to, do diabła? Wypowiadasz się we wszystkich innych kwestiach w tym domu. Posłuchaj mnie. Nie tylko mnie uratowała, ale także przydusiła kolanem przemytnika. I co ty na to?

- To oczywiste, że ma pan gorączkę, panie. Sprowadzę pańskiego ojca. Petrie wyszedł z pokoju, wyprostowany, z uniesioną głową. James leżał i rozmyślał. Może mówił za szybko, nie dał jej czasu, żeby wszystko przemyślała.

Ożenić się z tą smarkulą. Dobry Boże, tego nigdy sobie nie wyobrażał, kiedy miał szesnaście lat i wychodził ze stodoły, strzepując siano z ubrania, z głupawym uśmiechem na twarzy, a ona stała i patrzyła. Na szczęście była za młoda, żeby zrozumieć, co robił z Betsy Hooper w przytulnym kąciaku na tyłach stodoły. Uniósł wzrok, kiedy otworzyły się drzwi sypialni; poczuł ulgę, widząc brata.

Jason potrząsał głową.

- Nie uwierzysz, co Petrie opowiada o tym wszystkim, James.

- Och, uwierzę. Właśnie zwierzył mi się, po tym jak podsłuchał moją rozmowę z Corrie. Nie miałem pojęcia, że jest takim mizoginem.

Jason westchnął.

- Mogło być gorzej. - Jak?

- Corrie mogłaby być jak Melinda Bassett. James jęknął. Ta wilczyca postanowiła, że chce jednego z nich, wszystko jedno którego, a kiedy nie dopięła swego, oskarżyła ich obu o gwałt. To wydarzyło się kilka lat temu, ale nadal pamiętał swoją bezsilność w obliczu jej oskarżeń.

- Corrie nas uratowała. - Jason pokiwał głową. - Powiedziała wszystkim prawdę. Jedno jest pewne - nikt nigdy nie będzie mógł zarzucić jej kłamstwa.

- Tak, uratowała nas, a teraz znowu uratowała mnie, do diabła.

- Widzisz? Na świecie jest znacznie więcej gorszych rzeczy niż Corrie. Prawdę powiedziawszy, jest bohaterką, ale nikt tego nie przyzna, dopóki nie zostanie twoją żoną. Przynajmniej nie będziesz musiał się martwić, że po ślubie odkryjesz u żony jakieś nieznane przywary.

- To prawda. Ja już znam wszystkie jej nawyki, te złe i jeszcze gorsze. Cholera, Jason, jak to mogło się stać? Nigdy w życiu nie chorowałem. Dlaczego musiałem się rozchorować właśnie wtedy?

- Kiedy myślę, co się wydarzyło, to dziękuję Bogu, że żyjesz. Corrie to dobra dziewczyna, James. Pod tym okropnym starym kapeluszem kryła się prawdziwa dama. Musisz przyznać, że byłeś zaskoczony jej przemianą. James wyglądał na przygnębionego.

- On ma rację, James. A mówiąc bardziej dosadnie, nie masz wyboru w tej kwestii. Żadnego.

* * *

Douglas Sherbrooke podszedł do łóżka syna, delikatnie dotknął dłonią jego czoła, pokiwał głową i usiadł w wielkim fotelu obok łóżka.

- Corrie wpadła do biblioteki, żeby mnie grzecznie zapytać, czy nie mam jakiejś brandy, po której nie byłaby chora.

- Dałeś jej?

- Tak. Dałem jej moją specjalną brandy Florentine, która nie szkodzi na żołądek.

- Nie ma takiej brandy - odezwał się Jason.

- Prawda.

- Czy Corrie już sobie poszła? A może skrywa się w twojej bibliotece? Powiedziała ci, dlaczego chce brandy? Douglas powoli przytaknął.

- Musiałem ją trochę przycisnąć. A w zasadzie za - szantażować. Powiedziałem, że nie dam jej brandy, jeśli nie opowie mi wszystkiego. Powiedziała, że czujesz się odpowiedzialny za to, co się stało, i że oznajmiłeś jej, że powinniście się pobrać. Potem wychyliła brandy, beknęła, jeśli się nie mylę, i wyszła bez słowa.

- Nie spisałem się - powiedział James. - To znaczy dobrze zacząłem, romantyczną metaforą o naszych przyszyłych dzieciach i wnukach.

- Taki obraz skłania mnie do zastanowienia - odezwał się Douglas. James machnął lekceważąco ręką.

- Ojczy, ona musi zdawać sobie sprawę, że nie możemy postąpić inaczej. Nie chcę się żenić, przynajmniej nie teraz, ale nie ma wyboru. Douglas stukał palcami o palce, wpatrując się w obraz wiszący na przeciwległej ścianie, który James kupił w Honfleur trzy lata temu. Młoda dziewczyna siedziała na skale i wpatrywała się w zieloną dolinę poniżej. Dziewczyna była zadziwiająco podobna do Corrie.

- Dziś wieczorem przychodzą moi przyjaciele, żeby zdać relację z tego, czego się dowiedzieli, chociaż wątpię, żeby coś odkryli, bo inaczej przypędziliby tutaj natychmiast. Chcesz, żebyśmy spotkali się w twojej sypialni? James przytaknął. Poczul się nagle tak zmęczony, że bolały go nawet

kości.

Zamknął oczy. Usłyszał przy uchu ciepły, kojący głos ojca:

- Jesteś bezpieczny i wyzdrowiejesz. A cała reszta jakoś się ułoży.

- Sądzę, że Devlin Monroe zamierza jej się oświadczyć. To skupiło na jego twarzy dwie pary zaskoczonych oczu.

- Dlaczego Devlin miałby to zrobić? - odezwał się Douglas. - To nie ma żadnego sensu.

- Ona jest oryginalna. A Devlin lubi oryginalne dziewczyny - powiedział Jason, wzruszając ramionami.

- Ona nie może za niego wyjść - zachnął się James - chociaż go rozśmiesza. Zabiłaby go, gdyby się dowiedziała, że po ślubie nadal utrzymuje kochanki. Wbiłaby mu widły w brzuch, a potem by ją za to powiesili. Nie chcę się żenić, ale nie chcę również, żeby zawisła na stryczku.

- Może powinienem porozmawiać z Devlinem. Powiedzieć mu, o co chodzi - rzucił Jason.

- Tak, zrób to. Nie chcę, żeby wychodziła za niego, by mnie uratować. Właśnie to robi. Uważa, że to nie w porządku, żebym się z nią żenił ze względu na to, co się stało.

- Więc idę - powiedział Jason, a jego oczy pociemniały.

- Wiesz, gdy Corrie zostanie moją żoną, nie będę musiał się martwić, że zanudzę ją opowieściami o pierścieniach Tytana. Pamiętam, że kiedy opowiedziałem jej o swoim odkryciu jej oczy mieniły się z podekscytowania. Tak właśnie, mieniły się. Słuchała mnie, wiesz jaka ona jest - siedzi, zapatrzona w twoją twarz, jakby chciała spijać słowa z twoich ust. Potem poprosiła, żebym wszystko powtórzył, bo chce być pewna, że wszystko dobrze rozumiała. I nagle James przypomniał sobie, że jej oczy migotały tak samo, kiedy dał jej lalkę na szóste urodziny. Kupował jakiś prezent dla matki, kiedy przypadkiem dostrzegł tę lalkę. Miała bladą twarz, czerwone usta i oczy, które przypominały mu oczy Corrie. Był trochę zażenowany, gdy ją kupował, a jeszcze bardziej, kiedy wręczał ją Corrie, ale ona odwinęła ją z papieru, przycisnęła mocno do swojej chudej klatki piersiowej i spojrzała na niego, a jej oczy się mieniły. Miłością. Podziwem. Miał wtedy ochotę uciec; teraz także.

- O ile dobrze pamiętam - odezwał się Jason - ty i Corrie spędzaliście dużo czasu, leżąc na zewnątrz i obserwując gwiazdy, a ty opowiadałeś jej wszystko, co wiesz na ten temat.

- To było dawno temu.

- Dwa miesiące temu. Pamiętam, bo byłeś podekscytowany, iż Merkury jest tak blisko Ziemi. To prawda, do licha. Bardzo często wymykała się wieczorami z domu, żeby leżeć z nim na plecach i obserwować gwiazdy.

- Chciała rozmawiać o Księżycu; zawsze była nim zafascynowana. I wiesz, ona wcale nie potrzebuje rozmawiać, jak większość dziewcząt. Zupełnie nie przeszkadza jej milczenie.

James zastanawiał się, czy oczy Juliette Lorimer mieniłyby się, gdyby wysłuchiwała jego wykładu na spotkaniu Towarzystwa Astrologicznego. Małżeństwo z tą smarkulą. Dobry Boże, jak to byłoby możliwe?

ROZDZIAŁ 24

Następnego ranka James wypił herbatę i zjadł dwa tosty, kiedy nagle w drzwiach jego sypialni pojawiła się Corrie. Weszła, ubrana całkiem ładnie w złocisto - brązową suknię i nieco ciemniejszy szal, który nadawał jej oczom złocisty odcień. Widząc ją, unióśł wyniośle brew.

- Witaj, Corrie. Czy w ogóle wychodziłaś?

- Co masz na myśli? Oczywiście, że wychodziłam.

- Wydaje się, jakbyś tu prawie mieszkała. Wchodzisz i wychodzisz z mojej sypialni, pijesz brandy Florentine w bibliotece mojego ojca, jesteś wszędzie, nawet w kuchni, gdzie podkradasz ciastka, jak poinformował mnie Willicombe. Kiedy się pobierzemy, niewiele się zmieni.

Z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk, nawet przekleństwo.

- Mój ojciec wybrał ci tę suknię?

- Co? Moja suknia? Cóż, tak, on ją wybrał. Podoba ci się?

- Tak, jest śliczna. Machnęła lekceważąco ręką.

- Posłuchaj, James, twoja matka odwiedziła ciotkę Maybellę. Były tylko we dwie i rozmawiały przez całe godziny. Ponieważ nadal jesteś słaby, musiałam przyjść tutaj, żeby się z tobą zobaczyć. Chcę wiedzieć, co twoja matka chciała od mojej ciotki.

Zaczęła chodzić po pokoju, a on stwierdził, że podoba mu się, dzięki Bogu. Potem rzuciła szal i torebkę na krzesło, odwróciła się, żeby coś jeszcze powiedzieć, a wtedy zobaczył, że suknia niemal spada jej z ramion.

- Okryj się szalem. Masz zdecydowanie za głęboki dekolt. Nie mogę uwierzyć, że mój ojciec zamówił suknię, w której jesteś obnażona niemal do pasa. Ku jego zaskoczeniu uśmiechnęła się do niego. Wzruszyła ramionami, wsunęła pałce pod suknię i zsunęła ją troszkę niżej.

- Prawdę mówiąc, twój ojciec nie wiedział, że madame Jourdan puściła do mnie oczko, kiedy nakazał jej zakryć suknię niemal po samą szyję. - Pochyliła się ku niemu i wypięła biust. - Wygląda świetnie, więc zachowaj swoje uwagi dla siebie. James bez zastanowienia zerwał się z łóżka i ruszył w jej stronę, dysząc z wściekłości. Chwycił górę sukienki i podciągnął ją pod samą szyję. I usłyszał odgłos rwącego się materiału. Corrie nie odezwała się słowem, tylko stała i patrzyła na niego. Był nagi.

- James - powiedziała, taksując jego ciało, i sapnęła. - To uroczy prezent, ale może wejść twoja matka i co sobie pomyśli. Jestem niewinną, młodą dziewczyną, a ty stoisz przede mną całkiem nagi i tak piękny, że aż mam ochotę śpiewać. A ta część ciebie, o której nic nie powinnam wiedzieć, nabiera postury, James. To trochę niepokojące. Zaklął, bo miała rację; wyglądało na to, że ilekroć był na nią wściekły, miał wzwód. A może działało się tak, ilekroć zwracał uwagę na jej piersi. - Cofnął się do łóżka i chwycił szlafrok. Zarzucił go na siebie, zawiązał w pasie i znowu do niej podszedł. Chwycił ją za ramiona swoimi dużymi dłońmi.

- Rozerwałem ci suknię, przykro mi.

- Wcale nie jest ci przykro. Chyba już lepiej się czujesz. Wskoczyłeś z łóżka, żeby wypchnąć

mnie przez okno.

- Nie, po prostu chciałem przykryć twój dekolt, żeby nie musiał leżeć w łóżku i ślinić się. Zamrugała.

- Ślinisz się na mój widok, James? Chyba mnie nie oszukujesz, prawda?

- Nie, do diabła. Spójrz na siebie, prawy rękaw sukni jest niemal całkiem oderwany, a dekolt nadal tak głęboki, że mam ochotę wyć do księżycyca.

- Hmm, muszę spytać Devlina, czy wampiry wyją do słońca. Zazgrzytał zębami.

- Nigdy więcej nie wspominaj przy mnie o Devlinie Monroe. Rozumiesz, Corrie? Ale rozumiem, że wpadłaś tutaj, żeby oznajmić, że zdecydowałaś się wyjść za mnie?

- Przyszłam ci powiedzieć, że moja ciotka i wujek już planują nasz ślub, a przynajmniej planowali, dopóki im nie powiedziałam, że nie zamierzam pozwolić ci się tak poświęcać. Powiedziałam im, że zamierzam wyjść za kogoś innego, kogoś, kto naprawdę mnie chce.

- Nie wymawiaj jego przeklętego imienia!

- Dobrze. Odwiedził mnie dziś rano. Okazało się, że Jason odwiedził go wczoraj w klubie i oznajmił mu, że małżeństwo ze mną go wykończy. Uwierzysz, że Jason mu powiedział, że go zabiję, jeśli nadal będzie miał kochanki? Naprawdę zabiję, tak wyraził się Jason. Dodał również, że ponieważ zna mnie od dzieciństwa, wie, na co mnie stać. Spytał Devlina - oj, nie chciałam wymawiać jego imienia - czy gotów jest dochować wierności aż do śmierci. Devlin powiedział, że śmiał się, kiedy Jason spytał go o to. A potem spytał mnie, czy rzeczywiście bym go zabiła, gdyby nie był mi wierny.

- I co mu odpowiedziałaś?

- Że zabiłabym go bez zastanowienia. - I jak zareagował?

- Śmiał się, powiedział, że nie zna żadnego dżentelmena, który mógłby bezpiecznie się ze mną ożenić, zważywszy na moje poglądy dotyczące wierności, pomimo moich pieniędzy, no chyba że byłby to ktoś na skraju bankructwa, gotów przysiąc mi wszystko - nawet coś tak strasznego jak wierność - byle tylko dostać pieniądze. Śmiał się znowu, a potem dodał, że nawet groźba śmierci nie powstrzymałaby bankruta przed taką przysięgą, chociaż potem i tak robiłby, co by chciał. To nie jest w porządku, James.

- Mój ojciec nigdy nie zdradził mojej matki, ani ona nie zdradziła jego.

- Chyba to samo można powiedzieć o ciotce Maybelli i wuju Simonie. Nie sądzę, żeby wynikało to z silnej woli wuja Simona. Zdrada odciągnęłaby go od jego badań nad liśćmi. Jak sądzisz?

- Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłem, abyś wciągnęła mnie w tę idiotyczną rozmowę. Wyjdiesz za mnie, Corrie?

- Nie.

- Dlaczego, do diabła?

- Nigdy nie wyjdę za mąż za mężczyznę, który mnie nie będzie kochał.

- Chcesz powiedzieć, że wyszłabyś za Devlina, gdyby przysięgł ci wierność? Wydawało się, że się zastanawia. Miał ochotę ją udusić.

- Powiedz nie, do cholery!

- Dobrze, nie.

- Cóż, ja przysięgam, że nie będę niewierny. Westchnęła.

- Sądzę, że Dev... nasz wampir... mylił się, mówiąc, że mężczyzna obieca wszystko, byle tylko dostać to, czego chce. Nie zrobiłbyś tego. Znam cię na wskroś. Nigdy nie skłamałbyś w tak ważnej

sprawie.

- Nie, nie skłamałbym.

- Posłuchaj, James. Jesteś człowiekiem honoru, ale nie dbasz o własne dobro. Prawda jest taka, że ja nie chcę wychodzić za mąż. To mój pierwszy wstępny sezon. Dopiero zaczęłam poznawać tajniki flirtu, chciałabym trochę poromansować. Jestem za młoda, żeby wychodzić za mąż, zwłaszcza z tak głupiego powodu. Ty także jesteś za młody. Przyznaj. Małżeństwo jest - albo było - ostatnią rzeczą, o której myślałeś przed całą tą historią.

- Nie przyznam.

- Więc będę musiała zmienić zdanie na temat twojej prawdomówności.

- Dobrze, do cholery. Nie myślałem o małżeństwie. Na Boga, mam dopiero dwadzieścia pięć lat. Mówisz o romansowaniu. Cóż, ja także mam jeszcze wszystko przed sobą. Ale zrezygnuję z tego, ponieważ honor jest ważniejszy. Przestań jęczeć. Zaakceptuj nieuniknione.

- Ale żadne z nas nie zrobiło nic złego!

- Będę tańczył z tobą walca tak długo, aż przetrą ci się pantofelki.

- Podejrzewam, że wuj Simon to samo obiecał mojej ciotce. Nie miała przetartych pantofelków, James, za to ma mnóstwo liści. Przeklętych liści! Powiedziała mi kiedyś, że podczas ich miesiąca miodowego wuj Simon pozwolił ususzyć jej trzy liście w jednej ze swoich książek. Ale już nie pozwolił jej ich opisać. To straszne, James.

- Ja nie będę suszył liści w czasie naszego miesiąca miodowego.

- A co byś robił w czasie naszego miesiąca miodowego? Omal nie połknął własnego języka.

- Są rzeczy, które kobieta i mężczyzna zwyczajowo robią po ślubie. Z pewnością wiesz wszystko o seksie, Corrie.

- Cóż, niezbyt dużo. Chcesz powiedzieć, że to właśnie byś robił, zamiast suszyć liście? Nie czytałyś traktatów o obrotach Saturna w kosmicznej mgławicy?

- Nie. Saturn przestałby dla mnie istnieć. Saturn przestałby istnieć dla większości normalnych mężczyzn w czasie miesiąca miodowego, chyba że dojrzeliby go przypadkiem na niebie. Widzisz, większość mężczyzn myśli tylko o jednym, a w czasie miesiąca miodowego, mogą... cóż, nieważne. - James przecesał palcami włosy. - Cholera, nie będę przed tobą ukrywał. Rozbiorę cię do naga i będę się z tobą kochał, aż zaczniesz chrapać ze zmęczenia.

- James dużo powiedziałeś. Ale to ostatnie - o chrapaniu - nie brzmi zbyt romantycznie.

- No dobrze, wiem, że ty nie chrapiesz. Raczej miauczysz cichutko. Posłuchaj, pozwolę ci flirtować ze mną w nieskończoność.

- Mężczyźni nie flirtują ze swoimi żonami.

- O, odezwała się wyrocznia.

- Nie bądź sarkastyczny, Jamesie Sherbrooke'u. Nie jestem głupia. Wiem, że ciotka Maybella częściej ma ochotę wuja Simona kopnąć, niż go pocałować.

- Powinnaś zobaczyć moich rodziców. W zeszłym tygodniu widziałem, jak mój ojciec przyciska matkę do ściany i całuje ją po szyi. Są małżeństwem od wieków.

- Przyciskał ją do ściany? Naprawdę?

- Naprawdę. Ja też tak bym się zachowywał. Pieściłbym twoją szyję w ciemnych zakątkach ogrodu, przepelnionych zapachem jaśminu. Będzie nam ze sobą dobrze, Corrie. Jestem już bardzo słaby, więc zgódź się i zostaw mnie w spokoju.

- Nie kochasz mnie.

- Trudno mi wyobrazić sobie, że Devlin Monroe powiedział, że cię kocha.

- Nie, nie powiedział. Powiedział, że jestem urocza, tak się wyraził. Nie zrozum mnie źle.

Przyjemnie jest być uroczą, ale nie to jest najważniejsze w małżeństwie, James.

- Powiedziałaś mu to?

- O tak. Powiedział, że to na dobry początek, a ja odparłam, że tak, ale dobry początek pikniku albo przejażdżki, a nie małżeństwa. Dała nauczkę Devlinowi; posłała go do diabła, odrzuciła go. James się uśmiechnął. Poczł ulgę.

- Kazałam mu się nad tym głębiej zastanowić, a może przychyłę się do jego prośby. James zaklął. Żałował, że jego umysł nie pracuje tak sprawnie jak zazwyczaj, ale był zmęczony i pragnął jedynie paść na łóżko i spać do kolacji.

- Znamy się, Corrie. Lubimy się, zazwyczaj - powiedział.

- Nie lubiłeś mnie, kiedy Darlene prawie zepchnęła cię z urwiska.

- Chcesz znać prawdę, Corrie? Z tego dnia zapamiętałem jedynie to, że czułem pod ręką twoją pupę, kiedy spuszczałem ci manto. Zaniemówiła.

- M - moją pupę? Czuleś moją pupę?

- No, oczywiście. Masz śliczny tyłeczek, Corrie, jak mi się zdawało. Jeśli za mnie wyjdiesz, będę mógł cię rozebrać, położyć cię na plecach i masować wilgotną ściereczką. Może nawet będę przy tym nucił. Czy twoja skóra jest tak samo biała jak skóra Devlina?

- Nie chciałeś, żebym wypowiadała jego imię. Roześmiał się.

- Czyżbyś była zawstydzona? Cóż, wyobraź sobie siebie całkiem naga, Corrie, a ja gładzę cię po całym ciele, a zwłaszcza piersi, chociaż wcale nie jesteś chora. Zaczynasz nawet wyginać się ku moim dłoniom. Co ty na to?

- O mój Boże - odwróciła się i skierowała do drzwi. - O mój Boże.

- Nie. - Chwycił ją za ramię. - Tym razem nie wyjdiesz tak po prostu. Ustalimy to od razu, Coriander Tybourne - Barrett. Mój Boże, cóż za okropne imię. Sądzisz, że będziemy musieli wpisać to imię w akcie małżeństwa? Stała nieruchomo, świadoma, że jego ręce przesuwały się w górę i w dół po jej ramionach, a jedno ramię było nagie tam, gdzie rozdarł się materiał.

- Jeśli za mnie nie wyjdiesz, zrobię coś drastycznego.

- Co na przykład?

- Nie powiem ci. Posłuchaj mnie, smarkulo, po prostu nie ma wyboru. Jeśli za mnie nie wyjdiesz, oboje będziemy zrujnowani. Nie rozumiesz tego?

- Ty nie będziesz zrujnowany, James, to niemądre. Jeśli wrócę na wieś, również nie będę zrujnowana. Potrząsnął nią.

- Nie wierzę, że mogłaś powiedzieć coś tak głupiego.

- Masz rację, przepraszam. To było głupie. - Spojrzała na jego dłonie na swoich ramionach. Uwolniła się i zrobiła kilka kroków w tył, zamachała mu pięścią przed twarzą i krzyknęła:

- Nie kochasz mnie!

- A ty, domyślam się, mnie kochasz? - również krzyknął. Wpatrywała się w niego, stojąc bez ruchu.

- No i? Odpowiedz mi, do cholery.

- Nie, nie odpowiem i nie wrzeszcz na mnie.

- Dlaczego nie chcesz odpowiedzieć? Dobra, nic nie mów, twoje milczenie jest miłą odmianą. Wiem, że mnie uwielbiałaś, kiedy miałaś trzy lata. Czy to się zmieniło?

- Rzeczy są mniej skomplikowane, kiedy ma się trzy lata. Ja już nie mam trzech lat, James.

- Wystarczy, że spojrzę na twoje piersi i doskonale o tym wiem. Czyżbym dostrzegł rumieniec na twojej bezczelnej twarzy? Dobra, chcesz mnie złapać na smycz, jak psa. To typowo kobiece zachowanie, Corrie, i nie podoba mi się. Mówisz, że cię nie Kocham - to wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Jak coś takiego może nastąpić w ciągu tygodnia? Bardzo cię lubię; podziwiam cię. Uważam, że jesteś niesamowicie odważna. Bardzo często zachowujesz się niemądrze, ale prawda jest taka, że będzie nam razem dobrze. Teraz posłuchaj. Znamy się od zawsze. Moi rodzice bardzo cię lubią, a ty ich - zapomnij o mojej babce, ona nikogo nie lubi - a twój wuj będzie miał pewność, że wychodząc za mnie za mąż nie będziesz ścigana jak szczur, ponieważ małżeństwo ze mną nie będzie miało nic wspólnego z twoimi pieniędzmi. Wszystkim ulży. Plotki ucichną. Będziemy pobłogosławieni i wszędzie mile widziani. Już nikt nigdy cię nie zignoruje. Ja nie będę już uważany za pogromcę młodych dziewcząt. Będzie nam razem dobrze, Corrie. Dostyc już tego. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Corrie, którą do tej pory pocałował jedynie Willie Marker, omal nie zemdląca. Całe jej ciało zalała fala rozkoszy. Delikatnie dotknął językiem jej ust, lekko naciskając. Odruchowo rozchyliła wargi i prawie zemdląca z pożądania, gdy ich języki się spotkały. Wiedziała, że to musi być pożądanie, bo czuła się cudownie. Wiedziała, że pożądanie było złe, ponieważ wuj Simon miał w zwyczaju powtarzać, że zło dlatego jest tak powszechne w świecie, ponieważ tak wspaniale smakuje.

Cóż, z Jamesem było więcej niż cudownie. Nie przypuszczała, że coś takiego istnieje, że...

- Och, mój Boże, przepraszam. Corrie zapewne padłaby na podłogę bez czucia, gdyby James nie trzymał jej w ramionach.

Jego mózg prawie się roztopił na dźwięk głosu matki. Serce waliło mu tak, że prawie wyskoczyło z piersi. Jego członek, dzięki Bogu, natychmiast opadł. Wiedział, że nie może puścić Corrie, bo padłaby jak kłoda.

Udało mu się wysunąć język z jej ust i powoli, bardzo powoli odwrócił się i mając nadzieję, że nie będzie się jękał, powiedział:

- Witaj, mamó. Skoro jesteśmy z Corrie zaręczeni, chciała się przekonać, jak to jest się całować. Aleksandra stała w drzwiach rozbawiona, przerażona i boleśnie świadoma tego, że jej syn miał język prawie w gardle dziewczyny. Corrie wyglądała na oszołomioną, co dobrze wróżyło, pomyślała, drżąc, ponieważ przypomniawszy sobie, że kiedy pierwszy raz pocałowała Douglasa, straciła głowę. Natomiast James wyglądał na rozgorączkowanego, zawstydzonego i - nie, lepiej nie ciągnąć tego tematu.

A gdyby weszła za dziesięć minut? O Boże, co matka powinna zrobić w takiej sytuacji?

Chrząknęła.

- Witaj w rodzinie, Corrie.

ROZDZIAŁ 25

Następnego ranka James pił herbatę w pokoju śniadaniowym, a nie przykuty do łóżka. I co za szczęście, nie miał ochoty paść na podłogę i zasnąć na dywanie.

Podając mu miskę owsianki, Jason powiedział:

- To od pani Clemms. Jak nie zjesz wszystkiego, to mam cię tym nakarmić. Jeśli mi się nie uda, przyjdzie tutaj i będzie ci śpiewać arie operowe do ucha, dopóki nie wyliżesz miski.

- Nie wiedziałem, że pani Clemms umie śpiewać arie.

- Nie umie - odezwał się Douglas i uśmiechnął się znad papierów.

James nabrał sporą porcję na łyżkę i przeżuując, delektował się zapachem miodu. Do pokoju weszła jego matka, usiadła na krześle i powiedziała:

- Dziś rano spotykam się z Maybellą i Corrie. Twój ojciec uważa, że im szybciej się pobierzecie, tym lepiej - po czym wzięła grzanekę, posmarowała ją dżemem agrestowym i ugryzła ze smakiem.

James przełknął zbyt szybko i zakrztusił się. Ojciec chciał uderzyć go w pierś, ale James powstrzymał go ruchem ręki, mówiąc:

- Nie. Nic mi nie jest. Pomyślałem, mamó, że może byłoby lepiej, gdybyśmy najpierw spotkali się z Corrie.

- O co chodzi, Jamesie? Nadal nie udało ci się jej przekonać? Ciągle grozi, że ucieknie?

James odwrócił się do ojca.

- Jeśli zostawię ją chociaż na chwilę samą, wpadnie w panikę. Tak, zapewne stchórzy. Powiedziała mi, że to nie było w porządku, ona dopiero zaczęła udzielać się towarzysko i flirtować, natomiast ja mam przed sobą jeszcze siedem lat rozpustnego życia.

- Hmm - odezwała się przyszła teściowa Corrie. - Ma trochę racji, James. Nie pomyślałam o tym. Wiesz, tak samo było w przypadku moim i twojego ojca, z tym że on był ode mnie starszy o dziesięć lat i o wiele więcej wiedział, i...

- Chyba nie powinnaś wracać do przeszłości, Alex - powiedział Douglas. - Różne wydarzenia mogą wydawać ci się zupełnie inne niż w rzeczywistości.

- Cóż, to z pewnością pozytywna strona starzenia się. - Uśmiechnęła się do synów. - Wspomnienia z latami blakną. James, jeśli chcesz, mogę przyprowadzić Corrie z powrotem.

- Nie, dziękuję, mamó. Ponieważ czuję się znacznie lepiej niż dziś rano, zabiorę Corrie na przejażdżkę po parku. Ale najpierw muszę napisać oświadczenie. - James przeprosił wszystkich i wychodząc, rzucił przez ramię: - Ogoliłem się. Petrie wróżył, że poderżnę sobie gardło. Daję słowo, że był zawiedziony, kiedy tego nie zrobiłem.

- A ja - odezwał się Jason, wstając - spotykam się z kilkoma naszymi przyjaciółmi. Żaden z nich nie miał dla nas żadnych rewelacji zeszłej nocy, ale wiem od Petera Marmota, że mamy spotkać się z kimś w Covent Garden. Podobno miał mówić coś o tym Cadoudalu. Pewnie to nic nie znaczy, ale nigdy nic nie wiadomo. - Jason przez chwilę skubał serwetkę, a potem dodał niższym głosem: - Prawdę mówiąc, to James miał pójść z Peterem, ale obawiam się, że nie czuje się jeszcze zbyt

dobrze; nie chcę, żeby znowu ryzykował.

- Pójdę z tobą - powiedział Douglas i rzucił serwetkę.

- Nie, ojcze, rozmawialiśmy o tym. Uważamy, że powinieneś pozostać w domu przez kilka dni.

Mężczyzna, który porwał Jamesa, z pewnością już wie, że mu się nie udało. Wiem, że wkrótce z czymś wyskoczy. Proszę, pozwól, że spróbujemy się czegoś dowiedzieć.

- Jeśli coś ci się stanie, Jasonie - odezwał się jego ojciec - będę bardzo zdenerwowany.

- Tylko nie mów o tym Jamesowi. Jest zdolny rzucić mną o ścianę.

- Jeśli coś ci się stanie, to ja rzucę tobą o ścianę - odparł Douglas. Jason uśmiechnął się do niego z przekąsem, pochylił się, pocałował matkę w policzek i wyszedł z pokoju, pogwizdując.

- Młodzi mężczyźni uważają, że są nieśmiertelni - powiedział Douglas. - Przeraża mnie to. Młodzi mężczyźni? Aleksandra przypomniła sobie, jak jej mąż sam wybrał się którejs nocy w Rouen na spotkanie z jakimiś zbirami. Jednak będąc jego żoną od dwudziestu siedmiu lat, nie odezwała się słowem.

* * *

Corrie obgryzała paznokcieć kciuka, patrząc na długi, wąski park po drugiej stronie ulicy, przy której stał dom wuja Simona, i zastanawiała się, co zrobić. Wsiąść na pokład statku płynącego do Bostonu - dziwna nazwa dla miasta - położonego na dzikich obszarach Ameryki? A może, co było bardziej prawdopodobne, złożyć broń i pójść do ołtarza z Jamesem u boku. Jeśli miała być szczerą, to nie widziała w tym nic złego. Kiedy ją pocałował, miała ochotę rzucić go na podłogę i przycisnąć własnym ciałem. Jęknęła, przypominając sobie niesamowite uczucia, które zawładnęły każdą częścią jej ciała. Zadrżała na wspomnienie rodzącego się pożądania.

Corrie potrząsnęła głową, a potem dostrzegła idącą parkiem w jej stronę młodą damę. Była to zachwycająco piękna Judith McCrae. Może nawet tak piękna, jak Juliette Lorimer, która straciła Jamesa, cóż za szkoda.

Kiedy Corrie wyjdzie za Jamesa, to przynajmniej nie dostanie mu się tak okropna żona, jak Juliette, która nie umiałaby docenić, jaki jest inteligentny, która nie towarzyszyłaby mu w nocnych wyprawach na wzgórze, żeby oglądać konstelację Andromedy. Juliette pewnie uważałaby, że Andromeda to nowe perfumy z Francji.

Corrie westchnęła. Kiedy James wsunął jej język do ust, milion gwiazd eksplodowało w jej głowie, ale wiedziała, że to był dopiero początek. Czy on czuł to samo? Pewnie nie. On był mężczyzną.

Judith McCrae była już prawie przy drzwiach. Czego mogła chcieć? Przecież prawie jej nie znała, wiedziała tylko, że flirtowała z Jasonem. Wstała, wygładziła suknię i czekała, aż Tamerlane, lokaj wuja Simona, zaanonsuje Judith.

Tamerlane pojawił się w drzwiach, chrząknął i oznajmił:

- Panna Judith McCrae z irlandzkich McCraeów z Waterford prosi o spotkanie z panną Corrie Tybourne - Barrett. Corrie usłyszała kobiecy chichot i czyżby zduszony śmiech Tamerlane'a?

Wtedy do pokoju weszła panna McCrae, uśmiechając się szeroko, bo wiedziała, że zdobyła sobie sympatię takim wstępem. Corrie odpowiedziała uśmiechem, rzeczywiście czując do niej sympatię.

- Bardzo się cieszę, że panią widzę, panno Tybourne - Barrett. Dowiedziałam się od ciotki Arbuckle, że pani i James Sherbrooke macie się pobrać. Corrie chrząknęła.

- Myśli pani, że będziemy spowinowaczone? To było szczere postawienie sprawy. I bardzo sprytne, tak sprytne, że nie miało się ochoty się jej dzielić, tylko roześmiać, a więc oznaczało to, że

panna McCrae była inteligentną dziewczyną.

- Nie, panno McCrae, James i ja nie zdecydowaliśmy jeszcze, czy się pobierzemy, więc nasze powinowactwo jest na razie mało prawdopodobne. Napije się pani herbaty?

- Proszę mówić mi Judith. Sądzę, że lord Hammersmith jest bardzo nieustępliwym mężczyzną, zapewne tak samo jak jego brat. Mówiąc bardziej dosadnie, są uparci jak osły. Ale kto wie? Ja również jestem nieustępliwa. Jason mnie potrzebuje, tak samo jak lord Hammersmith potrzebuje pani.

- Panno McCrae...

- Proszę mówić mi Judith - powiedziała to z promiennym uśmiechem, a w jej policzkach pojawiły się dwa urocze dołeczki. Corrie westchnęła. - Judith, James nie potrzebuje nikogo, a zwłaszcza mnie. To małżeństwo, jeśli musi dojść do skutku, będzie narzucone nam obojgu. O matko, prawie cię nie znam, a paplę ci o wszystkim.

- Wiem, czasami robię to samo, zwłaszcza kiedy coś w środku mówi mi, że mogę jakiejś osobie zaufać. Corrie zastanawiała się, czy zna kogoś podobnego do tej osóbkę, ale nikt nie przychodził jej na myśl. Judith wydawała się wyjątkowa.

- Nie wiedziałam, że znasz Jasona tak dobrze.

- Nie tak znowu dobrze, ale wiem, że bardzo go pragnę. Nigdy wcześniej nie spotkałam piękniejszego mężczyzny, ale to nie jest najważniejsze, prawda? Corrie oczyma wyobraźni zobaczyła Jamesa i potrząsnęła głową.

- Nie, raczej nie, chyba że ktoś chce na niego tylko patrzeć i wzdychać z przyjemności.

- Tak, rzeczywiście. Aż mam ciarki, kiedy o tym myślę. Muszę sprawić, żeby Jason pragnął mnie równie mocno. Jednak gdy jego ojcu zagraża niebezpieczeństwo, trudno mi podjąć jakieś kroki w tym kierunku. Jest strapiiony.

- Ja także bym była, gdyby ktoś próbował zabić mojego ojca. - Corrie przyciągnęła uwagę Jamesa ratując mu życie, a potem pielęgnując go, i chyba nie był to najlepszy sposób na zwrócenie na siebie uwagi dżentelmena. Wuj Simon wszedł do pokoju z niewidzącym wzrokiem, zapewne rozmyślając o jakimś wyimaginowanym liściu.

- Wuju Simonie, to panna Judith McCrae.

- Ha? O, nie jesteś sama, Corrie. - Zamrugał i ukłonił się. - Panno McCrae, wydaje się pani urocza. Oczywiście nigdy nie zna się drugiego człowieka, zwłaszcza jeśli dopiero się go poznało, prawda?

- Tylko ktoś bardzo głupi nie zgodziłby się z panem.

- To jest mój wuj, lord Montague. - Corrie usiłowała nie chichotać, obserwując, jak wuj Simon ujął dłoń panny McCrae i skupił na niej swoją uwagę przez całe trzy sekundy, co wystarczyło, żeby Judith uświadomiła sobie, że chociaż nie był już najmłodszy, to jednak pozostał atrakcyjnym mężczyzną. Wyglądało na to, że Judith miała więcej obycia z dżentelmenami niż Corrie.

Dołeczki w policzkach zrobiły się głębsze, spojrzała na wuja Simona przez rzęsy, które wydawały się gęstsze niż rzęsy Juliette, i powiedziała:

- Podobno jest pan ekspertem w identyfikowaniu i zasuszaniu najróżniejszych liści. W zeszły wtorek znalazłam w parku liść, którego nie byłam w stanie rozpoznać. Może...

- Liść? Znalazła pani nieznaną liść, panno McCrae? W parku? Ja również. Cóż za niesamowity zbieg okoliczności. Proszę go przynieść i porównamy je. - Uśmiechnął się do panny McCrae, usiadł i zwrócił się do Corrie: - Wygląda na to, że mam szczęście. Twoja ciotka wybrała się na zakupy, a kucharka przygotowała - teatralnie zawiesił głos - cynamonowy chleb Twyley Grange. - Wuj Simon

zaczął mówić szeptem. - Sam przyniosłem jej przepis. Bardzo się starała, żeby jej wyszedł. I zrobiła sześć kromek. Skoro panna McCrae jest z nami, będziemy mieć po dwie kromki na osobę, chyba że któraś z was się odchudza. Nie, Corrie, ty nadal jesteś za chuda. - Westchnął smętnie. - Niestety, chyba obie musicie zjeść wasze porcje. - Rzucił Judith, której figura była niemal idealna, krytyczne spojrzenie i powiedział zamyślony: - Młode damy muszą uważać, ile chleba jedzą, zgadza się pani ze mną, panno McCrae?

- Zawsze zjadam tylko jedną kromkę, sir. Po dwóch stałabym się gruba. Zawsze tak było.

- Wspaniale. - Simon zatarł dłonie i zawołał: - Tamerlane! Przynies chleb cytrynowy, i pospiesz się, człowieku. Lady Montague może wrócić wcześniej, niż byśmy sobie tego życzyli.

Judith zerknęła na Corrie, przysiadła skromnie, i oczekiwała na chleb. W jej oczach migotały wesołe ogniki.

Kiedy Tamerlane, z wielką pompą, uniósł przykrywkę srebrnej tacy, po pokoju rozszedł się zapach cytryny. Zapanowała całkowita cisza, po czym Judith głośno wciągnęła powietrze.

- O matko, czy smakują tak samo dobrze, jak pachną? Tamerlane ogłosił:

- Zrobiono je dokładnie według przepisu kucharki z Twyley Grange. Są niezrównane.

- Skąd, u diabła, możesz o tym wiedzieć, Tamerlane? Kucharka powiedziała, że upiekła tylko sześć kromek. Czy były jeszcze jakieś kromki, które zwędziłeś? Czyżbyś okradł mnie z siódmej kromki?

- Nie, panie, to był nędzny kawałek, który nie nadawał się do tych, które przygotowała kucharka. Pozwoliła mi go zjeść, żeby upewnić się, że spełnia pana wymagania. - Tamerlane rozpromienił się i najpierw podał tacę pannie McCrae. Judith chwyciła kawałek i tak szybko włożyła go do buzi, że aż zadrżał jej nos. Przeżuła, zamykając oczy z rozkoszy, zanim wuj Simon zdążył chwycić swoją kromkę z tacy. Corrie śmiała się tak bardzo, że nie mogła oddychać. Pozwoliło to Judith chwycić drugą kromkę tuż sprzed nosa wuja Simona, chociaż wyglądał, jakby zaraz miał wyrwać jej tę kromkę z ręki. Już z pełnymi ustami powiedziała:

- Nie uważam, żebyś była za chuda, Corrie. Prawdę powiedziawszy, myślę, że masz trochę za pulchną twarz i może powinnaś zrezygnować ze swojej kromki. O Boże, w życiu nie jadłam tak dobrego chleba cytrynowego.

- Zjadła pani już dwa kawałki, a o ile mi wiadomo, nie była pani zaproszona, tylko po prostu pani przyszła. Pewnie poczuła pani ich zapach i przyczaiła się z otwartą buzią. Już ma pani dosyć. - Simon bronił drugiej kromki, trzymając tacę na kolanach i przykrywając ją ręką.

James wszedł do salonu, zastając Corrie niemal siną ze śmiechu. Potem poczuł zapach chleba i usłyszał, jak jego kubki smakowe śpiewają hymny pochwalne. Słynny chleb cytrynowy z Twyley Grange, którego receptura strzeżona jest pilnie od ponad trzydziestu lat... Teraz miał go przed sobą.

- A, czy to ty, James? - spytał Simon i szybko schował tacę z dwoma kromkami za plecy. - Dobrze wyglądasz, mój chłopcze. Wcale nie jesteś taki chudy.

- Tak, sir. Już prawie doszedłem do siebie i odzyskałem dawną wagę. - Desperacko pragnął tej kromki. Zwrócił się do młodej damy, która usiłowała zobaczyć tacę z chlebem. James wiedział, że była to panna McCrae, której udało się dwukrotnie przykuć uwagę Jasona - co było niesamowite - a potem nawet trzeci raz, co nie udało się dotychczas żadnej dziewczynie. Judith oblizywała palce i mruczała z rozkoszy. James, który znał potęgę chleba cytrynowego, powiedział:

- Ma pan rację, sir. Jestem za gruby. Jednak nie przyszedłem tutaj objadać się, chociaż chciałbym, gdybym nie był taki utuczony. Przyszedłem zabrać Corrie na przejażdżkę po parku. Corrie zerwała się

na równe nogi, zerkając na wuja i na Judith McCrae, która zaczęła się powoli podnosić, patrząc na Jamesa.

Wuj Simon przełknął i - w jakiś magiczny sposób - kolejny kawałek znalazł się w jego ręku i zmierzał do jego ust.

- Zabierz ją - powiedział Simon i ugryzł kromkę, niemal drżąc z rozkoszy. - Teraz. Zanim będzie chciała zabrać ostatni kawałek.

- To niesamowite - odezwała się Judith, przekrzywiając głowę, a czarne loki opadły na jej ramiona. - Mówiono mi, że pan i Jason jesteście identyczni, ale gdy przyjrzałam się wam z bliska, uważam, że ani trochę nie jest pan podobny do brata.

- Już mi to mówiono - odparł James. Ujął jej dłoń, spojrzął w jej ciemne oczy i dodał: - A pani to panna Judith McCrae, ja jestem James Sherbrooke. Cieszę się, że wreszcie mogłem panią poznać.

- Dziękuję - odparła Judith. - Przyjemność po mojej stronie. - Spojrzała w te nieprawdopodobnie fiołkowe oczy. - Jason jest chyba trochę wyższy i jego oczy są chyba bardziej fiołkowe.

- To absurd, Judith - krzyknęła Corrie. - James ma najpiękniejsze fiołkowe oczy w całej Anglii, wszyscy to widzą, a skoro Jason jest jego bratem bliźniakiem, to jak możesz uważać, że jego oczy są bardziej fiołkowe?

- Może - powiedziała wolno Judith, nie spuszczać wzroku z Jamesa - myślę się co do oczu. Ale Jason jest wyższy, co do tego nie mam wątpliwości. I może ma szersze ramiona. James wybuchnął śmiechem. Corrie obróciła się do niego i zmarszczyła brwi.

Natomiast panna McCrae usiłowała, jak zauważył James, nie roześmiać się. Ale Corrie, słysząc słowa panny McCrae, aż podskoczyła.

- Szerszy w ramionach? To absurd, bzdura! Chociaż James był bardzo chory - prawie umarł - to jego ramiona są tak samo szerokie, to znaczy idealne. Spójrz na niego - nigdy w życiu nie widziałam bardziej idealnych ramion! Stwierdzenie, że Jason...

- Corrie - odezwał się James, dotykając jej ramienia - dziękuję za obronę mnie jako tego gorszego bliźniaka. Ale panna McCrae najwyraźniej cię nabiera. Daj już sobie spokój, Corrie.

- Ale, ona...

- Daj spokój. Corrie zerknęła to na Judith, to na Jamesa, przypominała sobie bzdurne komentarze Judith i swoje reakcje, i poczuła się jak wiejski głupek. Patrząc na swoje pantofelki, odezwała się cichym, trochę smutnym głosem:

- Obawiam się, że możesz mieć rację, Judith. Już od jakiegoś czasu zastanawiam się, czy przypadkiem Jason nie podoba mi się bardziej niż James, z tymi swoimi wąskimi ramionami.

- Nie możesz mieć Jasona! Słyszysz? Corrie uniosła wzrok i uśmiechnęła się jak wujek Simon, kiedy znajdował nowy liść.

- O - odezwała się Judith z lekkim sapnięciem - umiem poznać, kiedy sytuacja odwraca się na moją niekorzyść, a teraz zostałam pokonana własną bronią. To było świetne, Corrie. Corrie się puszyła, James śmiał się, a Judith zwróciła się do lorda Ambrose'a:

- Może zechciałby pan zobaczyć liść, którego nie mogłam poznać? Albo może James, podobno ma pan dociekliwy umysł. Może pan chce zobaczyć mój niezidentyfikowany liść? Simon zerwał się z krzesła oburzony.

- Słucham? Co to ma znaczyć, panno McCrae? - Zamachał w jej stronę tacą, na której teraz znajdował się już tylko jeden kawałek chleba. - To mnie opowiedziała pani o liściu, nikomu innemu, a zwłaszcza nie Jamesowi, który nie ma pojęcia o liściach, tylko o gwiazdach. James właśnie zabiera

Corrie na przejażdżkę. Ja chętnie zobaczę ten liść, panno McCrae. Judith uśmiechnęła się, zatrzepotała rzęsami i powiedziała:

- Może gdybym dostała tę ostatnią kromkę, sir, liść byłby pański. Simon spojrział na kromkę, pomyślał o trzech, które już zjadł, o nieznanym liściu, który może pochodzić z tego samego drzewa, co ten, który on znalazł w parku. Ponownie spojrział na kromkę i powiedział:

- Proszę pokazać liść Jamesowi. - Zjadł ostatnią kromkę, otrzepał dłonie, kiwnął do trójki młodych ludzi i wyszedł, nucąc pod nosem.

- Jesteś niesamowita, Judith - powiedziała Corrie. - Teraz wiemy, co jest najważniejsze dla wuja Simona. Będę musiała powiedzieć o tym ciotce Maybelli. - Zerknęła na Jamesa. - Może jedzenie chleba cynamonowego będzie zajęciem w czasie miesiąca miodowego? Zaśmiał się.

- Możliwe. Przekonamy się, prawda? Usłyszeli, że drzwi wejściowe do domu otworzyły się i rozległ się wściekły głos ciotki Maybelli:

- Czuję to! Simonie, gdzie jesteś? Zjadłeś wszystko, prawda? Schowam ci ten niezidentyfikowany liść, ty beznadziejny durniu, zobaczysz! Chcę kawałek chleba cynamonowego!

- Wynośmy się stąd - odezwał się James i podał ramię obu damom.

ROZDZIAŁ 26

James pomógł Corrie wsiąść na grzbiet Darlene, a potem sam wsiadł na Bad Boya.

- Oba wyglądają, jakby jadły chleb cynamonowy twojego wuja. Potrzebują więcej ruchu, Corrie. Corrie tylko pokiwała głową. Patrzyła na Judith McCrae, która się uparła, że pójdzie na piechotę do domu lady Arbuckle, dwie przecznice dalej. Ponieważ był słoneczny październikowy dzień, James nie oponował.

- Może mogłybyśmy spotkać się jutro na lodach w Mayfair? - Judith spytała Corrie. Kiedy się umówiły, Judith ruszyła z gracją przed siebie.

- Ona chce Jasona - odezwała się Corrie.

- Cóż, może być tak, że on również jej chce, ale prawdę powiedziawszy, z Jasonem nigdy nic nie wiadomo.

- Uważam, że jest równie piękna, jak Juliette Lorimer.

- Więc jej nie lubisz?

- Niestety, obawiam się, że ją lubię - odparła Corrie i nie odezwała się, dopóki nie wjechali przez bramę prowadzącą do Hyde Parku. Było za wcześnie, żeby po parku spacerowali modnie, ale jej to odpowiadało. Miała ochotę pogalopować. Jednak James delikatnie przytrzymał uzdę.

- Jeszcze nie - powiedział.

- O matko, jeszcze nie czujesz się dobrze, prawda, James? Przepraszam, założyłam, że wszystko już wróciło do normy - oczywiście, możemy jechać powoli. Wyciągnął rękę i położył dłoń na jej dłoni.

- Wyjdiesz za mnie, Corrie? Dostyc wymówek, że nie pozwolisz mi się tak poświęcić, dostyc lamentowania, że nie zdążyłaś się wyszaleć.

- Nie uważasz, że poradziłabym sobie jako barmanka w Bostonie? To w Ameryce.

- Nie, byłabyś beznadziejna. Zdzieliłabyś każdego mężczyznę, który byłby na tyle głupi, żeby uszczypnąć cię w pośladek. Uniosła podbródek.

- To nieprawda. Zrobiłabym wszystko, żeby przetrwać. Gdybyś był chory i zależałoby to ode mnie, mogłabym prowadzić dreżynę. Mogłabym piec ciasta i je sprzedawać. James, zrobiłabym wszystko, żebyś był zdrowy i bezpieczny. Zawsze możesz na mnie liczyć. Przyglądał się jej, przekrzywiwszy głowę. Studiował twarz, którą znał przez większą część swojego życia.

- Wiesz, Corrie, wierzę, że tak byś zrobiła - powiedział powoli, a potem ujął jej rękę. - Będzie nam razem dobrze. Zaufaj mi. Westchnęła, odepchnęła jego rękę i ruszyła galopem wzdłuż Rotten Row.

Prawda była taka, myślał, obserwując jak z gracją kołysze się w siodle, że zrobiłaby wszystko, co byłoby konieczne. Żeby go ocalić. Już to udowodniła. Ruszył galopem i po chwili był przy niej.

- Zgódź się - zawołał. - Mógłbym nauczyć cię różnych rzeczy, Corrie, rzeczy, które byłyby całkiem miłe. O matko, podobało jej się to, co mówił.

- Jakich rzeczy?

- Może nie powinienem teraz wdawać się w szczegóły, ale w naszą noc poślubną - ach, dobrze, wyrzucę to z siebie - wyobraź sobie, że całuję tył twoich kolan. Natychmiast odczuła mrowienie w kolanach.

- O Boże, moje kolana?

- Tył twoich kolan. To tylko jedna z wielu rzeczy, których cię nauczę. Już nic więcej nie powiem. Musisz poczekać. Muszę się przyznać, że wysiałem ogłoszenie o naszym ślubie do „Gazette”. Już nikt cię nie zlekceważy, a na mnie nie popatrzy, jakbym był rozpustnikiem. Stało się, Corrie. Moja matka pewnie właśnie teraz spotyka się z twoją ciotką. Ślub musi odbyć się wkrótce.

- Jeśli się zgodzę, nie chcę, żeby odbył się wkrótce. Chciałabym mieć najwspanialszy ślub, jaki odbył się w Londynie. Chciałabym wyjść za mąż w kościele Świętego Pawła. Uśmiechnął się.

- Dobrze, wracajmy, żeby porozmawiać z moimi rodzicami i twoim wujostwem.

- Jeszcze nie powiedziałam tak, James. To tylko założenia. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Balansujesz na krawędzi.

- Dlaczego jesteś tak piekielnie miły? Może jesteś wciąż zbyt chory, żeby się ze mną kłócić? Z pewnością tak jest, bo przecież lubisz się kłócić, krzyczeć i przeklinać. Lubisz udawać, że spuścisz mi lanie. Nie jestem przyzwyczajona do takiego ciebie. A może jesteś zmęczony? O Boże, pozwól, że sprawdzę, czy znowu nie masz gorączki. - I ruszyła z wyciągniętą ręką w stronę Jamesa, ale nie dotknęła jego twarzy, ponieważ Darlene, która była właśnie w okresie rui, postanowiła, że pragnie Bad Boya, i nastąpił chaos.

Takiego właśnie słowa użyła Corrie, opowiadając wujostwu co się wydarzyło. Nie oddawało ono w pełni tego, co się naprawdę działo: oba konie stanęły dęba, Darlene rżała, Bad Boy prychał, otwarty na jej zaloty, usiłując ugryźć ją w szyję i pokryć. James śmiał się tak bardzo, że omal nie spadł z konia.

W tym wszystkim Corrie, której z trudem udawało się utrzymać na grzbiecie Darlene, krzyknęła, zaśmiewając się:

- Dobrze, James. Poważnie zastanawiam się nad małżeństwem z tobą! Podejrzewam, że będzie to bardziej zabawne niż bycie barmanką w Bostonie.

- Czy to oznacza tak, czy tylko kolejne założenie?

- Zgoda.

- Dobrze. Więc postanowione. James nie zamierzał się przyznać, że mu ulżyło. Nie, jego przeznaczenie właśnie zostało przypieczętowane i mógł zapomnieć o wyszumieniu się.

Odbył dwugodzinne spotkanie z lordem Montague i udało mu się na tyle długo skupić na sobie jego uwagę, żeby przygotować kontrakt małżeński. Przez cały ten czas rozmyślał, że przynajmniej w jego życiu nie zabraknie śmiechu. Corrie zapewne będzie doprowadzać go do wściekłości, nieraz będzie miał ochotę wyrzucić ją przez okno, ale najważniejsze, że będzie się śmiał do rozpuku. No i będzie całować tył jej kolan.

Życie, pomyślał, jest niesamowite.

* * *

Tego ranka Jason i Peter Marmot nie spotkali w Covent Garden nieznanego. Pewna stara kobieta sprzedająca miotły powiedziała:

- Stary Horace leżał dziś na tyłku, leniwy sukinsyn, pewnie był pijany, a wszystko dlatego, że usłyszał, że jakiś facet chce mu wsadzić nóż w brzuch. To nie wróżyło niczego dobrego. Postanowili wrócić tu w nocy. Jednak Pater nie pojawił się w nocy i Jason musiał iść do Covent Garden sam.

Szedł przed siebie, odrzucając załoty co najmniej sześciu prostytutek, pilnując pieniędzy, bacznie obserwując ciemne zaułki i trzymając rękę blisko sztyletu i derringera. Panował tam zgiełk, jak zwykle o tej porze. Wszędzie rozlegały się wrzaski, śmiechy, przekleństwa. Spróbował wmieszać się w tłum, cały czas rozglądając się za mężczyzną, którego opisał mu Peter.

Nie wiedział, dlaczego nagle obrócił się wokół własnej osi, ale całe szczęście, że to zrobił. Zamaskowany mężczyzna w czarnym szynelu nacierał na niego, nie z nożem, lecz z kocem, a tuż za nim było dwóch oprychów, również z kocami. Dobry Boże, czyżby był to Augie i jego banda, łudzony się, że uda im się drugi raz ten sam podstęp?

Nie zastanawiając się, Jason wyciągnął derringera i postrzelił mężczyznę w ramię. Ten wrzasnął i upadł.

- Ty głupcze! Postrzeliłeś mnie! Dlaczego? Nie zrobiłem ci żadnej krzywdy nawet za pierwszym razem. A więc byt to Augie i jego banda, i wzięli go za Jamesa.

- Gdzie jest George Cadoudal? - spytał Jason. Trzymał pistolet wycelowany w mężczyznę w szynelu, który upuścił koc na ziemię i podniósł ręce do góry.

- Nie znam żadnego Cadoudala.

- Jesteś Augie, prawda? A wy dwaj to Billy i Ben. Mam nadzieję, że czujecie się lepiej niż ostatnim razem, kiedy was widziałem.

- Wszystko przez tę smarkulę - odezwał się Augie.

- Nie jesteście zbyt pomysłowi. Znacie tylko koca?

- Nie ma nic złego w jednym czy dwóch kocach. Nie chcemy cię zabić, tak jak nie chcieliśmy za pierwszym razem. Chcemy tylko zabrać cię na miłą przejażdżkę, a ty od razu wyciągasz pistolet. To nie w porządku.

- Tak, jak wzięliście na przejażdżkę mojego brata.

- Jakiego brata? Ty to ty, to chyba jasne? O co chodzi z tym bratem?

- Porwaliście mojego brata, lorda Hammersmitha. Ja nazywam się Jason Sherbrooke, jesteście bliźniakami, ty głupcze. Więc człowiek, który was wynajął, nie poinformował was o tym? To niezbyt mądre z jego strony. Nie, wy dwaj, nie ruszajcie się. - Zęby poważnie potraktowali jego słowa, wyciągnął z pochwy sztylet. - Piękny i ostry, prezent urodzinowy od ojca; zabrał go jakimś złodziejowi w Hiszpanii. Pierwszy, który się poruszy, dostanie sztyletem w szyję. A teraz, Augie, powiedz mi. Czy ten niby Douglas Sherbrooke znowu cię wynajął?

- Nie wiem, o czym mówisz, młody człowieku. Aj, poważnie mnie zraniłeś. Chyba naśle na ciebie moich dwóch chłopców, żeby natarli ci uszu.

- Jeśli to zrobisz, postrzelę cię ponownie, tym razem w łeb. Więc niech staną przy tobie. Ale żaden z mężczyzn nie poruszył się.

- No, dalej, Augie, opowiedz mi o Douglasie Sherbrooke'u. Znowu cię wynajął, prawda? Nasłałeś tego faceta, żeby rozповідаł o Georgesie Cadoudalu. Żeby do nas dotarło i żebyśmy przyszli. Ten Douglas Sherbrooke - czy jest młody? Stary? Jak wygląda?

- Nic ci nie powiem, chłopcze.

- Dobrze więc. Augie, zobaczymy, czy będziesz miał coś do powiedzenia, kiedy zabiorę cię do mojego brata i obaj cię stłuczemy na kwaśne jabłko. Powiesz nam, co tu się dzieje. Nagle, Augie ostro gwizdnął, a dwaj mężczyźni zarzucili Jasonowi koca na głowę, po czym wszyscy trzej zniknęli w ciemnym zaułku.

Jason szybko zerwał z siebie koca, wystrzelił drugą kulę i usłyszał krzyk. Nasłuchiwał, ale nie

usłyszał nic więcej. Popędził w stronę alei i zatrzymał się. Nie zamierzał zagłębiać się w zaułki sam, nie był aż tak głupi.

Cóż, cholera. Nie spisał się.

Gdzie był człowiek, który sprzedawał paszteciki? Stary Horace? Ale Jason wiedział, nawet zanim znalazł jego ciało w następnej alejce, że zabili go, by zatrzeć ślady. Obrócił się i zobaczył biegnącego w jego stronę Petera Marmota, spóźnionego jak zwykle, z tak czarującym uśmiechem na twarzy, że trudno było się na niego gniewać.

Peter spojrzął na martwego mężczyznę, ugodzonego prosto w serce, i zaklął. Jason opowiedział mu o trzech zbirach.

- To ci sami ludzie, którzy porwali Jamesa. Założę się, że ten niby Douglas Sherbrooke nasłał ich na mnie, z tym że wzięli mnie za Jamesa. Nie udało mi się ich zatrzymać. A temu biednemu facetowi kazali powtarzać nazwisko, żeby dotarło do naszych uszu - Georges Cadoudal - a potem go zabili, ponieważ, jak sądzę, mógłby ich rozpoznać.

- Spróbujmy znaleźć jakichś znajomych tego biedaka, może będą coś wiedzieć o Douglasie Sherbrooke'u - odezwał się Peter.

- Prawda jest taka, Peter, że ten Douglas Sherbrooke wie wszystko na temat Georges Cadoudala; wie, że mój ojciec martwi się nim i dlatego użył jego nazwiska, żeby nas przyciągnąć. To musi być syn Cadoudala, ale dlaczego wziął się właśnie na Jamesa? Przecież, gdyby chodziło o zwabienie naszego ojca, porwanie mnie też by wystarczyło. Ale nie znaleźli nikogo, kto przyznałby się do znajomości z Horacem, dopóki jakiś łobuziak, któremu Jason rzucił kilka suwerenów, nie powiedział im, że mężczyzna nazywał się Horace Blank: „Robił paszteciki i zawsze dawał mi jeden. Będzie mi go brak. Mieszkał na Bear Alley, na trzecim piętrze”. Sprawdził zębami suwerena, rozpromienił się i już go nie było.

Poszli do Bear Alley, znaleźli dom, w którym mieszkał Horace, i wdrapali się po wąskich, ciemnych schodach do jego pokoju. W pomieszczeniu było zadziwiająco czysto. Znajdowało się tam proste łóżko, mały kufer, a na przeciwległej ścianie był piekarnik, garnki i mnóstwo składników, których używał do robienia pasztecików. Pachniały wybornie.

- Nigdy nie próbowałem jego pasztecików - powiedział Peter i potrząsnął głową. - Naprawdę mi się to nie podoba, Jasonie. Rozdzielili się, Peter poszedł do nowego domu gier, prowadzonego przez jego znajomego, a Jason wrócił do siebie, by szybko się przebrać i wyruszyć na bal lady Radley. Żeby zobaczyć się z Judith McCrae. James opowiedział mu o wizycie, jaką złożyła Corrie, i o komedii z chlebem cytrynowym: „Nie widziałem nic tak zabawnego nawet na Drury Lane” powiedział James, a Jason żałował, że go tam nie było, żeby zjeść kawałek tego chleba, może nawet prosto z ust Judith. To była przyjemna myśl.

Uśmiechnął się, kiedy zobaczył ją tańczącą z młodym Tommy'm Barlettem, tak nieśmiałym, że utkwiał wzrok w jej szyi. Nie, to nie szyja Judith przykuła uwagę Tommy'ego. Jason ruszył w jej stronę, po drodze rozmawiając uprzejmie z przyjaciółmi i wrogami, i uśmiechając się do dam, które rzuciły mu smętne spojrzenia.

- Witam, panno McCrae. Witaj, Tommy. Cóż za uroczy naszyjnik, prawda? Tommy Barlett, nadal wdychając urocze perfumy panny McCrae, rozpalony pożądaniem, nie spieszył się, żeby się odwrócić.

- Czy to ty, James? Nie, to ty, Jason, prawda?

- Tak, jestem Jason.

- Jaki naszyjnik?

- Ten, w który wpatrujesz się na szyi panny McCrae. Wokół jej szyi. Ani na chwilę nie oderwałeś wzroku od tego ślicznego drobiazgu.

- O, ja nie... to znaczy, o matko, czy to nie pan Taylor kiwa tam na mnie? Dziękuję za taniec, panno McCrae. Jason. - I Tommy prawie pognął przez salę balową.

- O co chodzi? - spytała Judith, patrząc za Tom - mym. - Sprawiał wrażenie, jakby się ciebie śmiertelnie przestraszył.

- Miał wszelkie powody.

- Dlaczego? Nic mu nie powiedziałaś. Jasonie, o co chodziło? Jason uśmiechnął się do niej.

- Ładnie pachniesz.

- Ty także. Nigdy nie wiedział, czego się po niej spodziewać. Czasami było to irytujące, ale najczęściej urocze, jak teraz, gdy go powąchała.

- Dziękuję. Tommy pewnie by się na ciebie rzucił, gdybym mu nie przerwał.

- Ten nieśmiały młodzieniec? Szczerze w to wątpię. Taniec się skończył. Niczego nie przerwałeś. O co chodziło z moim naszyjnikiem? Mówiłam ci, że należał do mojej matki?

- Nie, nie mówiłaś. Jest bardzo oryginalny.

- Więc Tommy go podziwiał. Cóż w tym złego?

- Nieśmiały Tommy gapił się na twój biust, a nie na naszyjnik. Był sprytny, ale ja to zauważyłem.

- O - powiedziała, mrugając - a ja wzięłam go za skromnego i nieśmiałego, a nie sprytnego. Boże, przyszły rozpustnik.

- To właśnie Tommy - odparł Jason. - Widzę ludzi, którzy idą w tę stronę. Zatańczmy.

- Ci ludzie - odparła Judith, kiedy objął ją ramieniem i przeprowadził na środek parkietu - to młode damy. Polujące na ciebie. Niestety, trzymają się w kupie, a to nie najlepsza strategia. Może powinnam dać im kilka wskazówek - żeby cię okrążyły albo utworzyły klin i zapędziły cię do rogu, gdzie byłbyś bezbronny. Nie unoś tak wyniośle brwi. Dobrze wiesz, że nie idą tu po to, aby dowiedzieć się, czy nie znam jakichś nowych plotek albo aby podziwiać mój naszyjnik. Prawdę powiedziawszy, nie chciałabym zostać z nimi sama w ciemnym pokoju.

- Bzdura - powiedział. Zaczął ją okręcać, aż zaśmiała się do łez, a jej perfumy pachniały jak - co? Nie jak róże. Nie wiedział.

- O matko, Juliette Lorimer skrzywiła się na mój widok. Pewnie myśli, że ty to James. Czy ona nie może was rozróżnić?

- Najwyraźniej - odparł Jason - chociaż jestem szerszy w ramionach od brata. - Tańczyli wśród ludzi ubranych w piękne stroje i drogocenną biżuterię. Tyle bogactwa, pomyślała, tyle pięknych kobiet. Jason zwolnił na moment i uśmiechnął się do niej.

- Słyszałem o twoim obżarstwie. Muszę powiedzieć, że początkowo byłem wstrząśnięty, ale później James przypomniał mi, jak kiedyś ukradliśmy cały bochenek tego słynnego chleba cynamonowego, kiedy postawiono go na parapecie, żeby ostygł. Podzieliliśmy się z Jamesem po połowie i jeszcze było nam mało.

- Mogłabym zjeść cały bochenek - niepokrojony - w kilka chwil. Ledwie mogłam go spróbować, zjadłam tylko dwie kromki. Powinieneś zobaczyć lorda Montague'a - schował przede mną tacę za plecami. - Zaczęła się śmiać. - Cóż z niego za wspaniały dżentelmen. I taki przystojny.

- Będzie spowinowacony z moim bratem. To niesamowite.

- Więc Corrie wreszcie uległa? Jason wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej. James ma gadane, mógłby przekonać wikarego, żeby oddał mu pieniądze zebrane na tacę. Corrie nie stanowiła dla niego wielkiego wyzwania. Ona twierdzi, że jesteś tak samo ładna jak Juliette Lorimer. Ja sądzę, że jesteś nawet ładniejsza. Chodzi o to, że w przeciwieństwie do Juliette, jest w tobie dobro, nie wspominając o złośliwości, której człowiek nie spodziewa się u szlachetnie wychowanej pani.

- O, i jestem przebiegła. Bardzo.

- Nie zauważyłem. Czasami myślę, że jesteś nazbyt szczera, otwarta, a z twojej twarzy można czytać jak z książki. Uważaj na siebie, Judith. Następnym razem, gdy zgodzisz się zatańczyć z kimś, kto wygląda niewinnie, spójrz mu w oczy. Jeśli nie będzie patrzeć ci w twarz, nie tańcz z nim. Zaśmiała się z tego, co powiedział. Mocniej chwyciła go za rękaw i jeszcze bardziej się zaśmiała. Zesztywniał.

- Nie widzę niczego śmiesznego w tej radzie.

- Nie, nie, nie o to chodzi, Jason. Kiedy to mówiłeś, patrzyłeś mi w dekolt.

- To co innego - odparł i zamilkł, ponieważ muzyka ucichła kilka sekund wcześniej. Delikatnie dotknął palcami jej policzka. - Śliczny naszyjnik - powiedział i pozostawił ją kilka kroków od jej ciotki Arbuckle. Słyszał za sobą jej śmiech. Nie tańczył z żadną inną damą, podziękował gospodyni i wyszedł. Chciał opowiedzieć Jamesowi, co stało się w Covent Garden.

Musieli znaleźć syna Georgesa Cadoudala, zanim jemu uda się dopaść któregoś z nich.

ROZDZIAŁ 27

Londyński dom lorda Kennisona

Nie mam nic więcej do powiedzenia, Northcliffe. Nic nie wiem na ten temat.

Douglas Sherbrooke przytaknął.

- Wiem, ale prawdą jest, że znałeś Georges'a Cadoudala. Byłeś w Paryżu, kiedy zmarł po Waterloo. W 1815 roku?

- Tak, oczywiście. To żadna tajemnica.

Douglas spojrział na mężczyznę, który mógłby być jego ojcem. Lord Kennison był nadal bardzo wpływowym człowiekiem, chociaż wyglądał na jeszcze bardziej kruchego niż pół roku wcześniej. Ponieważ za bardzo lubił brandy, miał podagrę i jego prawa noga spoczywała owinięta bandażem, na brokatowym podnóżku.

Douglas musiał się upewnić, że Georges nie żyje, i uznał, że lord Kennison mu to ułatwi.

- Jak długo Georges chorował? Lord Kennison na chwilę przymknął powieki. Bolały go nawet oczy.

- Dobry Boże, Northcliffe. Myślałem, że wiesz. Georges nie umarł z powodu choroby. Ktoś zastrzelił go na ulicy. Trzeba nazwać to morderstwem. Zmarł jakieś dwie godziny później w swoim łóżku. Georges oczywiście był szalony.

- Tak, wiem. - Szalony i genialny. - Miał rodzinę, prawda?

- Tak, oczywiście. Syna i córkę. Syn jest mniej więcej w wieku twoich chłopców. Podobno znałeś żonę Georges'a, zanim wyszła za niego za męża. Janinę, pomyślał, która udawała, że jest ze mną w ciąży, bo wstydziła się przyznać swojemu kochankowi, Georgesowi, że zgwałciło ją kilku mężczyzn. Przytaknął.

- Tak, znałem ją. Ale nie widziałem jej od 1803 roku. To było bardzo dawno temu.

- Biedna Janinę, zmarła na gripę, zanim Georges został zabity. Szwagierka Georges'a zamieszkała z nimi i zajęła się domem. Jeśli chcesz znać moje zdanie, Douglasie, to uważam, że interesowała się Georgesem bardziej niż szwagierka powinna. Ale to nie ma znaczenia. Oboje nie byli już młodzi. A Georges od dawna nie żyje. To nie ty go zastrzeliłeś, Northcliffe? Douglas patrzył zamyślony na ogień w kominku. Potrząsnął głową.

- Darzyłem Georges'a sympatią, ale on chyba w to nie wierzył. Nie dziwię się, że ktoś go zastrzelił na ulicy, ponieważ, z tego, co mi wiadomo, nigdy nie zaniechał wysiłków, aby zabić Napoleona. Wielu chętnie by się go pozbyło, i najwyraźniej komuś się udało. - Uniósł wzrok. - Ale to nie byłem ja. Byłem wtedy w domu, z moimi dziesięcioletnimi synami i żoną. Nie zajmowałem się polityką.

- O, ale kilka lat wcześniej byłeś we Francji.

- Tak, ale to była wyłącznie misja ratunkowa. Nic nikczemnego. Nie widziałem Georges'a.

- Kogo ratowałeś? Douglas wzruszył ramionami.

- Hrabiego de Laca. Zmarł pięć lat temu, w swoim domu w Sussex.

- Czy ktoś mógłby sądzić, że to ty zabiłeś Georgesa?

- Nie, to niemożliwe. A także bez sensu. Gdyby ktoś uważał, że jestem odpowiedzialny za śmierć Georgesa, dlaczego czekałby aż piętnaście lat? Lord Kennison wzruszył ramionami. Nawet to sprawiało mu ból.

- Jestem zmęczony, Douglasie. Nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Pewnie, jak podejrzewasz, za tymi zamachami na twoje życie stoją jego dzieci. Natomiast Georges nigdy o tobie nie mówił, przynajmniej nie w mojej obecności. Nie sądzę, żeby był do ciebie wrogo nastawiony. Pamiętasz Georgesa - jeśli kogoś nienawidził, to z całego serca. Nie odmówiłby sobie opowieści, jak zamierza rozprawić się ze swoimi wrogami. Więc jeśli jest to zemsta jego dziecka, to skąd u niego taka nienawiść?

- Nie wiem. Jak pan powiedział, to nie ma sensu. - Douglas wstał. - Dziękuję, że zechciał się pan ze mną zobaczyć, sir. Jak pan wie, przysłał mnie do pana ksiązę Wellington.

- Tak, mówił mi o tym. Biedny Arthur. Boryka się z tyloma problemami. Mówiłem mu, żeby zrezygnował, żeby zostawił ten bałagan innym. Ale on oczywiście nawet nie chce o tym słyszeć.

- Oczywiście - odezwał się Douglas i wyszedł. Lubił lorda Kennisona, który był człowiekiem honoru, w przeciwieństwie do swojego syna, rozpustnika, który zaraził swoją żonę jakąś francuską chorobą.

Gdy wyszedł do powozu, zobaczył Willicombe'a i jego siostrzeńca Remiego z pistoletami w dłoniach.

Trzy dni później.

Londyński dom Sherbrookeów

James i Jason weszli do salonu, gdzie na kanapie siedziały obok siebie Corrie i Judith, i coś sobie opowiadały.

- Dzień dobry, moje panie - powiedział James. - Willicombe mówił, że planujecie ślub. - Czyj ślub? - pomyślał, zerkając na brata, który wpatrywał się w Judith McCrae, z wyrazem twarzy, jakiego nie widział u niego wcześniej. Corrie, która zeszłej nocy postanowiła się poddać, spojrzała na Jamesa, zerwała się z miejsca, podbiegła do niego i mocno się przytuliła. James uśmiechnął się na tak entuzjastyczne powitanie. Uniosła głowę i delikatnie dotknęła palcami jego podbródka.

- Już dosyć tych szeptów. Powiem to głośno, żeby wszyscy usłyszeli. James, postanowiłam wyjść za ciebie za mąż, postanowiłam, że może nie będzie to wcale takie złe. Już znam większość twoich wad. Jeśli masz jeszcze jakieś, to mi o nich nie mów.

- Nie mam już żadnych - powiedział James i usłyszał za sobą rzenie Jasona.

- Przynajmniej nie takie, które doprowadzałyby cię do szalu.

- Później porozmawiam o tym z Jasonem.

- Corrie, cieszę się, że postanowiłaś wyrazić zgodę, ale ja już rozmawiałem z twoim wujem. Wszystko zostało postanowione.

- Tak, wiem, ale nie chciałam, żebyś uważał mnie za żalostną, tchórzliwą kobietę, która nie ma własnego zdania.

- Nigdy nie uważałem, że jesteś tchórzliwa. A żalostna - już nie od kilku ładnych miesięcy. - Dostrzegł, że miała ochotę go o to zapytać, ale potrząsnął głową.

- Dobrze. Zaczekam. Szkoda tylko, że Jasonowi nie udało się schwytać Augiego, Bena i Billy'ego. Wyobraź sobie, że Augie myślał, że to znowu ty - i ponownie postanowił wykorzystać sztuczkę z kocami. Czy uważał cię za głupka?

- Prawdopodobnie - odparł Jason, patrząc na brata i swoją przyszłą bratową. James zorientował się, że jego ramiona całkiem naturalnie objęły narzeczoną. Cóż, przytulał ją, odkąd skończyła trzy lata, więc nie było w tym niczego nienaturalnego. Miło było czuć ją przy sobie. Zamknął na chwilę oczy i wdychał jej zapach. Był przyzwyczajony do jej zapachu, wyczułby jej obecność nawet w ciemnym pokoju, ale teraz czuł jeszcze lekką nutkę jaśminu.

- Twoje perfumy? - powiedział, wtulając twarz w jej włosy. - Podobają mi się.

- Dała mi je twoja matka, mówiąc, że twoja ciotka Sophie zarzekła się, że działają na twojego wuja Rydera nawet z odległości kilkunastu metrów. Mówiła, że podobno biegnie za nią, jak pies myśliwski za lisem.

- Aha, chyba mógłbym za tobą gonić. Ciekawe, co bym ci zrobił, gdybym już cię złapał? Pewnie bym cię powąchał, żeby się upewnić, iż jesteś tą właściwą lisicą, ale potem? Hmm. Zawsze zostają tyły twoich kolan.

- Chyba już powinnaś mnie puścić, Corrie. W pokoju jest jeszcze dwoje innych ludzi i mogą dostać migreny od tych czułości. Odchyliła się i spojrzała na niego.

- Migreny? Dlaczego ktoś miałby nabawić się migreny, widząc, że się ciebie trzymam, jak ostatniej kromki chleba cynamonowego?

- Z zazdrości - odparł, i bez zastanowienia pocałował ją w czubek nosa. Odsunął ją od siebie. - Willicombe... - zwrócił się do pozostałych, którzy zupełnie nie zwracali na niego uwagi - ... przyniesie herbatę. Jason? Judith? Słuchacie mnie? Zaraz będzie herbata. Corrie usłyszała chichot i wychyliła się zza Jamesa, żeby zobaczyć, jak Judith McCrae rzuca w Jasona ołówkami.

- Czym on cię sprowokował, Judith? Świetny rzut, prosto w klatkę piersiową. Ołówki mogą być niebezpieczne, więc lepiej uważaj.

Judith, trzymając ostatni ołówek między palcami, gotowa cisnąć nim w Jasona, odwróciła się z uśmiechem.

- Ten jegomość, który tu stoi, taki wysoki i wyprostowany; wygląda groźniej niż wojowniczy Szkot, mówi mi, że ze względów bezpieczeństwa powinnam nosić naszyjnik. Bez niego mężczyźni nie mają żadnej wymówki.

Corrie już miała zapytać, co to oznacza, ale właśnie wszedł Willicombe, obrzucając spojrzeniem cały salon, zanim chrząknął i powiedział:

- Kucharka przygotowała orzechowe bułeczki. Przeprasza, że nie udało jej się upiec chleba cynamonowego, ale ludzie, których opłaciła, żeby ukradli recepturę, zostali przekupieni... chlebem cynamonowym. - Uśmiechnął się do nich promiennie. - Pokój pełen młodych ludzi, którzy patrzą na siebie z taką sympatią. Takie beznamiętne słowo, sympatia. Może bardziej pasuje tu słowo czułość i serdeczność, przynajmniej taką mam nadzieję, skoro dwoje z was wkrótce założy łańcuchy. - I Willicombe zerkając na Jasona, uniósł pytająco brew. Jason podniósł z podłogi ołówek i cisnął w Willicombe'a.

- Łańcuchy - mruknął James. - Zaczynam sądzić, że Willicombe jest takim samym mizoginem jak Petrie.

Corrie nalala herbatę do filiżanek, a Judith podała bułeczki.

- Nasza babka uwielbia te bułeczki orzechowe - powiedział James. - O Boże, Corrie, będziesz musiała być dzielna; ona potrafi być okropna, będzie cię szkalować, na pewno nie doda ci otuchy, ale przecież o tym wiesz, wystarczająco często ci dokuczała. Ale teraz, skoro będziesz członkiem rodziny - strach pomyśleć, jak cię potraktuje.

Judith przestała przeżuwać bułeczkę.

- Wasza babka będzie niemiła dla Corrie? To bardzo dziwne. A dlaczego? Jason roześmiał się.

- Nie znasz naszej babki, Judith. Nie lubi żadnej kobiety, która weszła jej w paradę, łącznie z naszą matką, łącznie z jej własną córką i łącznie z Corrie, która najwyraźniej napawają odrazą. Corrie zadrzała. James poklepał ją po dłoni i odezwał się niskim głosem:

- Może powinniśmy zamieszkać w uroczym domu, który posiadam w Kent?

- To jeden z mniejszych domów ojca, zbudowany przez pierwszego wicehrabiego Hammersmith.

Ugryzła kawałek bułki i oblizwała usta.

- Gdzie się znajduje?

- Niedaleko wioski Lindley Dare, tuż nad rzeką Elsey. Zjadła bułeczkę, ponownie oblizwała usta, ale tym razem James obserwował jej język, mając nieprzepartą ochotę ją polizać. Jej szyję, lewy łokieć, brzuch - musiał wziąć się w garść.

- Czy jakoś się nazywa? - spytała.

- Tak. Primrose House. Nie jest tak duży i okazały jak Northcliffe Hall, ale byłby nasz, miejmy nadzieję, że przez długi czas, bo nie życzę moim rodzicom śmierci. Corrie nie mogła sobie wyobrazić, że będzie mieszkać z tym mężczyzną. Mieszkać z nim w Primrose House. Tylko we dwoje. Boże, była przyzwyczajona do mieszkania z ciotką Maybellą i wujem Simonem. Mieszkanie z Jamesem? Przypomniała sobie ich ostatni pocałunek i jego język w swoich ustach i zarumieniła się po linię włosów.

- Chyba - odezwał się James, nie spuszczając wzroku z jej ust - chciałbym wiedzieć, o czym myślisz. W tym momencie do pokoju wpadł Willicombe.

- Panie, paniczu Jasonie, szybko! Szybko! Corrie najszybciej ze wszystkich wybiegła z pokoju. Wypadła na zewnątrz przez drzwi wejściowe i zatrzymała się gwałtownie na schodach.

Zobaczyła swojego przyszłego teścia, który stał nad nieprzytomnym mężczyzną w czarnej pelerynie, i rozcierał pięść. Obok niego stał Remie, z nogą na plecach barczystego, zaniedbanego gościa, który rzucił się i jęczał.

Douglas podniósł wzrok i uśmiechnął się. Ponownie pomasaował pięść i powiedział:

- To była niezła zabawa. James i Jason podbiegli do ojca i Remiego, po czym spojrzeli na dwóch mężczyzn na ziemi.

- Kim są ci ludzie, sir? Znasz ich? - spytał James.

- O nie - odparł radośnie Douglas. - Remie zauważył, że czają się po drugiej stronie placu.

- Tak - odezwał się Remie. - Jego lordowska mość postanowił, że pozwolimy im zbliżyć się do nas, i tak zrobili, głupcy. Wasz ojciec już myślał, że utniemy sobie z nimi miłą pogawędkę, ale wtedy dranie ruszyli głowami. - Kopnął jednego z mężczyzn, który znowu jęknął, zadrzał, i już się nie poruszył. Douglas pochylił się i podciągnął mężczyznę rozpląszczonego na ziemi u jego nóg. Klepnął go kilkakrotnie w twarz, potrząsnął nim.

- No dalej, otwórz oczy i spójrz mi w twarz. - Znowu nim potrząsnął. Mężczyzna poruszył się lekko. Jason odruchowo odepchnął Remiego i wykopał pistolet z ręki mężczyzny, który właśnie wyłonił się zza krzaków i mierzył w hrabiego. Chwycił napastnika za włosy, uniósł jego głowę i zdzielił go pięścią w twarz. Spojrzał na ojca.

- Był szybki. Teraz jest ich trzech. James, czy to ci sami, którzy cię porwali? James potrząsnął głową.

- Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Mężczyzna, którego Douglas trzymał za szyję, odezwał się

płaczliwym głosem:

- Nie mieliśmy złych zamiarów, milordzie, chcieliśmy tylko zwinąć parę groszy. Remie, otrzepując liberię, warknął:

- Chyba porozmawiam z tymi dwoma, panie, może uda mi się coś z nich wyciągnąć.

- Obaj z nimi porozmawiamy, Remie. Zza pleców Judith rozległ się chłopięcy głos:

- Widziałem ich, milordzie, jak rozmawiali z jakimś gościem, eee, mężczyzną po drugiej stronie placu. To był duży mężczyzna, ubrany w kapelusz i szynel. James odwrócił się do Freddiego, którego angielski znacznie się poprawił w ciągu ostatniego tygodnia, chociaż słyszał, jak chłopak mruczał pod nosem, że nie rozumie, co było nie tak z jego wymową, kiedy poinformowano go, że będzie kształcony. To Willicombe uczył Freddiego dwie godziny dziennie.

- Dobra robota, Freddie. Przejdźmy się tam, gdzie widziałeś tego mężczyznę i zobaczmy, czy uda nam się znaleźć jakieś ślady.

- Rety - rzucił Freddie i otrzepał spodnie, wyprostował rękawy i przyjął dumną postawę w swojej nowej liberii. - Chodźmy więc, panie. Coś, to znaczy... coś na pewno znajdziemy.

- Pospieszcie się, wy dwaj - powiedział hrabia. - Sądzę, że tych trzech powinno spędzić trochę czasu w naszej stajni, o ile nie wystraszą koni. Remie i Jason zabrali mężczyzn, a Douglas udał się do domu, żeby napisać list do lorda Graya, dżentelmena, którego znał na Bow Street.

Natomiast Corrie i Judith przyglądały się, jak Jason i Remie wlekli trzech mężczyzn.

- Nie tego się spodziewałam - odezwała się cicho Judith - kiedy wybierałam się z wizytą.

- Nie - odparła Corrie. - Wiesz co, Judith, może my też powinnyśmy spędzić trochę czasu z tymi facetami?

- To znaczy, jeśli panowie nie wyciągną z nich żadnych informacji?

- Właśnie. - Corrie strzeliła palcami, czego nie robiła, odkąd skończyła dziesięć lat. Judith zaśmiała się, przysłoniła oczy dłonią, i powiedziała:

- Ciekawe, czy James i Freddie coś znajdą. Kim jest ten chłopiec, Corrie? Czy nie jest trochę za młody, żeby pracować u hrabiego?

- Freddie jest wyjątkowy - odparła Corrie. - Bardzo wyjątkowy. Zauważyłaś, że już lepiej mówi?

- Uczysz go poprawnej angielszczyzny?

- Nie ja, tylko Willicombe - powiedziała Corrie. - Śmiem twierdzić, że hrabia zrobiłby wszystko dla Freddiego. - Uśmiechnęła się do Judith. - Wrócimy po południu i może utniemy sobie pogawędkę z tymi dwoma łotrami. - To samo Corrie powiedziała hrabiemu dziesięć minut później. - Panie, sądzą, że powinien pan wybrać się na Bow Street. Proszę pozwolić mi porozmawiać z tymi mężczyznami. Wiem, że mogę ich przekonać, żeby ze mną rozmawiali. Judith przytaknęła głową, mrużąc oczy.

- Ja również chętnie otworzę im usta, panie. Douglas spojrział na dwie młode damy, które, jak podejrzewał, były tak odważne jak jego żona.

- Sądzę, że list do lorda Graya może chwilę poczekać. Tak, spróbujmy najpierw ich złamać. Jednak Willicombe był temu zdecydowanie przeciwny. Stał w holu, metr od drzwi, blady jak ściana.

Oddychał tak szybko, że Corrie obawiała się, iż zemdleje. Podeszła do niego i mocno uderzyła go w twarz.

- Ach, o Boże, dostać w pysk od młodej damy. - Willicombe zaczął lamentować. - Ale ponieważ ta dama uratowała jednego z naszych chłopców, sądzą, że... - zawiesił głos, wziął głęboki oddech i

dokończył: - Dziękuję, panno Corrie. Chyba zjem bułeczkę orzechową, jeśli jeszcze jakaś została. I odszedł chwiejnym krokiem.

ROZDZIAŁ 28

Biegł jak miody mężczyzna - powiedział ojcu James, a Freddie energicznie przytakiwał.

- Młody mężczyzna - powtórzył Douglas. - Znowu się pojawia, ten syn Georgesa Cadoudala. - Spojrzał na syna. - Dlaczego, James? Dlaczego?

- Dowiemy się, kiedy go złapiemy. Wszyscy go szukają, ojciec. To nie potrwa długo. - James wskazał na park. - Wskoczył do dorożki, a woźnica pogonił konie. Nie mieliśmy szans go złapać.

- Cóż, mamy trzech jego ludzi. Postanowiłem, że pozwolimy Corrie i Judith porozmawiać z nimi jutro. - Uśmiechnął się, widząc malujące się na twarzy Jamesa przerażenie. - Młode damy twierdzą, że nakłonią ich do mówienia. Ale teraz sami spróbujmy ich złamać.

James zatarł ręce.

- Zróbmy to. Freddie, zawołaj panicza Jasona, powiedz mu, że utniemy sobie pogawędkę z naszymi łotrami.

- Jeśli nikomu z nas się nie uda, wyślę list do lorda Graya. Może przysłać jednego ze swoich ludzi, żeby ich zabrać. Przynajmniej na nic się nie zdadzą synowi Georgesa.

Dwie godziny później Douglas musiał przyznać się do porażki. Mężczyzn bardzo dobrze opłacono, żeby trzymali język za zębami. Chodziło nie tylko o pieniądze, pomyślał James, kiedy zaproponował im pięćset funtów, a jego oferta została odrzucona. W ich oczach czaił się strach. W kółko powtarzali, że nic nie wiedzą, że tylko chcieli ukraść bogatemu facetowi portfel, i nie znali żadnego gościa, który przedstawiał się jako Douglas Sherbrooke. Nie znali również żadnego młodego mężczyzny. I tak w kółko, aż wreszcie Douglas postanowił to skończyć. James i Jason chcieli ich sprać, ale Douglas nie zamierzał mieć dwóch trupów w stajni. Postanowił zwrócić się do Bow Street, niech ludzie lorda Graya się nimi zajmą.

Wszyscy trzej mężczyźni byli przygnębieni, ale musieli się uśmiechać, ponieważ Aleksandra zaprosiła lady Arbuckle i Judith, oraz lorda i lady Montague z Corrie na obiad. Powodem była, jak przyznała mężowi, gdy pieścił jej szyję, chęć zobaczenia obu młodych dam z jej synami.

- Chcę zobaczyć, jak się nawzajem traktują, jak odnoszą się do swoich krewnych i do nas.

- Znasz Simona, Maybellę i Corrie od zawsze. Wiesz, jak się do nas odnoszą.

- Ach, nie rozumiesz, Douglasie? Nie wiem, jak będą zachowywać się w stosunku do lady Arbuckle i Judith McCrae, bo to ważne. Chcę się także przekonać, czy lubię Judith. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby Jason interesował się tak jakąś młodą damą. Może jest zepsuta do szpiku kości, może interesuje się nim tylko ze względu na jego wygląd, może nie ma poczucia humoru. Douglas potrząsnął głową, poklepał ją po policzku, zerknął na jej piersi, przełknął i odwrócił się, żeby poprawić fular, który służący zawiązał dziesięć minut wcześniej. Rzucił przez ramię:

- Biedny James. Nie miał szansy przekonać się, czy znajdzie się jakaś panna, w której mógłby się zakochać. Teraz już nigdy się tego nie dowie. Aleksandra spojrzała na szerokie plecy męża.

- Musiałeś mnie wziąć, Douglasie, jeśli pamiętasz. Ty również nie miałeś szansy znaleźć miłości swego życia.

- Ach, więc o to chodzi? Chyba nam się udało, prawda, Alex, skoro wszędzie chciałaś się ze mną kochać?

- To dziwne, mój panie, mnie się wydaje, że to ty nie mogłaś oderwać ode mnie rąk. Muszę powiedzieć, że nie widziałeś, jak James wsuwał język do gardła Corrie. Wyglądał na całkowicie tym pochłoniętego.

- Do gardła? To jest coś, co sprawia dżentelmenom przyjemność. Ale jest przecież Juliette Lorimer i...

- Nie - odezwała się zdecydowanie Aleksandra. - Gdyby James ją wybrał, pojechałabym do Szkocji i zamieszkała w zamku Vere, z Sinjun i Colinem. Sądzę, że Juliette mogłaby być znośna do czasu aż zdałby sobie sprawę, że James wzbudza więcej zachwytów niż ona. A jej matka - o Boże... Douglas zaśmiał się, przytulił ją ostrożnie, żeby nie zburzyć jej misternej fryzury, i delikatnie ugryzł ją w ucho.

- Prawdę powiedziawszy, matka Juliette także mnie niepokoi. Dobrze, zobaczymy, jak młode damy zachowują się w stosunku do swoich krewnych. Corrie i Judith, to ładne imiona.

- Ach, to ty, Alex, zawsze się za mną uganiałaś i... Dała mu kuksańca w brzuch.

* * *

Trzeba było przyznać, że młode damy zachowywały się bez zarzutu, jednak rozmowa cały czas krążyła wokół człowieka, który nastawał na życie Douglasa.

- Szaleniec - odezwał się Simon, jak tylko przełknął makaron z zupy. - Bardzo narwany szaleniec. Uważasz, że jest młody? Cóż, młodzi szaleńcy bywają najbardziej narwani, ale to nie znaczy, że nie należy traktować ich poważnie. Wiesz, Douglasie. Douglas, patrząc we własny talerz, odparł:

- Wiem, Simonie. Ten młody szaleniec jest najprawdopodobniej synem Georgesa Cadoudala. Z jakiegoś powodu postanowił mnie zabić. Ciekawe, czy rzeczywiście jest szalony? Maybella, która przyglądała się z zazdrością szmaragdowej bransoletce lady Arbuckle, powiedziała:

- Syn Georgesa Cadoudala. Jego ojciec zmarł, gdy on miał zaledwie dziesięć lat. To znaczy, że karmi się nienawiścią od piętnastu lat. Brzmi to tak dziwnie i przerażająco...

- Zgadzam się z tobą, ciociu - odezwała się Corrie i nałożyła sobie dorsza au gratin. - Miał również córkę. Jeszcze nie udało nam się niczego dowiedzieć ani o córce, ani o synu.

- To niegodziwość - powiedziała Maybella. Żaden z bliźniaków się nie odezwał. Lady Arbuckle chrząknęła, spojrzała na Judith i oznajmiła:

- Uważam, że to nonsens. Tutaj nie chodzi o zemstę. Jestem przekonana, że to jakiś okropny Francuz z jakiegoś tajnego francuskiego stowarzyszenia zdecydowany zniszczyć tkankę angielskiego społeczeństwa. Zabicie jednego z najznamienitszych ludzi królestwa byłoby spektakularnym początkiem. - Po tym oświadczeniu lady Arbuckle powróciła do filetu z dorsza a la maitre d'hotel. Wzięła głęboki oddech, i przez krótką chwilę miała zamknięte oczy, zaciskając mocno palce na rękojeści noża.

- Dobrze się pani czuje? - zwróciła się do niej Corrie.

- Co? Och, tak, panno Tybourne - Barrett. Chyba ten dorsz jest dla mnie zbyt tłusty, to wszystko. Judith lekko poklepała lady Arbuckle po dłoni.

- Ja też uważam, że jest za tłusty, ciociu. Może spróbujesz potrawy z kurczaka? Bardzo mi smakowała. Lady Arbuckle nałożyła sobie kurczaka i przeżuując mały kawałek, pokiwała głową.

- Tak, wyborna potrawka. Dziękuję ci, kochanie.

- Szkoda, że lord Arbuckle musiał pozostać w Kornwalii - powiedział James.

- Ach - odparła Judith, machając widelcem - mój wuj wspaniale się czuje, kiedy jest nad Morzem Irlandzkim. Jest najszczęśliwszy, kiedy wdycha zapach słonej wody i czuje morski wiatr we włosach. Poza tym posiadłość wymaga ciągłej opieki. Nie pozwoli nikomu innemu się tym zająć. Douglas, który nie znał lorda Arbuckle'a, był szczerze zmęczony dyskusją na temat zamachów na swoje życie i chętnie dowiedziałby się czegoś o tej dziewczynie, która być może stanie się członkiem jego rodziny.

- Podobno pochodzi pani z Waterford. Przytaknęła, obdarzając go uśmiechem, który Douglas uznał za czarujący.

- Tak, moja rodzina hoduje konie arabskie. To bardzo dobra kraina do hodowli koni.

- Kto tam teraz jest? - spytał James. - Jason mi mówił, że pani rodzice nie żyją.

- Hodowlą zajmuje się mój kuzyn Halsey. I tak miał odziedziczyć farmę po śmierci ojca. Farma nazywa się Coombes, a Halsey jest baronem Coombes. Jason ujął jej palce i uściśnął je.

- Judith zbyt długo była sama, ale lord i lady Arbuckle troskliwie się nią zajmują.

- Tak, to prawda - odparła Judith i pochyliła się, żeby pocałować upudrowany policzek lady Arbuckle. - To mój pierwszy sezon. Nigdy nie sądziłam, że to nastąpi, ale moja kochana ciocia... - Umilkła, a w jej ciemnych oczach pojawiły się łzy. Jason znowu uściśnął jej dłoń, a potem przeskoczył na jeden ze swoich ulubionych tematów - konie. Chciał pojechać do Coombes, zobaczyć, jak funkcjonuje farma.

Potem rozmowa przeszła na ślub Jamesa i Corrie, który miał się odbyć w kościele Świętego Pawła za trzy tygodnie. Douglas wzruszył ramionami.

- Znam biskupa Londynu, sir Nortona Gravesa, wspaniałego człowieka, który celebrował wasze chrzciny. Zaintrygowało go, gdy powiedziałem, że zależy nam na czasie, więc nie miałem wyboru, i musiałem wytłumaczyć mu, dlaczego spieszy nam się ze ślubem. Oczywiście okazało się, że już słyszał większą część historii, ale w skandalizującej wersji. Sir Norton ma kontakty w towarzystwie, ale trzeba mu przyznać, że rzadko wierzy plotkom. James spytał go, czy nie udzieliłby wam ślubu, a on się zgodził. Corrie zakrzuszyła się pasztecikiem z ostryg. James natychmiast uderzył ją w plecy.

- Nic ci nie jest?

- Nic, tylko twój ojciec mówi tak rzeczowo o naszym ślubie - a ja wciąż nie mogę w to uwierzyć. Dobry Boże, to już za trzy tygodnie. Aż mi zabrakło tchu przez chwilę.

- Mnie także brakuje tchu. Nie myśl o tym. Przejdziemy przez to. Wiem, że chciałaś, aby na ślubie było przynajmniej tysiąc wiwatujących osób, ale to nie będzie możliwe, Corrie.

- Może chociaż pięćset? James roześmiał się, a jego matka powiedziała:

- Obie z Maybellą uważamy, że najlepiej będzie, jeśli zaprosimy najwyżej jakieś trzydzieści osób.

- Zaproszę kilku członków Towarzystwa Astrologicznego. Chciałbym, żebyś ich poznała. A może chcesz pójść ze mną na spotkanie Towarzystwa w przyszłą środę?

- Pokażę im, że będziesz miała idealną żonę. Sama napiszę i wygłoszę referat - powiedziała Corrie i rzuciła tak szelmowskie spojrzenie, że Jason omal nie parsknął winem na obrus.

- Tak - odparł James poważnym tonem. - Myślę, że powinnaś. Ja przedstawiłem już zjawisko kaskad. A ty o czym chciałabyś powiedzieć? Corrie zastanawiała się przez chwilę, obserwując pieczoną gęś na swoim talerzu. Wzięła bulkę, zamachała nią do Jamesa i powiedziała:

- Chcę mówić o tym, że wampiry mogą wychodzić tylko nocą, przy świetle księżyca, ale nigdy w ostrym słońcu. Oczywiście w Anglii słońce rzadko jest ostre, więc zastanawiam się, czy angielskie wampiry mają więcej swobody niż na przykład wampiry na pustyni Sahara.

James przewrócił oczami.

- Nie chcę już słyszeć o Devlinie Monroe. Widziałem, że kręcił się wczoraj koło ciebie. Czego chciał?

- Usiłował mnie przekonać, że byłby lepszym mężem od ciebie. James, który natychmiast połknął haczyk, prawie zerwał się na równe nogi.

- Ten przeklęty drań. Tego już za wiele, to jest...

- To był żart - odezwała się Corrie i posłała mu szyderyczy uśmiezek, którego nie widział od jej przyjazdu do Londynu. Wśród śmiechów Aleksandra wyprowadziła panie z jadalni, zostawiając panów na szklaneczkę porto.

- Zakpiła sobie ze mnie - odezwał się James, rumieniąc się i patrząc w szklanekę.

- To prawda, jest w tym niezła - zgodził się jego brat - już od lat. - Westchnął. - Niestety, obawiam się, że Judith jest tak samo utalentowana jak Corrie. Ona także bez trudu może zakpić z mężczyzny, doprowadzając go do wściekłości.

- Tak, widziałem ją w akcji - powiedział James. - Zastanawiam się jednak, co knuje Devlin Monroe.

- Nic - odezwał się Simon. - Zupełnie nic. Sam z nim rozmawiałem, powiedziałem mu, że Corrie cię kocha, James, odkąd skończyła trzy lata. Na co on odparł, że Corrie jest jeszcze naiwna, zbyt młoda, żeby zmuszać ją do małżeństwa, że ty ją wykorzystujesz, a ja powinienem wyzwać cię na pojedynek i zastrzelić. Przez chwilę myślałem, że ten biedny chłopak się rozplacze. Ale potem wziął się w garść i spytał, czy nie uważam, że dzień jest cudownie pochmurny. Oczywiście przytaknąłem. Prawie codziennie niebo jest zachmurzone. Nie chciałem, żeby robił dramatyczne sceny. Chciałem, żeby sobie poszedł. Sądysz, że naprawdę jest wampirem? Corrie go kocha, odkąd skończyła trzy lata? Jak dziecko, które uwielbia starszego brata, tak, to rozumiał, ale czy to miał na myśli jej wuj? Czyżby go kochała? Jak kobieta mężczyznę?

W tym momencie panowie unieśli głowy, słysząc odgłosy stóp i liczne głosy. Corrie z impetem otworzyła drzwi do jadalni i krzyknęła:

- Szybko! James, o Boże, chodź szybko!

ROZDZIAŁ 29

Kiedy wpadli do stajni, zobaczyli, że trzech bandyci zniknęli, Remie leżał nieprzytomny przy drzwiach, a trzech chłopców stajennych zostało związanych i zakneblowanych w pomieszczeniu z uprzężami. Konie były niespokojne - rżały, machały ogonami, wierzgały w swoich boksach.

James ukląkł, żeby zmierzyć Remiemu puls. Nie był zbyt wyraźny, ale równomierny, i Remie powoli dochodził do siebie.

Judith odezwała się piskliwym głosem - zbyt piskliwym - i trochę drżącym:

- Corrie chciała wyjść i przepytała tych łotrów. Wiedziała, że pan nie będzie się chciał zgodzić. Nie chciała tego odkładać do jutra, więc powiedziałyśmy twojej mamie, że idziemy do toalety i przyszyliśmy tutaj, ale oni uciekli, a to oznacza, że ktoś musiał im pomóc.

- Tak, ten młody człowiek, który stał po drugiej stronie placu. Musiał wrócić i zobaczyć, że jego ludzie zostali zabrani do stajni, zorientował się w sytuacji, a później przystąpił do działania - powiedział Jason.

- Udało mu się - odezwał się Douglas, otrzepując dłonie o spodnie. - Niech go szlag. Wezwę lekarza do Remiego i wyślę list do lorda Graya.

Okazało się, że ani Remie, ani chłopcy stajenni nie widzieli, kto ich zaatakował. Remie powiedział, że usłyszał coś, ale wtedy dostał w głowę i stracił przytomność.

* * *

Tego wieczoru, kiedy lord Gray pił brandy w salonie Sherbrooke'ów, wysłuchał opowieści o zamachach na życie Douglasa i oznajmił, że teraz zaangażuje się osobiście w tę sprawę i znajdzie człowieka, który był za to odpowiedzialny.

- Skoro ustaliliście, kim on może być, ja go poszukam - powiedział spokojnie, wychylił brandy, ucałował białą dłoń Aleksandry i wyszedł. Nikt mu nie uwierzył, chociaż wszyscy bardzo chcieli.

Trzy tygodnie później

Siedemdziesięciu gości - czterdziestu więcej niż początkowo zaplanowano - wiwatowało radośnie, kiedy James i Corrie, wicehrabia i wicehrabina Hammersmith, wyszli z kościoła Świętego Pawła i trzymając się za ręce, pobiegli do odkrytego landa, przybranego przez Aleksandrę Sherbrooke niewyobrażalną ilością białych kwiatów. Był to, nie jak się spodziewano, zimny, pochmurny dzień, lecz chłodny i słoneczny, niespotykany jak na koniec października w Anglii.

- To dlatego, że jestem ulubienicą niebios - powiedziała Corrie. James zaśmiał się.

- Ha, to dlatego, że niebiosa są mi wdzięczne, iż dzięki mnie nie jesteś upadłą kobietą. Corrie wyznała swojej teściowej, że przyrzekła przez cały rok spełniać dobre uczynki, jeśli Bóg ześle tego dnia słońce.

- Jakie dobre uczynki masz na myśli? - spytała Aleksandra. Corrie miała skonsternowaną minę.

- Prawdę powiedziawszy, nie przypuszczałam, że to zadziała, więc nie zastanawiałam się, jakie to mogłyby być uczynki. Spodziewałam się deszczu i gęstej mgły. Będę musiała się zastanowić. Nie chcę, żeby Bóg pomyślał, że jestem niepoważna. Jason zwrócił się do Judith:

- Wszystko zostało wybaczone, a niebawem zostanie zapomniane. Corrie ocaliła mu życie, a teraz są małżeństwem. Czasami zasady to samo zło.

- Uważam, że są dla siebie stworzeni - odparła Judith. Przysunęła się do niego bliżej, stanęła na palcach i szepnęła mu do ucha: - Corrie powiedziała mi, że James zdradził jej tylko jeden szczegół na temat ich nocy poślubnej. Jason drgnął nieznacznie.

- Jaki?

- Że zamierza całować tył jej kolan. Jason roześmiał się, nie mogąc się powstrzymać. A Judith, skromna jak zakonnica, spojrzała na niego zza ciemnych rzęs.

- Chcesz powiedzieć, że ją oszukał? Nie to zamierza zrobić?

- O, jestem pewien, że zajmie się jej kolanami - odparł Jason.

- Ciekawa jestem, co planuje zrobić później.

- Jesteś za młoda, moje dziecko, żeby mieć jakiegokolwiek pojęcie, co następuje po kolanach. - Poklepał ją po policzku. - Ani przed kolanami, jeśli chodzi o ścisłość. - Kiedy jego palce dotknęły jej twarzy, Jason zrozumiał, że był zgubiony. To szelmowskie spojrzenie ciemnych oczu, miękkość skóry, ucisk, który czuł w żołądku, ilekroć była w pobliżu, aż brakowało mu tchu. Uświadomił sobie, że zaschło mu w gardle, chrząknął więc i powiedział, nachylając się do jej ucha:

- Jeśli ma trochę rozumu, zacznie od jej prawego kolana. Prawe kolano jest bardziej wrażliwe.

- O matko, nie miałam pojęcia. Naprawdę, Jasonie? U każdej kobiety? Prawe kolano?

- Sprawdziłem to wiele razy.

- Dobrze więc. Nie zapomnę o tym. Gdybyś ty był Jamesem, a ja Corrie, chyba całowałabym każdy palec twojej prawej ręki, a potem lizała je bardzo powoli. Jasonowi zaparło dech w piersiach. Stawał się twardszy niż kamienne schody kościoła. Odwrócił od niej wzrok i krzyknął:

- Nie pozwól nikomu go porwać, Corrie, bo znowu będziesz musiała za niego wyjść! Usłyszała go, pomimo panującej wrzawy, odwróciła się, pomachała mu i się roześmiała.

James przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował, ku ogólnej radości. Lando ruszyło.

Po południu wszyscy, którzy nie dostali zaproszenia na ślub, usłyszeli, że młoda para była bardzo szczęśliwa, co dobrze wróżyło, skoro mieli spędzić ze sobą całe życie.

Natomiast Jason poklepał Judith po policzku i odszedł, pogwizdując. Patrzyła za nim. Zbił ją z tropu.

Trzy godziny później, po wielu ciągnących się kilometrami farmach, wzgórzach, lasach, malowniczych wioskach i kilku okazałych domach, zbliżali się do wioski Thirley położonej w samym sercu Wessex. Zbliżali się do celu i James miał nadzieję, że za pięć minut znajdzie się z Corrie w łóżku.

Zrobiło się chłodno, zaczęło wiać i okna powozu klekotały na wietrze, ale Jamesa to nie obchodziło. Wkrótce po tym, jak zamienili otwarte lando na kryty powóz zachmurzyło się, w sam raz dla Devlina Monroe, niech go diabli porwą. James chciał zaciągnąć Corrie do sypialni, rozebrać ją do naga i rozpocząć orgię rozkoszy.

Na wszystkie świętości, był żonaty. Z tą smarkulą. Wciąż nie mieściło mu się to w głowie. Smarkula była jego żoną, a on nadal ją widział jako trzylatkę z brudnymi palcami, ciągnącą go za nogę, żeby zwrócić na siebie uwagę. Potem była szczerbatą sześciolatką, oferującą mu z szerokim uśmiechem ciastko z dżemem truskawkowym. A teraz siedziała obok niego, z zadowoleniem oglądając krajobraz, z dłońmi skromnie skrzyżowanymi na kolanach. Była jego cholerną żoną. Kosmyk włosów wysunął się spod jej ślicznego czepeczka i opadał na ramię. Spojrzał na jej piersi.

Chciał ich dotknąć, pieścić je palcami i ustami. Poczuł, że buzuje w nim pożądanie. Smarkula była jego żoną.

- Corrie. Nie odwróciła się.

- Tak, James?

- Jeszcze tylko piętnaście minut. Zarezerwowałem nam największy pokój w Gossamer Duck w Thirley. Moja ciotka Mary Rose mówi, że jest tam czysto i świeżo, a łóżko w narożnym pokoju, którego okna wychodzą na miejski skwer, jest miękkie i wygodne.

- O matko.

- Wszystko w porządku. Jesteśmy małżeństwem. Możemy mówić o miękkich łóżkach i nikogo to nie zdziwi.

- Wiem. To wszystko... jest trochę niepokojące. Mam osiemnaście lat, powinnam być niewinna jeszcze przez jakiś rok, a zobacz, co mnie spotkało. Jadę obok mężczyzny, który chce zerwać ze mnie ubrania i robić ze mną rzeczy, o których wiem co nieco, ponieważ wychowałam się na wsi.

- To, co cię spotkało, będzie zabawne. Posłuchaj, pomogę ci czerpać przyjemność z życia. Będziemy czerpać ją razem, aż będziesz wykończona i powiesz mi, że cieszysz się, że jesteśmy razem, bo żaden inny mężczyzna nie dałby ci tyle rozkoszy, a zwłaszcza Devlin Monroe. Spojrzała na niego.

- To nie ma najmniejszego sensu, Jamesie Sherbrooke'u. Dziewczyny korzystają z przyjemności życia właśnie z takimi mężczyznami, jak Devlin Monroe, którzy są zepsuci, a nie z takimi, którzy są honorowi i zbyt porządni, żeby dbać o własne dobro.

Czy właśnie za kogoś takiego go uważała? Odezwał się powoli:

- Uważasz, że jestem człowiekiem honoru, Corrie?

- Oczywiście, że jesteś, wariacie. Jesteśmy małżeństwem, nieprawdaż?

- Sądzisz, że Devlin Monroe nie ożeniłby się z tobą, gdybyś pomogła mu uciec porywaczom?

Zamyśliła się.

- Wiesz, nie jestem pewna. Devlin chyba uważa, że jestem zabawna. Jednak nie wydaje mi się, żeby chciał patrzeć na mnie co rano przy śniadaniu.

- Uważasz, że jestem dobry?

- Oczywiście, jesteś bardzo dobry.

- Nie podoba mi się to. Wygląda, jakbym był jakimś głupkiem o miękkich kolanach. Jak sir Galahad, który nie był w stanie utrzymać swojego miecza i wiecznie coś knocił. Roześmiała się.

- Widziałam twoje kolana, James. Nie są miękkie, tylko ładne, zresztą jak cały ty. Co do miecza, to pamiętam, jak z Jasonem walczyliście na miecze w lesie, żeby wasz ojciec was nie widział, i zepchnąłś Jasona na trzęsawisko. Sir Galahad był wspaniałym rycerzem, po prostu nie podoba ci się jego imię.

- Głupiek o miękkich kolanach. Ale Jason kiedyś zepchnął mnie z urwiska nad doliną Poe.

- Założę się, że chociaż upadłeś, to ani na chwilę nie wypuściłeś miecza z dłoni. Zaśmiał się.

- To prawda, i prawie rozplatałem sobie brzuch.

- Cóż, mogę powiedzieć, że kobiety lubią mężczyzn, którzy wiedzą, jak trzymać swój miecz.

Spojrzał na nią. Na pewno nie zdawała sobie sprawy z tego, co powiedziała, pomimo że wychowała się na wsi.

- Ja pożegnałem się ze swoim kawalerskim życiem. Nie płaczę z tego powodu, bo zamierzam korzystać z uroków życia z tobą.

- Poprosiłam ciotkę Maybellę, żeby powiedziała mi, co dokładnie dzieje się w noc poślubną, poza całowaniem kolan. Chciałam poznać wszystkie szczegóły. Wiesz, co mi powiedziała?

- Nie, co powiedziała ciotka Maybella?

- Pisnęła „Kolana? Chce całować twoje kolana?”. A potem zaczęła mówić mi, że właśnie to mówią panowie dziewczynom, żeby ich nie wystraszyć. Zaczęłam się dopytywać, co dokładnie będziesz robił. Powiedziała, że zaczniesz drzeć. Nie wierzyłam jej, ale chyba się myliłam. Ty drżysz, James. Powiedziała, że to będzie oznaczało, iż jesteś ogarnięty pożądaniem. Powiedziała, że jesteś dżentelmenem i chociaż jesteś miody, to lubisz mnie i nie zaatakujesz mnie w powozie. Potem się uśmiechnęła i dodała, że ma nadzieję, że się myli. Był oszołomiony.

- Wyjaśniła ci, dlaczego się uśmiechała?

- Uśmiechała się z powodu pożądania i myślała o pożądaniu z wujem Simonem. Możesz to sobie wyobrazić? Nie mogę myśleć, że wuj Simon całuje kolana ciotki Maybelli, James. Rodzice nie robią takich rzeczy.

- Może tak, a może nie. Moi rodzice, cóż, nieważne. No, Corrie, a co jeszcze powiedziała?

- Nic. Słyszysz, James? Nie chciała mi niczego powiedzieć. Przewróciła oczami i oznajmiła, żebym godziła się na wszystko, co będziesz chciał zrobić - chyba że uznam to za zbyt odrażające - a wtedy wszystko będzie dobrze. Miałam ochotę ją walnąć, James, ale wiesz, co zrobiła? Zaczęła nucić coś pod nosem.

- Nie wspomniała, że ja zgodzę się na wszystko, co ty zechcesz zrobić, oczywiście o ile nie uznam tego za zbyt odrażające i szkodliwe dla mojej skromności?

- Ty nie jesteś skromny.

- Powiedziała coś jeszcze?

- Nie. Zanim wyszła z sypialni, poklepała mnie po dłoni.

- Ja także rozmawiałem z moim ojcem. To zbiło ją z tropu, jak miał nadzieję, i próbował się nie roześmiać, kiedy usłyszał:

- Co? Chcesz powiedzieć, że również nie wiesz, co się wydarzy, James?

- Mam jakieś pojęcie, Corrie. Ojciec narysował mi kilka rysunków, kazał im się przyjrzeć, bo nie chciał, żebym coś schrzańił. Przesunęła językiem po dolnej wardze, a on miał ochotę rzucić ją na podłogę powozu, a potem...

- Eee, masz może te rysunki ze sobą? Wpatrywał się w nią, nie wierząc, że to powiedziała, a potem odchylił głowę i roześmiał się w głos.

Stukała palcami, pochylając się ku niemu niecierpliwie.

- No masz je? Spojrzał jej w oczy, które, co dziwne, wydały mu się piękniejsze niż godzinę wcześniej.

- Nie, zapamiętałem je, a potem spaliłem, jak prosił mnie ojciec. Nie chciał, żeby zobaczył je Jason. Wiesz, chciał uchronić jego niewinność, do czasu aż będzie gotowy się ożenić.

- Hmm. - Dalej stukała palcami. - Może mógłbyś je odtworzyć. Masz jakiś papier? Ołówek? Powoli potrząsnął głową.

- Corrie, dlaczego tym się martwisz? Przecież wiesz, co się wydarzy, i ja także. A teraz mnie pocałuj, zanim całkiem zawładnie mną dreszcz pożądania. Pocałowała go.

- Ach, dzięki Bogu, dojeżdżamy już do Thirley.

ROZDZIAŁ 30

James rozparł się w fotelu, podpierając dłonią podbródek i usiłując się nie śmiać, widząc, jak jego świeżo poślubiona małżonka próbuje udawać kurtyzanę. Nie wiedział, które z nich bawiło się lepiej, on czy Corrie. Uświadomił sobie, że zaplanowała to i ciekawił się, jak daleko się posunie. Do końca? Miał taką nadzieję.

Marzył, żeby rozebrać ją zaraz po przyjeździe do Gossamer Duck, ale tak się nie stało. Właściciel zajazdu, pan Tuttle, przywitał ich bardzo wylewnie i nalegał, aby jego żona poczęstowała ich pyszną herbatą i babeczkami.

Kiedy wreszcie znaleźli się w dużej, narożnej sypialni, powiedziała mu, żeby usiadł i się nie ruszał.

Kiedy zrzuciła z siebie pelisę, uświadomił sobie, że nawet wtedy gdy zaczęła z niego kpić jakieś trzy lata temu, naśmiewając się z niego ilekroć się pojawił, dobrze się bawił. Nigdy go nie zanudzała. Przypomniawszy sobie, jak spuścił jej lanie, jak poczuł jej miękką skórę i jak ogarnęło go gwałtowne pożądanie, wywołując w nim wyrzuty sumienia, bo przecież była to Corrie, tylko Corrie, smarkula.

Ściągnęła rękawiczki i rzuciła je tam, gdzie pelisę.

James zmusił się, żeby zostać na miejscu, z brodą opartą na dłoni, nogami wyciągniętymi i skrzyżowanymi w kostkach.

- Kobiety noszą zbyt wiele ubrań, Corrie. Powinnaś rozpocząć swoje uwodzenie, kiedy miałabyś na sobie tylko halkę. Może pomogę ci się rozebrać? - Modlił się, żeby się zgodziła. Był w nie najlepszej formie, nie wiedział, ile jeszcze wytrzyma. Musiał się wziąć w garść. Wstał powoli, nie będąc w stanie dłużej wysiedzieć, i przeciągnął się. A Corrie natychmiast czmychnęła w stronę zaciemnionego okna, stała tam, z dłońmi na piersiach i przerażonym wyrazem twarzy. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby tak wyglądał. Wyglądał, jakby chciał użyć przemocy; wyglądał na zdeterminowanego; wyglądał, jakby cierpiał.

Musiał przyznać, że się starała i dlatego kazała mu usiąść i się nie ruszać, mając zamiar kusić go do granic wytrzymałości.

Cóż, już teraz znalazł się na granicy wytrzymałości, a ona dopiero zdjęła pelisę i rękawiczki.

Musiał wziąć się w garść. Ojciec powiedział mu, że najlepiej było zacząć, kiedy zamierza się iść na całość, co oznaczało, że nie należało krytykować żony w noc poślubną. Wtedy ojciec skrzywił się, potrząsnął głową, a kiedy James zapytał go, co się stało, powiedział tylko: „Życie jest pełne niespodzianek. Bywa, że zdarzają się najmniej oczekiwane rzeczy. Ciesz się nimi, James”.

- Dlaczego trzymasz dłonie na piersiach, skoro nadal jesteś ubrana? Znowu oblizwała dolną wargę i James utkwiał tam wzrok. Oddychał ciężko; jego członek był twardy jak kamień; modlił się, żeby nie zauważyła, jak bardzo jej pragnął, bo nie chciał jej wystraszyć. Ta jej cholerna dolna warga...

- Przestań tak na mnie patrzeć, James. Jak? Jakby chciał polizać każdy centymetr jej ciała? Był zdruzgotany, że jego uczucia są tak oczywiste, ale nie umiał się pohamować.

- Dobrze.

- Zakrywam się, ponieważ nie leżysz na podłodze bezradny, nieprzytomny, jęcząc w gorączce. Teraz jesteś silny, James, i chcesz robić ze mną rzeczy, które widziałam tylko u zwierząt. Dziwnie się czuję.

- Jak dziwnie?

- Cóż, może mogłabym podejść do ciebie i pocałować cię. Co o tym sądzisz?

- Zrób to. Wahala się tylko przez chwilę, po czym zrobiła trzy kroki. Stała na palcach, zacisnęła usta i zamknęła oczy. Pocałowała go w podbródek.

- Spróbuj jeszcze raz.

Otworzyła oczy, patrząc na jego ukochaną twarz, tak piękną, że mogłaby płakać i śmiać się w tym samym czasie.

- Helena Trojańska blednie przy tobie.

- Do licha, mam nadzieję, że nie.

- Wiesz, co chcę powiedzieć. - Tym razem pocałowała go w usta, ale jej wargi były wciąż zaciśnięte.

- Rozchyl trochę wargi. Poczula na skórze jego oddech. Bez wahania rozchyliła usta i syciła się jego cudownym smakiem.

- O, tak dobrze - wyszeptał, a Corrie rozmyślała, jak pocałunek w tył kolana może być lepszy od tego. Czując jego ciepło, miała ochotę przytulić się do niego i pociągnąć ich oboje na podłogę. Albo na łóżko. Ruszyła w jego stronę, aż zaczął się cofać. Wreszcie popchnęła go, a on wylądował pośrodku miękkiego materaca. Upadła na niego ze śmiechem, mając ochotę śpiewać i płakać w tym samym czasie, tak bardzo była szczęśliwa, mogąc całować go po całej twarzy. Odwzajemniał jej pocałunki; przesunął ręce wzdłuż jej pleców i zatrzymał je na jej pośladkach. To nie były klapsy. To było coś całkowicie innego. Corrie cofnęła się i spojrzała na niego.

- O matko, James, twoje ręce...

- Ubrania - odezwał się James. - Za dużo ubrań. - Uniósł się, stawiając ją przed sobą. - Jestem na skraju wytrzymałości, Corrie. Teraz cię rozbiore do naga - i wcale nie był przy tym kulturalny. Zrywał, szarpał i rozdzierał, a jego oddech stawał się coraz bardziej urywany i szybki. Cóż, nie była to śliczna koronkowa suknia ślubna, pomyślała Corrie i uśmiechnęła się. Jeśli on mógł to zrobić, to ona również. Zaczęła zrywać z niego odzienie i całować jego nagi tors. Wkrótce oboje byli nadszy, ona nadal przed nim stała, a James siedział na łóżku, obejmując ją w pasie, a jego usta znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od jej piersi. Wpatrywał się, przełknął ślinę, myśląc, że wybuchnie.

- Twoje piersi - wiedziałem, że będą ładne, ale tego się nie spodziewałem. - Brzmiał, jakby się krztusił. Nie poruszyła się, nie była w stanie. Corrie stała tak, z rękoma na jego ramionach, gdy on uniósł dłonie i ujął jej piersi. Zamknął oczy, wziął głęboki oddech, napawając się jej zapachem.

Wcale nie wyglądał jak wtedy, kiedy był chory. Był duży i robił się coraz większy. Tylko dlatego, że dotykał jej piersi? Lubiała czuć na sobie jego dłonie.

- James, nie jesteś taki jak wtedy. Miał ochotę natychmiast rzucić ją na plecy. Jej piersi - chciał pieścić je ustami, chciał...

- Co? A jaki wtedy byłem?

- O matko, nie taki. To chyba nie jest normalne. W przeblýsku świadomości zdał sobie sprawę, gdzie patrzyła. Czego oczekiwała? O, do diabła, niczego nie oczekiwała.

- Widziałas mnie nagiego, Corrie, kiedy byłem chory. Przełknęła ślinę.

- Ale nie takiego, James. Nigdy. To nie wygląda, jak u zwierząt.

- Nie jestem koniem, Corrie. Jestem człowiekiem i musisz wiedzieć, że będziemy do siebie pasować. O Boże, chciał szlochać, może nawet wyc, ale na pewno nie chciał mówić już ani jednego słowa więcej. Pragnął wejść w nią głęboko.

- O matko, James, co ci jest? Tego było dosyć; tego było za wiele.

- To pożądanie, prawda? - szepnęła z oczami błyszczącymi niezdrowym podnieceniem.

- Tak. - Chwycił ją w pasie, uniósł i rzucił na plecy. Położył się na niej, rozchyłając jej nogi. Jej dotyk, zapach, urywany i głośny oddech sprawiły, że znalazł się na krawędzi szaleństwa.

Coś z tyłu głowy mówiło mu, że był głupcem; ojciec wyrzekłby się go, gdyby się dowiedział.

Ale nie miało to żadnego znaczenia. Istniało tylko tu i teraz, i oni, a on pragnął jej bardziej niż cegokolwiek w życiu. Uniósł jej nogi, spojrzał na jej gładką skórę, dotknął jej delikatnie i to wystarczyło. Drżał tak bardzo, że wiedział, iż za chwilę eksploduje, ale wiedział też, że musi się powstrzymać, bo inaczej będzie musiał rzucić się ze skały.

Rozchylił ją palcami i, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, wszedł w nią. Była ciasna; zupełnie na niego niegotowa, ale nie miało to znaczenia. Nie byłby w stanie się powstrzymać, nawet gdyby ktoś oblał go wiadrem zimnej wody. Wszedł w nią mocno i poczuł opór. Zamknął oczy, uświadamiając sobie, że był pierwszy i będzie ostatni. Spojrzał na jej bladą twarz, oczy pełne łez i powiedział: - Corrie, jesteś moja. Nigdy o tym nie zapomnij, nigdy - o do diabła, wybac mi - i naparł na jej błonę dziewiczą. Wchodził w nią głęboko i wkrótce eksplodował. Wycofał się, krzyknął, a potem zeszywniał i opadł na nią ciężko. Udało mu się pocałować ją w ucho.

Był wykończony, ale nie miało to znaczenia. Czuł się cudownie. Czuł się spełniony. Jego ciała już nie spalało pożądanie; jego świat był idealny, a on był bardzo śpiący. Pocałował ją w policzek, poczuł słony smak łez, i przez ułamek sekundy zastanawiał się nad tym, zanim pogrążył się we śnie, przygniatając ją swoim ciężarem.

Corrie nie ruszała się. Nadal był w niej, i cieszyła się, że może wyciszyć emocje i pozwolić, aby ból opuścił jej ciało. Czowała na swojej skórze jego pot i równomierne bicie jego serca. Dotykał jej piersi, dotykał ją między nogami - patrzył na nią - i wszedł w nią, jakby zamierzał wyważyć drzwi.

Zachrapał cicho. Zasnął? Jak mógł zasnąć? Ona nie chciała spać. Chciała pochodzić po sypialni, może trochę kulejąc, bo czuła w środku ból. Wspaniale było czuć go na sobie - dużego, przystojnego, idealnego. Wspaniale, że należał do niej.

Nadal był w niej, ale już nie tak nabrzmiały. Była naga i on był nagi, pochrapywał cicho w jej lewe ucho, i jak to wyglądało?

W pokoju robiło się coraz chłodniej. Spróbowała się poruszyć, ale nie mogła. Może powinna go obudzić i poprosić, żeby z niej zszedł i może przykrył się, zanim znowu zaśnie?

Nie. Udało jej się naciągnąć na nich oboje narzutę. Tak było lepiej. Było już prawie ciemno i słabe światło przebijało się przez zasłony.

Położyła mu ręce na plecach. Jej mąż, ten mężczyzna, który kiedyś podrzucał ją do góry, gdy była małą dziewczynką, aż wreszcie zwymiotowała na niego. Nie pamiętała tego, ale ciotka Maybella do dziś śmiała się z tego. „James” mawiała ciotka Maybella „nie wziął cię na ręce przez następny rok”.

Bardzo dobrze pamiętała, jak wytłumaczył jej, co się z nią dzieje, gdy miała trzynaście lat i dostała pierwszej miesiączki. Miał wtedy ledwie dwadzieścia lat, ale wyjaśnił jej wszystko dokładnie. Teraz zdała sobie sprawę, że wtedy musiał być zażenowany i pewnie chciał uciec, ale nie zrobił tego. Wziął ją za rękę, był delikatny i rzeczowy, i powiedział jej, że ból brzucha niebawem

ustąpi. I tak się stało. Ufała Jamesowi bardziej niż komukolwiek. Oczywiście razem z Jasonem nie było ich przez dłuższy czas, kiedy wyjechali na studia do Oksfordu, a później do Londynu. Był taki dorosły, kiedy wrócił do domu, i właśnie wtedy nauczyła się z niego kpić.

Corrie westchnęła głęboko, objęła go mocniej, poczuła, że wysunął się z niej, a potem zasnęła, ukołysana jego równomiernym oddechem.

* * * James chciał się zastrzelić. Nie mógł uwierzyć w to, co zrobił.

A teraz Corrie zniknęła. Opuściła go, pewnie wróciła do Londynu, żeby powiedzieć jego rodzicom, że ich syn najpierw ją uwiódł, a potem zasnął na niej, nie obdarzając jej nawet jednym czułym słowem.

Wstał, trzęsąc się z zimna, bo nikt nie napalił w kominku, i dostrzegł w rogu pokoju jej bagaże. Poczł nieopisaną ulgę. Nie odeszła.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Milordzie?

- Tak? - Rozejrzał się za własnym kufrem.

- To ja, Elsie, przyniosłam panu gorącą wodę do kąpieli. Jej wysokość powiedziała, że będzie pan chciał się wykąpać. Pięć minut później James siedział w dużej miedzianej balii, zastanawiając się, co powiedzieć swojej świeżo poślubionej żonie. Żonie od jakichś sześciu godzin. Przysłała mu gorącą wodę. Co to oznaczało?

Najważniejsze, że od niego nie odeszła.

Gorąca woda rozleniwiała go i prawie zapadł w sen.

- Nie wiedziałam, że przez to małżeństwo będziesz musiał spać przez tydzień, żeby dojść do siebie. Jak mężczyznom udaje się cokolwiek osiągnąć, jeśli... - zawiesiła głos. Nie otworzył oczu.

- Dziękuję, że przysłałaś mi gorącą wodę.

- Proszę. Wyglądasz uroczo w tej balii, James. Zerknął na nią. Miała na sobie śliczną suknię z zielonej wełny, włosy upięła w kok na czubku głowy, ale jej twarz była bardzo blada.

- Przykro mi, że cię zraniłem, Corrie. Przepraszam, że cię pospieszyłem. Jak się czujesz? Zarumieniła się. Uważała, że już z tego wyrosła, że nic nie jest w stanie jej zawstydzić, nie po tym, co z nią robił, ale teraz rumieniła się jak - kto? Nie wiedziała; czuła się jak idiotka, i chyba trochę jak nieudacznica.

- Całkiem dobrze, James.

- Umyjesz mi plecy, Corrie? Umyć plecy mężczyźnie?

- Dobrze. Gdzie jest gąbka?

- Tutaj masz myjkę. - Wyciągnął ją z wody. Przełknęła ślinę, wzięła od niego myjkę i z ulgą stanęła za jego plecami.

Miała ochotę umyć jego muskularne plecy własnymi rękami. Poczł go pod palcami, nauczyć się go.

Westchnął, pochylając się do przodu.

- Chcesz, żebym umyła ci włosy?

- Nie, dziękuję. Sam to zrobię. To było wspaniałe. Wyciągnął rękę i podała mu myjkę. Zaczł myć się sam.

- Mężczyźni nie mają wstydu.

- No cóż, skoro chcesz patrzeć, to nie mogę cię powstrzymać.

- Masz rację - powiedziała, westchnęła i poszła usiąść w fotelu na drugim końcu pokoju. Znowu

westchnęła, wstała i przesunęła fotel w stronę balii. James zanurzył się pod wodę, a potem umył włosy. Wiedział, że na niego patrzyła i było mu z tym dobrze. Musiała go lubić, na pewno mu wybaczy, jeśli odpowiednio ją o to poprosi.

- Już się tak nie zachowam, Corrie.

- Spłucz mydło z włosów. Znowu zanurzył się pod wodą, potem potrząsnął głową. Boże, był taki piękny.

- Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. Przykro mi z powodu twojego pierwszego razu. Nie spisałem się.

- To było raczej szybkie, James, raczej szorstkie, jeśli mam być szczerą. Nie całowałaś moich kolan. Uśmiechnął się do niej krzywo.

- Przysięgam, że następnym razem zajmę się twoimi kolanami. Nadal cię boli? Krwawiłaś?

Mówi bez skrępowania, pomyślała, i potrząsnęła głową, wpatrując się w swoje pantofle.

- Myślałem, że mnie zostawiłaś. Słyszac to, uniosła głowę.

- Zostawić cię? Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Wiele razem przeszliśmy, James. Uznałam to za jeszcze jedną przygodę, może niezbyt miłą, ale przygodę. James wstał. Co miał na to powiedzieć?

- Możesz podać mi ręcznik? Nie mogła się ruszyć, nie mogła oderwać od niego wzroku, gdy tak stał nagi i mokry, a ona miała ochotę zlizać z niego każdą kroplę. Głośno przełknęła ślinę, próbując się opanować, i rzuciła mu ręcznik. Patrzyła, jak się wyciera. Jak można czerpać przyjemność z tak przyziemnej rzeczy? Owinął się ręcznikiem w pasie.

- Kiedy będziesz brała później kąpiel, pozwól mi umyć ci plecy. Na samą myśl o tym Corrie niemal upadła.

- Dobrze - odparła, a potem zakryła dłonią usta.

- Ubiorę się i zjemy kolację.

* * *

Przy kolacji, widząc jak Corrie wpatruje się w swój talerz z zupą, James powiedział:

- Proszę, nie denerwuj się, Corrie. Wszystko zrobimy jak należy, zaufaj mi.

- Och, nie, nie o to chodzi, James. Myślałam o swoim nowym teściu. Martwię się o niego.

- Wiem - powiedział i ugryzł kawałek zimnej baraniny. - Jason zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby ojciec był bezpieczny. Poza tym mnóstwo ludzi usiłuje wytropić dzieci Cadoudala. Jak dotychczas dowiedzieliśmy się, że już od dłuższego czasu nie przebywają we Francji.

- Była jeszcze ich ciotka, siostra ich matki. Ciekawe, co się z nią stało. - Corrie mieszała widelcem w musie jabłkowym.

- Nadal nie jestem przekonany, że to jest syn Georges Cadoudala, skoro Georges i mój ojciec rozstali się w zgodzie.

- Mówiłeś, że twój ojciec uratował Janinę Cadoudal. Z pewnością więc nie mogła go nienawidzić ani przekazać nienawiści swoim dzieciom.

- Tak, i najwyraźniej zaoferowała mu siebie. Ale ojciec wracał do swojej świeżo poślubionej małżonki, mojej matki, więc odmówił. Kiedy Janinę odkryła, że jest w ciąży, powiedziała Cadoudalowi, że mój ojciec ją zgwałcił i dziecko było jego.

- O Boże, domyślam się, że ta historia rozwścieczyła Cadoudala.

- Tak. Cadoudal w rewanzu porwał moją matkę, zabrał ją do Francji, a kiedy ojciec i wuj Tony ją odnaleźli, właśnie straciła dziecko. Janinę w końcu wyznała Georgesowi prawdę, rodzice wrócili do Anglii.

- Więc miała dziecko.

- Ojciec mówił, że doszły go słuchy, że dziecko zmarło.

- Zawsze lubiłam zagadki - powiedziała Corrie, odkładając widelec na talerz - ale nie lubię takich, przez które cierpi moja nowa rodzina. Rozwiążemy tę zagadkę, James. Musimy znaleźć jego syna.

- Tak.

- James, znowu na mnie patrzysz.

- No cóż, towarzyszysz mi przy kolacji.

- Nie, wyglądasz na niebezpiecznego i zdeterminowanego. Wyglądałeś tak samo, zanim zdarłeś ze mnie ubranie. - Zniżyła głos, pochyliła się nad talerzem. - To pożądanie, prawda? James powoli wstał, rzucił na stół serwetkę.

- Jak się czujesz?

- Najedzona i...

- Corrie, czy nadal czujesz pieczenie między nogami?

Wzięła jabłko, wytarła je o rękaw, ugryzła niewielki kawałek i uśmiechnęła się do niego.

- Sądzę - powiedziała - że czas na moją kąpiel. Powiedziałeś, że umyjesz mi plecy.

Z drzeniem wyszedł z małego saloniku.

ROZDZIAŁ 31

Jason spojrział w ciemne oczy Judith McCrae, poczuł, że przepełnia go dziwna mieszanina zadowolenia i podniecenia, tak silna, że zastanawiał się, ilu mężczyzn byłoby w stanie ją wytrzymać.

- Masz ciemniejsze oczy ode mnie, przynajmniej w tej chwili.

- Może - wyszeptała.

- Mój brat dopiero co się ożenił. - Tak.

- Pamiętam, jak podniosłem wzrok - czy to było na balu u Ranleaghów? - i stałaś tam, wpatrując się we mnie znad wachlarza, a moje serce zamarło. Cofnęła się, ale jej ręce nadal spoczywały na jego ramionach.

- Naprawdę? Nadal tak się czujesz? Uśmiechnął się do niej.

- Tak.

- Mam prawie dwadzieścia lat. Wiedziałaś o tym, Jasonie?

- Nie wyglądasz na tyle. Zachichotała.

- Czy to znaczy, że jesteś już starą panną?

- Twój dowcip... cóż, nieważne, nigdy nie myślałam o tym w ten sposób, że mogę zostać odrzucona przez jakiegoś dżentelmena ze względu na swój wiek. Nigdy nie sądziłam, że przeniosę się do Londynu. Nie przyszło mi do głowy, że przyjadę tu, by szukać męża. Ale wtedy w moim życiu pojawiła się ciotka Arbuckle, przywiozła mnie tutaj i wszystkim przedstawiła.

- Dlaczego nie pomyślałaś, że ciotka wprowadzi cię do towarzystwa?

- Wszyscy w mojej rodzinie byli pokłóceni, tak chyba mogę to nazwać. Ale na szczęście to już przeszłość. Muszę ci coś wyznać, Jasonie. Przyznaję, że byłam raczej znudzona, dopóki nie zobaczyłam ciebie - tak, to było na balu u Ranleaghów. Nie jestem dziedziczką jak Corrie.

- Dlaczego miałyby to mieć dla mnie jakieś znaczenie?

- Cóż, jesteś drugim synem, Jasonie, chociaż urodziłeś się tylko kilka minut po Jamesie.

- Jestem bogaty - przerwał jej. - Spadek po dziadku pozwoli mi żyć na odpowiednim poziomie. Jestem w stanie utrzymać żonę. Zastanawiam się nad założeniem hodowli koni, Judith. To by mi się podobało; w przeciwieństwie do zarządzania posiadłością, co z kolei podoba się Jamesowi. Kiedy bogowie rzucali kośćmi, wszystko rozłożyło się jak trzeba.

- Chcesz powiedzieć, że nie przeszkadza ci bycie drugim? Że nie zostaniesz hrabią Northcliffe?

- Do licha, oczywiście, że nie. Powiedziałaś, że nigdy nie sądziłaś, iż przyjedziesz do Londynu szukać męża. Cóż, ja nigdy nie chciałem zostać hrabią Northcliffe. Mój brat będzie wspaniałym hrabią, kiedy nadejdzie czas. A ja, cóż, ja będę sobą i to wcale nie jest takie złe. Spodziewałaś się, że będę nosił w sercu urazę?

- Może uraza wydaje się całkiem naturalna, kiedy nie dostaje się tego, co brat. Uśmiechnął się.

- Z całego serca nie cierpię problemów, z którymi będzie musiał borykać się mój brat. Mamy kilku dzierżawców, którzy są w stanie wyprowadzić z równowagi nawet wikarego. Nie, mogę być, kim chcę i robić co chcę. Jestem szczęściarzem. Zamilkł na chwilę, spojrział na swoje buty i dodał:

- Wiele o tym myślałem i sądzę, że powinienem pojechać do Irlandii, odwiedzić Coombes, zobaczyć, jak radzi sobie twój kuzyn. Czy to przyjacielski gość?

- O, jestem przekonana, że bardzo ucieszy się z twojej wizyty.

- To dobrze. Ach, jest jeszcze stadnina Rothermere w Yorkshire. Mieszkają tam Hawksbury'owie. Ich najstarszy syn jest w moim wieku. Może miałabyś ochotę zobaczyć tę stadninę?

- Może - odparła i zacisnęła palce na jego ramieniu. - Może nawet bardziej wolałabym pojechać do Rothermere niż do stadniny mojego kuzyna w Irlandii. Rothermere jest dla mnie nowe i dlatego bardziej interesujące. Jesteś bardzo silny, Jasonie. Zauważyłam to w tobie.

- Moja matka powtarza nam, że jak tylko James i ja zaczęliśmy stawać, od razu chcieliśmy podnosić się nawzajem. Kiedy miałem trzy lata, udało mi się na kilka sekund podnieść Jamesa ponad moją głowę. Moja matka biła brawo, co nie spodobało się Jamesowi. Nie pamiętam tego, ale matka mówi, że z wściekłości zrzucił mi na nogę drewniany klocek. Miałem szczęśliwe dzieciństwo. A ty, Judith? Czyżby dostrzegł w jej oczach cień bólu? Nie był pewny. Chciał ją o to zapytać, ale podświadomie wyczuł, że zamknęłaby się w sobie, gdyby zaczął na nią naciskać. Stanowiła ekscytującą mieszankę nieśmiałości i złośliwości, powściągliwości i pewności siebie, co doprowadzało go do szaleństwa. Uświadomił sobie także, że chciałby ją przytulić, powiedzieć jej, że będzie się o nią troszczył aż do śmierci, ale się nie odezwał. Nie był jeszcze pewny, co jej chodziło po głowie. Nie należał do cierpliwych, ale czuł, że przy niej cierpliwość nie była cnotą, lecz koniecznością. Zastanawiało go to, ale się z tym pogodził i był gotowy zaakceptować ją z jej nieśmiałością, złośliwością i całą resztą.

- Moje dzieciństwo było wspańiałe, Jasonie. Oczywiście były gorsze chwile, jak to w życiu. Szczęście przychodzi i odchodzi, tak samo nieszczęście.

- A teraz jesteś szczęśliwa, Judith? - spytał, lekko dotykając jej podbródka. - Teraz, kiedy poznałaś mnie? - Zadrżała, zaczęła poprawiać jego fular i zamilkła. Czyżby zabolalo go jej odrzucenie? Po prostu nigdy wcześniej nie doświadczył takiego uczucia. Czyżby mylił się co do niej? Nie, to było niemożliwe. Sprawiała wrażenie zafascynowanej jego fularem. Nie odezwał się słowem, czekał. Wreszcie uniosła głowę.

- Czy jestem szczęśliwsza teraz, kiedy cię poznałam? To dziwne, wiesz. Kiedy spotykasz kogoś, kto jest dla ciebie ważny, zapominasz, że kiedyś istniało jakieś inne życie. Żyjesz od jednego wybuchu euforii do drugiego. Oczywiście w międzyczasie doświadczasz niepewności i rozpacz, bo nie wiesz, co ta osoba myśli i czuje. Mówiła ze swadą, pomyślał, i miała rację. Przy niej - i musiał przyznać, że była dla niego ważna - doznawał swojej dawki rozpacz. I niepewności, wielkiej niepewności.

- Może w przyszłości wybuch euforii przyćmi inne uczucia. W nie tak odległej przyszłości, jeśli zechcesz, bo ja umieram z niecierpliwości.

- Może. - W jej oczach dostrzegł błysk złośliwości, dziki i gorący, i zapragnął mieć ją nagą pod sobą. - Czyja sprawiam, że jesteś szczęśliwy, Jasonie? Nie odezwał się słowem, spojrział na jej usta, małe uszy ozdobione kolczykami z pereł. Stuknęła go w ramię. Roześmiał się.

- Więc umierasz z niecierpliwości? Cieszę się, że wreszcie wiesz, jak ja się czuję. Tak, Judith, uczyniłaś mnie szczęśliwym człowiekiem.

- Powiesz mi, co sądzą o mnie twoi rodzice? Zależało jej na nim, nie miał co do tego wątpliwości. Miał ochotę natychmiast jej się oświadczyć, ale coś go powstrzymało. Nie była na to gotowa, wyczuwał to podświadomie. Wszystko działało się za szybko, on czuł się oszołomiony, a jak

musiała czuć się ona? Była młoda i naiwna, pomimo swoich prawie dwudziestu lat. Ponieważ nie był głupi, powiedział:

- Moi rodzice bardzo cię lubią, tak samo jak ja. Chyba w to nie wątpisz?

- Nie spotkałam wielu ludzi, którzy witaliby obcych z otwartymi ramionami.

- Szkoda. Może chciałabyś spędzić z nimi trochę czasu, zanim zaczniemy zajmować się twoim szczęściem?

- Nie wiem - odparła. - Może.

- Zdażyli już cię poznać, Judith. Uważają, że jesteś bystra; a ojciec powiedział nawet, że jesteś czarująca. Zdziwiło mnie to, ale powiedział, że tak właśnie uważa. Powiedział, że go oczarowałaś, a potem dodał, że jesteś bardzo błyskotliwa. Widział, że jego słowa sprawiły jej przyjemność, ale nadal w siebie wątpiła.

- Ale oni tak naprawdę mnie nie znają, nie tak jak Corrie. Ona jest dla nich jak córka.

- To oczywiście prawda, skoro bywa w Northcliffe, odkąd skończyła trzy lata. Przez ten czas stałą się dla mnie jak siostra; trudno mi wyobrazić sobie coś bardziej okropnego. Moi rodzice wracają do Northcliffe w piątek. Ojciec jest zadowolony z poszukiwań i nie jest już tutaj potrzebny. Oczywiście jadę z nimi, razem z Remiem i jeszcze trzema łowcami, którym lord Gray nakazał chronienie mojego ojca. Może ty i lady Arbuckle miałybyście ochotę pojechać z nami? Sądzisz, że twoja ciotka zgodziłaby się?

- Muszę z nią porozmawiać. - Spojrzała na niego zza rzes i dodała: - Sądzę jednak, że chce, abym poślubiła hrabiego. Zaśmiał się, nie mogąc się pohamować.

- Oczarowałaś mnie tak samo, jak mojego ojca. Jesteś niemożliwie złośliwa, Judith. A może twoja ciotka wolałaby potomka księcia? Jak Devlin Monroe, wampir Corrie?

- A więc teraz jestem stara i złośliwa.

- Tak, i bardzo się z tego cieszę.

- Ciekawe, czy polubiłabym Devlina? Możliwe, ale poznał Corrie i już nikt się dla niego nie liczył.

- Mój brat dostaje ataku zazdrości na samo wspomnienie jego nazwiska, chociaż nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że to zazdrość, a nie odraza. Jason pochylił się i pocałował ją, nie mogąc nad sobą zapanować. Była damą, do diabła, ale nie chciał cmokać jej w policzek. Nie, pragnął namiętnego pocałunku, żeby móc wsunąć język między jej wargi, i tak właśnie zrobił. Była onieśmielona, miała zaciśnięte zęby; drgnęła zaskoczona.

Czyżby był pierwszym mężczyzną, który ją pocałował? Najwyraźniej. Nie wiedziała, co ma robić. Do licha, jeszcze nie czuła w ustach męskiego języka. Myśl, że on będzie tym, który ją wszystkiego nauczy, sprawiała, że miał ochotę śpiewać do gipsowych cherubinów ozdabiających rogi sufitu w salonie Arbuckle'ów. Kiedy się zmusił, żeby się cofnąć, powiedział:

- Napiszę do twojego kuzyna w Coombes. Może będzie chciał mnie przyjąć wcześniej niż później, skoro ty i ja możemy stać się sobie bliscy.

- Jeśli chodzi o stawanie się sobie bliskimi... Jason, ja dopiero przyjechałam do miasta. Znowu ją pocałował, tym razem delikatnie w czubek nosa i wyszedł, pogwizdując. Stałą pośrodku salonu lady Arbuckle, wsłuchując się w odgłos jego butów na marmurowej podłodze, ściszone głosy, a potem otwieranie i zamykanie frontowych drzwi. Potem w popołudniowej ciszy słychać było jedynie szemranie deszczu za oknem. Czy w Anglii zawsze pada? Prawdę powiedziawszy, w Irlandii padało częściej. Była sama. W tej chwili miała wrażenie, że była sama przez większą część swojego życia.

Zastanawiała się, co się stanie. Omal nie poprosił ojej rękę, nieprawdaż? Objęła się ramionami. Wiedziała o tym, czuła to podświadomie, i rozmyślała nad tym. Prawie się jej oświadczył.

* * *

Jason poprosił ją o szczegółowe wskazówki, jak dotrzeć do Coombes, na wieczorze muzycznym w dużym domu lorda Baldwina na Berkeley Square. Judith dała mu wskazówki i powiedziała cichym głosem:

- Zastanawiam się, czy nie pojechać do Włoch, kiedy ty będziesz w Irlandii u mojego kuzyna, przyglądając się jego metodom hodowli, oglądając konie i biorąc udział w wyścigach.

Jason poczuł nagły przypływ pożądania, które prawie zważyło go z nóg. Odparł od niechcenia:

- Jesienią Wenecja jest piękna. Jeszcze nie jest zbyt zimno i nie ma porywistych wiatrów. Byliśmy z bratem w Wenecji jakieś trzy lata temu. A któreś nocy tak się upiliśmy, że omal nie wpadliśmy do kanału.

- Może wolałabym pojechać do Florencji. Jest tam tylu wspaniałych artystów. Żadnych pijanych dżentelmenów, którzy mogliby mi się naprzykrzać.

- Wszędzie są pijani dżentelmeni, którzy będą ci się naprzykrzać, nie daj się zwieść.

Zachichotała, potrząsając głową.

- Kiedy będziesz w Coombes, będziesz chodził na wyścigi z ludźmi, którzy będą próbowali cię oskubać.

- Ja sam mogę kilku oskubać. Natomiast nie jestem przekonany do Florencji. Ci wszyscy wspaniali artyści zmarli wieki temu. Niestety, obawiam się, że tysiące ich obrazów, te wszystkie Madonny z Dzieciątkiem, pozostaną z nami na zawsze.

Aż dostała czkawki, próbując się nie śmiać. Poklepał ją po policzku i zostawił, rzucając na odchodne, że musi spotkać się z przyjaciółmi.

- Chcesz powiedzieć, że mogą mieć jakieś informacje dotyczące twojego ojca? - zawołała za nim, już poważnym tonem.

Wzruszył jedynie ramionami i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Judith patrzyła, dopóki nie wyszedł z wielkiej sali balowej. Odwróciła się, słysząc głos lady Arbuckle:

- Nie oświadczył ci się, prawda?

- Nie, jeszcze nie. Nie uważasz, że jest piękny? Lady Arbuckle odparła rzeczowym tonem:

- Wszyscy uważają bliźniaki Sherbrooke za najprzystojniejszych mężczyzn w Anglii. Zapewne z wiekiem będą tylko zyskiwać na urodzie, jak ich ciotka Melissande. Skończyła już czterdzieści pięć lat, a nadal oszałamia urodą. Młodzi mężczyźni wciąż się za nią oglądają. Z bliźniakami będzie tak samo, bo są jak skóra zdjęta z ciotki, chociaż to dziwne. Ich rodzice nigdy nie byli zbyt szczęśliwi z powodu tej dziedzicznej pomyłki.

- I jeden z tych idealnych młodych dżentelmenów oświadczy mi się. To niesamowite, prawda? Lady Arbuckle już miała się odwrócić, ale zatrzymała się, spojrzała Judith w twarz i powiedziała:

- Słyszałam, że młodszy syn, ten, który podobno ma ci się oświadczyć, nie jest tak stały, jak jego brat, lord Hammersmith. Sama to widziałam. Jason Sherbrooke widzi młodą damę, która mu się podoba - tak jak ty, Judith - i cały jej się poświęca, przez chwilę - a później znika. Czy rzeczywiście się oświadczy? Nie wiem, ale wątpię w to. Proponuję, żebyś była ostrożna, Judith. To rozrukany młody człowiek, może bardziej honorowy niż większość, ale podobno ma kochankę na Mount Street.

- Nie wiedziałam o tym - powiedziała wolno Judith. - Ciekawe, jak ona wygląda.

- Och, nie powinnaś się tym interesować. Nie powinnaś nawet się przyznawać, że wiesz, co to znaczy kochanka. - Lady Arbuckle zamilkła na moment, przyglądając się twarzy Judith. - Jednak wątpię, żeby była tak ładna albo czarująca jak ty.

- Mam nadzieję, że to prawda.

- Ciekawe - powiedziała powoli lady Arbuckle - co się wydarzy. Chciałabym niedługo wyjść, Judith. Ta sopranistka z Rzymu przyprawia mnie o ból głowy. Chcę napisać do męża, dowiedzieć się, czy wszystko w porządku.

- Jestem pewna, że tak. Możemy iść, ciociu. Jason powiedział, że spotyka się z przyjaciółmi. Ciekawe, czy zamiast tego wybierał się na Mount Street do kochanki?

- Obstawiałabym kochankę.

- Sądysz, że tak bardzo mnie pragnął, że musiał pójść do niej? Lady Arbuckle roześmiała się.

- Nie sądzę, żeby mężczyźni potrzebowali zachęty do odwiedzania swoich kochanek.

ROZDZIAŁ 32

James padł na plecy z otwartymi ustami, usiłując złapać oddech. Obok niego leżała jego świeżo poślubiona małżonka, która, jeśli się nie mylił, uśmiechała się jak głupia nawet ziewając.

Kiedy wreszcie odzyskał głos, chwycił ją za rękę i powiedział:

- Twoje kolana z tyłu niesamowicie mnie podniecają.

- Ha!

Uśmiechnął się do sufitu.

- Dobrze, chcesz, żebym był szczery. - Obrócił się na bok i spojrzał na nią. Miała potargane włosy, promienną twarz, omdlałe ciało, tak miękkie, że chciał znowu zacząć ją całować od stóp do głów. - Pominię wstęp. Całowanie twojego brzucha było wspaniałe, Corrie.

Zwilżyła językiem wargi. Zauważył, że jego bezpośredniość speszyła ją, i był tym oczarowany.

- A całowanie i pieszczenie cię ustami między tymi twoimi pięknymi, długimi nogami... Przytuliła się do niego i ugryzła go w ramię.

- Nie uda ci się mnie zawstydzić, Jamesie Sherbrooke'u, słyszysz? Nie będziesz więcej mówił o całowaniu mnie w brzuch czy dotykaniu mnie wszędzie i pieszczaniu do utraty zmysłów. Roześmiał się i przytulił ją mocniej.

- Dałem ci rozkosz. Znowu ugryzła go w ramię, a potem polizwała. Jego smak podniecał ją, sprawiał, że czuła się miękka i uległa, i może nie było to zbyt dobre, ale teraz, kiedy leżała obok niego naga, akceptowała ten stan. Wtulona w niego, wyszeptwała:

- Skąd wiesz, że dałeś mi rozkosz, Jamesie? Może nadal czekam na tę rozkosz, nadal zdenerwowana i pełna obaw, że seks to nic przyjemnego. Pieścił jej ucho, chwycił zębami pukiel jej włosów i bez słowa przesunął dłonie w dół jej pleców, do bioder. Czekwała, pragnąc, pragnąc, zbyt onieśmielona, aby poprosić - wtedy te cudowne palce dotknęły jej, wsunęły się do środka, a ona głośno wciągnęła powietrze, objęła go za szyję i pocałowała.

- Do licha - powiedział w jej usta - dobrze, że jestem młody. Omal mnie nie zabiłaś, a pięć minut później chcesz, żebym znowu dał ci rozkosz.

- Pięć minut? Tak długo? - Patrzył na jej twarz, pieszcząc ją palcami. Kiedy jej oczy nabrały dzikiego wyrazu, a ciałem wstrząsnął orgazm, zdusił jej krzyki swoimi wargami. Wszedł w nią mocno i głęboko. Ścisłała go tak, że prawie brakowało mu tchu, a kiedy wyszeptwała:

- James, zabiłabym dla ciebie - był zgubiony. W takich wspaniałych chwilach zastanawiał się, czy kiedykolwiek zwolni tempo.

Wątpił w to. Uczucia rodziły się w nim szybciej, niż był w stanie je ogarnąć.

Zasnął, czując na twarzy jej pocałunki. Gdyby wiedział, o czym myślała, na pewno nie w głowie byłoby mu spanie.

Dwór Northcliffe

Douglas Sherbrooke patrzył w zamyśleniu na cienkie plastry szynki na swoim talerzu, tak cienkie, że prześwitywał przez nie widelec.

- Ciekawe, co robi teraz nasz starszy syn. Aleksandra udała zakłopotanie, co go rozśmieszyło.

- W tej chwili? Kiedy on i Corrie powinni spożywać posiłek w zajęździe, skoro jest pora obiadu? On jest twoim synem, Douglasie; oboje dobrze wiemy, co tam się dzieje w tej chwili.

- Może śpi. Mężczyzna musi zregenerować siły. Chrząknęła.

- On ma dopiero dwadzieścia pięć lat. Wątpię, żeby musiał się regenerować. Cokolwiek teraz robi, na pewno nie ma to związku z jedzeniem. - Przewróciła oczami. - Jestem jego matką i to dla mnie trudne, ale chyba muszę się z tym pogodzić. Jej mąż uśmiechnął się do niej.

- Uważasz, że nasz Jason jest nadal prawiczkim? Poczł groszek na twarzy. Zaczł go zbierać i odkładać na talerz.

- Przyłapałam Jasona po jego pierwszej randce z dziewczyną. To przykuło uwagę jej męża.

- Zawsze im powtarzałem, że nie mogą pozwolić swojej matce, cłż, mieli wyraźne rozkazy...

- Wiem, co im powiedziałaś. Wiem wszystko, Douglasie, nigdy o tym nie zapominaj. Jason miał pecha. Właśnie wychodziłam z pomieszczenia z uzdami w stajni, a on omal mnie nie przewrócił. Uśmiechnął się nonszalancko, ale gdy dotarł do niego, że to ja, poczerwieniał i zaczął się jąkać. A ja powiedziałam: „Jason, co się z tobą dzieje?”, chociaź doskonale wiedziałam, co się działo na sterce siana. Nasz syn sapnął raz, drugi, a potem wykrztusił: „To była najcudowniejsza rzecz w moim życiu!”. Potem przeraził się, że wyznał coś takiego swojej matce, i uciekł. Douglasie, miał wtedy czternaście lat.

Douglas rozsądnie nie odezwał się ani słowem.

Aleksandra westchnęła, zjadła jeszcze dwa kawałki szynki i powiedziała:

- Dzięki Bogu, że James nie traktuje Corrie jak siostry. To byłoby nieszczęście.

- Panie! Douglas natychmiast zerwał się na równe nogi.

- O co chodzi, Ollie? Ollie Trunk, siwowłosy weteran w poszukiwaniu łotrów, sprawny łowca z Bow Street od dwudziestu dwóch lat, stał w drzwiach, pochylił z szacunkiem głowę przed hrabią, po czym powiedział:

- Właśnie otrzymałem wiadomość od lorda Graya, panie. Pisze, że jeden z jego ludzi złapał młodego człowieka, który próbował wynająć kilku zbirów, żeby za tobą pojechali, panie.

- Złapaliście młodego człowieka?

- No cłż, jeśli chodzi o ścisłość, to udało mu się uciec, był szybki i przebiegły, ale ludziom lorda Graya udało się ich złapać i zaciągnąć do lorda, żeby mógł ich przesłuchać. A on wyciągnął z nich, że to był młody gość, który oferował im mnóstwo pieniędzy za pomoc w zabiciu pana. - Ollie zamilkł, potem zmarszczył brwi. - Lord Gray mówi, że ma pan rację. Chodzi o zemstę, panie. I ten młodzian nie przestanie pana ścigać, dopóki my go nie powstrzymamy. Lord Gray przysłała jeszcze dwóch ludzi, żeby pomagali nam pana strzec. Northcliffe to ogromna posiadłość, nawet większa od Ravensworth, więc musimy znaleźć wszystkie kryjówki. Wstając powoli, Aleksandra powiedziała:

- Dziękuję, Ollie. Czy lord Gray napisał coś jeszcze?

Ollie Trunk zarumienił się.

- Szczerze mówiąc, pani, list jest skierowany do jaśnie pana. Ja tylko...

- Doceniam twoją troskę - powiedział Douglas i wyciągnął rękę. Ollie podał mu kartkę papieru. - Potrzebujesz jeszcze dwóch ludzi, Ollie?

- Tak, panie. Złapiemy tego człowieka, tego syna Georgesa Cadoudala. Tak, to zemsta. To może wzburzyć krew w młodym człowieku. - Ollie kiwnął głową, znowu się zarumienił, zerkając na Aleksandrę i wyszedł z jadalni.

- Ale dlaczego - odezwał się powoli Douglas - ten młodzieniec ma wzburzoną krew? W tej chwili do pokoju wszedł Hollis, chrząknął i powiedział:

- Kilka lat temu hrabia Ravensworth skorzystał z usług pana Olliego Trunka. Wszystko dobrze się skończyło.

- Ciekawe, jakie kłopoty miał Burkę - powiedziała Alex. - Więc chwalisz go, Hollis?

- Jeśli o to chodzi, panie, to się okaże. Jego umiejętności wkrótce zostaną sprawdzone. Z pewnością, pomyślał Douglas, czując małego derringera w kieszeni. A potem spojrział uważnie na swojego lokaja.

Hollis promieniał, nie można było tego inaczej określić. Był taki wyprostowany, Douglas miał wrażenie, jakby urósł kilka centymetrów.

- Mogę spytać, jak ci idzie z twoją panią, Hollis?

- Jest już bliska tego, żeby mi ulec, panie. Śmiem twierdzić, że za kilka dni z radością wykrzyczy „tak”.

- Nie wiem dlaczego nie miałyby się cieszyć na myśl, że zostanie twoją żoną, Hollis. Jesteś wspaniałą, każda kobieta byłaby wdzięczna losowi, że może za ciebie wyjść - powiedziała Aleksandra.

- Właśnie tak, pani, właśnie tak. Jeśli pani pamięta, Annabelle знаła moją ukochaną pannę Plimpton. Jej wahanie wynika z tego, iż się obawia, że moje uczucia do panny Plimpton nadal mogą być żywe.

- Dobry Boże, Hollis - odezwał się Douglas. - Panna Plimpton nie żyje od czterdziestu lat!

- Czterdziestu dwóch i siedmiu miesięcy, panie.

- To z pewnością dość czasu, żeby wyleczyć się z uczuć, którymi ją darzyłeś - powiedziała Aleksandra.

- W rzeczy samej, pani - odparł Hollis. - Ale Annabelle się obawia. Chce, żeby moje serce należało tylko do niej.

- A będzie należało, Hollis? - spytała Aleksandra.

- Jak pani powiedziała, minęło czterdzieści lat. Mówiłem Annabelle, że w starym sercu jest więcej miejsca niż w młodym, żeby przyjąć najgłębsze uczucia.

- Kiedy ją poznamy, Hollis?

- Ona, panie, zgodziła się wypić dziś po południu herbatę z panem i jaśnie panią. W zasadzie przyszedłem poinformować państwa o tym radosnym wydarzeniu. Wiadomość Olliego była chyba trochę ważniejsza, więc puściłem go pierwszego.

- Eee, to bardzo miłe, Hollis. Niech kucharka przygotowuje dla niej ciasto cytrynowe.

- Zrobione, panie. Annabelle będzie tutaj dokładnie o szesnastej. Ja osobiście przywiozę ją z tej uroczej wioski Abington, w której przebywa od prawie czterech miesięcy.

- Abington to czarująca wioska - powiedziała Alex. - Czy panna Trelawny ma tam krewnych, Hollis?

- Pani Trelawny, jaśnie pani. Annabelle owdowiała wiele lat temu. Jest sama, ale jej mąż zostawił jej dostateczne środki, żeby mogła dostatnio żyć. Ja oczywiście sprawię, że będzie żyć jeszcze bardziej dostatnio.

- Dlaczego wybrała właśnie Abington? - spytał Douglas. - To urocza miejscowość, ale raczej z dala od centrum życia towarzyskiego.

- Mnie bardzo się podoba w Abington, panie. Prawdę mówiąc, spędziłem wiele czasu przez te

wszystkie lata, przeglądając księgi kościelne. Sięgają trzynastego wieku, jeśli da pan wiarę. Okazało się, że Annabelle również bardzo podoba się kościoł, i właśnie tam ją spotkałem. Douglas przytaknął, przypominając sobie plik starych ksiąg kościelnych, który odkupił od opactwa Noddington i dał Hollisowi wiele lat temu. Douglas wstał, kiedy za Hollisem zamknęły się drzwi.

- Muszę porozmawiać z matką. - Westchnął. - Obawiam się, że jej obecność podczas spotkania z panią Trelawny może pokrzyżować plany Hollisa.

- Tak, może tak nastraszyć wybrankę, że ta ucieknie z dworu z płaczem i piskiem. Twoja matka jest taka pełna życia. To niesamowite. Zaśmiał się, objął ją i podniósł. Nagle drzwi otworzyły się i rozległ się znajomy głos:

- Niestosowność! Skandal! Dlaczego nie nauczyłeś tej dziewczyny manier, Douglasie? Już nie jestem w stanie zliczyć, od ilu lat jesteś jej mężem, a ona wciąż nie umie się zachować i przez nią ty jesteś rozhukany.

- Witaj, matko.

- Witaj, teściowo.

- Postanowiłam zjeść obiad tutaj. Usiądźcie, ponieważ muszę z wami omówić bardzo poważne kwestie. Douglas, nadal trzymając żonę w ramionach, odparł:

- Wybacz, matko, ale Alex i ja musimy zająć się ważnymi sprawami. Spotkamy się przy kolacji.

- Nie! Zaczekajcie, chodzi o moją pokojówkę, tę niechlujną dziewczuchę, ona nie jest... Nie usłyszeli ostatnich słów. Dwie służące, widząc hrabiego i hrabinę wybiegających ze śmiechem z jadalni, przerwawszy w pół słowa hrabinie wdowie, zapewne uśmiełyby się, gdyby Hollis nie strofował ich nieustannie za takie zachowanie.

- Okropna stara jędza - szepnęła Tilda, pokojówka z parteru, do Ellie, która za nią stała. - Chyba będzie żyć wiecznie, a moja mama powiedziała mi, że to jej podłość trzyma ją w dobrym zdrowiu. Powiedziała, że nie zdziwiłaby się, gdyby hrabina wdowa trzymała w sypialni butelkę rumu.

- Spytałam o to tę jej nieszczęsną pokojówkę - szepnęła Ellie. - Rum? No, no. - Obie roześmiały się głośno.

Douglas i Aleksandra pobiegli, trzymając się za ręce, do małej altany, którą dziadek Douglasa zbudował na niewielkim wzgórzu nad stawem.

ROZDZIAŁ 33

Usiądź, moja droga - powiedział Douglas. - Musimy o czymś porozmawiać. Aleksandra usiadła, obserwując, jak mąż przechadza się po altanie.

- Rozmowa z tobą pozwoli mi się skoncentrować. Dwoje dzieci Georgesa i jego szwagierka wyjechali z Paryża zaraz po jego śmierci - powiedział Douglas.

- Tak.

- Otrzymałem informację, że dzieci pojechały do Hiszpanii, ale wkrótce po tym znowu zniknęły. Nadal nie wiem, gdzie teraz przebywają. Nie udało mi się również ustalić, w jakiej sytuacji finansowej byli po śmierci ojca.

- Chyba mają dosyć pieniędzy, skoro syna stać na to, żeby wynająć zabójców - odezwała się rzeczowo Aleksandra.

Przytaknął.

- Syn obecnie przebywa w Londynie, ale to może się zmienić w każdej chwili.

- Popęlni w końcu błąd, zobaczysz, Douglasie, a wtedy go złapiemy.

- Wyznam ci, Alex, że myśl o tym, iż ten młodzieniec czai się za drzewem i tylko czeka, żebym pojawił się w zasięgu jego strzału, jest irytująca. Chcę go do paść, ale na moich warunkach.

- Zaczęłam zastanawiać się nad tymi ostrzeżeniami, które otrzymał lord Wellington. Może to ten syn tak to zorganizował, abys się dowiedział, że był w to zamieszany Georges Cadoudal. Może, kiedy posłużył się twoim nazwiskiem, chciał, żebyś doskonale wiedział, kim jest. On potrzebuje dramaturgii, uwagi. Chce, żebyś podziwiał jego odwagę i wytrwałość.

- Chciał, żebym wiedział, że przybył mnie zabić? Tak, rozumiem. Stąd ostrzeżenie. Za pierwszym razem, kiedy do mnie strzelał, było to ostrzeżenie. Chciał, żebym się bał, chciał się ze mną pobawić, zanim mnie zabije, chciał, żebym wiedział, kim jest. Szkoda, że nie wiemy, dlaczego to robi. Nadszedł czas, pomyślał Douglas, gdy wracali z żoną do domu, żeby on i jego synowie zajęli się domem. Kiedy weszli do eleganckiego holu, trójka służących, która ich powitała, mogłaby przysiąc, że hrabina i hrabia wspaniale się bawili w altanie. Douglas zdał sobie z tego sprawę, więc szybko pocałował namiętnie żonę, a potem poszedł popracować do swojego gabinetu. Posiedział przez dziesięć minut przy biurku, a potem poszedł pospiesznie do swojej sypialni, gdzie jego żona siedziała w fotelu przed oknem i, podśpiewując, cerowała jedną z jego koszul. Uśmiechnęła się do niego i zaczęła rozpinać guziki swojej sukni. Przyszło mu do głowy, że bycie żonatym od tak dawna, nie było wcale złe. Rozumieli się bez słów, przynajmniej w niektórych sprawach. Przez lata serce stało się bardziej pojemne, jak powiedział Hollis.

Pochylił się, żeby ją pocałować, pomagając jej jednocześnie przy guzikach.

* * *

Dokładnie o szesnastej tego dnia Hollis otworzył podwójne drzwi salonu i stanął w nich, wysoki, wyprostowany, z siwymi włosami opadającymi na ramiona, wyglądając niemal jak Bóg. Poczekał chwilę, żeby hrabia i hrabina go zauważyli, po czym powiedział:

- Chciałbym przedstawić panią Annabelle Trelawny, urodzoną w pięknym mieście Chester.

- Po tak pięknej prezentacji - rozległ się niski, aksamitny głos - obawiam się, że możecie być państwo rozczarowani. Annabelle Trelawny wyglądała jak maleńka, puszysta wróżka, pełna gracji i wdzięku. Wyglądała również na zawstydzoną i bardzo przejętą.

- Usiądź, proszę, Annabelle - powiedział Hollis i podprowadził ją z czułością do fotela naprzeciw hrabiego i hrabiny. - Wygodnie ci, moja droga? Annabelle wygładziła suknię, uśmiechnęła się do Hollisa, jakby rzeczywiście był Bogiem, i cichym głosem odparła:

- O tak, bardzo wygodnie, dziękuję, Williamie. Williamie? Douglas podejrzewał, że wiedział, iż Hollis miał na imię William, ale od tak dawna nazywał go Hollisem, że o tym zapomniał. William Hollis, dobre imię i nazwisko.

Annabelle Trelawny nie wyglądała na pazerną staruszkę; wokół oczu i ust miała urocze zmarszczki - od śmiechu, pomyślała Alex. I taka słodka twarz. Miała ciemne włosy, przetkane srebrnymi nitkami, ciemnobrązowe oczy były inteligentne i bystre. Jej skóra była miękka i gładka. Kiedy mówiła, głos wydawał się równie miły, jak jej twarz.

- Panie, pani, to bardzo łaskawe z waszej strony, że zechcieliście zaprosić mnie na herbatę. William oczywiście tyle mi opowiadał o państwu i państwa synach, Jamesie i Jasonie.

Alex usiłowała nakłonić Hollisa, żeby usiadł, ale nie chciał. Stał za fotelem ukochanej, wyglądając jednocześnie na poważnego i zauroczonego, chociaż takie połączenie było trudne do wyobrażenia.

- Nie ma teraz z nami Jamesa. On i jego żona są w podróży poślubnej. Nasz syn Jason niebawem do nas dołączy. Bardzo się cieszył na spotkanie z panią, madam. Mogę zaproponować pani filiżankę herbaty, pani Trelawny? Annabelle uśmiechnęła się tak słodko, że natychmiast stało się jasne, dlaczego ten uśmiech uwiódł Hollisa, i odezwała się:

- Jeśli mogłabym prosić z odrobiną mleka... Hollis podał jej z czułością herbatę.

- Pozwól, że poczęstuję cię ciastkami, które przygotowała kucharka, Annabelle. Wiem, że lubisz migdałowe herbatniki. Annabelle rzeczywiście lubiła migdałowe herbatniki i zjadła aż trzy, przez cały czas przytakując, uśmiechając się i słuchając, mówiąc niewiele, dopóki w drzwiach nie pojawił się Jason, ubrany w spodnie z kozłej skóry i rozpiętą białą koszulę, odsłaniającą opaloną szyję. Zatrzymał się gwałtownie i powiedział:

- Pani Trelawny? Miło panią poznać, madam - podszedł do niej, ujął jej dłoń i złożył na niej delikatny pocałunek. - Jestem Jason, madam. Annabelle zerknęła na niego i powiedziała wolno:

- Miło na ciebie popatrzeć - i uśmiechnęła się do niego zupełnie nie jak staruszka.

- Dziękuję, madam - odparł Jason, tak przyzwyczajony do tego rodzaju spojrzeń, że nawet się nie spieszył. - Hollis powtarzał mi i mojemu bratu, że jesteśmy co najwyżej znośni. To pani jest dla niego zachwycająca. Bardzo ładnie to powiedział, pomyślał Douglas i spojrzął na syna z aprobatą.

Hollis chrząknął.

- Paniczu Jasonie, obawiam się, że te dowody sympatii są trochę przesadne.

- Hollis, czyżbyś był zazdrosny?

Hollis wykrzywił się, wyglądając jak Bóg przed rozbiciem kamiennych tablic. Jason, zaskoczony i zaniepokojony, żałował, że nie może wrócić do koni. Annabelle odezwała się lekko, mając ochotę poklepać Jasona po pięknej dłoni:

- Nie winię Williama, że jest zazdrosny, Jasonie. Jesteś najpiękniejszym młodzieńcem, jakiego w życiu widziałam. Dobry Boże, zupełnie nie jesteś podobny do rodziców - ojej, nie to chciałam

powiedzieć. Bardzo przepraszam.

- Moi synowie wyglądają tak samo jak ich ciotka, co irytuje mnie i moją żonę za każdym razem, gdy widzimy całą trójkę razem. Annabelle zaśmiała się z tego.

- Zawsze uważałam, że to zabawne, jak pokrewieństwo jest widoczne u ludzi, zwłaszcza u dzieci. Czy to prawda, że twój brat wygląda tak samo jak ty, Jasonie?

- Prawda, madam. - Zwrócił się do Hollisa, który nadal stał usztywniony, jakby połknął kij. - Podać ci herbatę, Hollis? Wiem, że lubisz z dodatkiem cytryny. Hollis złagodniał wobec swojego pięknego podopiecznego.

- Poproszę, paniczku Jasonie. Douglasowi ulżyło, że Hollis się rozchmurzył. Nigdy nie widział, żeby Hollis okazywał takie uczucia, zwłaszcza tak niskie, jak zazdrość.

- Powiedz nam, Jasonie, jak Bad Boyowi podoba się nowa klacz, którą dla niego sprowadziłeś - odezwała się Aleksandra.

- Jest zakochany, mamó. Kiedy odchodziłem, rozmarzony trzymał łeb na ogrodzeniu padoku, wodząc błędnym wzrokiem za swoją ukochaną. Wątpię, że spał w nocy. Klacz jeszcze nie ma rui, więc na razie macha do niego ogonem. Chyba będzie musiał trochę poczekać. Aleksandrze przyszło do głowy, że w salonie nie wypadało rozmawiać o parzeniu się koni. Uśmiechnęła się do Annabelle.

- Więc pochodzi pani z Chester, pani Trelawny, niedaleko granicy z Walią. Piękne miasto i okolica, mężowi i mnie bardzo się tam podoba.

- Matka Annabelle zmarła, kiedy Annabelle była jeszcze dzieckiem, a ojciec postanowił, że przeprowadzą się do Oksfordu. Tam właśnie poznała pannę Plimpton i zaprzyjaźniły się. Po wyjściu za mąż Annabelle wyjechała z Oksfordu. O ile pamiętam, bardzo dużo podróżowaliście z Bernardem. Annabelle przytaknęła.

- O tak, mój mąż nie mógł usiedzieć w jednym miejscu dłużej niż kilka tygodni. Musiał być w ruchu i zabierał mnie ze sobą.

- Skoro mowa o podróżach, mamó, to czy ty i ojciec byliście kiedykolwiek w Coombes w zachodniej Irlandii? Stamtąd właśnie pochodzi Judith - odezwał się Jason.

- Obawiam się, że nie słyszałem o Coombes - powiedział Douglas.

- Zamierzam napisać do jej kuzyna, dowiedzieć się, czy mogę go odwiedzić. Och, tato, miałbyś ochotę pojechać ze mną później na konną przejażdżkę? Sądzę, że trochę ruchu uspokoi Bad Boya.

- Jeśli rzeczywiście chcesz jechać, Douglasie, to wezmę swój pistolet i pojedę z tobą - wtrąciła się Aleksandra. Douglas poklepał żonę po dłoni i powiedział do Annabelle:

- Mamy tutaj drobny problem. Moja żona się martwi i chce mnie chronić. Hollis odchrząknął.

- Mówiłem Annabelle o tym, co się dzieje, panie. Poradziła, że powinniśmy zachować spokój, przyglądać się każdej nowej twarzy, żeby dostrzec czające się zło, bo, jak mówi Annabelle, ten, kto chce zabić waszą lordowską mość, jest zły, a zła nie da się ukryć, jeśli jest się czujnym.

- Eee, dziękujemy, pani Trelawny - odezwał się pospiesznie Douglas, widząc, że Jason zamierza wyrazić damie swój podziw.

- Tak - dodała Aleksandra - jesteśmy wdzięczni za pani spostrzeżenia.

Dziesięć minut później Aleksandra została sam na sam z panią Trelawny, kiedy Hollis się oddalił, żeby rozwiązać jakiś problem w kuchni. Natychmiast się odezwała:

- Proszę się nie obawiać, że Hollis nadal oplakuje pannę Plimpton. Hollis zawsze wie, co robi.

- Och nie, tego się nie obawiam - odparła Annabelle. - On ma rację. Znałam pannę Plimpton. - Annabelle zadrżała. - Była ode mnie sześć lat starsza i myślała, że wie wszystko. Była nadgorliwa,

ale oczywiście nigdy nie powiedziałabym tego drogiemu Williamowi. Nigdy nie zapomnę, jak kiedyś odwiedził pannę Plimpton. Ja jeszcze od niej nie wyszłam i usłyszałam, jak mówiła do niego, że jej dusza została stworzona do tego, by pomóc jego duszy dojść do doskonałości. Ja rzuciłabym w nią wazonem, ale drogi William odparł, że jego dusza potrzebowała każdej dostępnej pomocy. Jej śmierć była raczej nonsensowna, ale pasowała do jej charakteru. Była tak zajęta besztaniem jednego z parafian ojca, że nie zauważyła stopnia, przewróciła się, uderzyła się w głowę i zmarła.

- Niech to diabli - eee, przepraszam - ale to niesamowite.

- Cóż, może nie powinnam wylewać tych żalów, ale prawda jest taka, że gdyby żyła, unieszczęśliwiłaby tego biedaka. Kiedy kilka chwil później Hollis wrócił do salonu, panie zaledwie wymieniły spojrzenia i tyle. Dalej prowadzili we trójkę rozmowę o wszystkim i o niczym. Annabelle kilkakrotnie poklepała Hollisa po prawej dłoni, którą trzymał tuż przy niej, i powiedziała:

- Już wystarczająco dużo czasu zajęłam jej wysokości, Williamie. Hollis zerwał się, żeby jej pomóc, chociaż nie potrzebowała żadnej pomocy.

Aleksandra oceniła na oko, że była przynajmniej piętnaście lat młodsza od Hollisa. Naprawdę miał na imię William? Najdziwniejsze było to, że pasowali do siebie, a kiedy Hollis podał jej ramię, uśmiechnął się do niej niemal tak słodko, jak Annabelle.

Gdy Hollis pojawił się wieczorem w porze kolacji, obdarzył wszystkich błogim uśmiechem i oznajmił, że on i Annabelle zamierzają się pobrać. Wkrótce, dodał, skoro mężczyzna nie może wiecznie czekać, poza tym chciałby mieć żonę w czasie świąt Bożego Narodzenia, żeby móc obsypać ją prezentami i zasłużyć na jej wdzięczność.

- O jakiej wdzięczności mówisz, Hollis? - spytał Jason, obserwując, jak Hollis dyskretnie opuszcza jadalnię, ale wcale nie musiał pytać. Na samą myśl, że Hollis i pani Trelawny mogliby się całować, nie mówiąc już o tym, że mogliby się rozebrać, ścisnęło go w dołku. Jego ojciec, domyślając się, o czym myślał, rzucił serwetkę na stół i powiedział:

- Wdzięczność to wdzięczność w każdym wieku. Pamiętaj, Jasonie, że jeśli mężczyzna chce i ma instrumenty, będzie sobie radził aż do śmierci. Jason z trudem powstrzymywał śmiech, ale jedno spojrzenie na minę matki uspokoiło go. Chrząknął.

- Judith i lady Arbuckle zgodziły się nas odwiedzić. Spodziewam się ich jutro.

- Wspaniale - powiedziała matka Jasona. - Mam wrażenie, że powinniśmy trochę lepiej poznać Judith McCrae. Jak sądzisz, Jasonie?

- O tak - odparł Jason. - O tak. - I wyszedł z jadalni, pogwizdując.

ROZDZIAŁ 34

Jason wyglądał jak dumny rodzic, kiedy dziewczyna, którą zamierzał poślubić, powiedziała do jego ojca:

- Słyszałam, że Jason może oswoić każde dzikie zwierzę, które znajdzie.

- Skąd o tym wiedziała?

- To prawda - odparł powoli Douglas, patrząc na syna, który był tak zadurzony, że prawie się ślinił. - Znalazł ranną kunę, kiedy miał pięć lat.

Schował ją do kurtki i przyniósł do domu. Trzymał kunę w swojej sypialni przez dwa tygodnie. Od tamtej pory opiekował się wszystkimi chorymi zwierzętami.

Judith dostrzegła, że Jason chciałby spytać, skąd o tym wiedziała, więc stwierdziła:

- Powiedział mi o rym lord Pomeroy. Powiedział, że powinien się tego domyślić, kiedy Jason, mając osiem miesięcy, zwymiotował na jego koszulę.

- Słyszałam także, że wytresowałaś nawet koty, żeby brały udział w wyścigach.

- Kto ci to powiedział? Na chwilę spuściła wzrok, manewr, który Douglas rozpoznał i docenił.

- To chyba wampir Corrie powiedział mi o tym. Devlin powiedział, że zawsze chciał mieć wyścigowego kota, ale potrzebna była do tego jakaś zgoda. Czy to prawda? W jej ciemnych oczach migotały niesamowite ogniki, kiedy dodała skromnie:

- Devlin powiedział mi również, że wyścigi kotów odbywały się za dnia, więc co miał zrobić?

- Powinien się odchrzanić - powiedział Jason pod nosem. Douglas powstrzymał uśmiech.

- Bracia Harker teraz są już wiekowi, ale nadal kontrolują zasady wyścigów i muszą poznać wiarygodność każdego, kto chce mieć koty wyścigowe. Koty, chociaż nie są wobec Jasona tak ufne, jak inne zwierzęta, to dobrze się dla niego ścigają. - Douglas uniósł ciemną brew. - Wspomniałaś o wampirze, Corrie. Wiesz, że dziadek Devlina, stary książę, nie wyszedł z domu przez pięć ostatnich lat swojego życia? Miał wszystkie okna zasłonięte i nie wpuszczał nawet promyka słońca. Najwyraźniej Devlin idzie w jego ślady, prawda?

- Nosi kapelusz, kiedy jest ostre słońce - powiedział Jason. - Sądzę, że James chętnie wbiłby mu pal w serce, czarne serce, jak twierdzi James.

- O, Boże - westchnęła Aleksandra pod nosem i spojrzała bezradnie na otwarte drzwi, w których stała hrabina wdowa i wbijała wzrok w Judith. No to koniec, pomyślała Alex i wstała, żałując, że nie zdążyła Judith ostrzec.

- Teściowo, to jest panna McCrae, ze swoją ciotką, lady Arbuckle. Judith, to jest lady Lydia.

- Madam - odezwała się Judith, natychmiast wstając i dygając wdzięcznie przed wdową. - Bardzo mi miło, że mogę wreszcie panią poznać. Jason lak wale mi o pani mówił.

- Doprawdy? - Wdowa podeszła do dużego fotela i usiadła. - Poprosiłam Hollisa, żeby przyniósł babeczki orzechowe. Gdzie one są?

- Może pójdziemy z Judith się dowiedzieć. - Jason wstał.

- Och, nie. Chcę, żeby dziewczyna tu została. Jason, ty idź po moje babeczki. Cóż, dziewczyno,

nosisz pospolite irlandzkie imię. Kim są twoi rodzice? W jaki sposób lady Arbuckle jest z tobą spokrewniona? Gdzie jest lady Arbuckle?

- Poszła się położyć, chyba bolała ją głowa.

- Mamo, Alex już powiedziała ci o Judith - zabrał głos Douglas. - Nie jest tutaj na przesłuchaniu. Alex poda ci herbatę, a ty może zechcesz obdarzyć naszego gościa jednym z twoich uroczych uśmiechów.

- Młoda damo, czy wiesz, że panie tego dworu nawiedza Biała Dama? - spytała wdowa. Judith, z rozchyłonymi ustami, odparła:

- Nie, madam. Jeszcze jej nie spotkałam. Jason o niej wspominał, Corrie również, ale nic więcej o niej nie wiem.

- To duch, ty głupia, prawdziwy duch, którego istnienie neguje mój drogi syn, Douglas. Biedna istota została wdową, zanim zdążyła wyjść za mąż, stąd jej nazwa. Ja oczywiście w to nie wierzę, ale moja synowa - która ma więcej włosów niż na to zasługuje, a do tego jeszcze w tak wulgarnym kolorze - w to wierzy. Wierzy w istnienie Białej Damy, twierdzi, że nawiedziła ją wielokrotnie, ale czy ten stawny duch zada sobie trud, żeby podać jej imię człowieka, który usiłuje zabić mojego syna? Nie, nie robi tego i mam tego dosyć! Sądzę, że Biała Dama uważa, że nie jesteś już godna, Aleksandro. Sądzi, że jesteś śmieszna i wyuzdana, obnosząc się ze swoim głębokim dekoltem, żeby mężczyźni cię podziwiali. Nie sądzisz, Judith, że z wiekiem taki biust powinien zniknąć?

- Och... naprawdę nie wiem, madam - odezwała się Judith i rzuciła hrabinie rozpaczliwe spojrzenie. Aleksandra tylko przewróciła oczami, nalała herbaty, dodała dokładnie jedną małą łyżeczkę mleka i podała filiżankę teściowej.

Wdowa przyjrzała się herbacie, oddała filiżankę i powiedziała:

- Za dużo mleka. Wygląda na rozcieńczoną. Tyle razy ci powtarzałam, jak przyrządzać dla mnie herbatę, a ty wciąż nie możesz nauczyć się czegoś nawet tak prostego. Aleksandra uśmiechnęła się do starej kobiety, którą znała i znosiła od prawie trzydziestu lat. Ogarnęło ją nieznane uczucie, gorące i cudownie swobodne. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

- Jeśli nie smakuje ci moja herbata, madam, może przyrządzisz ją sobie sama. - Postawiła filiżankę na małym stoliku obok wdowy i odeszła. Wdowa była tak zaszokowana jej nieoczekiwanym zachowaniem, że zaniemówiła na kilka sekund.

- To twój obowiązek, jako hrabiny Northcliffe, żeby nalewać herbatę, młoda damo! Nie chciałam, żeby to był twój obowiązek, ale mój biedny Douglas musiał się z tobą ożenić i nic się nie dało zrobić. A teraz proszę, pyskujesz mi. Douglas wstał. Spojrzał na matkę z niechęcią, zastanawiając się, dlaczego tak długo pozwalał jej wszystkich terroryzować. Przez szacunek, pomyślał. Szacunek, który wbijano mu do głowy od kołyski, chociaż jego matka na to nie zasługiwała. Odezwał się z godnością, jak przystało na hrabiego:

- Alex ma rację, madam. Jeśli nie smakuje ci herbata, przyrządź ją sobie sama. A teraz chcę, żebyś zabawiła naszego gościa miłą rozmową.

- Po co ona tu przyjechała? Jason jest jeszcze za młody, żeby się żenić. Biedny James, równie młody, a już musiał wziąć na siebie ten ciężar, Corrie Tybourne - Barrett, i... Douglas podszedł do matki, pochylił się i podniósł ją z fotela, chwytając pod pachy. Wyprostował się; jej nogi zwisały kilka centymetrów nad pięknym dywanem, na który zrzuciła niezliczoną ilość filiżanek herbaty, ponieważ dywan kupiła Alex. Syn spojrzał jej prosto w oczy, nawet się uśmiechnął.

- Nie powiesz już ani jednego obraźliwego słowa na temat Corrie. Rozumiesz, matko? Wdowa

pisnęła, odchyliła głowę i ponownie pisnęła. Douglas, zamiast ją puścić, zaniósł ją do drzwi salonu, otworzył je kopniakiem i wyniósł rzucającą obelgi matkę na zewnątrz.

- To było raczej wulgarne, matko - powiedział spokojnie. Wdowa znowu pisnęła głośno. Aleksandra patrzyła za swoim mężem, zdziwiona. Wreszcie odezwała się:

- Cóż, najwyższy czas, nie sądzisz, Jasonie?

- Tak, mam, bardzo dobrze zrobiłaś, ojciec też. Judith, nie zdajesz sobie sprawy, ale właśnie wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Moja babka nie jest zbyt miłą staruszką - cóż, prawdę powiedziawszy, to więdźma. Moja matka zawsze była wobec niej uprzejma i pozwalała się poniżać, ale przebrała się miarka. A ojciec po prostu ją stąd wyniósł. Och, nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć o tym Jamesowi. Dobra robota, mam.

- Ciekawe, czy będzie miła dla Corrie - powiedziała Aleksandra. - Zastanawiam się także, jakie groźby stosuje teraz twój ojciec.

- Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby nie być miły dla Corrie - odezwała się Judith, nadal patrząc w otwarte drzwi salonu, skąd wciąż dobiegały zduszone piski.

Jason roześmiał się.

- Obrażała nawet Hollisa. Jestem ciekaw, kiedy wreszcie do niej dotrze, że już tu nie rządzi.

- Mam zaufanie do twojego ojca. Jej rządy się skończyły. - Aleksandra wstała, skrzyżowała ramiona na piersiach, uniosła brodę, a jej oczy nabrały twardego wyrazu. - Już nigdy więcej ta kobieta nie będzie szarpać mi nerwów. - Odwróciła się do Judith. - Cóż, niezłe widowisko dla gości. Przepraszam, nie za to, co zrobiłam, nie za to, co zrobił mój mąż, ale za to, że stało się to właśnie teraz. Prawie trzydzieści lat - cały czas chowałam dumę do kieszeni, starając się utrzymać pokój. - Zaczęła pocierać dłonie. - Nie mogę uwierzyć, że zajęło mi tyle czasu, żeby z tym skończyć. A teraz muszę porozmawiać z twoim ojcem, Jasonie, jeśli już skończył z tą starą jędzą. Możemy opracować strategię. Co ty na to? Aleksandra nie czekając na odpowiedź, wyszła z salonu z podniesioną głową i wyprostowanymi ramionami.

- James powiedział mi, że on i Corrie zamieszkają w Primrose Hall, uroczym domu, który zbudował pierwszy lord Hammersmith. Zapewne myślał o zniewagach, które musiałaby znosić Corrie, gdyby zamieszkali tutaj. Hm. Zastanawiam się. Chciałabyś zobaczyć ciekawe rzeźby we wschodniej części ogrodu, Judith? Są niespotykane. Sądzę, że mogłyby ci się spodobać - odezwał się Jason.

* * *

Corrie obróciła się na bok, pocałowała męża w usta i powiedziała:

- James, proszę, obudź się, proszę. James natychmiast oprzytomniał.

- O co chodzi? Pragniesz mnie w środku nocy? Co się stało, Corrie? Ty drzysz. - Przyciągnął ją do siebie i przytulił tak mocno, że z trudem oddychała. - Miałaś zły sen? Już po wszystkim.

Odsunęła się od niego.

- To nie był zły sen, James. Nie spałam, ona mnie obudziła. Chodzi o ciebie, James, nie o twojego ojca. O, mój Boże, chodzi o ciebie. To była Biała Dama. Przyszła do mnie, bo teraz należę do rodziny. James spojrział na żonę. Wierzył w istnienie Białej Damy, ale nigdy nie przyznałby się do tego przed ojcem. Nie chciał, żeby ojciec patrzył na niego z pogardliwym rozbawieniem. Słyszał, że ukazała się również jego ojcu, ale hrabia nadal mówił o zjawie z szyderstwem i kpina.

Pogłaskał Corrie po plecach, przesunął dłonią po jej ramieniu.

- Już wszystko dobrze. Teraz mi powiedz, co powiedziała ci Biała Dama.

- Obudziłam się. Przyszło mi do głowy, żeby pocałować cię w brzuch. - Przytuliła się do niego i dostrzegła jego twarz w świetle księżyca. Nagle wydało się jej, że James leżał zbyt nieruchomo, że prawie przestał oddychać.

- Nic ci nie jest, James?

- Nie. Pocałować mnie w brzuch? Nie, nie. Przejdzie mi. Mów dalej.

- Dobrze. Kiedy pocałowałam twój brzuch, pomyślałam, co jeszcze mogłabym ci zrobić...

- Eee, o zjawie, Corrie, zacznij mówić o zjawie, bo inaczej padnę na kolana i będę cię błagał, żebyś zrobiła to, co zamierzałaś.

- Naprawdę? O Boże, James... och tak, Biała Dama. Cóż, nie spałam, ale po jakimś czasie zapadłam w drzemkę. Ale nie spałam. Jestem tego pewna. A potem ją zobaczyłam, obok łóżka, i patrzyła na mnie. Wyglądała tak niewyraźnie, zwiewnie, ale widziałam, że jest piękna, z długimi, jasnymi włosami. Nie odzywała się, przynajmniej tak mi się wydaje, ale czułam się, jakby do mnie mówiła, w mojej głowie. Powiedziała, że chodzi o ciebie, James, że to tobie grozi niebezpieczeństwo. Nie mówiła nic o twoim ojcu, tylko o tobie. Co się dzieje? O Boże, co my zrobimy? Jesteśmy tutaj sami. Masz pistolet?

- Tak, mam. - Zaraz dodał: - Tobie też kupię, dobrze?

To ją uspokoiło.

- Dobrze. Co zrobimy?

- Sądzę - powiedział wolno James, całując ją w czoło - że już czas, abyśmy wrócili do domu.

- Boję się, James.

- Tak, ja także. Możesz o tym zapomnieć do rana? Milczała przez dobrą chwilę. Potem obróciła się w jego ramionach i popchnęła go na plecy. Uśmiechała się do niego, ściągając prześcieradło.

- Jeśli chodzi o twój brzuch, James...

ROZDZIAŁ 35

Była północ, czas, kiedy James, przy sprzyjającej pogodzie, leżał na jakimś wzgórzu i obserwował gwiazdy. Ale dla Jasona północ to była pora snu. Budził się zazwyczaj o świcie, ze świeżą głową, pełen energii i gotowy do podboju świata. Często mijał zaspanych służących na korytarzach Northcliffe.

Światło księżyca wpadało do sypialni, ponieważ Jason nie chciał mieć w oknach żadnych zasłon. Gdyby nie było tak mroźnie, okno byłoby otwarte, a on leżałby przykryty po szyję.

Śniła mu się jego babka. We śnie zobaczył ją jako młodą dziewczynę. Jednak nadal wyglądała tak samo jak teraz, z twarzą czerwoną ze złości i niedowierzania, bo jego matka wreszcie powiedziała starej kobiecie, że jej rządy terroru dobiegły końca. Jedyna różnica była taka, że babka wyglądała na mniejszą. Nagle zaczęła krzyczeć na inną dziewczynę, którą dostrzegł ukrywającą się za fotelem. Rzuciła w nią lalką.

Jego sen nagle się zmienił. Babka zmieniła się w kunę, którą uratował jako mały chłopiec. Czuł oddech kuny na twarzy, a jej ciężar na swoim ciele, i to było dziwne. Nie mógł oddychać, było coś...

Obudził się, od razu przytomny i czujny, i zobaczył leżącą na nim Judith, która całowała go po twarzy.

Serce mu podskoczyło; dziewczyna, którą kochał była tutaj, w jego sypialni, leżała na nim i nie był to sen. Z trudem zachowywał spokój.

- Judith, sprawiłaś, że cały płonę, ale nie powinnaś być w mojej sypialni o północy, i robić tego, co robisz, jakkolwiek żałuję. Roześmiała się, a jej ciepły oddech omiółł mu twarz. Potem znowu go pocałowała, delikatnie i nieśmiało, bo wiedział, że nie miała doświadczenia.

- Judith, dlaczego tu jesteś? Tym razem nie roześmiała się. W jej głosie usłyszał nerwowość.

- Jasonie, przyszedłam tutaj, ponieważ cię pragnę. Pragnę cię bardziej, niż to sobie możesz wyobrazić. Nie odsyłaj mnie. Proszę. Jason nie wiedział, jak to się stało, ale jego ramiona mocno ją obejmowały.

Była taka bezbronna. Pocałował ją, ale delikatnie.

Kiedy udało mu się uwolnić, odezwał się z niepokojem:

- Judith, nie powinnaś tutaj być, to niestosowne. Kocham cię, powiedziałem ci to... Nieznacznie się od niego odsunęła. Jej twarz skrywał mrok, ale widział jej ciemne oczy.

- Nigdy mi nie powiedziałaś, że mnie kochasz. Zawsze wokół tego krążyłaś. A potem pojechałaś do swojej kochanki.

- Dobrze, więc, posłuchaj mnie teraz. Kocham cię. Czy to dla ciebie wystarczająco jasne? A teraz musisz iść. Nie mogę odprowadzić cię do twojej sypialni, ponieważ nie mam wątpliwości, że spotkalibyśmy kogoś na korytarzu. Roześmiała się.

- Nie, posłuchaj mnie. Mówię całkiem poważnie. Ktoś się obudzi i zobaczy, jak skradamy się do twojej sypialni. Więc idź już, dopóki jeszcze jestem w stanie cię puścić. Możesz być pewna, że nie pojedę do żadnej kochanki. Jej oczy stały się jeszcze ciemniejsze.

- Nie chce cię opuszczać, Jasonie. Czy mnie nie pragniesz?

- Chociaż jesteś dziewicą, sama możesz odpowiedzieć sobie na to pytanie, Judith. Z pewnością czujesz, jaki jestem twardy. Poruszyła się, a on miał wrażenie, że zaraz umrze.

- Tak - wyszeptała mu w usta. - Czuję cię. Wiem, że ta część ciebie w jakiś sposób ma wejść we mnie i brzmi to bardzo dziwnie, ale postanowiłam, że dziś w nocy chcę dowiedzieć się o tym wszystkiego. W końcu mam prawie dwadzieścia lat. Chcę, żebyś ty mnie tego nauczył.

- Nie mogę tego zrobić, po prostu nie mogę. - Musiał wykazać się silną wolą, żeby zrzucić ją z siebie. Nie był już taki pewny, że to był dobry pomysł, kiedy na nią spojrział. Oparł się na łokciu. Drugą ręką gładził ją po włosach, dotykał jej policzka, ust, podbródka. Miała na sobie skromną, białą koszulę nocną, na którą narzuciła biały szlafrok. Przesunął dłonie na jej szyję. Pochylił się i pocałował ją. Jego ręka niepostrzeżenie znalazła się na jej piersi. Odskoczył od niej, sturlał się z łóżka i wstał, oddychając ciężko. Spojrział na dziewczynę, którą kochał, leżącą na plecach na jego łóżku, a od jej nagiego ciała dzieliły go tylko dwie cienkie warstwy muślinu.

- Jesteś niesamowity, Jason.

- Co? Och. - Chwycił swój szlafrok, ale ona szybko uklękła i wyrwała mu go.

- Chciałabym popatrzeć na ciebie przez chwilę. Nigdy wcześniej nie widziałam nagiego mężczyzny, a słyszałam, że cały jesteś piękny. Chciałabym sprawdzić, czy to prawda. Mogę?

- Nie, to nie jest dobry pomysł. Jeśli jeszcze chwilę na mnie popatrzysz, to rzucę się na ciebie i oboje będziemy zgubieni.

- Chyba chciałabym, żebyś się na mnie rzucił.

- Nie, mogłoby to mieć konsekwencje, które nie spodobałyby ci się.

- A jakie to ma znaczenie? Mógł tylko na nią patrzeć.

- Kochasz mnie.

- Tak, ale...

- Więc dlaczego nie możesz być ze mną dziś w nocy? Po co mamy czekać? Odezwał się surowym tonem, jak jego ojciec, ilekroć chciał ich zrugać:

- Ponieważ dziewczyna powinna być dziewicą aż do nocy poślubnej.

- Czy to znaczy, że chcesz przeżyć ze mną noc poślubną? Nie możemy udawać, że to jest nasza noc poślubna? Nie mógł pohamować drżenia. Był tak rozpalony pożądaniem, że nie wiedział, jak udawało mu się sklecić dwa zdania. Czuł niemal, jak jego zdrowy rozsądek się rozplywa. Tym razem odezwał się zdesperowany:

- Chcesz mieć teraz noc poślubną? A jeśli zajdziesz w ciążę? To się zdarza, z pewnością to wiesz. Mogę spróbować zmniejszyć ryzyko, ale...

- Co? Na chwilę zamknął oczy.

- Mogę wyjść z ciebie, zanim wystrzelę nasieniem.

- Och. No i co. Uśmiechnęła się do niego kusząco. Nie widział tego wyraźnie, ale i tak wystarczyło, żeby omal nie padł na podłogę.

- T - to oznaczałoby małżeństwo.

- Tak, chyba tak. Jason wiedział, że jest gotowy do małżeństwa, wiedział, że chce się z nią ożenić, a ona pragnęła go teraz i nie chciała czekać.

Jakie to miało znaczenie?

Oddychał ciężko, przyciągając ją do siebie. Była ciepła i uległa, jej długie, ciemne włosy opadały niemal do pasa i cudownie kontrastowały z alabastrową skórą.

- Jeśli zajdziesz w ciążę, szybko się pobierzemy, dobrze?

- Tak - powiedziała między pocałunkami - dobrze. Miał dwadzieścia pięć lat, wystarczająco dużo, żeby nie zachowywać się niezdarnie czy pospiesznie, ale było mu trudno. Kiedy zobaczył ją nagą, zapragnął natychmiast ją posiąść, a w jej oczach dostrzegł przyzwolenie i wiedział, że ona go pragnie. Lecz musiał postarać się, żeby dla niej było to także przyjemne. Jak mógł to zrobić, skoro był gotowy, żeby eksplodować? Jej ręce wędrowały po jego ciele i zachęcała go, rozchylając nogi, aby mieć go bliżej. Kiedy już drżał cały z podniecenia, uniosła biodra, żeby mógł w nią wejść. O Boże, to było więcej, niż człowiek mógł znieść, ale wziął głęboki oddech i powiedział sobie, że musi się powstrzymać, bo inaczej będzie się zaliczać do grona żalonych głupków, którzy tracą rozum, gdy mają pod sobą nagą kobietę. Nie, nie, musiał przestać myśleć w ten sposób. Spojrzał na nią i od razu wiedział, że był to jej pierwszy raz i nie zamierzał tego schrzanić. Kiedy pieścił ją ustami, zaczęła drżeć. Potem zaczęła szlochać, uderzając go pięściami w ramię. Gdy osiągnęła rozkosz, Jason spojrzął na jej twarz, pieszcząc ją palcami. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył w jej ciemnych, szeroko otwartych oczach było zdumienie, a później oszołomienie, po czym jej oczy nabrały dzikiego wyrazu. Stopniowo jego palce zwalniały rytm. Jason położył się na niej i wszedł w nią, wolno i głęboko. Ku jego zaskoczeniu uniosła biodra, wprowadzając go głębiej, a on omal nie oszalał, słysząc jak krzyknęła z bólu.

- Przytul się do mnie, Judith. Przytul się. Zaciśnął zęby i wszedł w nią głębiej, a kiedy poczuł ją głęboko, nie mógł już dłużej się hamować. Nie chciał krzyczeć z rozkoszy, bojąc się, że ktoś mógłby go usłyszeć. Zdusił swój krzyk rozkoszy i nagle wszystkie jego myśli i uczucia uleciały z niego, i było cudownie i błogo.

- Nie wyszedłeś ze mnie. Zamarł.

- Nie - powiedział wolno - zapomniałem.

- Nieważne - wyszeptala mu do ucha - to nieważne. Zdążył ją pocałować, zanim zapadł w sen.

* * *

Kiedy Jason obudził się tuż po wschodzie słońca, uśmiechał się jak głupi. Natychmiast wróciły do niego cudowne wspomnienia. Obrócił się, ale jej nie było.

Cóż, oczywiście, że jej nie było. Zastanawiał się, kiedy wyszła.

Małżeństwo z Judith McCrae. To będzie wspaniała sprawa. Wyobrażał sobie, z głupkowatym uśmiechem na twarzy, jak się z nią kocha każdej nocy, a może nawet kilka razy w nocy, jak budzi się przy niej każdego ranka. Bóg mu świadkiem, że był w stanie dać rozkosz kobiecie nawet rano. Sobie również. Była to przyjemna wizja, cudowna przyszłość dla nich obojga. Zastanawiał się, czy przestanie go zbywać, trzymać w niepewności co do jej uczuć, jakby nie chciała, żeby poznał każdy zakamarek jej duszy.

Jason pogwizdywał, biorąc kąpiel, idąc szerokim korytarzem i schodząc po schodach po dwa stopnie naraz.

Na dole schodów stał James, a za nim Corrie.

James odezwał się bez zbędnych wstępów:

- Dobrze, że jesteś. Powiedziałem Corrie, że jesteś na górze ze służącymi. Przyjechaliśmy, bo Biała Dama nawiedziła Corrie zeszłej nocy. Natychmiast wyjechaliśmy. Corrie zrobiła krok do przodu, przekrzywiła głowę i stała przez chwilę w milczeniu. Wreszcie odezwała się:

- Coś się w tobie zmieniło, Jasonie. Nic ci nie jest? Sprawiasz wrażenie nieobecnego, a jednocześnie bardzo z siebie zadowolonego. Jason nic na to nie odpowiedział, tylko zszedł na dół i

przytulił ją do siebie.

- Moja nowa mała siostrzyczka. Tyle tylko, że jesteś dla mnie jak siostra już od piętnastu lat. A teraz chodźmy do salonu, opowiedzcie mi, co powiedziała Biała Dama. - A potem odezwał się do brata: - Mam nadzieję, że zadowoliliście moją małą siostrzyczkę.

James przypomniał sobie, jak pieściła go ustami i zakasłał. Corrie natychmiast odparła:

- Dlaczego pytasz jego, skoro chodzi o moje zadowolenie? Czy ja nie mogę odpowiedzieć na to pytanie?

- Nie, nie możesz. Bądź cicho. James?

- Wydaje mi się - powiedział powoli James, patrząc to na brata, to na swoją żonę - że oboje macie ten sam wyraz twarzy.

- O matko - odezwała się Corrie. - Jak to możliwe? Jason, chyba nie... James odezwał się ledwie słyszalnym głosem:

- Jest tutaj Judith McCrae?

- Tak. Jeśli chodzi o wyraz mojej twarzy, to proszę, żebyście oboje o nim zapomnieli. Zgodziła się zostać moją żoną. Przyniosę herbatę z kuchni. James, zaprowadź żonę do jadalni.

* * *

- Czy Jason pokazał ci te piękne, szokujące rzeźby w ogrodzie? Oczy Judith rozbłyły na pytanie Corrie, ale rozejrzała się dookoła, czy są same, zanim wyszeptła:

- Mówisz o tych pięknych, szokujących rzeźbach, które wyglądają, jakby świetnie się bawiły? Corrie się zaśmiała.

- Tak. - Przysunęła się bliżej. - Która podobała ci się najbardziej? Żadna z nich się nie zarumieniła.

- Ta, na której mężczyzna całuje kobietę w bardzo intymny sposób.

Corrie przełknęła ślinę.

- Ach, cóż za niesamowity zbieg okoliczności. Jest tam co najmniej piętnaście rzeźb, a nam podoba się ta sama. Tak, to jest także moja ulubiona. Nie była, zanim nie poślubiłam Jamesa, ale - o Boże, to chyba jest niestosowne, prawda? Cóż, chodzi o to, że nie bardzo wiedziałam, co robi mężczyzna na posągu i co to znaczy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Teraz już wiem, co masz na myśli - powiedziała Judith, po czym spuściła głowę. - Ponieważ Jason mówi wszystko Jamesowi, więc pewnie wiesz, że w nocy przyszedłam do sypialni Jasona i uwiodłam go, ale faktem jest, że...

- Faktem jest, że gdybym tylko mogła, sama chciałabym się zamknąć z Jamesem w jakimś przytulnym pokoju. Ty i Jason wkrótce będziecie małżeństwem. - Corrie pochyliła się w jej stronę. - Prawda jest taka, że nigdy nie było okazji, a James nigdy nie dał mi żadnego znaku. - Odchyliła się do tyłu, uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

- Będziesz obok mnie, Corrie?

- Z przyjemnością. Ślub odbędzie się niebawem czy twoja ciotka Arbuckle będzie nalegać na długie narzeczeństwo i mnóstwo gości na ślubie?

- Chciałabym, żeby odbył się wkrótce. - Judith zarumieniła się. Przycisnęła dłonie do policzków.

- O Boże, ciągle myślę o tym, że siedzę na łóżku Jasona, a on stoi przede mną całkowicie nagi. Wygląda tak cudownie.

- Ojej - powiedziała Corrie.

- To było niesamowite. Corrie czuła się zawstydzona i grzeszna, cudowna mieszanka, ale

wiedziała, że w każdej chwili ktoś może wejść, a nie chciała teraz spotykać się z Jasonem, po tym, jak usłyszała o jego nocnej randce z Judith. Chrząknęła.

- Opowiedz mi, jak moja teściowa dała wreszcie nauczkę tej starej wiedźmie. Kiedy James dołączył do nich po kilku minutach, obie śmiały się w głos.

Ucieszył się na ten widok i uśmiechnął, mówiąc:

- Przyszedłem po was. Ojciec chce wam powiedzieć, gdzie są rozstawione stráže, żeby nikt nie został postrzelony. - Zamilkł na chwilę. - A, chce również wiedzieć, czy któraś z was ma jeszcze jakieś pomysły, chociaż twierdzi, że ty, Corrie, musisz być niespełna rozumu, skoro opowiadasz, że widziałaś Białą Damę. Jednak postanowił nie spuszczać mnie z oczu, więc chyba się przejął słowami zjawy. Corrie zerwała się na równe nogi.

- Tak, chcę usłyszeć, co twój ojciec ma do powiedzenia. Ilu jeszcze jest strażników?

- Jeszcze dwóch.

- Nie powiedział mi w twarz, że jestem niespełna rozumu. Myślisz, że zamierza to zrobić?

- Mój ojciec to wspaniały dyplomata. Jesteś jeszcze za krótko w rodzinie, żeby cię krytykować. Jednak, jak się nad tym zastanowię, to mój ojciec jest tak samo złośliwy, jak ty. - Podał każdej z dziewcząt ramię. Lady Arbuckle była nieobecna, Judith wytłumaczyła, że ciotka odpoczywała w swojej uroczej sypialni, popijając herbatę i jedząc tosty.

Była tam Annabelle Trelawny, jak niemal każdego dnia. Ale dzisiaj w jej słodkim uśmiechu czaił się niepokój.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu moja obecność, panie, ale William uważa, że mam bystry umysł. Chciał sprawdzić, czy mogę być pomocna. A jeszcze ten sen Corrie.

- To nie był sen - odezwała się Aleksandra.

- Ha - rzucił Douglas.

- Najważniejsze w tym jest - powiedziała Corrie, pochylając się do przodu i składając ręce na kolanach - że Biała Dama wyraźnie dała mi do zrozumienia, iż to James jest w niebezpieczeństwie. A potem zniknęła.

- To dlaczego strzelano do mnie? - spytał Douglas.

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie, sir.

- To oczywiste, że przyszła do ciebie, skoro jesteś żoną Jamesa - powiedziała Aleksandra. - Nie oznacza to, że nie troszczy się o Douglasa, ale skoro jesteś żoną Jamesa, ty musisz teraz się o niego troszczyć.

- Ciekawe, dlaczego nie powiedziała, kto za tym wszystkim stoi. Nikt nie znał na to odpowiedzi.

- Czasami myślę, że są rzeczy, których ona nie wie. Innymi słowy, duchy nie są wszystkowiedzące - zawyrokowała Aleksandra.

- Ale wiedziała, że porwał cię Georges Cadoudal - odezwał się Douglas, po czym zrobił taką minę, jakby chciał się zastrzelić. Zamknął się w sobie i nie odezwał już ani słowem. Annabelle zmarszczyła brwi.

- Chyba każdy młody człowiek pragnąłby zabić ludzi, których uważałby za winnych śmierci swojego ojca.

- Słuszna uwaga, pani Trelawny, ale Georges i ja nie byliśmy wrogami; nie miałem nic wspólnego z jego zabójstwem. Jego syn z pewnością to wie. Ale najwyraźniej nie ma to znaczenia - powiedział Douglas.

- A teraz jeszcze James znalazł się na tej liście. Dlaczego, na Boga, syn Georges miałby chcieć

zabić Jamesa? Muszą być mniej więcej w tym samym wieku. Nigdy się nie spotkali. Rozmowa trwała, dopóki nie rozległo się chrząknięcie Hollisa.

- Kucharka przygotowała posiłek. Jaśnie państwo zechcą udać się do jadalni.

- Ach, Williamie - odezwała się Annabelle, kiedy Hollis jej pomagał - jesteś takim doskonałym mówcą. Wellington powinien cię błagać, żebyś zajął się tymi okropnymi Francuzami. Możesz sobie wyobrazić, że znowu się buntują?

- O tak - odparł Hollis. - Francuzi muszą walczyć przeciwko sobie; muszą walczyć przeciwko innym. Kłótność i upór mają we krwi.

ROZDZIAŁ 36

Diabeł wchodzi na dzwonnice pod sutanną księdza.

(Thomas Fuller)

Był koniec listopada. W Anglii, o czym wiedziała Corrie, oznaczało to przejmujące zimno, porywisty wiatr zrywający czepki z głów, wszechobecną wilgoć, od której bolały kości.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj, przynajmniej w południowej Anglii, słońce świeciło jasno, a na błękitnym niebie pojawiło się tylko kilka pierzastych obłoków. Nie było mgły ani wiatru, a płuca wypełniało jedynie rześkie powietrze.

- Po prostu niesamowite - powiedziała Corrie do jednego z psów myśliwskich, który towarzyszył jej do stajni, gdzie James, Jason i chłopcy stajenni oswajali nową klacz dla Bad Boya.

W kieszeni chowała małego derringera, którego mąż kupił jej dwa dni wcześniej. Ćwiczyła strzelanie, a James wczoraj po południu przyznał, że miała do tego talent. Najwyraźniej rozzłościło go to, co wywołało na jej twarzy złośliwy, pełen satysfakcji uśmiech, na co James chwycił ją w ramiona i zaczął obracać, aż zakręciło się jej w głowie; śmiała się w głos. Potem zaniósł ją do małego zagajnika i położył na swojej kurtce obok jodły. Ach, to było takie przyjemne. Było trochę zimno. I co z tego?

Corrie uśmiechała się, przyspieszając kroku. Usłyszała rzenie klaczy i wierzganie Bad Boya. Podeszła do padoku, oparła ramię o ogrodzenie i rozejrzała się za Jamesem.

Od razu zobaczyła, że to nie był James, tylko Jason. Jak mogła nie poznać, mimo że stał od niej o dziesięć metrów i oglądał przednie kopyto Bad Boya?

Gdzie był James? Powinien być tutaj. Ale wtedy dotarło do niej i serce jej zamarło. Był w niebezpieczeństwie.

Krzyknęła:

- Jason! Gdzie jest James?

Jason opuścił kopyto Bad Boya i podszedł do niej.

- Dzień dobry, Corrie. Spodziewałem się Jamesa już dawno. Pewnie przegląda z ojcem jakieś dokumenty w gabinecie. W końcu tu przyjdzie. Zostań, Corrie, James by tego chciał. Była rozdarta. James przyjdzie tutaj. Dobrze, poczeka na niego. Usadowiła się na ogrodzeniu padoku. Minęły dwie minuty.

- Nie mogę. Coś się stało. - Jason, który już odetchnął z ulgą, zamarł. Powiedziała za jego plecami: - Wybacz, Jasonie, ale się niepokoję. Pójdę go poszukać. Boję się. Ty również powinieneś być ostrożny. Ten człowiek, który poluje na Jamesa, może nie wiedzieć, że ty to nie on. Jason uściskał jej ramię.

- Tak, wiem i dobrze cię rozumiem. Będę wśród ludzi. Ale wolałbym, żebyś została tutaj, gdzie spodziewa się ciebie James. Zapewne nadal jest w domu; kiedy przyjdzie, przyprowadzi Judith. -

Uśmiechnął się do Corrie, która wciąż siedziała na ogrodzeniu. - Skoro zostanie żoną hodowcy koni, powinna wiedzieć, o co w tym chodzi. - Po czym ujął jej dłonie i przytulił do torsu. - Proszę, Corrie. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

- Ale nie możesz tego wiedzieć, ty...

- Ach, przyjechała pani Trelawny swoim eleganckim landem. Wybornie. Nie ruszaj się, Corrie, i przestań się zamartwiać. - Poklepał ją i krzyknął: - Lovejoy, zobaczmy, jak sprawuje się klacz. Właśnie tak, wyprowadź ją powoli, POWOLI! Dobrze, świetnie. Teraz ją przytrzymaj. Bad Boy bardzo pragnął klaczy. Jason owinał przednie kopyta Bad Boya bawełnianymi pończochami, żeby jej nie poranił. Corrie poczuła w swojej kieszeni derringera i poczuła się pewniej. Przyglądała się drżącym koniom bez zainteresowania, cały czas nasłuchując głosu Jamesa. Gdzie on, u diabła, był? Może był z Judith? Podniosła głowę i zobaczyła, że Jason wyciąga zegarek z kieszeni, mówi coś do Lovejoya, potem rusza w jej kierunku. Przysięgłaby, że na jego twarzy malował się niepokój, ale kiedy na nią spojrział, już tego nie dostrzegła.

- Mam spotkanie z jednym z łowców z Bow Street. Zostań tutaj, James przyjdzie po ciebie, mówię poważnie. To ważne, żebyś tutaj została, Corrie. Widziała, że prawie biegł w stronę dworu. Coś było nie tak, i to bardzo.

Miała tu zostać? Dlaczego, na Boga?

* * *

Douglas uniósł głowę, słysząc delikatne pukanie do drzwi gabinetu. Zawahał się tylko przez moment, zanim zawołał:

- Proszę. Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich uśmiechnięta twarz Annabelle Trelawny.

- Och, proszę mi wybaczyć, panie. Szukam swojego drogiego Williama. - Weszła do pokoju i rozejrzała się. - Ojej, proszę mi nie mówić, że jest pan tutaj sam?

- Proszę wejść, Annabelle. Tak, jestem sam.

- Sądziłam, że William może być z panem. Bardzo pana ceni i lubi przebywać w pana towarzystwie.

- Ja również lubię przebywać w jego towarzystwie. Nie dostała pani mojej wiadomości, Annabelle? Wysłałem do pani chłopaka kilka godzin temu z informacją, że Hollis załatwia dziś dla mnie kilka spraw. Nie sądziłem, że będzie pani chciała nas odwiedzić podczas jego nieobecności.

- Jakie sprawy dla pana załatwia, sir? Nawet jeśli Douglas uznał to pytanie za bezczelne, nie dał tego po sobie poznać.

- Pewne informacje mają dotrzeć do Eastbourne. Sądzę, że mogą odpowiedzieć na większość naszych pytań. Przykro mi, że Hollis jest nieobecny, Annabelle.

- Jednak błagam, aby nie umniejszał pan własnego uroku, panie.

- Mojego uroku, Annabelle? Z kieszeni peleryny wyciągnęła pistolet do pojedynków.

- Prawdę mówiąc, bardzo się cieszę, że nie ma tu Hollisa. Zawadzałby tylko, próbowałby cię uratować, i kto wie? Może musiałabym go zastrzelić. Ulżyło mi. - Uśmiechnęła się do niego. - Dziękuję ci także za to, że przysłałeś chłopaka z informacją. Wiedziałam, że wkrótce wszystko się zakończy, ale nie nadarzała się ku temu sposobność. Ale teraz wszystko jest tak, jak sobie życzyłam. Williama nie ma, Aleksandra pojechała odwiedzić lady Maybellę, a Jason jest zajęty na padoku. Teraz jesteśmy tylko ty i ja. Teraz to się stanie. - Zerknęła przez uchylone drzwi, potem odwróciła się do niego. - Nie, panie, nie ruszaj się. Jestem dobrym strzelcem. Sądziłam, że jesteś coraz bliżej, może nawet szykujesz dla mnie pułapkę, panie, ale oto proszę, zaatakowałam cię, zanim zdążyłeś się

przygotować. Douglas usiadł na krześle, z rękoma za głową.

- Wszystkich nas nabrałaś, madam. Masz wyjątkowy talent.

- Mówisz tak, bo to ty zostałeś oszukany, panie.

- Powiedz mi, Annabelle. Czy coś z twoich opowieści o pannie Plimpton, którymi raczyłaś moją żonę, było prawdą? Zaśmiała się.

- Ach, ukochana panna Plimpton. Oczywiście nigdy jej nie spotkałam, ale podejrzewam, że tego się domyśliłeś, prawda?

- Tak, szkoda. Nie skłamałem. Cieszę się, że nie ma tu Hollisa. Jego również oszukałaś. Douglas spojrział na nią z taką pogardą, że krzyknęła:

- Musiałam wykorzystać staruszkę! Nie było nikogo innego, dzięki komu mogłabym wejść do tego przeklętego domu.

- Bardzo dobrze ci poszło. Jesteś Angielką. W jaki sposób możesz być spokrewniona z Georgesem Cadoudalem?

- Jego żona, Janinę, była moją siostrą, no, przyrodnią siostrą, tak naprawdę. Moja matka była Angielką, a ja wychowałam się w Surrey. Dała mi na imię Marie, ponieważ uważała, że ten bezużyteczny Francuz, który był moim ojcem, będzie zadowolony i może zostawi dla niej żonę. Do Francji pojechałam na kilka miesięcy przed śmiercią Janinę. Zająłam się Georgesem i dziećmi.

- Jak się nazywasz?

- Marie Flanders. Moja droga głupia matka zdołała zdobyć czepki wszystkich zamożnych dam w Middle Clapton. Nędzna egzystencja. Zmarła o wiele za wcześnie, nie pozostawiając niczego po sobie.

- Dlaczego chcesz mnie zabić, madam?

- Zamierzam cię zabić, ponieważ zdradziłaś moją siostrę. Zgwałciłaś ją, zrobiłaś jej dziecko, a potem ją porzuciłaś. Douglas wstał powoli i powiedział, opierając dłonie na biurku:

- Wiesz, że to bzdura, Annabelle. Dlaczego tak naprawdę chcesz mojej śmierci? Powiedz prawdę. W końcu zamierzasz mnie zabić. Jakie to ma teraz znaczenie? Obdarzyła go cudownie ciepłym uśmiechem. Pochyliła się ku niemu, szepcząc:

- Żadnego, panie. Chcesz znać prawdę? Chodzi o pieniądze, panie, twoje pieniądze, o twój dom i tytuł. Oczywiście ktoś chciał to zakamuflować, przedstawić motyw zemsty, słusznej zemsty, skoro zwykła chciwość wydaje się żalosna i prostacka. Ach, wreszcie przyszła. Najwyższy czas. - Marie nieznacznie obróciła głowę. - Wejdz, kochanie. Judith McCrae wśliznęła się przez uchylone drzwi i zamknęła je cicho.

- Sprawdziłam, ciociu Marie. Nikogo nie ma w domu, poza kilkoma służącymi. Wszyscy oglądają parzące się konie. Też powinnam tam być, ale nie będę musiała znosić tego ohydneho widowiska. - Kiedy mówiła, Douglas powoli przeszedł wzdłuż biurka i stanął przy półkach z książkami.

- Halo, jasnie panie, z wyrazu twojej twarzy wnioskuję, że nie jesteś bardzo zaskoczony. Douglas zrobił kilka kroków w kierunku kanapy, jakby zamierzał usiąść.

- Nie, nie jestem zaskoczony. Miałem nadzieję, że się mylę, że względu na mojego syna. Nikt nie wspomniał twojego imienia, ale ja wiedziałem, że będę musiał to zrobić. Chciałaś, żeby mój syn wpuścił cię do tego domu, tak samo jak Hollis wpuścił twoją ciotkę, i udało ci się go omotać, co nie udało się żadnej innej młodej damie.

- Nie było to trudne. Jason jest mężczyzną, panie, tylko mężczyzną.

- I brałaś udział we wszystkich naszych spotkaniach, znałaś nasze przemyślenia i plany. Moja żona była gotowa przyjąć cię do rodziny. Wiesz, że powiedziała mi, iż jest szczęściarą, skoro będzie

miała dwie takie wspaniałe synowe. Po raz pierwszy Douglas dostrzegł podobieństwo między córką i ojcem, a może tylko chciał je zobaczyć. Jej oczy były zimne i pociemniałe z wściekłości i determinacji.

- Widziałam, jak poklepujesz Jasona po plecach, wiedząc, że spał ze mną w nocy. Miałam wtedy ochotę wbić ci nóż prosto w serce. Marie Flanders, patrząc na zamknięte drzwi, rzuciła:

- Do diabła, powinnam domyślić się wcześniej. Jego lordowska mość szykował pułapkę zeszłej nocy. Nie ma żadnych informacji w Eastbourne, prawda?

- To nieważne. Jest takim samym głupcem, jak jego syn. Nie ma żadnej pułapki. Mylisz się, ciociu Marie.

- Nie, nie mylę się. Jak sądzisz, dlaczego dopytywał się o lady Arbuckle? Chciał nas skłonić do działania. A tak wiadomość, którą mi dzisiaj przysłał, że Hollisa nie będzie w domu. Chciał mnie w ten sposób zwabić, zmusić do działania. Judith potrząsnęła głową.

- Przeceniasz go. Prawda jest taka, że nie zwracałam uwagi, co mówił, bo musiałam skupić się na Jasonie, żeby nie zaczął czegoś podejrzewać. Czy wiesz, panie, że tak naprawdę wołałam Jamesa. Ale Corrie już go złapała. Douglas nie spuszczał wzroku z kobiet.

- James nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki... cóż, to nie twoja sprawa, prawda?

- Nie i nie obchodzi mnie to. Ciociu Marie, jestem znudzona. Chcę to już zakończyć. Nie chcę zabijać nikogo ze służby. Byli dla mnie całkiem mili, więc zrobimy to tutaj, a potem wymkniemy się do ogrodu.

- Obie będziecie musiały odpowiedzieć za wiele rzeczy.

- Nawet jeśli, to ciebie już przy tym nie będzie.

- James, Ollie, dajcie znak swoim ludziom. Możecie już wyjść - zawołał Douglas. Ale James nie wyszedł ze swojego stanowiska za szklanymi drzwiami. Ollie Trunk również nie.

Tylko Jason wkroczył do gabinetu, z pistoletem zwisającym w dłoni.

- James zagiął, ojciec. Douglas spojrzął na Judith.

- Gdzie jest mój syn?

- Cóż, mój panie, jest z moim drogim braciszkiem.

* * *

James czuł smużkę krwi na twarzy. Bolała go od uderzenia głowa, ale myślał jasno. Przed sobą zobaczył młodego człowieka, którego nigdy wcześniej nie widział, który był wysoki i dobrze zbudowany, miał ciemne oczy i włosy, i ten młody człowiek chciał go zabić.

James potrząsnął głową i zaczął się podnosić.

Mężczyzna powiedział:

- Nie, zostań tam, gdzie jesteś. O, widzę, że już się pozbierałeś. - Wstał, podszedł do Jamesa i stanął nad nim. - Witaj, bracie, to taka przyjemność wreszcie cię spotkać. James spojrzął na niego, dostrzegł w jego lewej ręce pistolet wycelowany w jego pierś.

- Dobrze się ukrywałeś. Jesteś synem Georgesa Cadoudala, prawda? Mieliśmy rację.

- Tak, był moim ojcem, przynajmniej oficjalnie. W tym momencie James wiele rozumiał, ale nadal nie miało to żadnego sensu.

- Najwyraźniej wierzysz, że mój ojciec cię spłodził. Nie byłeś zbyt wyrefinowany, używając nazwiska Douglas Sherbrooke. Jak się naprawdę nazywałeś?

- Douglas Sherbrooke jest całkiem prawdziwe.

- Jak to się stało, że uwierzyłeś, iż jesteś synem mojego ojca? Jak przyjąłeś jego imię?

- Przyjąłem moje prawowite nazwisko, kiedy przyjechałem do Anglii, żeby zabić ciebie i tego niegodziwego drania, który mnie spółdził. Uznałem, że przyjęcie jego nazwiska będzie sprawiedliwe.

- Jak się naprawdę nazywasz? Młody mężczyzna wżruszył ramionami, ale nawet na chwilę nie spuścił wzroku z twarzy Jamesa i pistoletu wycelowanego w jego pierś.

- Ojciec i przyjaciele we Francji nazywali mnie Louis. Louis Cadoudal. Wiesz, że mój ojciec zmarł jako szaleniec? James potrząsnął głową.

- Wiedzieliśmy, że został zamordowany.

- Tak, zabójca go zastrzelił i wszyscy wierzą, że zmarł z tego powodu, ale jego umysł już wcześniej był zepsuty. Tylko kilka osób o tym wiedziało. W czasie napadów szau mówił o tylu rzeczach, o tym, jak twój ojciec zgwałcił moją matkę; a potem krzywił się i mówił, że nie było żadnego gwałtu. Oczywiście przemawiało przez niego szaleństwo. Ale uświadomiłem sobie prawdę, kiedy zobaczyłem twojego ojca. Naszego ojca. Nie uważasz, że jestem do niego podobny, bracie? Ani ty, ani twój brat bliźniak nie jesteście do niego podobni, aleja tak. Jestem jego pierworodnym synem, nie ty, i wyglądam jak jego syn.

- Nie, nie wyglądasz - odparł spokojnie James. - Oszukujesz sam siebie. Jesteś tak samo jak on śniady i wysoki, ale to wszystko. - James wiedział, że nie może stracić kontroli, że musi być gotowy.

- Założmy, że mój ojciec cię spółdził, Louis...

- Zrobił to, do cholery!

- Dobrze, nawet jeśli jest twoim ojcem, nie ma to żadnego znaczenia, jeśli chodzi o dziedziczenie. Ja jestem pierworodnym, prawowitym synem, więc pytam, dlaczego chcesz mnie zabić? Nic przez to nie zyskasz, poza stryczkiem na szyi.

- Och, że też mój brat może być taki głupi. Zyskam dzięki temu wszystko. Widzisz, na początku zamierzałem zabić twojego ojca za to, co zrobił mojej matce, ale potem uznałem, że to nie wystarczy, jeśli go zabiję. Ograbił mnie z mojego prawowitego życia. Moja ciotka załatwiła dokument, który pokazuje, że nasz ojciec i moja matka pobrali się, zanim on ożenił się z twoją matką. Wszystko to jest legalne. Ja będę hrabią Northcliffe, nieprawdopodobnie bogatym, i to będzie sprawiedliwe.

- Nie, to będzie morderstwo. Mój ojciec nie zgwałcił twojej matki. Uratował ją z rąk francuskiego generała, człowieka, który oddał ją swoim kumplom. Przywiózł ją do Anglii, do twojego ojca. To była umowa, którą Georges Cadoudal i mój ojciec zawarli. Mój ojciec nigdy nie był związany z twoją matką.

- Niezła bajeczka. Zrób z mojej matki dziwkę, która spała z tuzinem facetów.

- Została zgwałcona. Słuchaj mnie.

- Nie. Założę się, że ty i twój brat kupiliście tę bajeczkę, co? Ale to wszystko kłamstwo. Mój ojciec powiedział...

- Sam powiedziałaś, że twój ojciec był szalony, że mówił jedno, a potem się z tego wycofywał. To prawda, że początkowo sądził, iż to mój ojciec zgwałcił twoją matkę, ale później, kiedy wszystko zostało wyjaśnione, przyznał, że się mylił, zwłaszcza że twoja matka wyznała mu, że nie wie, z kim jest w ciąży, bo zgwałciło ją wielu mężczyzn.

- Chcesz, żebym uwierzył, że nie wiadomo, kto mnie spółdził? Ty zapluty kłamco! Do diabła z tobą. Nikt nie zgwałcił mojej matki, poza twoim cholernym ojcem. Zanim zmarła, powiedziała mojej ciotce - swojej siostrze - że to wszystko była prawda, że zgwałcił ją tylko hrabia Northcliffe i ja jestem jego synem. Boże, z rozkoszą cię zabiję.

- Ta twoja ciotka - ona skłamała. Ach, niech zgadnę, jak się nazywa. To Annabelle Trelawny? Louis się zaśmiał.

- Rzeczywiście jest moją ciotką, jak ja jestem synem mojego ojca. Zostanę następnym hrabią Northcliffe. Zasluguję na to. To będzie sprawiedliwe. - Uniósł pistolet.

ROZDZIAŁ 37

Judith, tylko nie Judith. Ale słyszał straszne słowa, które wyszły z ust kobiety - z ust Judith, wszystkie szczegóły, i zrozumiał je, ale nie był w stanie zaakceptować. Jej zimny, beznamiętny ton, derringer wycelowany w pierś ojca, sprawiły, że skupił się, że się wściekł. Domyślili się, że Annabelle Trelawny była zamieszana, ale Judith? Spojrzał na ojca i zrozumiał, że on już wcześniej zaczął podejrzewać Judith, ale nic nie powiedział, nawet wtedy, gdy spotkali się we trzech ostatniej nocy.

Stała niecałe trzy metry od jego ojca. Dlaczego ojciec wyszedł z za biurka? Oczywiście znał odpowiedź. Spodziewał się, że James i Ollie czekają za zasłonami, skrywającymi szklane drzwi do ogrodu, nie spodziewał się jego.

- Wejdz, Jasonie - powiedziała Marie. - Nie, nie mogę was z Jamesem odróżnić, ale skoro mój siostrzeniec ma Jamesa, więc ty musisz być Jasonem. Rzuć broń, chłopcze, bo zastrzelę twojego ojca. Mój drogi Louis zdzielił Jamesa pałką w głowę i zaciągnął go na tył stajni. Pewnie już nie żyje.

- Nie - powiedział Jason. - Mój brat żyje. Judith spojrzała na niego, ale nie przestała celować w jego ojca.

- To jakieś porozumienie między bliźniakami?

- On żyje.

- Już niedługo. Mój brat jest najsilniejszym człowiekiem, jakiego znam. Długo czekał na ten dzień. Jest gotowy - powiedziała Judith i uśmiechnęła się. - Chcę ci podziękować, że mnie tutaj zaprosiłeś, żebym poznała twoją rodzinę, Jasonie. Prawda jest taka, że nigdy nie chciałam tu przyjeżdżać; chciałam tylko zabić twojego ojca i zniknąć, ale zawsze otaczali go jacyś ludzie. - Zwróciła się do Douglasa. - Nawet tutaj, w tym przeklętym domu, twoja żona nie opuszczała cię na krok aż do dziś. Cóż, ja nie jestem słabą, rozhisteryzowaną kobietą, panie. Zażądałam, żebym to ja mogła cię zabić, chociaż mój brat nie chciał zrezygnować z tej przyjemności. Ach, Jasonie, czyżbyś chciał się na mnie rzucić? Jeśli tylko drgniesz, zastrzelę twojego ojca. Czy byłeś zaskoczony, Jasonie, gdy obudziłam cię pocałunkami?

- Wiesz, że tak.

- Sądziłam, że do mnie przyjdiesz, ale ta stara jędza, lady Arbuckle, powiedziała, że w domu swojego ojca nigdy nie pójdziesz do łóżka z kobietą, która nie jest twoją żoną. Wiedźma powiedziała mi, że gdybym była dobrze wychowana, to wiedziałabym o tym.

- Nie, to nie przyszłabyś do mnie.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego przyszłam do twojej sypialni?

- Byłam na tyle głupi, żeby uwierzyć, że ci na mnie zależy.

- Biedny chłopcze, naprawdę w to wierzyłeś? Początkowo wybrałam Jamesa, ale Corrie weszła mi w paradę, a nie chciałam jej zabijać. Sądziłam, że udało mi się cię zauroczyć, ale wtedy lady Arbuckle - ta okropna stara baba - powiedziała mi, że jesteś nieokrzesany, nie tak honorowy jak twój brat i że masz kochankę. Powiedziała, że flirtujesz z młodymi damami, rozkochujesz je w sobie,

sprawiasz, że wierzą, że się z nimi ożenisz, a potem je zostawiasz. Ze mną nie miało tak być. I dlatego przyszedłam o północy do twojej sypialni. Wiedziałam, że jeśli zabierzesz mi dziewictwo, będziesz czuł się zobowiązany do małżeństwa, więc wygram. Byliśmy przecież w domu twojego ukochanego ojca, prawda? Młodemu dżentelmenowi, bez względu na jego upodobania, nie mogło ująć płazem uwiedzenie dziewicy. A to oznaczało, że mogłam tu zostać jak długo chciałam, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

- Kochałem cię, Judith, i gotowy byłem poprosić cię o rękę. To, co powiedziała lady Arbuckle, nie było prawdą. Jak sądzisz, dlaczego powiedziała ci o mnie takie rzeczy? - James mówił do dziewczyny, której piękne oczy były teraz zimne jak lód. Judith roześmiała się.

- Nie mam teraz wątpliwości, że ta starucha próbowała cię chronić; z pewnością miała nadzieję, że zrezygnuję z zamiaru usidlenia cię, skoro jesteś takim niestałym łotrem, a to oznaczałoby, że byłbyś dla mnie bezużyteczny. Więc zrobiłam to, co musiałam. Przyznaję, że nie było to trudne. Chyba powinnam ukarać lady Arbuckle za jej zdradę. Jesteś tak samo honorowy, jak twój brat.

Douglas odezwał się, przykuwając jej uwagę: Chcesz, bym uwierzył, że twój brat planuje zabicie mojego syna? O tak - odparła Marie. - Jak powiedziała ci Judith, on jest gotowy. Kochanie, powiedziałam lordowi, dlaczego to robię i dlaczego wymyśliłyśmy tę historię dla Louisa. Biedny chłopiec, zawsze był taki uczuciowy, pragnął pomścić swoją ukochaną matkę, wierząc, że jest prawowitym spadkobiercą hrabiego Northcliffe.

Tak - odezwała się Judith. - Powiedziałam mu nawet, że jego dusza cierpiałaby, gdyby zabił swojego ojca. Uwierzył mi. Douglas odsunął się trochę od Jasona. Czy Louis jest na tyle głupi, aby uwierzyć w te kłamstwa? Nie jest głupi, do cholery! Prawda jest taka, że to ja chciałam cię zabić. Już mam tego dosyć. Jasonie, nie miałeś być w to zamieszany. Przykro mi, ale ułatwi to sprawę Louisowi, kiedy zażąda dla siebie tytułu hrabiego. Oboje się oszukujecie. Prędzej Anglia zniknie pod wodą, niż Louis Cadoudal zostanie hrabią Northcliffe.

O, zostanie, Jasonie. Zostanie. - Marie uśmiechała się, unosząc derringera. Dlaczego wplątałaś w swój plan dwoje niewinnych dzieci, Marie? Chciałaś czegoś, co nie należało do ciebie, byłaś zgorzkniała, ponieważ byłaś bękartem, a twoja matka cierpiała nędzę. Dostrzegłaś swoją szansę i postanowiłaś ją wykorzystać - odezwał się szybko Douglas.

Uważasz się za sprytnego, mój panie. Kiedy dowiedziałam się, jak Janinę była z tobą związana, gdy wreszcie mi wyznała, że okłamała Georgesę, wtedy zaczęłam się zastanawiać, co mogłoby z tego wyniknąć. Tylko głupiec nie zaryzykowałby, gdy w grę wchodziła tak wysoka stawka. Douglas znowu spojrzał na Judith.

- Sprawiała, że chciałaś zostać morderczynią. Jeszcze możesz powstrzymać to szaleństwo, Judith.

- Przykro mi to mówić, panie, ale natychmiast się zgodziłam, gdy przedstawiła mi swój plan. Czy jestem zła? O tak, tak sądzę. Miała piękny uśmiech, a w jej oczach błyszczała inteligencja i spryt. Ale było coś jeszcze. Jason zobaczył to teraz wyraźnie, zobaczył w niej ciemną otchłań, za którą nie było nic. Poczul ukłucie w sercu.

- Nigdy nie umiałam was odróżnić, w przeciwieństwie do Corrie. Nie ruszaj się. Bardzo dobrze strzelam, tak samo jak moja ciotka. Twój plan mógłby się powieść, gdyby James był tutaj, i ten śmieszny tropiciel z Bow Street. Jason spojrzał ojcu w oczy i kiwnął głową, tylko tyle.

- Więc lady Arbuckle jest kolejną ofiarą?

- Cóż, nie jest moją prawdziwą ciotką. Tylko spójrz na tę jej paskudną gębę. Żeby zmusić ją do współpracy, mój brat i dwóch jego kompanów zajęli ich dom, Lindsay Hall w St. Ives. Miała

wprowadzić mnie do londyńskiego towarzystwa, żebym mogła cię poznać. W zamian za to jej mąż miał pozostać przy życiu. Uczciwa transakcja, nie uważasz?

- A czy lord Arbuckle żyje?

- Nie wiem - odparła.

- Kazowała lady Arbuckle, żeby trzymała się z dala od naszej rodziny, prawda? Dlatego nie wychodziła ze swojej sypialni - powiedział Douglas do Judith, odsuwając się nieznacznie od Jasona.

- Tak, panie. Już nie jest mi potrzebna. Jest przy mnie moja prawdziwa ciotka, obie zostałyśmy już zaakceptowane przez waszą rodzinę. Annabelle Trelawny - cóż za idiotyczne imię, ale uważała, że Hollisowi wyda się romantyczne, i tak było, cóż za żalosny starzec.

- Nie jest taki żalosny, Judith - odezwała się Marie. - Nadal ma prawie wszystkie zęby.

Judith roześmiała się pogardliwie, a Jason poczuł, że jego cierpienie i strach zamieniają się we wściekłość. Był zły za Hollisa, dobrego i honorowego człowieka.

Jason chciał się na nią rzucić, zacisnąć ręce na jej szyi i wycisnąć z niej ostatni oddech, ale ojciec chwycił go za ramię i powstrzymał.

- Zabawnie było obserwować, jak kręcicie się w kółko, wiedzieć, że w każdej chwili mogę was otruć, ale Judith chciała cię zabić, więc co mogłam zrobić? Nie ruszaj się, mój panie, bo nawet jeśli ona nie trafi, ja trafię na pewno - powiedziała Marie.

- Chcesz wiedzieć, co widzę, madam? Widzę młodą dziewczynę, która chce czegoś, co do niej nie należy, i jest gotowa za to zabić, młodą dziewczynę, która stała się potworem, takim jak ty, jej ciotka. Czy Georges kiedykolwiek cię przejrzał? - spytał Douglas.

- Tak, ale nie miało to znaczenia. Szaleństwo zamieniło go w żalostną istotę. Jakoś się trzymał, przypominając sobie jakieś skrawki, opowiadając Louisowi rzeczy, o których chłopak nie powinien wiedzieć. Nie kosztowało mnie wiele wynajęcie człowieka, który go zabił. Judith najwyraźniej nie przeszkadzało, że ciotka zabiła jej ojca.

- Dostyc tego! Nie zamierzam zabijać wszystkich w tym domu. Muszę cię zastrzelić, panie. - Rzuciła Jasonowi spojrzenie. - I obawiam się, że ciebie również, Jasonie. Szkoda. Naprawdę jesteś pięknym chłopakiem.

* * *

Louis Cadoudal był silnie wzburzony. James czuł paraliżujący strach, czuł tłukące się w jego piersi serce; nie chciał umierać; nie chciał opuszczać swojej rodziny, nie chciał opuszczać Corrie. W tej chwili miał przed oczami twarz Corrie, zobaczył, jak się do niego uśmiecha, dotyka go, całuje. Kochała go od zawsze, ale teraz kochała go jak kobieta mężczyznę. A on oddałby za nią życie, zawsze tak było. To dotarło do niego tak nagle, ta świadomość, że bez niej nie chciałby dłużej żyć. I wiedział, że gdyby coś mu się stało, ona by tego nie przeżyła.

James poczuł ogarniający go spokój i determinację. Nie zamierzał opuszczać Corrie. Wiedział, że musi zapanować nad tym szaleńcem, a to oznaczało, że Louis powinien cały czas mówić. Odezwał się od niechcienia:

- Wiesz, Louis, twój angielski jest bardzo dobry. Jak ci się to udało? - Kiedy to mówił, jego palce przetrząsały leżące na ziemi siano w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu pomóc, czegokolwiek. Na szczęście sztuczka się udała. Louis Cadoudal wziął głęboki oddech, rumieniec na jego twarzy trochę zbladł, i chłopak nawet się roześmiał.

- Po śmierci ojca pojechaliśmy do Hiszpanii. A później do Irlandii. Miałem nawet angielskiego guwernera. Oddzieciństwa uczyłem się mówić w waszym idiotycznym języku bez akcentu. Jeśli

chcesz wiedzieć, to ojciec miał bogatych irlandzkich kuzynów. Mój biedny ojciec tak bardzo chciał przejść do historii jako człowiek, który pozbył się Napoleona. Ale nie udało mu się. Uwielbiał Anglików, chciał, żebym został angielskim dżentelmenem, i wygląda na to, że niebawem tak się stanie.

- Nie sądzę. Wszyscy o tobie wiedzą, Louis. Jak możesz wyobrażać sobie, że zabijesz mnie i mojego ojca, przedstawiś sfalszowaną metrykę ślubu w urzędzie, a wszyscy przyjmą cię z otwartymi ramionami?

- Wy, Anglicy, jesteście tacy arogancy. Uważasz mnie za głupca? Zabiję ciebie i twojego ojca, a potem po prostu zniknę. Nie wrócę przez kilka lat, ale kiedy już się pojawię, będę miał świadków, że cały czas przebywałem we Włoszech i że dopiero niedawno odkryłem metrykę ślubu w starym kufrze matki. Pewnie niektórzy zaczną mnie podejrzewać, ale nie będzie żadnych dowodów. Twój brat, Jason, będzie hrabią. Oczywiście zrzeknie się tytułu - jeśli my i nasza ciotka pozwolimy mu żyć. - Kto to jest „my”?

- Moja siostra i ja, oczywiście. Właśnie w tej chwili wysyła naszego ojca do piekła, gdzie jest jego miejsce. Judith powiedziała, że nie chce, aby moją duszę splamiła krew ojca, jakbym się tym przejmował. A ty niebawem do niego dołączysz, bracie.

- Chcesz mi powiedzieć, że Judith McCrae jest twoją siostrą?

- Tak, oczywiście. Niebawem zostawi lady Arbuckle - kolejnego pionka, który odegrał już swoją rolę w tej grze - i pojedzie do Europy ze mną i naszą ciotką, którą znasz jako Annabelle Trelawny. Obie wrócą ze mną za jakiś czas i będą żyć u mojego boku. James nie mógł się powstrzymać, a słowa same wyszły z jego ust.

- A co z Corrie? Czy ją Judith również zamierza zabić?

- Ach, ta twoja żoneczka. Muszę przyznać, że byłem pod wrażeniem jej pomysłowości. Zobaczyć młodą damę w balowej sukni, która skacze na tył powozu, potem wpada do chaty na koniu, jak rycerz, żeby cię uratować. Szkoda, że jej się to udało, bo już wtedy chciałem cię zabić. James przeskakał całe siano w zasięgu swojej ręki i już tracił nadzieję. Wtedy jego palce dotknęły czegoś zimnego i twardego. Było to stare wędzidło, nadal przyczepione do kawałka skórzanych lejców.

Ciężkie i twarde. Chwilę mu zajęło, żeby przyciągnąć wędzidło do siebie i schować w prawej dłoni. Teraz musiał się przygotować. Miał tylko jedną szansę. Dostrzegł, że Louis się uśmiecha i wystraszył się. Wolał raczej, żeby szalenciec był wściekły niż rozbawiony.

- Tak, jestem pod wrażeniem twojej młodej żonki. Ostatnio odkryłem, że jest także dziedziczką i wniosła ci w posagu ogromne bogactwo. Może za kilka lat będzie gotowa po raz kolejny wyjść za mąż. Młody dżentelmen, obyty w świecie jak ja, z pewnością może dać jej tyle samo rozkoszy, co ty. Jak myślisz, bracie? James modlił się żarliwiej niż kiedykolwiek w życiu, gdy poderwał się na kolana i rzucił Louisowi wędzidło w twarz.

- Nie jestem twoim cholernym bratem!

* * *

- Idź do diabła, panie - powiedziała Judith i pociągnęła za spust derringera, a w pokoju rozległ się głośny i ostry strzał. Jason krzyknął:

- Nie! - i rzucił się przed swojego ojca w chwili, gdy dziewczyna wystrzeliła. W tym samym momencie inny głos krzyknął:

- Nie, Judith! Nie! - I rozległ się kolejny huk wystrzału. Corrie zobaczyła, jak Jason pada przed swoim ojcem, jak trafia go kula Judith, a potem jej własna kula trafia Judith w szyję, w chwili gdy ta

odwróciła się na dźwięk głosu Corrie.

W tym samym momencie Annabelle Trelawny albo ktokolwiek to był, obróciła się i wycelowała pistolet w Corrie. Ale Hollis, który właśnie pojawił się za nią, powalił ją na ziemię. Stał przez chwilę, patrząc na kobietę, którą pokochał, i odezwał się:

- Wystarczy, Annabelle. To już koniec. Oddaj mi broń.

- Nazywam się Marie, ty stary głupcze. Uniosła pistolet, by do niego strzelić, ale w tej chwili rozległ się kolejny wystrzał. Chwyciła się za pierś, spojrzała na Corrie, która teraz klęczała na podłodze, trzymając w każdej ręce derringera. Marie osunęła się na ziemię i spojrzała na leżącą na podłodze Judith, która krwawiła z rany na szyi i z ust.

Corrie usłyszała jakiś hałas, jakby szloch, i uświadomiła sobie, że wydobył się z jej gardła. Douglas trzymał Jasona w ramionach, rozdarł mu koszulę, żeby dostać się do rany. Ani na chwilę nie podniósł głowy, ale nigdy wcześniej w jego głosie nie słyszała takiego pośpiechu.

- Corrie, szybko, sprowadź doktora Milтона. Pospiesz się.

Douglas nawet nie zauważył, że Corrie wybiegła z pokoju. Zdawał sobie sprawę, że Judith prawdopodobnie nie żyje. Patrzył na nieruchomą twarz Jasona. Jego syn ocalił mu życie, co było ostatnią rzeczą, jakiej Douglas by sobie życzył. Wtedy Jason powoli otworzył oczy.

- Ja ją tutaj sprowadziłem, ojciec. Przepraszam.

- Nie, Jasonie, nic nie wiedziałeś. Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy. Leż spokojnie, nie ruszaj się. Przysięgam, że wszystko będzie dobrze. Corrie sprowadzi doktora Milтона. Zastrzeliła Judith i jej ciotkę. Sądzę, że obie nie żyją. Chociaż twojemu bratu to się nie podoba, ja cieszę się, że Corrie tak świetnie strzela. Na twarzy Jasona pojawił się słaby uśmiech, po czym jego głowa opadła na bok. W tym momencie do pokoju wpadła Aleksandra i zobaczyła, że jej mąż trzyma w ramionach jej syna, kołyszając go w tył i w przód, z twarzą gorejącą wściekłością.

- Jason? O Boże, Douglasie, o Boże. Gdzie jest James? O Boże, gdzie jest James?

ROZDZIAŁ 38

Wędzidło trafiło Louisa prosto w nos. Siła uderzenia zwała go z nóg. Krzyknął z bólu i zaskoczenia. Z nosa polała się krew. Zawył, rzucając się po pistolet, ale James był szybszy. Gdy Louis wystrzelił, James toczył się w jego stronę. Kula trafiła w podłogę, wyrzucając w powietrze przegniłe drzazgi.

James w sekundę znalazł się na Louisie. Bolała go głowa, ale nie zwracał na to uwagi. Chwycił Louisa za nadgarstek i ścisnął z całych sił, czując trzeszczące kości. Chciał dostać ten pistolet. Chciał wsadzić go Louisowi w usta i nacisnąć spust. Louis miał złamany nos, mocno krwawił. Ale był silny i w jego oczach czaił się mord. Pragnął śmierci Jamesa; chciał zająć jego miejsce i zamierzał to osiągnąć.

Siłowali się, tocząc po pokrytej sianem, przegniłej podłodze. Byli prawie tak samo silni, ale wściekłość dała Jamesowi przewagę. Ze spokojem, którego nie spodziewał się po sobie, powiedział:

- Zamierzam cię zabić, Louis. Zaraz. - James wykręcił mu rękę, aż poczuł, że nadgarstek pęka, usłyszał jęk Louisa, ale nie miało to znaczenia. Louis wbił mu kolano w plecy. James prawie przewrócił się z bólu, ale wytrzymał. Pociągnął pistolet, aż znalazł się na wysokości klatki piersiowej Louisa. Spojrzał młodemu człowiekowi w oczy, człowiekowi, który chciał zniszczyć jego rodzinę tylko dlatego, że tak sobie wymyślił. A kłamstwo miało usprawiedliwić chciwość. James pociągnął za spust. Kula trafiła Louisa Cadoudala w pierś. Jego ciało zachwiało się, pochyliło do przodu. Upadł na plecy. Spojrzał na Jamesa, otworzył usta, w których pojawiła się krew.

- Bracie - powiedział i zamilkł. James zerwał się na równe nogi, sapiąc ciężko. Żył. Żył. Nie martwił się Louistem. Chwycił pistolet i zaczął biec. Znajdował się jakiś kilometr od dworu. A tam była Judith. Czy ona i Annabelle Trelawny zabiły jego ojca?

* * *

James wpadł do środka Northcliffe Hall przez drzwi frontowe w momencie, gdy nadjechał doktor Milton. Mężczyźni nie zamienili ze sobą ani słowa. James dlatego że z trudem łapał powietrze. Był tam Hollis, wyprostowany i wysoki, ale jego twarz była blada jak ściana.

- W salonie - powiedział. Po raz pierwszy w swoim siedemdziesięcioletnim życiu Hollis nie wiedział, co ma zrobić. W głowie miał całkowitą pustkę. Powoli ruszył za paniczem Jamesem i doktorem Miltonem do salonu, i stanął w drzwiach, po prostu się modląc. Uniósł głowę i zobaczył, że przez drzwi frontowe wchodzi, zataczając się, Ollie Trunk, łowca z Bow Street.

- Na szczęście jest tu lekarz - powiedział Hollis. Ollie wyszeptał:

- Drań mnie dopadł, Hollis. Dopadł mnie! - I upadł na podłogę. Właśnie w tej chwili Hollis wziął się garść. Nieważne, co się stało, to do niego należało uporządkowanie wszystkiego. Ukłękł przy Olliem i powiedział:

- Nic ci nie będzie, Ollie. Już jestem. Douglas spojrział na doktora Milтона, zobaczył Jamesa, i omal nie krzyknął z ulgi. Powoli uniósł dłoń, którą przyciskał do rany na ramieniu Jasona, i zauważył,

że krwawienie nie było już tak obfite.

- Kula trafiła go w lewe ramię, bardzo blisko serca, cholera; nie przeszła na wylot. Nie wygląda to dobrze. Charles... proszę, pospiesz się. James stał, patrząc, jak ojciec ustępuje miejsca doktorowi Miltonowi, patrząc na jego dłonie pokryte krwią Jasona. Patrzył, jak ojciec przytula matkę i stoją bez słowa, ze wzrokiem wbitym w Jasona. Potem usłyszał, że ktoś szepce jego imię.

- Corrie, o Boże, Corrie - już była w jego ramionach, tuląc się do niego i szepcząc o Judith i Annabelle Trelawny. Judith, pomyślał. Judith. Potem zobaczył koc, narzucony na ciało kilka metrów od sofy, na której leżał Jason.

- Zabiłam ją, James - powiedziała Corrie, ale w jej oczach nie pojawiły się łzy. - Zastrzeliłam ją w chwili, gdy strzeliła do twojego ojca, ale Jason zasłonił go swoim ciałem. Potem zabiłam Annabelle Trelawny, bo chciała zabić Hollisa. Ona była prawdziwą ciotką Judith.

- Dzielna dziewczyna - powiedział. - Jestem z ciebie bardzo dumny, Corrie, bardziej niż umiem to wyrazić. Znieruchomiała w jego ramionach, potem westchnęła i położyła mu głowę na ramieniu.

Stali w ciszy, dopóki doktor Milton nie podniósł głowy i nie powiedział:

- Nie będę was oszukiwał. Mało brakowało. Ale Jason jest młody, zdrowy i bardzo silny. Jeśli ktoś miałby wyjść z tego cało, to właśnie on. Teraz musimy zanieść go do łóżka, a ja muszę wyciągnąć tę kulę.

Dwie noce później

- Wiedziałem, że on umrze - powiedział Douglas, wtulając twarz we włosy żony. - O północy jego oddech stał się urywany, a potem całkowicie ucichł. Wiedziałem, że on nie żyje, Alex. Sam prawie umarłem. Przytuliłem go do siebie i potrząsałem, byłem na niego taki wściekły, że mnie osłonił. A potem, dzięki Bogu, znowu zaczął oddychać. Przytuliła go jeszcze mocniej.

- Już nic mu nie grozi, Douglasie. Wyjdzie z tego.

- Tak, teraz to wiem. Nie byli sami w sypialni Jasona. James i Corrie siedzieli blisko siebie na kanapie, którą wstawiono do sypialni, oboje obudzeni, kiedy Douglas przyprowadził doktora Milтона, żeby zbadał Jasona.

- Jason nie odezwał się do mnie ani słowem, ale otworzył oczy, Alex. Otworzył oczy i uśmiechnął się. A potem znowu stracił przytomność. Douglas spojrział na doktora Milтона, który zbadał puls Jasona, a potem uniósł jego powieki. Cicho powiedział:

- On nie jest nieprzytomny, jaśnie panie, on śpi. Po raz pierwszy. Jego oddech stał się głębszy. Wydaje mi się, że gorączka spadła. - Doktor Milton wstał, delikatnie dotknął ramienia Jasona i wyprostował się. - Sądzę, że z tego wyjdzie. A teraz idźcie wszyscy trochę odpocząć. Ja przy nim zostanę. Oczywiście nikt nie wyszedł z sypialni Jasona. Douglas nie spał przez długi czas. James i Corrie przytulali się do siebie, pogrążeni we śnie. Aleksandra opierała głowę na jego ramieniu i słyszał jej równomierny oddech. Pomyślał o ciężkich przejściach lady Arbuckle; dziś rano Douglas wysłał Olliego, który doszedł już do siebie po uderzeniu w głowę, razem z nią do Kornwalii. Lady Arbuckle zamartwiała się o swojego męża, i trudno było jej się dziwić. Douglas również się martwił. Wątpił, że lord Arbuckle jeszcze żyje, ale nie powiedział tego głośno.

Nikt nie powiedział też słowa na temat Annabelle Trelawny. Hollis przyszedł do sypialni Jasona tamtej pierwszej nocy, stanął w drzwiach, wysoki i wyprostowany.

- Jestem gotów odejść, jaśnie panie. Douglas podniósł głowę, uświadomił sobie, co powiedział Hollis, i skrzywił się.

- Co to za bzdury? Nigdzie nie odejdiesz, stary. Nie można odejść ze swojej rodziny. Hollis

wpatrywał się w Jasona, którego oddech był tak słaby, że momentami wydawało się, iż w ogóle nie oddychał. Spojrzał na jego tors owinięty bandażem. Jego chłopiec był nieprzytomny. Hollisowi zabrakło tchu.

- Muszę, panie. To ja jestem za to wszystko odpowiedzialny. Douglas drżał o życie syna, a Hollis chciał wziąć na siebie całą winę.

- Nie jesteś za to odpowiedzialny, Hollis. - Nie wymienił imienia Annabelle Trelawny. Nigdy więcej nie chciał wymawiać tego imienia. Hollis wyprostował się jeszcze bardziej.

- Sprowadziłem tutaj tę kobietę. Byłem tak zauroczony, że mój umysł przestał pracować. Wykorzystała mnie, panie, żeby wzbudzić wasze zaufanie. Muszę odejść, panie. Wszystkich was skrzywdziłem. W jakiś sposób muszę za to odpokutować. Aleksandra, z oczami czerwonymi od niewyspania, zmartwienia i płaczu, powiedziała:

- Zastanowię się nad tym, Hollis. Znajdę ci stosowną pokutę. A teraz chcemy, żebyś się położył. Napij się brandy, jego lordowskiej mości. Wyśpij się, Hollis, bo inaczej nie będziesz w stanie udźwignąć swojej pokuty. Uwierz mi, odejście byłoby zbyt proste. Hollis pokłonił się, mówiąc:

- Tak, pani - i wyszedł z sypialni Jasona. Douglas spojrzął na żonę.

- Dobra robota - powiedział. - Wydaje mi się, że gdy wychodził, był bardziej wyprostowany, niż gdy przyszedł.

* * *

Douglas wreszcie zapadł w drzemkę, śniąc o dniu, kiedy pierwszy raz zabrał chłopców na ryby, a Jason złowił pstrąga i był tak podekscytowany, że omal nie wpadł do wody. Douglas uśmiechał się, gdy przebudził się gwałtownie. Spojrzał na mosiężny zegar na półce nad kominkiem. Dochodziła czwarta rano. Trzy świeczniki oświetlały łóżko, ale reszta sypialni pogrążona była w mroku. Doktor Milton spał na wysuwanym łóżku. Corrie, James i Aleksandra również spali. W sypialni panowała całkowita cisza. Co go obudziło?

Wstał natychmiast i podszedł do łóżka Jasona. Usiadł koło niego, wziął go za rękę, silną i opaloną.

Jason otworzył oczy i wyszeptał ochrypłym głosem:

- Chyba żyję.

- Tak, i tak zostanie - odparł Douglas. Chciał przytulić syna do siebie i nigdy go nie puścić, ale to sprawiłoby mu ból. Pogłaskał go po dłoni, czując ciepło jego ciała i krew płynącą w jego żyłach. Dzięki Bogu, że był żywy. Potem Douglas chciał na niego na - krzyczeć. Ale nie zrobił tego, niezupełnie. - Kocham cię, Jasonie. Miałem zamiar stłuc cię na kwaśne jabłko za to, że mnie zasłoniłeś własnym ciałem. Jason uśmiechnął się, ale zaraz ból ściągnął mu twarz.

- Judith? To Corrie, która się obudziła i stała za jego ojcem, powiedziała:

- Zastrzeliłam ją, Jasonie, w chwili, kiedy strzeliła do ciebie. Nie żyje. Jason milczał przez dłuższą chwilę. Potem westchnął.

- Wygląda na to, że nie znam się na ludziach.

- Wygląda, że wszyscy się nie znamy - odezwała się jego matka. - Wszyscy daliśmy się oszukać - wszyscy. Polubiliśmy ją i zaakceptowaliśmy, tak jak Annabelle Trelawny. Jason czuł dłoń matki na czole, widział uśmiechającego się brata. James nie wyglądał za dobrze, pomyślał Jason, wręcz bardzo źle. A potem miał ochotę się roześmiać, uświadamiając sobie, jak on sam musiał wyglądać.

Przypomniała mu się Judith, jej szelmowskie spojrzenie, bystry umysł, urok. Pomyślał o tych niesamowitych uczuciach, które w nim wzbudziła, a których nigdy wcześniej nie doświadczył.

Jeszcze nie bardzo rozumiał, co się tak naprawdę wydarzyło, ale w tym momencie nie było to takie ważne. Kiedy jego matka wyszeptała:

- Kochamy cię. Odpoczywaj teraz, Jasonie. Wszystko będzie dobrze - zasnął.

EPILOG

*Życie to najlepszy interes,
dostajemy je za darmo.
(żydowskie powiedzenie)*

Dwa i pół miesiąca później.

Dwór Northcliffe

James i Jason stali ramię w ramię na klifie nad doliną Poe. Było wczesne, bezwietrzne, lutowe popołudnie. Znad doliny unosiła się gęsta mgła. Widzieli własne oddechy.

- Doktor Milton mówi, że już doszedłeś do siebie - odezwał się James. Kładąc bratu rękę na ramieniu, Jason powiedział:

- W przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Baltimore. James Wyndham zaprosił mnie, żebym z nimi zamieszkał i popracował przy ich hodowli koni. Będzie mnie uczył. - Wtedy uśmiechnął się, po raz pierwszy od długiego czasu. - Napisał, że jego żona, Jessie, może prześcignąć każdego dżokeja. Już widziałem, jak się uśmiecha, pisząc, że jest po prostu za duży, żeby ją pokonać. Oczywiście naśmiewał się z tego, że szuka dla siebie wymówek.

- Naprawdę chcesz jechać, Jasonie? - James spojrzał na profil brata. Nie sądził, żeby teraz ktoś ich ze sobą pomylił. Twarz Jasona była szczuplejsza, bardziej surowa, oczy straciły dawny blask i radość. Jego ciało zostało uleczone, ale umysł i dusza były nieobecne, nawet dla Jamesa, który był mu bliższy niż ktokolwiek na świecie.

Jason nie odpowiadał przez kilka minut, potem wziął głęboki wdech i odwrócił się do brata.

- Muszę jechać - powiedział po prostu. - Nic mnie tutaj nie trzyma. Nic.

- Wiesz, że to nieprawda. Są tutaj ojciec i matka. Ja tu jestem. Możesz zostać w Anglii, kupić własną hodowlę koni, robić, co tylko zapragniesz.

- Nie mogę, James. Nie mogę. To... - Na chwilę uniósł rękę, ale zaraz ją opuścił. - Wszystko jest dla mnie zbyt bliskie. Zbyt bliskie. Muszę wyjechać.

- Uciekasz. Jason uśmiechnął się.

- Oczywiście. O, wydaje mi się, że niebawem mgła ustąpi. James wiedział, że brat już podjął decyzję. Wyjedzie.

- Tak - powiedział. - Niedługo wyjdzie słońce.

- Muszę powiedzieć o tym ojcu i matce. Dziś wieczorem. Wesprzesz mnie?

- Zawsze cię wspierałem i tak będzie i teraz, nawet w tej sprawie. Naprawdę nie chcę, żebyś wyjeżdżał, Jasonie. Dobry Boże, tak bardzo bym chciał, żeby sprawy potoczyły się inaczej.

- Nic się nie zmieni, James. Daj sobie spokój. James umiał poznać, kiedy ponosił porażkę.

- Wiesz, że skoro ojciec przeniósł babkę do osobnego domu, Corrie i ja postanowiliśmy tutaj zostać, przynajmniej przez jakiś czas? Zamilkł na chwilę, uderzył szpicrutą o udo. Chciał powiedzieć bratu, że ich rodzice zamartwiali się o niego, odkąd głęboka depresja przemieniła roześmianego, beztroskiego młodzieńca w milczącego odludka, którego żadne z nich nie poznawało.

Jason roześmiał się, ale nie był to śmiech, na który chciało się odpowiedzieć śmiechem. Był powściągliwy i skrywał pokłady nienawiści. Do siebie samego? Tego James nie wiedział.

- To nie była twoja wina - odezwał się do brata, nie mogąc się powstrzymać, chociaż dobrze wiedział, że Jason nie chciał tego słuchać, nie chciał o tym mówić, pewnie nie chciał również o tym pamiętać.

- Ach, a czyja w takim razie była to wina, James? Sarkazm w głosie Jasona był skierowany przeciwko niemu samemu.

- To była wina Judith. Louisa. Tej okropnej kobiety, która wykorzystwała biednego Hollisa. - Miał ochotę powiedzieć, że Hollis przynajmniej uśmiechał się częściej niż Jason. - Byli źli, Jason, źli do szpiku kości. Przepęłniała ich chciwość. Nie jesteś niczemu winien.

- Przynajmniej Hollis nie odszedł. James uśmiechnął się na to.

- Pokuta matki - zmuszenie go, żeby spędził tydzień z babką, doglądając jej przeprowadzki do nowego domu. Wyznał mi, że żaden człowiek nie zasługiwał na tak okropną pokutę, nawet taki, który zakochał się w młodszej kobiecie. A jemu, lojalnemu członkowi rodziny, pierwsza pomyłka przytrafiła się u schyłku kariery. Matka śmiała się do rozpuku. Ale Jason nie uśmiechnął się, tylko pokiwał głową.

- Tak, świetnie sobie z nim poradziła. Dzięki niej znowu odzyskał poczucie własnej wartości.

- Będzie mi ciebie brakować, James. Nigdy wcześniej się nie rozstawaliśmy. - Przełknął ślinę, zamilkł i mocno przytulił brata.

- Muszę jechać, James, dobrze mnie znasz, więc rozumiesz, dlaczego muszę jechać. Nic mnie tu nie trzyma. Wiesz, że wrócę. Ale muszę. - Po prostu zamilkł, spojrzął na zamgloną dolinę, potem odwrócił się i odszedł. James wiedział, że Jason nie chciał, żeby za nim poszedł.

James stał na krawędzi urwiska, mgła zaczęła obmywać mu stopy, słońce nadal skrywało się za chmurami, i patrzył, jak jego brat podchodzi do Dodgera, który miał z nim popłynąć do Baltimore. James zawsze powtarzał, że Dodger urodził się, żeby ścigać się z wiatrem.

Patrzył za bratem, aż ten zniknął mu z oczu. Stał tam jeszcze długo.

Był zaskoczony, że słońce nagle wyszło zza chmur, a mgła zniknęła. Wracając, rozmyślał o bracie, zastanawiając się, czy mógłby powiedzieć coś, co by spowodowało, że zmieniłby decyzję, i co oczyściłoby jego duszę z poczucia winy. Wtedy zobaczył w sekretnej części ogrodu Sherbrooke'ów swoją żonę, przyglądającą się ulubionej rzeźbie.

Słońce świeciło jeszcze jaśniej. Jego serce podskoczyło. Podeszedł do niej od tyłu, pocałował ją w kark, a potem prosto w usta, gdy odwróciła się zaskoczona.

- Mówiłem ci dziś rano, że kocham cię bezgranicznie? Przyciągnęła go do siebie, stanęła na palcach i pocałowała go.

- Nie, nie mówiłeś. Lubię słyszeć te słowa, zwłaszcza od ciebie. Och, James, tak bardzo cię kocham, Uśmiechnął się, pocałował ją w czubek nosa i poczuł, jak przytuliła się do niego mocniej.

- Wiem, o czym myślisz, Corrie. Chyba jestem gotowy. Nie potrzebuję obiadu, chociaż ciężko pracowałem cały ranek i żołądek przykleił mi się do żeber. Nie, jeśli musisz posiąść mnie właśnie teraz, to się poświęcę. Jestem twój.

Corrie Sherbrooke uśmiechnęła się, jak ten zamaskowany przemytnik, którego tożsamości jeszcze nie zidentyfikowano, i podstawiła mu nogę, powalając go na ziemię.

- Wcale nie jest na to za zimno - powiedziała, kiedy już na nim leżała. - Jeszcze minutę temu tak bym pomyślała, ale nie teraz, James.

- To dlatego, że jesteś na górze. Chodźmy, Corrie. Nie będę mógł się wykazać, zamarzając z zimna. Douglas i Aleksandra obserwowali, jak ich syn i jego żona pędzą przez trawnik w stronę altany.

- Jest za zimno - powiedział Douglas.

- Są młodzi. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebują, jest ogrzewanie - odparła jego żona i objęła go. - Cieszę się, że twój dziadek zbudował tę altanę. Myślisz, że był kiedyś młody?